

LOUISA MAY ALCOTT

MAŁE KOBIETKI

Little Women

Przełożyła Ludmiła Melchior - Yahil

ROZDZIAŁ 1

ZABAWA W PIELGRZYMÓW

- Gwiazdka nie będzie Gwiazdką bez prezentów - mruzczała Jo, leżąc na dywanie.

- To takie okropne być biednym! - westchnęła Meg, spoglądając na swoją starą sukienkę.

- Uważam, że to nie w porządku, żeby jedne dziewczynki miały dużo ładnych rzeczy, a inne nie miały nic a nic - dodała mała Amy obrażonym głosem.

- Mamy Ojca i Matkę i siebie nawzajem - odezwała się ze swojego kącika Beth, zupełnie zadowolonym tonem.

Cztery młode twarze, na które padał blask ognia z kominka, rozjaśniły się na te pogodne słowa, po czym znów spochmurniały i Jo powiedziała ze smutkiem:

- Nie mamy ojca i jeszcze długo nie będziemy go miały.

Nie powiedziała „może już nigdy”, ale każda dodała to sobie po cichu, myśląc o ojcu, który był gdzieś daleko, tam, gdzie toczyły się walki.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Potem Meg powiedziała zmienionym tonem:

- Jak wiecie, mama zaproponowała, żeby na Gwiazdkę nie było prezentów, dlatego że ta zima będzie dla wszystkich ciężka i mama uważa, że nie powinniśmy wydawać pieniędzy na przyjemności, podczas kiedy nasi mężczyźni cierpią na froncie. Nie możemy wiele zrobić, ale możemy zdobyć się na drobne wyrzeczenie i powinniśmy uczynić to z ochotą. Obawiam się tylko, że ja nie potrafię.

I Meg pokręciła głową, myśląc z żalem o wszystkich ładnych rzeczach, których tak bardzo pragnęła.

- Naprawdę nie sędzę, żeby nasze drobne oszczędności mogły się na coś przydać. Każda z nas ma tylko dolara i niewiele pomożemy armii oddając taką sumę. Zgadzam się, żeby nie oczekiwać niczego od Matki, czy od was, ale sama chcę sobie kupić *Undinę i Sintrama*. Marzę o tym już od *tak* dawna - powiedziała Jo, która była mołem książkowym.

- Miałam zamiar wydać mojego dolara na nowe nuty - powiedziała Beth z lekkim westchnieniem, którego nie usłyszał nikt oprócz szczotki przy kominku i czajnika.

- Ja kupię sobie ładne pudełko kredek Fabera. Są mi naprawdę potrzebne - powiedziała zdecydowanie Amy.

- Matka nic nie mówiła o naszych pieniądzech i nie pragnie przecież żebyśmy wyrzekały się wszystkiego. Kupmy sobie to, na co każda z nas ma ochotę i miejmy trochę radości. Pewna jestem, że solidnie na to zapracowałyśmy - zawołała Jo, spoglądając niczym chłopak na obcasy swoich butów.

- Wiem, że ja na pewno tak, ucząc przez prawie cały dzień te męczące dzieciaki, podczas gdy tak tęsknię za zabawami w domu - zaczęła znowu narzekać Meg.

- Nie jest ci nawet w połowie tak ciężko jak mnie - powiedziała Jo. - Ciekawe, jak by ci się podobało sterczeć przez całe godziny z nerwową i kapryśną starą damą, która wciąż popędza, nigdy nie jest zadowolona i dręczy cię tak, że masz ochotę uciekać przez okno albo płakać? i - To niegrzecznie grymasić, ale ja naprawdę myślę, że zmywanie naczyń i utrzymywanie wszystkiego w porządku, to najgorsza praca na świecie. Złości mnie to, a moje ręce tak sztywnieją, że nie mogę porządnie ćwiczyć. I Beth popatrzyła na swoje szorstkie dłonie z westchnieniem, które tym razem wszyscy mogli usłyszeć.

- Nie przypuszczam, żeby któraś z was cierpiała tak jak ja - zawołała Amy. - Wy nie musicie chodzić do szkoły z tymi wstrętnymi dziewczynami, które dręczą cię, jeśli czegoś nie umiesz, wyśmiewają twoje sukienki, robią z twojego ojca karykturę, jeśli nie jest bogaty i obrażają cię, jeśli nie masz ładnego nosa.

- Jeśli masz na myśli *karykturę*, to tak powiedz, zamiast mówić o *tekturach*, jakby papa był jakimś produktem do opakowania - poradziła ze śmiechem Jo.

- Wiem, co mam na myśli i nie musisz być od razu taka *ironiczna*. Powinno się używać ciekawych słów i poszerzać swoje *słownictwo* - odparła z godnością Amy.

- Przestańcie się przedrzeźniać, dzieci. Czy nie wolałabyś, Jo, żebyśmy mieli pieniądze, które papa stracił, kiedy byliśmy małe? Mój Boże! Jakie szczęśliwe i dobre byłybyśmy, gdybyśmy nie miały zmartwień! - powiedziała Meg, która pamiętała lepsze czasy.

- Powiedziałaś kiedyś, że, twoim zdaniem, jesteśmy znacznie szczęśliwsze niż dzieci Kingów, które wciąż się kłócą i złością mimo wszystkich swoich pieniędzy.

- Powiedziałam tak - Beth. - I myślę, że jesteśmy, bo mimo że musimy pracować, to świetnie się bawimy i jesteśmy całkiem niezłą paczką, jakby powiedziała Jo.

- Tak, Jo używa takich żargonowych wyrażeń! - zauważyła Amy, spoglądając z naganą na długą postać wyciągniętą na dywanie. Jo natychmiast usiadła, włożyła ręce do kieszeni i zaczęła gwizdać.

- Jo, przestań, zachowujesz się jak chłopak!

- Dlatego to robię!

- Nie cierpię prostackich dziewczyn, które nie zachowują się jak damy!

- Nienawidzę afektowanych, zmanierowanych dzierlatek!

- Zgodne ptaszęta w gniazdkach swych - zaśpiewała Beth - rozjemca, robiąc tak zabawną minę, że oba ostre głosy złagodniały w śmiechu i tym razem „dziobanie” zostało zakończone.

- Doprawdy, dziewczęta, obie jesteście winne - powiedziała Meg, rozpoczynając kazanie w swoim stylu najstarszej siostry. „Józefino, jesteś już dostatecznie dorosła, żeby wyzbyć się tych chłopięcych manier i zachowywać przyzwoicie. Kiedy byłaś małą dziewczynką, nie miało to większego znaczenia, ale teraz, kiedy jesteś taka wysoka i upinasz już włosy, powinnaś pamiętać o tym, że jesteś młodą damą”.

- Nie jestem! A jeśli czyni mnie nią upinanie włosów, to będę je czesać w dwa ogony aż do dwudziestki - zawołała Jo, zrywając z włosów siatkę i rozrzucając kasztanową grzywę. - Nienawidzę myśli o tym, że mam dorosnąć, zostać panną March, nosić długie suknie i wyglądać równie sztywno jak chiński aster! Już samo bycie dziewczyną jest dostatecznie okropne, kiedy ktoś tak jak ja lubi chłopięce zabawy, prace i zwyczaje! Nie mogę pogodzić się z tym, że nie jestem chłopcem, a teraz jest gorzej niż kiedykolwiek przedtem, bo tak bardzo chciałabym iść i walczyć razem z papą, a mogę tylko siedzieć w domu i robić na drutach jak nudna starowinka!

I Jo potrzęsła robioną właśnie niebieską żołnierską skarpetką tak, że druty zabrzęczały jak kastaniety, a kłębek wełny potoczył się przez pokój.

- Biedna Jo! To straszne, ale nie ma rady, więc musisz się zadowolić przekręcaniem swojego imienia na chłopięce i odgrywaniem brata dla nas, dziewcząt - powiedziała Beth, gładząc szorstką głowę u swych kolan ręką, której łagodnego dotyku nie mogły zmienić wszystkie na tym świecie zmywania naczyń i odkurzania.

- Co do ciebie Amy - kontynuowała Meg - to jesteś zdecydowanie zbyt drobiazgową i sztywną. Teraz twoje miny są zabawne, ale jeśli się - nie postarasz, to wyrośniesz na afektowaną gąskę. Lubię twoje przyjemne maniery i subtelny sposób mówienia, kiedy nie starasz się być elegancką, ale twoje absurdalne słownictwo jest równie złe jak żargon Jo.

- Jeśli Jo jest chłopczycą, a Amy gęsią, to kim, bardzo proszę, jestem ja? - zapytała Beth, gotowa dzielić z siostrami kazanie.

- Ty jesteś kochana, i nic innego - odparła ciepło Meg i nikt nie zaprzeczył, bo „Myszka”

była ulubienicą całej rodziny.

Ponieważ młodzi czytelnicy lubią wiedzieć „jak ludzie wyglądają” poświęcimy teraz chwilę, żeby im pokrótce naszkicować cztery siostry, które w zapadającym zmierzchu siedziały robiąc na drutach, podczas gdy grudniowy śnieg padał cicho na dworze, a ogień trzaskał wesoło na kominku. Był to wygodny staroświecki pokój, gdyż mimo wyblakłego dywanu i zwyczajnych mebli na ścianach wisiało parę dobrych obrazów, książki wypełniały wszystkie wnęki, chryzantemy i poinsecje kwitły w oknach, a wokół panowała atmosfera domowego spokoju.

Margaret, najstarsza z całej czwórki, miała szesnaście lat i była bardzo ładna; krągła, o jasnej cerze, dużych oczach, masie delikatnych brązowych włosów, słodkich ustach i białych dłoniach, które były przedmiotem jej próżności. Piętnastoletnia Jo była bardzo wysoka, chuda i smagła i przypominała żrebię, gdyż zdawało się, że nigdy nie wiedziała, co zrobić ze swoimi długimi kończynami, które wciąż jej zawadzały. Miała zdecydowane usta, komiczny nos i bystre szare oczy, które wydawały się wszystko dostrzegać i były kolejno to groźne, to wesołe, to znów zamyślane. Długie, gęste włosy były jedynym atutem jej urody, ale zazwyczaj upychała je w siatkę, żeby jej nie przeszkadzały. Jo miała okrągłe ramiona, duże stopy i ręce, rozwichrzony stroje i skrępowany wygląd dziewczyny, która gwałtownie zmieniała się w kobietę i nie lubiła tego. Elizabeth - albo Beth, jak ją wszyscy nazywali - była różaną, gładkowłosą i jasnooką dziewczynką lat trzynastu, o nieśmiałym sposobie bycia, cichym głosie i łagodnym usposobieniu, które rzadko ulegało zmianie. Ojciec nazywał ją „Maleńką Ciszą” i imię to świetnie do niej pasowało, gdyż zdawała się ona żyć we własnym szczęśliwym świecie, wyruszając z niego tylko na spotkanie tych kilku osób, które darzyła zaufaniem i kochała. Amy, mimo że najmłodsza, była najważniejsza - przynajmniej we własnym mniemaniu. Prawdziwa śnieżynka, o niebieskich oczach i złotych lokach wijących się na ramionach, blada i szczupła, i zawsze zachowująca się jak dbała o maniery młoda dama. Jakie były charaktery czterech sióstr, pozostawimy do późniejszego wyjaśnienia.

Zegar wybił szóstą i Beth zamiótlszy palenisko, ustawiła obok do wyschnięcia parę kapci. Już sam widok starych pantofli wywarł dobry wpływ na dziewczęta, bo oznaczał szybki powrót Matki, toteż wszystkie rozpogodziły się w oczekiwaniu na nią. Meg przestała pouczać i zapaliła lampę, Amy bez prośzenia wstała z fotela, a Jo zapomniała o tym, jak bardzo była zmęczona i usiadła, żeby przytrzymać kaptcie bliżej płomienia.

- Są już całkiem znoszone. Marmisia powinna mieć parę nowych.

- Miałam zamiar kupić je dla niej za mojego dolara - powiedziała Beth.

- Nie, ja kupię! - zawołała Amy.

- Ja jestem najstarsza - zaczęła Meg, ale Jo przerwała jej zdecydowanie:

- Teraz, kiedy nie ma papy, ja jestem w tym domu mężczyzną i ja dostarczę kaptcie, bo to mnie powiedział, żebym się szczególnie troszczyła o matkę pod jego nieobecność.

- Powiem wam, co zrobimy - powiedziała Beth. - Niech każda z nas kupi jej coś na Gwiazdkę, zamiast kupować coś sobie.

- To cała ty, kochanie! Co kupimy? - wykrzyknęła Jo.

Wszystkie zastanawiały się poważnie przez minutę, po czym Meg obwieściła, tak jakby pomysł ten przyszedł jej do głowy na widok własnych pięknych rąk: „Ja dam jej parę ładnych rękawiczek”.

- Wojskowe buty, najlepsze jakie są - zawołała Jo.

- Chusteczki do nosa, wszystkie obrębione - powiedziała Beth.

- Ja dam małą butelkę wody kolońskiej. Mama ją lubi i to niedużo kosztuje, więc zostanie mi jeszcze na moje kredki - dodała Amy.

- Jak my jej to wszystko damy? - zapytała Meg.

- Ułożymy na stole, przyprowadzimy ją i będziemy patrzeć jak otwiera pakunki. Nie pamiętasz, jak robiłyśmy to na nasze urodziny? - odpowiedziała Jo.

- Zawsze tak się bałam, kiedy na mnie wypadła kolej, żeby zasiąść w wielkim fotelu w koronie i patrzeć, jak wy wszystkie maszerujecie wokół, żeby mnie pocałować i wręczyć prezent. Lubiłam prezenty i pocałunki, ale to było takie straszne, kiedy siedziałyście patrząc jak je rozpakowuję - powiedziała Beth z twarzą niemal tak rumianą jak grzanka, którą właśnie przygotowywała do herbaty.

- Pozwólmy Marmisi myśleć, że kupujemy coś dla siebie i zrobmy jej niespodziankę. Meg, musimy iść jutro po południu na zakupy. I tyle jest jeszcze pracy przy sztuce na Gwiazdkę - powiedziała Jo, maszerując tam i z powrotem z rękoma założonymi do tyłu i nosem w powietrzu.

- Po tym przedstawieniu nie mam zamiaru więcej występować. Staję się za dorosła na takie rzeczy - zauważyła Meg, która, gdy w grę wchodziły „przebierane swawole” była takim samym dzieckiem jak dawniej.

- Dobrze wiem, że nie przestaniesz, dopóki możesz paradować w białej sukni z rozpuszczonymi włosami, obwieszona biżuterią ze złotego papieru. Jesteś najlepszą aktorką, jaką

mamy i byłby to koniec - wszystkiego, gdybyś opuściła pokład - powiedziała Jo. - Powinniśmy zrobić dziś wieczorem próbę. Chodź tu, Amy, i powtórz scenę omdlenia, bo jesteś w niej sztywna jak pogrzebacz.

- Nic na to nie poradzę. Nigdy nie widziałam nikogo mdlejącego, a nie mam zamiaru, tak jak ty, robić się czarna i niebieska i padać plackiem. Jeśli mogę upadać powoli, to upadnę. Jeśli nie, to z wdziękiem osunę się na fotel. Nie obchodzi mnie to, czy Hugo grozi mi pistoletem - odpowiedziała Amy, która pozbawiona była aktorskich uzdolnień, ale została wybrana, bo była dostatecznie mała na to, by czarny charakter dramatu mógł ją, wrzeszczącą, unieść.

- Zrób to tak. Załam w ten sposób ręce i rzuć się przez pokój, krzycząc rozpaczliwie, «Roderigo! Ratuj mnie! Ratuj!» - I Jo ruszyła, wydając melodramatyczny okrzyk, który był prawdziwie wstrząsający.

Amy podążyła za nią, ale z wyciągniętymi sztywno przed siebie rękoma i poruszając się jak automat, a jej „Och!” bardziej sugerowało, że ścierpła, niż jakikolwiek lęk czy niepokój. Jo jęknęła z rozpacz, a Meg roześmiała się głośno, podczas gdy Beth przypaliła chleb przyglądając się zabawie z zainteresowaniem.

- To bezcelowe! Staraj się jak potrafisz w czasie przedstawienia, a jeśli publiczność będzie się śmiała, nie miej do mnie pretensji. Chodź, Meg, teraz ty.

Dalej wszystko poszło składowo, bo Don Pedro rzucił światu wyzwanie w mowie na dwie strony, nawet się nie zająknął. Czarownica Hagar odmówiła straszliwe zaklęcia nad kotłem pełnym gotujących się ropuch i wywołała fatalne skutki. Roderigo mężnie porozrywał swe łańcuchy, a Hugo zmarł z powodu skruchy i arszeniku, z dzikim „Ha! Ha!”

- To najlepsza z naszych sztuk - powiedziała Meg, kiedy zmarły złoczyńca usiadł rozcierając sobie łokcie.

- Naprawdę nie wiem, Jo, jak ty potrafisz napisać i zagrać coś tak wspaniałego. Jesteś po prostu Shakespearzem! - wykrzyknęła Beth, która głęboko wierzyła, że jej siostry we wszystkich dziedzinach obdarzone były cudownym talentem.

- Niezupełnie - odparła skromnie Jo. I ja myślę, że *Kłątwa Czarownicy*, tragedia operowa jest niezłym przedstawieniem, ale gdybyśmy tylko miały zapadnię dla Banka, to chciałabym spróbować *Makbeta*. Zawsze marzyłam o zagranii sceny zabójstwa. «Czy to sztylet widzę tu przed sobą?» - mamrotała Jo, przewracając oczyma i ściskając w ręku powietrze, tak jak to widziała w wykonaniu pewnego sławnego aktora.

- Nie, to rożen z nadzianym nań zamiast chleba butem mamy! Beth została teatromanką! - zawołała Meg i próba zakończyła się ogólnym wybuchem śmiechu.

- Cieszę się, że znajduję was w tak dobrych humorach, dziewczęta - dobiegł od drzwi pogodny głos, a aktorzy i widownia odwrócili się, żeby powitać wysoką damę o macierzyńskim wyglądzie, której postać zdawała się pytać: «w czym mogę ci pomóc» w prawdziwie przemyły sposób. Nie była elegancko ubrana, lecz mimo to miała szlachetny wygląd i dziewczęta uważały, że szary płaszcz i niemodny czepek okrywały najwspanialszą matkę na świecie.

- No i cóż, moje drogie, jak spędziłyście dzień? Tyle było pracy z przygotowywaniem na jutro wszystkich paczek, że nie mogłam przyjść do domu na obiad. Beth, czy nikt nie przychodził? Jak twoje przeziębienie, Meg? Jo, wyglądasz na straszliwie zmęczoną. Chodź i pocałuj mnie, maleńka.

Robiąc te macierzyńskie uwagi, pani March zdjęła swoje mokre okrycie, włożyła ciepłe kapcie i usiadłszy w fotelu wzięła Amy na kolana, gotowa nacieszyć się najszcześniejszą godziną swojego pracowitego dnia. Dziewczęta fruwały dookoła, starając się dogodzić jej, każda na swój sposób. Meg nakryła do herbaty. Jo przyniosła drewno i ustawiła krzesła, upuszczając, potracając i popychając z łoskotem wszystko, czego dotknęła. Beth dreptała z pokoju do kuchni, cicha i zajęta, podczas gdy Amy wydawała wszystkim polecenia siedząc z założonymi rękoma.

Kiedy zebrały się wokół stołu, pani March powiedziała z wyrazem szczególnego szczęścia na twarzy: „Mam dla was po kolacji niespodziankę”.

Szybki, radosny uśmiech obiegł dookoła jak promień słońca. Beth klasnęła w dłonie nie zważając na biszkopt, który trzymała, a Jo podrzuciła serwetkę, wołając: - List! List! Trzykrotne hurra dla ojca!

- Tak, miły, długi list. Dobrze się czuje i myśli, że przetrzyma zimę lepiej niż się obawialiśmy. Przesyła wszystkim serdeczne pozdrowienia z okazji świąt i specjalną przesyłkę dla was, dziewczęta - powiedziała pani March, głaszcząc swoją kieszeń tak, jakby miała w niej skarb.

- Pośpieszcie się i kończmy! Amy, tylko nie przerywaj jedzenia, żeby nawijać sobie loki na paluszek albo wdzięczyć się nad swoim talerzem! - zawołała Jo, krztusząc się herbatą i upuszczając na podłogę chleb posmarowaną stroną na dół, byle tylko przyspieszyć duchową ucztę.

Beth przestała jeść i odeszła, żeby usiąść w swoim ciemnym kątku i oczekiwać na

przyjemność, która miała nadejść, kiedy pozostałe były gotowe.

- Uważam, że ojciec postąpił wspianale idąc na front jako kapelan, mimo że jest już za stary na pobór i nie dość silny na żołnierza - powiedziała ciepło Meg.

- Och, gdybym tak mogła pójść jako doboasz, jako *markietka* - czy jak to się nazywa? - albo jako pielęgniarka, tak żeby mogła być blisko niego i pomagać mu - wyjęczała Jo.

- To musi być bardzo nieprzyjemne, kiedy trzeba spać w namiocie, jeść różne niesmaczne rzeczy i pić z blaszanego kubka - westchnęła Amy.

- Kiedy on wróci do domu, Marmisiu? - zapytała Beth z lekkim drżeniem w głosie.

- Nie prędzej niż za wiele miesięcy, kochanie, chyba że będzie chory. Pozostanie i wiernie wypełni swoje obowiązki, jak długo będzie mógł, a my nie będziemy go wzywać do powrotu ani o minutę wcześniej, niż będzie mógł być zwolniony. A teraz chodźcie i posłuchajcie listu.

Przysunęły się wszystkie do kominka, matka w dużym fotelu, z Beth u swoich stóp, Meg i Amy przysiadły na obu ramionach fotela, a Jo oparła się z tyłu, tak żeby nikt nie mógł zobaczyć śladu emocji na jej twarzy, gdyby list okazał się wzruszający. W tych ciężkich czasach niewiele pisano listów, które nie były wzruszające, zwłaszcza jeśli były to listy wysyłane przez ojców do domu. W tym liście mało było mowy o pokonywanych trudnościach, niebezpieczeństwach, którym trzeba było stawić czoło i przewyciężanej tęsknocie za domem. Był to pogodny, optymistyczny list, pełen żywych opisów obozowego życia, marszów i wojskowych nowinek i tylko pod sam koniec serce piszącego opanowała ojcowska miłość i tęsknota za pozostawionymi w domu dziewczynkami.

„Przekaż im wszystkim moją miłość i ucałowania. Powiedz im, że myślę o nich w ciągu dnia, modlę się za nie w nocy i zawsze znajduję największe pocieszenie w ich oddaniu. Rok wydaje się tak długim czasem oczekiwania na chwilę, kiedy je znów zobaczę, ale przypomnij im, że mogą wszystkie pracować, a wtedy te trudne dni nie pójdą na marne. Wiem, że będą pamiętały wszystko, co im powiedziałem, że będą dla ciebie kochającymi dziećmi, wiernie spełnią swoje obowiązki, dzielnie pokonają swych wewnętrznych wrogów i dorosną tak pięknie, że kiedy do nich wrócę, będę mógł być bardziej niż kiedykolwiek dumny z moich kobietek”.

Przy czytaniu tej części listu wszystkie zaczęły pociągać nosami. Jo nie wstydziła się wielkiej łzy, która kapnęła z końca jej nosa, a Amy nie martwiła się o potargane loki, kiedy ukryła twarz na ramieniu matki i wyszlochała: „Jestem samolubną dziewczyną! Ale naprawdę postaram się być lepsza, tak żeby się na mnie nie zawiódł w przyszłości”.

- Wszystkie się postaramy! - zawołała Meg. - Ja, za dużo myślę o swoim wyglądzie i nie cierpię pracy, ale już tak nie będzie, o ile dam radę.

- Ja też spróbuję i może będę, jak lubi mnie nazywać, «kobietką», a nie taką dziką i nieokrzesaną, i postaram się wypełniać moje obowiązki tutaj, zamiast pragnąć być gdzie indziej - powiedziała Jo, myśląc, że poskramianie własnego temperamentu tu, w domu było znacznie trudniejszym zadaniem, niż stawiać czoło kilku rebeliantom tam, na Południu.

Beth nic nie powiedziała, ale otarła łzy niebieską, wojskową skarpetką i zaczęła z całej siły robić na drutach, nie odwracając wypełnienia obowiązku, który był tuż obok, a w duszy postanawiając być taką, jaką ojciec pragnął ją zastać, kiedy koniec roku przyniesie jego szczęśliwy powrót do domu.

Pani March przerwała swoim pogodnym głosem ciszę, jaka zapadła po słowach Jo: - Czy pamiętacie, jak bawiliście się w pochód pielgrzymów, kiedy byliście małe? Nic nie cieszyło was bardziej, niż kiedy wam zawiązywałam na plecach moje woreczki na ścinki jako torby pielgrzymie, dawałam kapelusze, kije i rulony papieru i pozwalałam wam wędrować po domu od piwnicy, gdzie było Miasto Zniszczenia, wysoko, wysoko na dach, gdzie znajdowałyście różne wspaniałe rzeczy, z których budowałyście Niebiańskie Miasto.

- Jakaż to była zabawa, zwłaszcza wędrówka koło lwów, walka z Apollyonem i przeprawa przez dolinę, w której mieszkały skrzaty! - powiedziała Jo.

- Ja lubiłam to miejsce, w którym tobołki spadały i toczyły się w dół po schodach - powiedziała Meg.

- Moja ulubiona część była wtedy, kiedy wychodziłyśmy na płaski dach, gdzie były nasze kwiaty, drzewa i różne piękne rzeczy i wszystkie stałyśmy śpiewając w słońcu z radości - powiedziała Beth, uśmiechając się tak, jakby powróciła do niej ta miła chwila.

- Niewiele z tego pamiętam, poza tym, że bałam się piwnicy i ciemnego wejścia i że zawsze lubiłam ciastko i mleko, które dostawałyśmy na górze. Gdybym nie była za dorosła na takie rzeczy, to chętnie znów bym się w to pobawiła - powiedziała Amy, która w dojrzałym wieku lat dwunastu zaczęła już napomykać o porzucaniu dzieciennych zabaw.

- Nigdy nie jesteśmy na to zbyt dorośli, kochanie, bo jest to gra, w której uczestniczymy przez cały czas, w ten czy inny sposób. Mamy swoje ciężary, nasza droga jest przed nami, a dążenie do dobra i szczęścia jest przewodnikiem wiodącym nas przez liczne kłopoty i błędy do osiągnięcia pokoju, którym jest prawdziwe Niebiańskie Miasto. A teraz, moi mali pielgrzymi,

może zaczniecie jeszcze raz, tym razem nie w zabawie, lecz naprawdę i zobaczymy dokąd dotrzecie zanim ojciec powróci do domu.

- Naprawdę, mam? Gdzie są nasze tobołki? - zapytała Amy, która była bardzo dosłowną młodą damą.

- Każda z was, z wyjątkiem Beth, powiedziała przed chwilą, jaki niesie ciężar. Myślę, że ona po prostu nie ma żadnego - powiedziała matka.

- Owszem, mam. Mój ciężar to naczynia i odkurzanie, i zazdrość wobec dziewczynek, które mają ładne pianina i to, że boję się ludzi.

Ciężar Beth był tak nieznaczący, że wszystkim chciało się śmiać, ale nikt tego nie zrobił, bo zraniłoby to bardzo jej uczucia.

- Spróbujmy - powiedziała Meg w zamyśleniu. - To tylko inna nazwa na nasze dążenie do bycia dobrymi, a ta opowieść może nam pomóc, bo mimo że próbujemy być dobre, to jest to ciężka praca, więc czasami zapominamy i nie robimy wszystkiego co w naszej mocy.

- Byłyśmy dzisiaj wieczorem w Bagnie Zwątpienia, a mama przyszła i wyciągnęła nas, tak jak cudowna moc robi to w książce. Powinnyśmy mieć nasz rulon wskazówek, tak jak Krystian. Jak to zrobimy? - zapytała Jo, zachwycona pomysłem, który wprowadzał nieco przygody w tak bardzo nudne zadanie spełniania obowiązków.

- Zajrzyjcie w świąteczny poranek pod poduszki, a znajdziecie swój przewodnik - odparła pani March.

Omawiały więc nowy plan, podczas gdy stara Hanna sprzątała ze stołu. Potem pojawiły się koszyczki do robót i zamigotały igły, którymi dziewczęta szyły prześcieradła dla ciotki March. Było to nudne szycie, ale tego wieczora nikt nie marudził. Przystali na pomysł Jo, aby podzielić długie partie materiału na cztery części i nazwać je Europa, Azja, Afryka i Ameryka, toteż bawiły się znakomicie, omawiając poszczególne kraje, kiedy się przez nie „przeszywały”.

O dziewiątej zakończyły pracę i jak zwykle zaśpiewały przed pójściem do łóżek. Nikt poza Beth nie potrafił wydobyć dźwięku ze starego pianina, ale za to ona, delikatnie dotykając pośliskich klawiszy, umiała zapewnić miły akompaniament do prostych piosenek, które śpiewały. Meg miała głos jak flet i ona razem z matką prowadziła chór. Amy cykała jak świerszcz, a Jo wędrowała po pieśniach jak jej się żywnie podobało, zawsze wpadając w nieodpowiednim momencie z rechotem lub trylem, które niszczyły najbardziej poważną melodię. Śpiewały tak zawsze, odkąd potrafiły wyseplenić: „*mala fiastko sieć nam, sieć*”, i stało się to już

domową tradycją, albowiem matka ich była urodzoną śpiewaczką. Pierwszym dźwiękiem z rana był zawsze jej głos, kiedy chodziła po mieszkaniu, śpiewając jak skowronek, i ten sam wesoły głos ostatni dźwięczał wieczorem, gdyż dziewczęta nigdy nie były zbyt dorosłe na dobrze znaną kołysankę.

ROZDZIAŁ 2

WESOŁE ŚWIĘTA

W szary świt Bożego Narodzenia pierwsza obudziła się Jo. Na kominku nie wisały skarpety z prezentami i przez chwilę poczuła się tak zawiedziona, jak dawno temu, kiedy jej mała skarpetka spadła, bo tak była ciężka od upchanych w niej drobiazgów. Przypomniała sobie obietnicę matki i wsunawszy rękę pod poduszkę wyciągnęła małą książkę w szkarłatnej oprawie. Znała ją bardzo dobrze, gdyż była to piękna, stara opowieść o najlepszym życiu przeżytym kiedykolwiek i Jo wiedziała, że był to najlepszy przewodnik dla każdego wyruszającego w daleką drogę pielgrzyma. Obudziła Meg, życząc jej „Wesołych Świąt” i kazała jej zajrzeć pod poduszkę. Ukazała się książka w zielonej okładce, zawierająca wewnątrz ten sam obrazek i kilka słów napisanych przez matkę, które w ich oczach czyniły ten jedyny prezent tak bardzo cennym. Beth i Amy też się już obudziły, by poszperać i także znaleźć swoje małe książeczki - jedną w kolorze gołębic a drugą niebieską, i wszystkie usiadły oglądając je i rozmawiając, podczas gdy niebo na wschodzie różowiało z nadejściem dnia.

Margaret, mimo iż czasami próżna, była z natury słodka i pobożna, co nieświadomie wywierało wpływ na jej siostry, a zwłaszcza na Jo, która kochała ją bardzo czule i była jej posłuszna, gdyż rady były przez nią zawsze tak łagodnie dawane.

- Dziewczęta - powiedziała Meg poważnie, spoglądając na potarganą głowę obok siebie i dwie pozostałe w dalszej części pokoju, okryte nocnymi czepkami. - Mama chce, żebyśmy czytały, kochały i ceniły te książki i musimy zacząć od zaraz. Dawniej byłyśmy temu wierne, ale odkąd ojca nie ma, i spadły na nas te wszystkie wojenne kłopoty, zaniedbałyśmy wiele spraw. Wy możecie postępować jak wam się podoba, ale ja będę trzymała moją książkę na tym tu stoliku i przeczytam trochę co dzień rano, jak tylko się obudzę, bo wiem, że dobrze mi to zrobi i pomoże w ciągu dnia.

Po czym otworzyła swoją książeczkę i zaczęła czytać. Jo otoczyła ją ramieniem i przytulając swój policzek do policzka siostry też czytała, z wyrazem spokoju tak rzadko pojawiającym się na jej zmiennej twarzy.

- Jaka Meg jest dobra! Chodź Amy, zróbmy tak jak one. Pomogę ci z trudnymi wyrazami, a jak nie będziemy czegoś rozumiały, to one nam wytłumaczą - szepnęła Beth, na której ładne

książki i przykład sióstr wywarły duże wrażenie.

- Cieszę się, że moja jest niebieska - powiedziała Amy, po czym w pokojach zapanowała cisza i tylko stronice przewracały się delikatnie, i zimowe słońce zajrzało do środka, żeby dotknąć mądrych główek i poważnych twarzy swym świątecznym pozdrowieniem.

- Gdzie jest mama? - zapytała Meg, kiedy obie z Jo zbiegły w pół godziny później na dół, żeby podziękować jej za prezenty.

- Bóg jeden wie. Jakaś biedota przyszła po prośba i wasza mama zaraz poszła zobaczyć co potrzeba. Nigdy nie było takiej kobiety, żeby dawać jeść i pić, i ubranie, i drzewo - odpowiedziała Hanna, która pracowała w ich domu od urodzenia Meg, i była przez nich wszystkich uważana bardziej za przyjaciółkę niż służącą.

- Myślę, że szybko wróci, więc smaź swoje placki i wszystko przygotuj - powiedziała Meg, spoglądając na prezenty, które zebrały w koszyku i trzymały pod sofą, by je w odpowiedniej chwili wyciągnąć. - Och, a gdzie jest butelka wody kolońskiej od Amy? - zapytała nie znajdując małej flaszeczki.

- Zabrała ją przed chwilą, żeby przyczepić wstążkę, czy coś w tym rodzaju - odparła Jo, tańcząc po pokoju, aby rozchodzić nieco sztywne od nowości wojskowe kapcie.

- Prawda, że ładnie wyglądają moje chusteczki? Hanna uprała je dla mnie i uprasowała, a ja sama wyszyłam monogramy - powiedziała Beth, patrząc z dumą na nieco nierówne litery, które kosztowały ją tyle pracy.

- Błogosławione dziecię! Wyszyła na nich «mama» zamiast «M. March». Jak śmiesznie! - zawołała Jo, podnosząc jedną.

- Czy to niedobrze? Pomyślałam, że tak będzie lepiej, bo Meg też ma inicjały M. M., a ja chcę, żeby tylko Marmisia używała tych chusteczek - powiedziała Beth, wyglądając na strapioną.

- Ależ oczywiście, że to dobrze, kochanie, i to bardzo ładny pomysł - a w dodatku całkiem rozsądny, bo teraz nikt się nie może pomylić. Na pewno bardzo się to mamie spodoba - powiedziała Meg, marszcząc się na Jo i uśmiechając do Beth.

- Mama idzie. Szybko chowaj koszyk! - zawołała Jo, gdyż trzasnęły drzwi, a w holu rozległ się odgłos kroków.

Amy wbiegła pośpiesznie i nieco się spieszyła, kiedy zobaczyła, że siostry czekają na nią.

- Gdzie ty byłaś i co tam chowasz za plecami? - zapytała Meg, ze zdumieniem wnioskując z płaszcza i kapturka, że leniwa Amy wychodziła już na dwór mimo wczesnej pory.

- Nie śmieję się ze mnie, Jo! Nie chodziło o to, żeby coś przed wami ukryć, zanim nie nadejdzie właściwa pora. Chciałam tylko zamienić małą butelkę na dużą i wydałam na nią wszystkie swoje pieniądze i naprawdę staram się nie być już samolubna.

Mówiąc to Amy pokazała elegancką butelkę, zastępującą poprzednią tanią, a wyglądała po tym drobnym wysiłku, który uczyniła, tak szczerze i skromnie, że Meg od razu ją uściskała, a Jo nazwała „łobuziakem” podczas gdy Beth podbiegła do okna i zerwała najładniejszą ze swoich róż, żeby ozdobić butelkę.

- Wiecie, kiedy rano czytałyśmy i mówiłyśmy o tym, jak być dobrym, tak mi się zrobiło wstyd mojego prezentu, że jak tylko wstałam, pobiegłam do sklepu na rogu i zamieniłam go i tak się z tego cieszę, bo teraz mój prezent jest najładniejszy.

Kolejne trzaśnięcie drzwi od ulicy wysłało koszyk pod sofę, a dziewczęta do stołu, gotowe do śniadania.

- Wesołych Świąt, Marmisiu! Wielu Wesołych Świąt! Dziękujemy za książki. Trochę już przeczytałyśmy i będziemy je czytać codziennie - wołały chórem.

- Wesołych Świąt, córeczki! Cieszę się, że od razu zaczęłyście i mam nadzieję, że będziecie kontynuować. Ale zanim usiądziemy, chciałam wam coś powiedzieć. Niedaleko stąd leży biedna kobieta z maleńkim niemowlęciem. Sześcioro dzieci kuli się w jednym łóżku, żeby im było cieplej, bo nie mają ognia. Nie mają nic do jedzenia i najstarszy chłopiec przyszedł, żeby mi powiedzieć, jak cierpią z głodu i zimna. Moje dziewczęta, czy oddacie im swoje śniadanie jako świąteczny podarunek?

Wszystkie były niezwykle głodne, bo czekały już od godziny i przez minutę nikt się nie odezwał. Ale tylko przez minutę, bo Jo zaraz wykrzyknęła impulsywnie:

- Tak się cieszę, że przyszedł zanim zaczęłyśmy!

- Czy mogę pomóc ci zanieść rzeczy dla biednych małych dzieci? - zapytała ochoczo Beth.

- Ja zaniosę śmietankę i bułeczki - dodała Amy, bohatercko wyrzekając się tego, co najbardziej lubiła.

Meg już przykrywała racuszki i układała chleb na jednym dużym talerzu.

- Wiedziałam, że tak postąpiacie - powiedziała pani March, uśmiechając się z zadowoleniem. - Wszystkie pójdziecie mi pomóc, po powrocie zjemy na śniadanie chleb z mlekiem, a nadrobimy to przy kolacji.

Niebawem były gotowe i pochód wyruszył. Na szczęście było wcześniej i szły bocznymi uliczkami, toteż mało kto je widział, i nikt nie śmiał się z dziwacznej procesji.

Biedny, pusty i nędzny był ten pokój bez ognia, z wybitymi szybami, podartą pościelą, chorą matką, płaczącym niemowlęciem i gromadką błądych, głodnych dzieci, przytulonych do siebie pod jedną kołdrą, w celu utrzymania ciepła.

Jakże popatrzyły ich duże oczy i uśmiechnęły się sine wargi, kiedy dziewczęta weszły do środka!

- Ach, mein Gott! Przyszły do nas anioły! - powiedziała biedna kobieta, płacząc z radości.

- Zabawne anioły w kapturkach i rękawiczkach - powiedziała Jo, rozśmieszając wszystkich.

W kilka chwil rzeczywiście zdawało się, że to dobre duszki zabrały się do dzieła. Hanna, która przyniosła drewno, rozpałała ogień i zatkała dziury w oknach starymi kapeluszami i własnym płaszczem. Pani March podała chorej herbatę i kleik i pocieszyła ją obietnicą pomocy, przebierając niemowlę tak delikatnie, jakby to było jej własne dziecko. Dziewczęta tymczasem ustawiły stół, posadziły dzieci wokół ognia i karmiły je jak głodne ptaszki - śmiejąc się, rozmawiając i próbując zrozumieć ich zabawną, łamaną angielszczyznę.

- Das ist gut! - Die Engel - kinder! - wołały biedne maleństwa, jedząc i ogrzewając czerwone rączki przy łagodnym płomieniu.

Nikt dotąd nie nazwał dziewczynek anielskimi dziećmi i uznały to za bardzo miłe, zwłaszcza Jo, którą od dnia jej urodzin uważano za „Sancho”. Było to bardzo szczęśliwe śniadanie, mimo że nawet go nie spróbowały i myślę, że kiedy odeszły, pozostawiając po sobie pocieszenie, to w całym mieście nie było czterech szczęśliwszych osób niż głodne małe dziewczynki, które oddały swoje śniadania i zadowolily się w świąteczny poranek chlebem i mlekiem.

- Tak właśnie kocha się swego sąsiada bardziej niż siebie samego i bardzo mi się to podoba - powiedziała Meg, kiedy korzystając z tego, że matka poszła na górę poszukać ubrań dla biednych Hummlów, ustawiały swoje prezenty.

Nie był to bardzo imponujący widok, ale w małych zawiniątkach zawarte było wiele miłości, a wysoki wazon, który stał pośrodku z czerwonymi różami, białymi chryzantemami i dzikim winem, nadawał stołowi zupełnie elegancki wygląd.

- Idzie już! Beth, uderzaj w klawisze! Otwieraj drzwi, Amy! Trzykrotne hurra dla

Marmisi - wołała Jo, skacząc dookoła, podczas gdy Meg poszła, żeby poprowadzić matkę na honorowe miejsce.

Beth zagrała powitalnego marsza, Amy otworzyła drzwi na oścież, a Meg z wielką godnością wystąpiła w roli eskorty. Pani March była jednocześnie zaskoczona i wzruszona, i uśmiechała się z oczyma pełnymi łez, oglądając prezenty i czytając krótkie liściki, które im towarzyszyły. Kapsie zostały od razu włożone, nowa chusteczka, dobrze skropiona wodą kolońską od Amy, wsunięta do kieszeni, a ładne rękawiczki usłyszały, że „idealnie pasują”.

Wiele było śmiechu, pocałunków i wyjaśnień, a wszystko w ten prosty i pełen miłości sposób, który czyni domowe święta tak miłymi w chwili ich przeżywania i tak słodkimi do wspomnienia długo później, a potem wszyscy rzucili się do pracy.

Poranna dobroczynność i ceremonia zabrały tak wiele czasu, że resztę dnia poświęcono na przygotowania do wieczornych uroczystości. Dziewczęta były jeszcze za młode, żeby często chodzić do teatru, a nie dość bogate, by pozwolić sobie na wielkie wydatki związane z prywatnymi przedstawieniami, toteż zatrudniły własny spryt, i - potrzeba matką wynalazku - przygotowały wszystko, czego potrzebowały. Niektóre z wykonanych rekwizytów były niezwykle pomysłowe: gitary z tektury; antyczne lampy zrobione ze staroświeckich maselniczek pokrytych srebrnym papierem; wspaniałe suknie ze starej bawełny, błyszczące blaszanymi cekinami, pochodzącymi z fabryki marynat; i zbroja pokryta tymi tak przydatnymi kawałkami w kształcie rombów, które pozostawały z płachty blachy po wycięciu pokrywek na słoiki do konserw. Meble porzucano do góry nogami, a duża alkowa została sceną dla wielu niewinnych swawoli.

Mężczyznom wstęp był wzbroniony, toteż Jo, ku własnemu zadowoleniu, grała męskie role, parując z rozkoszą w parze wysokich skórzanych butów, podarowanych jej przez przyjaciółkę, która znała pewną panią, która znała pewnego aktora. Buty te, a także stary floret i rozcięty dubeltowy kubrak, którego jakiś malarz używał do jakiegoś obrazu, były skarbami Jo i pojawiały się przy każdej okazji. Skromne rozmiary zespołu sprawiały, że dwaj główni aktorzy musieli podjąć się kilku ról w jednej sztuce i bez wątpienia należało im się uznanie za ciężką pracę przy uczeniu się trzech czy czterech różnych ról, wskakiwaniu i wyskakiwaniu z różnych kostiumów i w dodatku reżyserowaniu przedstawienia. Było to znakomite ćwiczenie dla ich pamięci i nieszkodliwa zabawa, a zarazem zajęcie na wiele godzin, które w przeciwnym razie byłyby nudne, samotne lub spędzone w mniej korzystnym towarzystwie.

W wieczór Bożego Narodzenia dziesięć dziewczynek wdrapawszy się na łóżko, które służyło jako łoża, zasiadło w stanie najpochlebniejszego oczekiwania przed niebiesko - żółtą zasłoną z perkalu. Spoza kurtyny dobiegały liczne szelesty i szepty, nieco dymu z lampy i od czasu do czasu chichot Amy, która w chwilach podniecenia miała skłonność do popadania w histerię. Właśnie zabrzmiał gong, kurtyna opadła i rozpoczęła się *Tragedia operowa*.

„Ponury las” jak głosił jeden z afiszów, zastępowało kilka doniczek z krzewami, zielony rypś na podłodze i pieczara w oddali. Pieczara ta za dach miała stojak do wietrzenia pościeli a ściany z biurek, pomiędzy którymi stał rozpalony do gorąca piecyk z ustawionym na nim czarnym kociołkiem i pochyloną nad nim starą czarownicą. Na scenie było ciemno i blask piecyka dawał znakomity efekt, tym bardziej że gdy czarownica podniosła pokrywkę, z kociołka wyleciała prawdziwa para. Pozwolono widowni ochłonąć przez chwilę z pierwszego wrażenia. Następnie dumnie wkroczył Hugo, czarny charakter, który miał u boku pobrzękujący miecz, kapelusz podwinięty z jednej strony do góry, czarną brodę, tajemniczą pelerynę i wysokie buty. Przez chwilę chodził tam i z powrotem w wielkim poruszeniu, po czym uderzył się w czoło i wydzierając się dzikim głosem, zaśpiewał o swojej nienawiści do Roderiga, miłości do Żary i miłym postanowieniu, by zabić jedno z nich, a zdobyć drugie. Gruby głos Hugo i okrzyki, które co jakiś czas wydawał, wywierały duże wrażenie i publiczność nagrodziła go brawami, kiedy przerwał, żeby złapać oddech. Skłonił się jak ktoś nawykły do publicznego uznania, po czym zajrzał ukradkiem do jaskini i nakazał Hagar, by wyszła mówiąc władczo: „Hej tam, sługo! Potrzebnaś mi!”

Wyszła Meg, ze zwisającym wokół twarzy szarym końskim włosiem, w czerwono - czarnym szlafroku, z laską i peleryną w kabalistyczne znaki. Hugo zażądał jednego napoju, którego wypicie sprawi, że Zara go pokocha i drugiego na uśmiercenie Roderiga. Hagar, we wspaniałej dramatycznej arii, zobowiązała się dostarczyć oba napoje i zaczęła wzywać ducha, który miał jej przynieść miłosny napój:

*Tutaj, ach, tutaj, z mego rozkazu,
Powietrzny duchu przybądź od razu!
Zrodzony z róż w rosistą noc,
Znaszże ty mikstur tajemnych moc?
Z elfią prędkością przynieś tu mi*

*Pachnący napój, co mi się śni;
Niech będzie szybko mocny, słodki,
Duchu, odpowiedz na me zwrotki.*

Rozległ się delikatny dźwięk muzyki i spoza jaskini ukazała się drobna postać w obłoku bieli, z błyszczącymi skrzydłami, złotymi włosami i girlandą róż na głowie. Machając różdżką, postać ta zaśpiewała:

*Przybywam od razu
Z twego rozkazu
Ze srebrzystego księżycy.
Weź zakłęcie to,
Użyj dobrze go,
Lub zniknie mocy jego tajemnica!*

I porzucając u stóp czarownicy małą pozłacaną butelkę, duch zniknął. Kolejna pieśń wykonana przez Hagar wywołała następną zjawę - niezbyt piękną, gdyż oto, w akompaniamencie huku, pojawił się brzydki czarny chochlik i wyrehotawszy swą kwestię, rzucił w Hugo ciemną butelką, po czym zniknął z szyderczym śmiechem. Wymamrotawszy podziękowanie, Hugo włożył napoje do butów i odszedł, a Hagar poinformowała widownię, że ponieważ uśmiercił on w przeszłości kilka jej przyjaciółek, przeklęła go i ma zamiar pokrzyżować jego plany, biorąc tym samym na nim odwet. Kurtyna opadła i publiczność odpoczywała, jedząc słodczyce i dyskutując nad walorami sztuki.

Dłuższy okres stukania młotkami poprzedził ponowne podniesienie kurtyny, ale kiedy okazało się jak wspaniałe arcydzieło scenicznej stolarki młotki te sporządziły, nikt nawet nie mruknął o spóźnieniu. Było to doprawdy znakomite! Stała tam wysoka aż do sufitu wieża. W połowie jej wysokości widniało okno, w którym stała zapalona lampa, a spoza białej zasłonki widać było Zarę w pięknej błękitno - srebrnej sukni, czekającą na Roderiga. Przybył on wspaniale ubrany, w kapeluszu z piórami, czerwonej pelerynie, z kasztanowym lokiem nad czołem, gitarą i oczywiście w wysokich butach. Uklękłszy u stóp wieży, odśpiewał rzewną serenadę. Zara odpowiedziała mu i po tym muzycznym dialogu zgodziła się na ucieczkę. Tu

nadszedł efekt nadzwyczajny sztuki. Roderigo wyciągnął sznurową drabinę o pięciu stopniach, zarzucił jeden jej koniec do góry i zaprosił Zarę do zejścia.

Nieśmiało wysunęła się spoza krat, oparła dłoń na ramieniu Roderiga i miała właśnie wdzięcznie zeskoczyć, kiedy - Nieszczęsna! Nieszczęsna Zara! - zapomniała o swoim welonie, a ten utkwił w oknie. Wieża zachwiała się, pochyliła do przodu i upadła z łoskotem, grzebiąc w swych ruinach nieszczęśliwych kochanków!

Pośród ogólnego wrzasku brązowe buty Roderiga miały się dziko wśród ruin, spod których ukazała się złocista głowa, wołając: „A nie mówiłam! A nie mówiłam!” Wykazując wspaniałą przytomność umysłu, Don Pedro, okrutny ojciec, pośpieszył wyciągnąć swą córkę spod gruzów, spiesznie mówiąc jej na stronie - „Nie śmieję się! Graj jakby nic się nie stało!” - i, rozkazując Roderigo wstać, gniewnie i szyderczo wypędził go z królestwa. Mimo iż niewątpliwie poruszony upadkiem wieży, Roderigo stawiał czoła staremu władcy i odmówił wyjazdu. Idąc za jego nieustraszonym przykładem także i Zara oparła się woli swego władcy, który kazał wtrącić ich oboje do najgłębszych lochów zamczyska. Dzielny mały sługa przyszedł z łańcuchami i wyprowadził ich, wyglądając na bardzo przestraszonego i najwyraźniej zapominając o mowie, jaką miał wygłosić.

Akt trzeci miał miejsce w zamkowej sali i tu właśnie pojawiła się Hagar, by uwolnić kochanków i skończyć z Hugo. Słyszając jego kroki ukrywa się; widzi jak Hugo wlewa mikstury do dwóch kielichów i nakazuje małemu słudze: „zanieś je uwięzionym w lochu i powiedz im, iż niebawem nadejdę”. Sługa bierze Hugo na stronę, by mu coś powiedzieć, a Hagar zamienia kielichy na dwa inne, zupełnie nieszkodliwe. Ferdinando, służący, wynosi je, a Hagar stawia z powrotem kielich z trucizną przeznaczoną dla Roderiga. Hugo, spragniony po długim śpiewie, wypija napój, traci przytomność i po dłuższej chwili wymachiwania i tupania [pada plackiem i umiera, podczas gdy Hagar informuje go, co zrobiła w arii o niezwykłej mocy i melodii.

Była to doprawdy wstrząsająca scena, choć niektórzy mogli pomyśleć, że nagle rozsypanie się masy długich kasztanowych włosów złoczyńcy nieco zepsuło efekt jego śmierci. Wywołano go przed kurtynę i ukazał się z wielką wytwornością, wiodąc za sobą Hagar, której śpiew uznano za lepszy niż reszta przedstawienia razem wzięta.

Akt czwarty ukazywał rozpaczającego Roderigo, który zamierzał się zasztyletować, gdyż powiedziano mu, że Zara go opuściła. Ale w chwili gdy mierzyl już sztyletem w serce, pod jego oknem rozległ się śpiew informujący go, że Zara jest mu wierna, acz w niebezpieczeństwie i jeśli

zechce, może ją uratować. Wrzucony zostaje klucz, który otwiera drzwi, Roderigo w szalonym spazmie rozrywa łańcuchy i rusza, by odnaleźć i uwolnić ukochaną.

Piąty akt otwierała burzliwa scena między Zarą a Don Pedro. On życzy sobie, żeby poszła do klasztoru, ale ona nie chce o tym nawet słyszeć i po wzruszającym błaganiu ma właśnie zemdleć, kiedy wdziera się Roderigo i prosi o jej rękę. Don Pedro odmawia, albowiem Roderigo nie jest bogaty. Krzyczą i straszliwie gestykują, ale nie mogą dojść do porozumienia i Roderigo ma już unieść wyczerpaną Zarę, kiedy wchodzi służący z listem i torbą od Hagar, która zniknęła w tajemniczy sposób. List informuje, że zapisuje ona młodej parze niewypowiedziane bogactwa i przeklina straszliwie Don Pedra, jeśli ten nie zgodzi się na ich szczęście. Po otwarciu torby deszcz monet sypie się na scenę, która po chwili całkowicie pokrywa się ich blaskiem. To zupełnie już zmiękcza serce „srogiego władcy”. Zgadza się on bez szemrania na ślub, wszyscy łączą swe głosy w radosnym chórze i kurtyna opada na kochanków, klęczących z najbardziej romantycznym wdziękiem przed Don Pedrem, który daje im swe błogosławieństwo.

Rozległy się gromkie oklaski, którym jednak położony został nieoczekiwany kres, gdyż polowe łóżko, na którym zbudowana była „łoża” złożyło się nagle, zamykając rozentuzjasmowaną publiczność. Roderigo i Don Pedro rzucili się na pomoc i wyciągnęli wszystkich bez szwanku, aczkolwiek wielu niemych ze śmiechu. Podniecenie jeszcze nie opadło, kiedy nadeszła Hanna z „Pozdrowienia od pani March i czy by panienki nie zeszli na kolacja”.

Była to niespodzianka nawet dla aktorek, a kiedy ujrzały stół, popatrzyły na siebie w zachwyconym zdumieniu. Marmisia zazwyczaj przygotowywała dla nich mały poczęstunek, ale nic równie wspaniałego nie widziały od dawno już minionych dni dostatku. Były tam lody - właściwie dwa ich rodzaje, różowe i białe - i ciasto, i owoce, i różnorodne francuskie cukierki, a na środku cztery wielkie bukiety ciepłarnianych kwiatów!

Zaparło im dech w piersiach i wpatrywały się najpierw w stół a potem w matkę, która zdawała się ogromnie tym cieszyć.

- Czy to wróżki? - zapytała Amy.

- To Święty Mikołaj - powiedziała Beth.

- To Mama. - I Meg uśmiechnęła się swoim najśłodszym uśmiechem pomimo siwej brody i białych brwi.

- Ciotka March w przyływie dobroci przysłała kolację - wykrzyknęła Jo, w nagłym olśnieniu.

- Żadna nie zgadła. Przysłał to stary pan Laurence - odparła pani March.

- Dziadek małego Laurenca! Jakim cudem przyszło mu coś podobnego do głowy? Nawet go nie znamy! - zawołała Meg.

- Hanna opowiedziała rano jednej z jego służących o waszym śniadaniu. Dziwny z niego stary jegomość, ale to mu się spodobało. Znał przed laty mojego ojca i przysłał mi dziś po południu uprzejmy list, w którym pisze, że ma nadzieję, iż pozwolę mu wyrazić jego przyjazne uczucia wobec moich dzieci poprzez przesłanie im kilku drobiazgów z okazji świąt. Nie mogłam odmówić, toteż macie małą wieczorną ucztę dla wynagrodzenia mleczno - chlebowego śniadania.

- To ten chłopiec mu to podsunął, wiem, że to on! To wspaniały chłopak i tak bardzo chciałabym, żebyśmy się poznali. On też wygląda tak, jakby chciał zawrzeć z nami znajomość, ale jest nieśmiały, a Meg jest taka zasadnicza, że nigdy nie pozwala mi odezwać się do niego, kiedy go mijamy - powiedziała Jo, kiedy talerze zaczęły krążyć, a lody topniały w oczach, wśród zadowolonych „ochów” i „achów”.

- Masz na myśli tych ludzi, którzy mieszkają w tym dużym domu obok, prawda? - zapytała jedna z dziewczynek. - Moja matka zna starego pana Laurenca, ale mówi, że on jest bardzo dumny i nie lubi spoufalać się z sąsiadami. Trzyma swego wnuka w zamknięciu, z wyjątkiem konnych przejażdżek i spacerów z guwernerem, i każe mu się - bardzo dużo uczyć. Zaprosiliśmy tego chłopca do nas na przyjęcie, ale nie przyszedł. Mama mówi, że jest bardzo miły, chociaż nigdy nie rozmawia z dziewczynkami.

Nasza kotka uciekła kiedyś i on ją przyniósł z powrotem. Rozmawialiśmy przez płot i dogadywaliśmy się znakomicie - wszystko o krykiecie i tak dalej - kiedy zobaczył, że Meg nadchodzi, odszedł. Mam zamiar poznać go któregoś dnia, bo on potrzebuje rozrywki, jestem tego absolutnie pewna - powiedziała zdecydowanie Jo.

- Lubię jego maniery i wygląda na małego dżentelmena, więc nie mam nic przeciw temu, żebyście go poznały, jeśli nadarzy się odpowiednia okazja. Sam przyniósł kwiaty i powinnam była zaprosić go do środka, ale nie byłam pewna, co dzieje się na górze. Miał taki smutny wygląd, kiedy odchodził słysząc wasze zabawy i najwyraźniej nie mając własnych.

- To zbawienie, że go nie zaprosiłaś, Mamo! - zaśmiała się Jo, patrząc na swoje buty. - Ale urządzimy kiedyś inne przedstawienie, które będzie mógł obejrzeć. Może pomoże w grze. Czy nie byłoby to zabawne?

- Nigdy nie dostałam takiego wspaniałego bukietu! Jaki on ładny! - I Meg z

zainteresowaniem oglądała kwiaty.

- Rzeczywiście piękny! Ale dla mnie słodsze są róże od Beth - powiedziała pani March, wachając na wpół zwiędły bukiet przypięty do paska.

Beth przytuliła się do niej i delikatnie szepnęła: „Tak bym chciała wysłać wiązankę Tacie. Obawiam się, że jego Gwiazdka nie jest tak wesoła jak nasza”.

ROZDZIAŁ 3

MŁODY LAURENCE

- Jo! Jo, gdzie jesteś? - wołała Meg, stojąc u stóp schodów prowadzących na strych.

- Tutaj! - odpowiedział z góry zachrypnięty głos i Meg wbiegłszy po schodach zastała siostrę jedzącą jabłka i płaczącą nad *Dziedzicem z Redclyffe*, zawiniętą w koc na stojącej przy słonecznym oknie starej sofie o trzech nogach. Była to ulubiona kryjówka Jo, która bardzo lubiła schować się tu z kilkoma renetami i dobrą książką, aby nacieszyć się spokojem i towarzystwem oswojonego szczura, który mieszkał obok i ani odrobinę nie przejmował się jej obecnością. Kiedy ukazała się Meg, Bazgrotek umknął do swojej dziury, a Jo otarła łzy z policzków i czekała na nowiny.

- Co za radość! Spójrz tylko! Prawdziwy list z zaproszeniem od pani Gardiner na jutrzejszy wieczór! - zawołała Meg, wymachując drogocennym listem, a następnie odczytując go z dziewczęcym zachwytem. „*Pani Gardiner byłaby szczęśliwa mogąc ujrzeć pannę March i pannę Józefinę na małym tanecznym przyjęciu z okazji Nowego Roku*”. - Mama zgadza się żebyśmy poszły. No więc, co włożymy?

- Po co pytasz, skoro wiesz, że włożymy nasze popeliny, bo nie mamy nic innego? - odpowiedziała Jo z pełnymi ustami.

- Gdybym tak miała jedwabną sukienkę! - westchnęła Meg. - Mama mówi, że być może dostanę, jak skończę osiemnaście lat, ale dwa lata to wieczne oczekiwanie.

- Uważam, że nasze popelinki wyglądają jak jedwab i są dla nas dostatecznie ładne. Twoja wygląda jak nowa, ale zapomniałam, że moja jest przypalona i rozdarta. Co mam zrobić? Przypalenie bardzo widać i nie mogę go ani trochę szczyścić.

- Musisz siedzieć cały czas spokojnie i nie pokazywać pleców. Przód jest w porządku. Ja będę miała nową wstążkę we włosach i Mama pożycz mi swoją spinę z perłą; moje pantofle są śliczne, a rękawiczki ujdą, chociaż nie są tak ładne, jak bym tego pragnęła.

- Moje są poplamione lemoniadą i nie mogę dostać nowych, więc pójdę bez nich - powiedziała Jo, która nigdy nie przejmowała się zbytnio strojem.

- Musisz mieć rękawiczki albo ja nie pójdę - wykrzyknęła zdecydowanie Meg. - Rękawiczki są ważniejsze niż wszystko inne. Nie możesz bez nich tańczyć, a jeśli nie zatańczysz,

to ja będę taka upokorzona.

- No to będę stać w miejscu. Nie zależy mi na towarzyskich tańcach. Co to za przyjemność żeglować w kółko. Ja lubię fruwać we wszystkie strony i robić susy.

- Nie możesz poprosić Mamy o nowe rękawiczki, bo są drogie, a ty jesteś taka niedbała. Kiedy poplamiałaś te, które masz, mama powiedziała, że nie kupi ci już nowych tej zimy. Nie możesz ich jakoś wyczyścić? - zapytała zaniepokojona Meg.

- Mogę trzymać je zmięte w dłoni, tak żeby nikt nie zobaczył, jakie są poplamione. To wszystko, co mogę zrobić. Nie! Powiem ci, jak sobie poradzimy - każda z nas włoży jedną dobrą i będzie trzymała tę złą w dłoni. Co ty na to?

- Twoje ręce są większe niż moje i okropnie rozciągniesz mi rękawiczkę - zaczęła Meg, bo rękawiczki były jej czułym punktem.

- W takim razie pójdę bez nich. Nie obchodzi mnie, co ludzie powiedzą! - powiedziała Jo, podnosząc swoją książkę.

- Możesz ją sobie wziąć, proszę bardzo! Tylko jej nie poplam i zachowuj się przyzwoicie. Nie trzymaj rąk za plecami i nie wołaj „Na Krzysztofa Kolumba!” dobrze?

- Nie martw się o mnie. Będę tak sztywna jak tylko potrafię i postaram się nie wdać w żadne burdy. A teraz idź odpowiedzieć na zaproszenie i pozwól mi dokończyć tę znakomitą historię.

Meg odeszła, by „uprzejmie podziękować”, obejrzeć swoją sukienkę i zanucić pogodnie przy upinaniu swego jedyne go zabotu z prawdziwej koronki, podczas gdy Jo dokończyła swoją książkę, cztery jabłka i partyjkę figli z Bazgrotkiem.

W przeddzień Nowego Roku salon był pusty, gdyż obie młodsze dziewczynki służyły jako panny podręczne, a starsze pochłonięte były niezwykle ważnym zajęciem „szykowania się na bal”. Toalety mogły sobie być proste, ale było co niemiara biegania z góry na dół, śmiechów I rozmów, aż w pewnej chwili dom wypełnił zapach przypalonych włosów.

Meg chciała mieć wokół twarzy kilka loczków, toteż Jo poczęła chwycić owinięte w papier kosmyki parą rozgrzanych szczypiec.

- Czy to na pewno musi tak dymić? - zapytała Beth ze swojej grzędę na łóżku.

- To wilgoć paruje - odparła Jo.

- Jaki dziwny zapach! Jak opalane pierze - zauważyła Amy, gładząc z wyższością swoje własne loki.

- Zaraz zdejmę papierki i ujrzyście obłok małych loczków - powiedziała Jo, odkładając szczypce.

Zdjęła papierki, ale nie ukazał się żaden obłok, bo włosy zostały na papilotach, a przerażony fryzjer złożył rząd małych przypalonych zawiniątek przed swoją ofiarą.

- Och, och, och! Coś ty zrobiła? Jestem oszpecona! Nie mogę tak iść! Moje włosy, och, moje włosy! - zawodziła Meg, patrząc z rozpaczą na nierówne frędzle nad czołem.

- Takie moje szczęście. Nie trzeba było mnie prosić. Ja zawsze wszystko zepsuję. Bardzo mi przykro, ale szczypce były za gorące i dlatego wszystko źle wyszło - jęczała biedna Jo, oglądając czarne placki ze łzami żalu.

- Nic straconego. Podfryzuj je tylko trochę i zawiąż wstążkę tak, żeby końce lekko opadały na czoło, a będzie wyglądało jak najnowsza moda. Widziałam to u wielu dziewcząt - powiedziała pocieszająco Amy.

- Dobrze mi tak, zachciało mi się stroić. Powinnam była zostawić moje włosy w spokoju!
- płakała rozdrażniona Meg.

- I ja tak uważam, były gładkie i śliczne. Ale niedługo znów ci odrosną - powiedziała Beth, podchodząc, aby pocałować i pocieszyć podstrzyżoną owcę.

Po licznych mniejszych przygodach Meg była wreszcie gotowa, a zgodnym wysiłkiem całej rodziny udało się upiąć włosy Jo do góry i włożyć na nią sukienkę. Wyglądały w swoich skromnych strojach bardzo dobrze - Meg w srebrzystobrazowawej sukni, z błękitną aksamitną siateczką na włosy, koronkowym żabotem i spinką z perłą; Jo w kasztanowej, ze sztywnym, lnianym, niby męskim kołnierzykiem i jedną czy dwiema chryzantemami za całą ozdobę. Każda włożyła jedną czystą rękawiczkę, a drugą poplamioną trzymała w dłoni, i wszyscy stwierdzili, że rezultat był „zupełnie przyjemny i wyrafinowany”. Pantofle Meg na wysokich obcasach były za ciasne i uwierały ją, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, a dziewiętnaście szpilek we włosach Jo, zdawało się być wbitych prosto w jej głowę, ale cóż, elegancja albo śmierć!

- Bawcie się dobrze, moje kochane! - powiedziała pani March, kiedy obie siostry zgrabnie zeszły na alejkę. - Nie jedzcie za dużo na kolację i wyjdźcie o jedenastej, kiedy przyślę po was Hanne.

Kiedy zatrzasnęła się za nimi furka, usłyszały głos wołający z okna:

- Dziewczęta, dziewczęta! Czy zabrałyście czyste chusteczki do nosa?

- Tak, tak, niepokalanie czyste, a Meg skropiła swoje wodą kolońską - zawołała Jo,

dodając ze śmiechem, kiedy nieco odeszły: - Jestem pewna, że Marmisia zapytałaby o to nawet gdybyśmy uciekały przed trzęsieniem ziemi.

- To jeden z jej arystokratycznych nawyków i całkiem, stosowny, bo prawdziwą damę poznaje się po czystych butach, rękawiczkach i chusteczce do nosa - odparła Meg, która sama miała całkiem sporo drobnych „arystokratycznych nawyków”.

- Pamiętaj o zasłanianiu zniszczonego klina sukienki. Jo. Czy moja szarfa jest w porządku? I czy moje włosy wyglądają bardzo źle? - powiedziała Meg, odwracając się po dłuższym muskaniu od lustra w gotowalni u pani Gardiner.

- Jestem pewna, że zapomnę. Jeśli zobaczysz, że robię coś niestosownego, to przypomnij mi mrugnięciem, dobrze? - odpowiedziała Jo, szarpnąwszy kołnierzyk i przeciągnąwszy szybko szczotką po włosach.

- Damy do nikogo nie mrugają. Jeśli coś będzie źle, to podniosę brwi, a skinę głową, jeśli wszystko będzie dobrze. A teraz, obciążnij ramiona, chodź małymi krokami i jeśli cię będą komuś przedstawiać, to nie potrząsaj jego ręką - tak się nie robi.

- Jak ty się nauczyłaś tych wszystkich poprawnych manier? Ja nigdy nie potrafię. Czyż ta muzyka nie jest wesoła?

Zeszły na dół czując się nieco onieśmielone, bo rzadko chodziły na przyjęcia i, mimo że było to małe i nieformalne spotkanie, dla nich było ono wydarzeniem. Pani Gardiner, dostojna starsza dama, powitała je serdecznie i przekazała najstarszej ze swoich sześciu córek. Meg, która znała Sallie, szybko poczuła się swobodnie, ale Jo, którą niewiele obchodziły dziewczęta i ich plotki, stała obok, z plecami zwróconymi przezornie do ściany i czuła się równie nie na miejscu jak żrebak wśród kwiatnych rabatek. Kilku ożywionych młodzieńców rozmawiało w innej części pokoju o łyżwach i Jo marzyła, żeby się do nich przyłączyć, albowiem jazda na łyżwach była jedną z radości jej życia. Zatelegrafowała swój zamiar do Meg, ale brwi siostry uniosły się tak alarmująco, że nie odważyła się ruszyć. Nikt nie podchodził, by z nią porozmawiać, a stojąca koło niej grupa osób stopniowo przeredzała się, aż w końcu pozostała sama. Nie mogła włączyć się wokół w poszukiwaniu zabawy, bo ukazałby się przypalony klin sukni, toteż dość smętnie przypatrywała się wszystkim wkoło, dopóki nie zaczęły się tańce. Meg została poproszona natychmiast i ciasne pantofelki poruszały się tak żwawo, że nikt nie odgadłby, jaki ból zносиła z uśmiechem ich właścicielka. Jo zauważyła rudowłosego młodziana, który zbliżał się w kierunku jej kąta i, obawiając się, że ma zamiar poprosić ją do tańca, wymknęła się do odgródzonej

zasłoną alkowy, aby stamtąd wszystko podglądać i bawić się w spokoju. Niestety, inna nieśmiała osoba wybrała już tę samą kryjówkę, bowiem gdy tylko opadła za nią zasłonka, Jo znalazła się twarzą w twarz z „młodym Laurencem”.

- Ojej, nie wiedziałam, że ktoś tu jest! - wyjąkała Jo, przygotowując się do odwrotu, równie szybkiego jak wtargnięcie.

Ale chłopiec roześmiał się i powiedział uprzejmie, choć wyglądał na nieco zaskoczonego:

- Nie przejmuj się mną. Zostań, jeśli chcesz.

- Czy nie będę ci przeszkadzać?

- Ani trochę. Przyszedłem tu tylko dlatego, że nie znam wielu osób i z początku czułem się nieco dziwnie, wiesz.

- I ja też. Nie odchodź, proszę, chyba, że wolisz.

Chłopiec usiadł z powrotem i spoglądał na swoje lakierki, aż wreszcie Jo powiedziała, starając się być uprzejma i miła:

- Zdaje mi się, że miałam przyjemność już cię kiedyś widzieć. Mieszkasz koło nas, prawda?

- W sąsiednim domu. Podniósł wzrok i zaśmiał się otwarcie, bo sztywne maniery Jo wydały mu się raczej zabawne, gdy sobie przypomniał, jak gawędzili o krykiecie, kiedy odniósł jej kota.

Przywróciło to Jo jej zwykłą swobodę i też się roześmiała, mówiąc najserdeczniej jak potrafiła:

- Twój prezent gwiazdkowy sprawił nam wiele radości.

- To dziadek go posłał.

- Ale to był twój pomysł czy nie mam racji?

- Jak się miewa kot, panno March? - zapytał chłopiec, starając się wyglądać poważnie, podczas gdy jego czarne oczy błyszczały wesoło.

- Dziękuję, nieźle, panie Laurence, ale nie jestem panną March, tylko Jo - odparła młoda dama.

- A ja nie jestem pan Laurence, tylko Laurie.

- Laurie Laurence - co za dziwne nazwisko!

- Naprawdę mam na imię Teodor, ale nie lubię go, bo koledzy przezywali mnie Dora, więc kazałem im mówić na siebie Laurie.

- Ja nienawidzę mojego imienia - jest takie sentymentalne! Tak bym chciała, żeby wszyscy mówili Jo, zamiast Józefina. Jak zmusiłeś chłopców, żeby przestali cię nazywać Dora?

- Pobiłem ich.

- Ja nie mogę pobić ciotki March, więc chyba będę musiała się pogodzić z moim imieniem. I Jo westchnęła z rezygnacją.

- Czy lubisz tańczyć, panno Jo? - zapytał Laurie, uważając w myśli, że imię to pasowało do niej.

- Owszem, lubię, jeśli jest dość miejsca i wszyscy są ożywieni. W miejscu takim jak to, jestem pewna, że zaraz coś zniszczę, nadepnę komuś na palce albo zrobię coś okropnego, toteż żeby nie narobić szkód, pozwalam Meg żeglować dookoła. A ty nie tańczysz?

- Czasami. Wiesz, byłem wiele lat za granicą i nie bywam dostatecznie często w towarzystwie, żeby wiedzieć, jak wy to tutaj robicie.

- Za granicą! - wykrzyknęła Jo. - Och, opowiedz mi o tym! Uwielbiam słuchać opowieści o podróżach.

Laurie nie bardzo wiedział od czego zacząć, ale ochocze pytania Jo szybko go rozruszały i opowiedział jej, jak był w szkole w Vevay, gdzie chłopcy nigdy nie nosili czapek i mieli całe flotylle statków na jeziorze, a z okazji świąt ruszali ze swymi nauczycielami na piesze wycieczki po Szwajcarii.

- Och, jak bardzo chciałabym tam być! - zawołała Jo. - Czy byłeś w Paryżu?

- Spędziliśmy tam ubiegłą zimę.

- Mówisz po francusku?

- W Vevay nie wolno nam było używać innego języka.

- Powiedz coś! Ja umiem czytać po francusku, ale nie umiem tego wymawiać.

- *Quel nom a cette jeune demoiselle en les pantoufles jolis?* - powiedział życzliwie Laurie.

- Jak ty to ładnie robisz! Poczekaj - powiedziała: *Kim jest ta panienska w ładnych pantofelkach?* - prawda?

- *Oui, mademoiselle.*

- To moja siostra Margaret, i ty wiedziałaś, że to ona! Czy uważasz, że jest ładna?

- Tak. Przypomina mi niemieckie dziewczęta, wygląda tak świeżo i spokojnie i tańczy jak dama.

Jo zapłonęła wprost dumą na ten chłopięcy komplement dla siostry i zapamiętała go, by

powtórzyć Meg. Oboje podpatrywali, krytykowali i plotkowali, aż poczuli się jak starzy znajomi. Nieśmiałość Laurie niebawem zniknęła, gdyż chłopięcy sposób bycia Jo bawił go i sprawiał że czuł się swobodnie, a Jo była znów wesoła jak zwykle, bo nikt nie pamiętał o jej sukni, ani nie podnosił na jej widok brwi. Młody Laurence spodobał jej się jeszcze bardziej niż przedtem i dobrze mu się przyglądała, żeby opisać go potem dziewczętom; ponieważ nie miały braci i bardzo niewielu kuzynów, chłopcy byli dla nich niemal zupełnie nieznanymi stworzeniami.

- Kręcone czarne włosy, smągła cera, duże czarne oczy, ładny nos i zęby, małe dłonie i stopy, wyższy ode mnie, uprzejmy jak na chłopaka i w ogóle sympatyczny. Ciekawe ile ma lat?

Miała już to pytanie na końcu języka, ale powstrzymała się na czas i z niezwykłym taktem starała się wybadać sprawę okrężną drogą.

- Przypuszczam, że wkrótce pójdziesz na studia? Widzę, jak wkuwasz nad swoimi książkami - nie, to znaczy, chciałam powiedzieć, że solidnie się uczysz. I Jo zarumieniła się z powodu nieszczęsnego „wkuwania”, które jej się wymknęło.

Laurie uśmiechnął się, ale nie wydawał się zgorzony i odpowiedział wzruszając ramionami:

- Nie wcześniej niż za rok lub dwa. Na pewno nie wcześniej, nim skończę siedemnaście lat.

- Masz tylko piętnaście lat? - zapytała Jo, spoglądając na wysokiego młodzieńca, którego uważała już za siedemnastoletniego.

- Szesnaście, w przyszłym miesiącu.

- Jak bardzo chciałabym pójść na studia. Nie wygląda na to, żebyś ty się cieszył.

- Nienawidzę tego! Tylko wkuwanie i swawole, a ja nie lubię ani jednego, ani drugiego w wykonaniu tutejszych chłopaków.

- A co lubisz?

- Mieszkać we Włoszech i bawić się na mój własny sposób.

Jo bardzo chciała zapytać, jaki był ten jego własny sposób, ale czarne brwi Laurie wyglądały dość groźnie, kiedy je zmarszczył, toteż zmieniła temat i powiedziała przytupując do taktu: - To wspaniała polka! Może pójdziesz i zatańczysz sobie?

- Jeśli ty także ze mną pójdziesz - odpowiedział z lekkim, szarmanckim ukłonem.

- Ja nie mogę, bo obiecałam Meg, że tego nie zrobię, ponieważ... Tu Jo zatrzymała się, niezdecydowana czy powiedzieć mu, czy śmiać się.

- Dlatego, że co? - zapytał z ciekawości Laurie.

- Nie powiesz nikomu?

- Nigdy!

- No więc, mam fatalny zwyczaj stawania przed kominkiem i przypalania sukienek i tę też przypaliłam, i chociaż jest ładnie naprawiona, ale i tak widać, więc Meg kazała mi stać spokojnie, żeby nikt nie zauważył. Możesz się śmiać, jeśli chcesz. Wiem, że to śmieszne.

Ale Laurie nie śmiał się, a tylko spuścił na chwilę wzrok i wyraz jego twarzy zaskoczył Jo, kiedy powiedział łagodnie:

- To nic nie szkodzi. Powiem ci, co zrobimy. Jest tu bardzo długi korytarz, po którym możemy wspaniale tańczyć i nikt nas tam nie zobaczy. Chodź, proszę.

Jo podziękowała mu i chętnie poszła, żałując, że ma tylko jedną czystą rękawiczkę, kiedy zobaczyła, jak wspaniale perłowe były te, które nosił jej partner. Korytarz był pusty i odtanńczyli skoczną polkę, gdyż Laurie tańczył bardzo dobrze i nauczył Jo niemieckiego kroku, który ją zachwyił, pełen był bowiem obrotów i podskoków. Kiedy muzyka ucichła, usiedli na schodach, żeby złapać oddech i Laurie był właśnie w trakcie opisu studenckich festiwali w Heidelbergu, kiedy ukazała się poszukująca siostry Meg. Przywołała ją dłonią i Jo niechętnie poszła za nią do bocznego pokoju, gdzie dość blado wyglądająca Meg usiadła na sofie, trzymając się za kostkę.

- Zwichnęłam kostkę. Przekręcił mi się ten wstrętny obcas i potknęłam się. Boli tak, że prawie nie mogę wytrzymać i zupełnie nie wiem, jak kiedykolwiek dojdę do domu - powiedziała kiwając się tam i z powrotem z bólu.

Wiedziałam, że coś sobie zrobisz przez te głupie buty. Tak mi przykro. Ale naprawdę nie wiem, co możesz teraz zrobić, chyba tylko wziąć powóz albo zostać tu na noc - odpowiedziała Jo, delikatnie masując biedną kostkę.

- Nie mogę wziąć powozu, tak żeby to nie bardzo dużo kosztowało. Powiem więcej, wcale nie mogę wziąć powozu, bo większość osób przyjechała własnymi, a do stajni jest daleko i nie ma tam kogo posłać.

- Ja pójdę.

- Nie, doprawdy! Jest po dziewiątej i egipskie ciemności. Nie mogę zostać tutaj, bo dom jest pełen gości. Jakies dziewczynki nocują u Sallie. Odpocznę do przyścia Hanny, a potem jakoś spróbuję.

- Poproszę Laurie, on pójdzie - powiedziała Jo, którą uspokoił ten pomysł.

- Litości, nie! Nie pytaj ani nie proś nikogo. Przynies mi moje kalosze i połóż te pantofle z naszymi rzeczami. Nie mogę już tańczyć, ale kiedy skończy się kolacja, wyglądaj na Hannę i powiedz mi jak tylko przyjdzie.

- Wychodzą już na kolację. Zostanę tu z tobą. Tak będzie lepiej.

- Nie, kochanie, biegnij i przynies mi kawy. Jestem taka zmęczona, że nie mogę się ruszyć.

I Meg opadła na sofę, skrzętnie ukrywając kalosze, a Jo, błakając się, ruszyła do stołowego, który odnalazła dopiero po wejściu do szafy z porcelaną i otworzeniu drzwi do pokoju, gdzie pan Gardiner serwował sobie coś dla odświeżenia. Dawszy susa do stołu, zdobyła kawę, którą natychmiast rozlała, czyniąc tym samym przód swojej sukni równie kompromitujący jak tył.

- O Boże, ależ ze mnie fajtłapa! - zawołała Jo, wykańczając rękawiczkę Meg, której użyła do wytarcia sukni.

- Czy mogę ci pomóc? - powiedział przyjazny głos, a był to Laurie z pełną filiżanką w jednej ręce, a talerzykiem z lodami w drugiej.

- Próbowałam wziąć coś dla Meg, która jest bardzo zmęczona, ktoś mnie potrącił i oto w jakim jestem stanie - odpowiedziała Jo, spoglądając z przełożeniem na poplamioną spódnicę i rękawiczkę w kolorze kawy.

- A to pech! Rozglądałem się właśnie komu to zaproponować. Czy mogę zanieść to twojej siostrze?

- Och, dziękuję! Pokażę ci, gdzie ona jest. Nie proponuję ci, że sama to zaniosę, bo narobiłabym tylko jeszcze większych kłopotów.

Jo poprowadziła, a Laurie, niczym ktoś nawykły do usługiwania damom, przygotował mały stolik, przyniósł jeszcze jedną kawę i porcję lodów dla Jo, i był tak usłużny, że nawet wymagająca Meg nazwała go „miłym chłopcem”. Kiedy nadeszła Hanna, bawili się wszyscy znakomicie nad cukierkami, czekoladkami z mottem i grą w głuchy telefon w towarzystwie paru innych osób, które się dołączyły. Meg zapomniała o swojej nodze i wstała tak szybko, że musiała przytrzymać się Jo z okrzykiem bólu.

- Oj! Nic nie mów - wyszeptała, dodając głośno: - To nic. Przekręciła mi się troszkę noga, to wszystko - i pokuśtykała na górę, żeby się ubrać.

Hanna zrzędziła, Meg płakała, a Jo nie wiedziała co począć, aż w końcu postanowiła

wziąć wszystko w swoje ręce. Wymknęła się z gotowalni, zbiegła na dół i znalazłszy jakiegoś służącego zapytała, czy mógłby sprowadzić dla niej powóz. Był to jednak wynajęty służący i nie znał okolicy, więc Jo zaczęła rozglądać się za pomocą, gdy podszedł do niej Laurie, który usłyszał, o czym mówiła, a teraz zaofiarował jej powóz dziadka, który, jak twierdził, właśnie po niego przysłano.

- Jest jeszcze tak wcześnie. Czy na pewno chcesz już wracać? - zaczęła uradowana Jo, ale niepewna czy powinna przyjąć jego ofertę.

- Zawsze wychodzę wcześnie. Naprawdę, to fakt! Proszę, pozwól mi zabrać was do domu. Wiesz, że to po drodze, a podobno pada deszcz.

To zadecydowało i Jo, opowiadając mu o pechowej przygodzie Meg, z wdzięcznością zgodziła się i pobiegła na górę, żeby sprowadzić resztę towarzystwa. Hanna nienawidziła deszczu niczym kot, toteż nie protestowała i odjechały luksusowym zamkniętym powozem, czując się niezwykle odświętnie i elegancko. Laurie usiadł na koźle, żeby Meg mogła oprzeć nogę i dziewczęta swobodnie omawiały przyjęcie.

- Ja się bawiłam wyśmienicie. A ty? - zapytała Jo, mierzwiąc włosy i sadowiąc się wygodnie.

- Tak, dopóki się nie potknęłam. Przyjaciółka Sallie, Annie Moffat wyraźnie mnie polubiła i zaprosiła mnie do siebie na tydzień razem z Sallie. Ona się tam wybiera na wiosnę, kiedy przyjeżdża opera, i byłoby to po prostu wspaniałe, oczywiście jeśli mama pozwoli mi jechać - odpowiedziała Meg, ożywiając się na samą myśl.

- Widziałam, że tańczyłaś z tym rudzielcem, przed którym uciekłam. Czy był miły?

- Och tak, bardzo! Jego włosy nie są rude, tylko kasztanowe, był bardzo uprzejmy i odtańczyłam z nim cudownego rejdwaka.

- Przy tym nowym kroku wyglądał jak konik polny w podskoku. Oboje z Laurie nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu. Słyszałaś nas?

- Nie, ale to było bardzo niegrzeczne. A co ty tam robiłaś przez cały czas, w tym ukryciu?

Jo opowiedziała jej swoje przygody, a kiedy skończyła, były już w domu. Podziękowały gorąco i wślizgnęły się, mając nadzieję nikogo nie obudzić, ale kiedy tylko skrzypnęły drzwi, wysunęły się dwa nocne czepki i dwa zaspane, ale ożywione głosy zawołały:

- Opowiedzcie o przyjęciu! Opowiedzcie o przyjęciu!

Dowodząc, że, jak to określiła Meg „jej maniery pozostawiają wiele do życzenia”, Jo

zabrała dla dziewczynek nieco cukierków, i obie wkrótce usnęły po wysłuchaniu opowieści o najbardziej dramatycznych wydarzeniach wieczoru.

- Przyznaję, że daje to poczucie bycia elegancką młodą damą, kiedy wraca się z przyjęcia powozem, a następnie zasiada w szlafroku, pozwalając się obsługiwać pokojówce - powiedziała Meg, podczas gdy Jo nacierała jej kostkę arniką i szczotkowała włosy.

- Nie wierzę, żeby wykwintne młode damy bawiły się lepiej od nas, pomimo naszych przypalonych włosów, starych sukien, jednej rękawiczki na osobę i za ciasnych pantofli, które wykręcają nam kostki, jeśli jesteśmy dostatecznie niemądre, aby je nosić.

I, moim zdaniem, Jo miała rację.

ROZDZIAŁ 4

CIEŻARY

- Och, jakie ciężkie zdają się nasze tobołki, kiedy trzeba je znowu podnieść i ruszyć w drogę - westchnęła Meg następnego ranka po przyjęciu, albowiem teraz, gdy święta już minęły, spędzony na zabawie tydzień nie usposobił jej zbyt przychylnie do podjęcia obowiązków, których nigdy nie lubiła.

- Chciałabym, żeby zawsze była Gwiazdka, albo Nowy Rok, czy to nie byłoby wspaniałe?
- odpowiedziała Jo, ziewając przeraźliwie.

- Nie powinnyśmy bawić się nawet w połowie tyle, ile bawimy się teraz. Ale to tak miło mieć kolacyjki i bukiety, chodzić na przyjęcia, jeździć do domu powozem i czytać lub odpoczywać zamiast pracować. Tak przecież właśnie żyją inni i zazdroszczę zawsze dziewczętom, które to wszystko mają - powiedziała Meg, starając się zdecydować, która ze zniszczonych sukienek była mniej zniszczona.

- No cóż, my nie możemy tego mieć, więc zamiast narzekać zarzucimy nasze tobołki i mozolnie, acz pogodnie ruszmy dalej, tak jak to robi Marmisia. Jestem pewna, że ciotka March jest prawdziwym Morskim Starcem na moim grzbiecie, ale przypuszczam, że jeśli nauczę się nieść ją bez narzekania, to spadnie albo stanie się tak lekka, że nie będę czuła jej ciężaru.

Ten pomysł rozbawił Jo i wprowadził ją w dobry nastrój, ale Meg nie rozpogodziła się, albowiem jej ciężar składający się z czworga rozkapryszonych dzieci, zdawał się cięższy niż zwykle. Nie miała nawet serca, żeby, jak zwykle, zadbać o swój wygląd, zawiązując na szyi błękitną wstążkę i upinając włosy w najbardziej twarzowy sposób.

- Po co wyglądać ładnie, skoro i tak nikt mnie, poza tymi złośliwymi maluchami, nie ogląda, nikt nie dba czy jestem ładna, czy nie - mruczała, jednym trzaśnięciem zamykając szufladę. - Będę tak harować do końca moich dni, mając tylko od czasu do czasu odrobinę rozrywki, aż będę stara, brzydka i zgorzkniała, a wszystko tylko dlatego, że jestem biedna i nie mogę cieszyć się życiem tak jak inne dziewczęta. To straszne!

Meg zeszła na dół, w jej oczach czaiło się zło i nie była bynajmniej przyjemna przy śniadaniu. Wszystkie zdawały się raczej nie w humorze skłonne do narzekań. Beth miała ból głowy i położyła się na kanapie, starając się pocieszyć kotką i trzema kociętami. Amy dąsała się,

bo nie przygotowała się do lekcji i nie mogła znaleźć swoich kaloszy; Jo gwizdała i robiła straszliwy harmider zbierając się do wyjścia; pani March była bardzo zajęta, starając się dokończyć list, który musiał być natychmiast wysłany, a Hanna zrzędziła, bo bardzo nie lubiła późno chodzić spać.

- Nigdy nie było okropniejszej rodziny! - płakała Jo, wybuchając złością, kiedy już przewróciła kałamarz, zerwała oba sznurowadła i usiadła na kapeluszu.

- A ty jesteś w niej najokropniejsza! - odparowała Amy, ścierając ze swojej szkolnej tabliczki wynik obliczeń, zamazany zupełnie łzami, które nań padały.

- Beth, jeśli nie będziesz trzymała tych paskudnych kotów w piwnicy, to każę je utopić - zawołała gniewnie Meg, próbując uwolnić się od kociaka, który wdrapał jej się na plecy i przyczepił jak rzep dokładnie tam, gdzie nie mogła go dosięgnąć.

Jo chichotała, Meg złościła się, Beth przepraszała, a Amy pochlipywała, gdyż zupełnie nie pamiętała, ile jest dziewięć razy dwanaście.

- Dziewczynki, dziewczynki, bądźcie przez chwilę cicho! Muszę odprawić ten list z poranną pocztą, a wy przez cały czas przeszkadzacie mi swoimi narzekaniami - zawołała pani March, przekreślając trzecie już zdanie w swoim liście.

Na chwilę zapanowała cisza, przerwana przez Hanne, która weszła, postawiła na stole dwa gorące paszteciki i znów wyszła. Paszteciki te były niemal rodzinną instytucją i dziewczęta nazywały je „mufkami” bo nie miały innych, a gorące ciasto miło rozgrzewało dłonie w zimne poranki. Hanna nigdy nie zapominała o upieczeniu ich, niezależnie od tego jak była zajęta lub gderliwa, bo droga była daleka i o chłodzie, a biedne dziewczynki nie dostawały tam nic na obiad i rzadko wracały do domu Przed drugą.

- Przytul swoje koty, Beth, i pozbądź się bólu głowy. Do widzenia, Marmisiu. Jesteśmy dziś rano gromadą łobuziaków, ale wrócimy do domu jako prawdziwe anioły. Ruszamy, Meg! - I Jo wyszła z poczuciem, że nie wyruszały w drogę tak, jak winni to robić pielgrzymi.

Zawsze odwracały się przed zakrętem, bo matka stała w oknie, żeby skinąć im głową, uśmiechnąć się i pomachać ręką na pożegnanie. Zdawało się, że bez tego nie mogły przeżyć całego dnia, gdyż niezależnie od tego, w jakim były nastroju, ten ostatni widok matczynej twarzy działał na nie zawsze jak promień słonecznego światła.

- Należałoby nam się raczej, żeby Marmisia pogroziła nam, zamiast przesyłać pocałunki, bo nigdy nie widziano tak niewdzięcznych kreatur jak my - wykrzyknęła Jo, znajdując

odkupieńczą przyjemność w marszu przez śnieg i ostry wiatr.

- Nie używaj takich okropnych wyrażen - powiedziała Meg spod woalki, w którą zawinęła się, niczym stroniąca od świata mniszka.

- Lubię dobre mocne słowa, które coś znaczą - odparła Jo, łapiąc kapelusz, który podskoczył na jej głowie, przygotowując się, by na dobre odfrunąć.

- Nazywaj samą siebie jak ci się tylko podoba, ale ja nie jestem ani łobuzem, ani kreaturą i nie życzę sobie być tak nazywana.

- Jesteś dziś taka zwarzona i uszczypliwa, bo nie możesz spędzać całego czasu w objęciach luksusu. Poczekaj tylko, moje biedactwo, aż zrobię fortunę, a będziesz napawać się powozami i lodami, pantoflami na wysokich obcasach, bukietami i rudowłosymi chłopcami do tańca.

- Jaka ty jesteś śmieszna, Jo! - Ale Meg zaśmiała się z tych nonsensów i wbrew samej sobie poczuła się lepiej.

- Masz szczęście, że tak jest, bo gdybym ja też przybrała załamana pozę i starała się być nieszczęśliwa, tak jak ty, to dopiero byśmy ładnie wyglądały. Dzięki Bogu, potrafię we wszystkim znaleźć coś zabawnego, żeby się podtrzymać na duchu. Nie marudź już i wróć do domu w dobrym humorze, jak kochane stworzenie.

Jo dodała siostrze odwagi klepiąc ją po ramieniu, bo żegnały się już na resztę dnia i każda szła w inną stronę, każda przytulając ciepły pasztecik i starając się zachować pogodę ducha pomimo zimowej pogody, ciężkiej pracy, i niezaspokojonych pragnień tęskniącej za rozkoszą młodości.

Kiedy pan March utracił swój majątek, próbując pomóc w biedzie przyjacielowi, dwie starsze dziewczynki ubłagały, by pozwolono im zarobić przynajmniej na własne utrzymanie. Rodzice zgodzili się, uważając, że nigdy nie jest za wcześnie na kształtowanie pracowitości, niezależności i energii, i obie ruszyły do pracy z serdecznym zapałem, który pomimo wszelkich trudności zawsze przynosi ostateczne zwycięstwo. Margaret znalazła pracę jako guwernantka i poczuła się bogata dzięki swej małej pensji. Jak to sama mówiła: „lubiła luksus” i bieda była jej głównym kłopotem. Znosiła ją gorzej niż pozostałe dziewczynki, gdyż pamiętała czasy, kiedy dom był piękny, pełen dostatku i przyjemności, a niczego nie brakowało. Starła się nie być zawistna czy też niezadowolona, ale naturalne było u młodej dziewczyny pragnienie pięknych rzeczy, wesołych przyjaciół, sukcesów i szczęśliwego życia. U Kingów widywała codziennie to,

czego pragnęła, gdyż starsze dziewczęta wchodziły właśnie w świat i Meg często dostrzegała w przelocie delikatne suknie balowe i bukiety, słyszała ożywione ploteczki o teatrach, koncertach, kuligach i wszelkiego rodzaju rozrywkach, a także widziała pieniądze wydawane rozrzutnie na drobiazgi, które tak byłyby dla niej cenne. Biedna Meg rzadko narzekała, ale poczucie niesprawiedliwości sprawiało, że czasami była dla wszystkich nieprzyjemna, gdyż nie nauczyła się jeszcze rozumieć, iż bogactwo nie jest jedynym skarbem, który może uczynić życie szczęśliwym.

Jo przypadła do gustu ciotce March, która była chroma i potrzebowała energicznej osoby do usługiwania sobie. Bezdzienna stara dama zaproponowała, kiedy zaczęły się kłopoty, że zaadoptuje jedną z dziewczynek i była bardzo dotknięta, kiedy jej oferta została odrzucona. Przyjaciele mówili Marchom, że stracili jedyną szansę znalezienia się w testamencie bogatej starszej pani, ale nie dbający o dobra doczesne Marchowie powiedzieli tylko:

- Nie oddamy naszych dziewczynek nawet za dziesiątki fortun. Bogaci czy biedni pozostaniemy razem i będziemy znajdować szczęście w sobie nawzajem.

Przez jakiś czas stara dama nie rozmawiała z nimi, ale spotkała kiedyś Jo u przyjaciółki, spodobało jej się coś w zabawnej twarzy i bezceremonialnych manierach dziewczynki i zaproponowała, że weźmie ją na swoją damę do towarzystwa. Nie zachwyciło to bynajmniej Jo, ale ponieważ nic lepszego się nie nadarzyło, przyjęła posadę i, ku ogólnemu zaskoczeniu, zdumiewająco dobrze radziła sobie z drażliwą krewną. Zdarzały się burze, kiedyś Jo odmaszerowała do domu oświadczając, że nie wytrzyma już tego dłużej, ale ciotka March zawsze łatwo się uspokajała i posyłała po Jo z taką niecierpliwością, że ta nie mogła jej odmówić, gdyż w głębi serca raczej lubiła porywczą staruszkę.

Podejrzewam, że prawdziwym magnesem była jednak zawierająca wspaniałe książki duża biblioteka, która po śmierci wuja March dostała się kurzowi i pająkom. Jo pamiętała miłego starszego pana, który pozwalał jej budować tory i mosty ze swoich wielkich słowników, opowiadał jej historie o dziwnych ilustracjach w łacińskich księgach kupował jej pierniczki, ilekroć spotkał ją na ulicy. Ciemny, zakurzony Pokój pełen był popiersi spoglądających z wysokich szaf z książkami, wygodnych foteli i globusów, a bogactwo książek, wśród których mogła Myszkować ile tylko chciała, przeistaczały dla Jo bibliotekę w krainę szczęścia. Gdy tylko ciotka March zapadała w drzemkę albo zajęta była gośćmi, śpieszyła do tego zakątka i, zwijając się w kłębek w fotelu, Pochłaniała poezje, powieści, książki historyczne, przyrodnicze i albumy,

jak prawdziwy mól książkowy. Ale, jak każde szczęście, i to nie było bez skazy, albowiem, gdy tylko dotarła do najważniejszego momentu powieści, najpiękniejszej strofy wiersza czy najgroźniejszej z przygód podróżnika, przenikliwy głos wołał „Józefiino! Józefiino!” i musiała opuszczać swój raj, by zwijać wełnę, kapać pudła, lub czytać przez całą godzinę *Eseje* Belshama.

Ambicją Jo było dokonanie czegoś bardzo wspaniałego. Nie wiedziała jeszcze co by to miało być i pozostawiała wybór czasowi, a tymczasem uważała za swoje główne strapienie fakt, że nie mogła czytać, biegać i jeździć tyle, ile miała na to ochoty. Jej porywczy temperament, ostry język i niespokojny duch sprawiały, że wciąż popadała w kłopoty i życie jej było serią wzlotów i upadków, zarazem komicznych i wzruszających. Trening, jakiemu poddana została u ciotki March, był dokładnie tym, czego potrzebowała, a poczucie, że robiła coś, by zapracować na swoje utrzymanie sprawiało, iż była szczęśliwa pomimo ciągłego „Józefiino!”

Beth była zbyt nieśmiała, by chodzić do szkoły; próbowano ją wysłać, ale cierpiała tak bardzo, że zarzucono ten pomysł i uczyła się w domu z ojcem. Nawet kiedy ojciec wyjechał, a matkę wezwano do poświęcenia swych umiejętności i energii Towarzystwu Pomocy Żołnierzom, Beth przykładnie nadal uczyła się sama, jak tylko mogła najlepiej. Była małym domowym stworzeniem i pomagała Hannie utrzymywać w domu porządek i wygody dla tych, którzy pracowali, nigdy nie pragnąc dla siebie niczego oprócz ich miłości. Długie, spokojne dni spędzała bynajmniej nie w samotności i nudzie, gdyż jej mały świat pełen był wymyślonych przyjaciół a z natury była pracowita jak pszczółka. Każdego ranka należało się zająć czterema lalkami, gdyż Beth była wciąż jeszcze dzieckiem i wiernie kochała swoje ulubienice. Nie było wśród nich jednej całej i ładnej; wszystkie, zanim przygarnęła je Beth, były nędznymi wyrzutkami, albowiem dziedziczyła je po starszych siostrach, które wyrosły ze swoich idoli, a Amy nie brała do ręki niczego starego i brzydkiego. Był to tylko dodatkowy powód, dla którego Beth opiekowała się nimi jeszcze czulej i założyła cały szpital dla chorych lalek. Żadna szpilka nie była nigdy wbita w ich szmaciane ciała; nie zaznały nigdy szorstkiego słowa czy uderzenia; zapomnienie nie zasmuciło nigdy serca najbrzydszej z nich, lecz przeciwnie, wszystkie były karmione i ubierane, troszczono się o nie i pieszczono z oddaniem, które nigdy nie zawiodło. Jedne ze smętnych lalczynek resztek należały do Jo i po burzliwym życiu porzucone zostały w torbie ze szmatami, z którego to ponurego przytułku uratowała je Beth i zabrała do swojego schroniska. Nie mając dla lalki górnej części głowy, Beth zawiązała jej ładny czepeczek, a ponieważ obie ręce i nogi były urwane, ukryła te niedostatki zawijając lalkę w kocyk i oddając

biednej inwalidce swoje najlepsze łóżko. Każdy, ktokolwiek ujrzałby, ile troski poświęcone było tej lalce, musiałby się wzruszyć, choćby go to nawet śmieszyło - Beth przynosiła jej resztki bukietów, czytała jej książki, zabierała ją, ukrytą pod płaszczem, żeby zaczerpnęła świeżego powietrza; śpiewała jej kołysanki i nigdy nie poszła do łóżka, zanim nie ucałowała brudnej lalczynej twarzy, szepcząc czule: „Mam nadzieję, że będziesz dobrze spała, moje kochane biedactwo”.

Beth, podobnie jak pozostałe siostry, też miała swoje troski, a nie będąc aniołem, tylko jak najzwyklejszą dziewczynką, często, jak mówiła Jo „chlipnęła troszeczkę” nad tym, że nie mogła brać lekcji muzyki i nie miała porządnego pianina. Tak gorąco kochała muzykę, tak bardzo starała się uczyć i tak cierpliwie ćwiczyła przy starym brzęczącym instrumencie, że zdawało się, że ktoś (bez aluzji do ciotki March) powinien był przyjść jej z pomocą. Nikt tego jednak nie zrobił i nikt nie widział, jak Beth, kiedy była sama, ścierała łzy z pożółkłych, rozstrojonych klawiszy. Przy pracy śpiewała jak mały słowik, nigdy nie była zbyt zmęczona, żeby zagrać dla Marmisi i dziewczynek i dzień po dniu powtarzała sobie z nadzieją: „Jeśli będę grzeczna, na pewno dostanę kiedyś moje nuty”.

Wiele jest na świecie małych Beth, nieśmiałych i spokojnych, żyjących dla innych w sposób tak radosny, że nikt nie dostrzega ich poświęcenia, aż nagle świerszcz za kominem przestanie grać i słodka, słoneczna istota zniknie, pozostawiając po sobie ciszę i cień...

Gdyby ktoś zapytał Amy, jaki jest największy problem jej życia, odpowiedziałaby natychmiast: „Mój nos”. Kiedy była niemowlęciem, Jo niechcący upuściła ją do kubła na węgiel i Amy twierdziła, że ten upadek na zawsze zrujnował jej nos. Nie był on duży ani czerwony jak nos biednej Petrei; był on tylko raczej płaski i żadne szczypanie na świecie nie mogło nadać mu arystokratycznej wzniosłości. Nikt poza nią nie przejmował się tym nosem, a ten robił co mógł, żeby urosnąć, ale Amy odczuwała tak głęboką potrzebę greckiego profilu, że rysowała całe strony niezwykle pięknych egzemplarzy, żeby się pocieszyć.

„Mały Rafael”, jak ją nazywały siostry, miał wybitny talent do rysunków i najszcześliwszy był kopiując kwiaty, rysując wróżki albo ilustrując powieści, używając najdziwniejszych malarskich materiałów. Nauczyciele Amy narzekali, że zamiast odrabiać słupki pokrywała swoją tabliczkę zwierzętami; czyste strony w atlasie wykorzystane były do kopiowania map, a ośmieszające karykatury wypadały z jej książek w najmniej odpowiednich momentach. Z lekcjami dawała sobie radę w miarę swoich możliwości i unikała reprimend

dzięki wzorowemu łożeniu. Koleżanki bardzo ją lubiły, gdyż miała dobry charakter i rzadki dar bycia miłą bez większego wysiłku. Jej drobne pozy i wdzięczenia się były dość podziwiane, podobnie jak jej umiejętności, bo oprócz rysunku umiała zagrać dwanaście hymnów i szydełkować, a także czytała po francusku wymawiając nieprawidłowo nie więcej niż dwie trzecie słów. W pełen żalości sposób mówiła: „Kiedy papa był bogaty, robiliśmy to i to”, co było bardzo wzruszające, a jej długie wyrażenia uważane były przez koleżanki za „eleganckie do perfekcji”.

Amy była na dobrej drodze ku pełnemu rozkapryszaniu, gdyż wszyscy ją rozpieszczali i jej drobne próżności i samolubstwo przyjemnie się rozwijały. Było jednak coś, co nieco ograniczało próżność - musiała nosić sukienki po kuzynce. A ponieważ mama Florencji nie miała ani odrobiny gustu, Amy cierpiała głęboko, kiedy musiała wkładać czerwony czepek zamiast niebieskiego albo nietwarzowe suknie i przeładowane fartuszki, które na nią nie pasowały. Wszystko było w dobrym gatunku, dobrze uszyte i mało noszone, ale artystyczny smak Amy cierpiał zwłaszcza w zimie, kiedy jej szkolna sukienka była w kolorze smętnego fioletu w żółte fajerwerki i nie miała żadnego przybrania.

- Jedyna pociecha w tym - zwierzyła się kiedyś Amy Meg, ze łzami w oczach - że Mama nie robi mi zakładek na sukience, kiedy jestem niegrzeczna, tak jak to robi matka Marii Parker. Moja droga, to naprawdę okropne, bo czasem Maria jest bardzo niegrzeczna i wtedy jej spódnica sięga ledwie do kolan i nie może nawet pójść do szkoły. Kiedy myślę o takiej *degrandancji*, to zdaje mi się, że mogę wytrzymać nawet mój płaski nos i fioletową sukienkę w te żółte plamy.

Meg była powierniczką i autorytetem dla Amy, a poprzez dziwne przyciąganie się przeciwieństw Jo była zawsze czuła dla Beth. Tylko jednej jedynej Jo nieśmiała dziewczynka powierzała swe myśli i sama z kolei miała na swą dużą, roztrzepaną siostrę większy wpływ niż ktokolwiek w rodzinie. Dwie starsze dziewczynki znaczyły wiele dla siebie nawzajem, ale każda z nich wzięła pod swoją opiekę jedną z młodszych i troszczyła się o nią na swój sposób - nazywały to „zabawą w matkowanie” wzięwszy swe siostry zamiast porzuconych lalek, z macierzyńskim instynktem małych kobietek.

- Czy któraś ma coś do opowiedzenia? To był taki okropny dzień, że umieram za odrobiną rozrywki - powiedziała Meg, kiedy tego wieczora usiadły razem przy szyciu.

- Ja miałam dziś dziwną przygodę z ciotką March, a ponieważ wszystko skończyło się dla mnie z pożytkiem, więc opowiem wam o tym - zaczęła Jo, która bardzo lubiła snuć opowieści. -

Czytałam tego nie kończącego się Belshama, monotonna jak zwykle, bo wtedy ciotka szybko zasypia, a ja mogę wyjąć jakąś ciekawą książkę i pogрузić się jak furia w czytaniu, dopóki ona się nie obudzi. Tym razem uspiłam niemal - samą siebie i zanim ona przysnęła, ziewnęłam tak smacznie, że zapytała mnie, dlaczego otwieram usta tak szeroko jakbym chciała połknąć całą książkę na raz.

«Chciałabym, żeby to było możliwe, bo skończyłybyśmy ją wreszcie» - powiedziałam, starając się nie być zuchwałą.

Wtedy ona zrobiła mi długi wykład o moich grzechach, i powiedziała, żebym usiadła i przemyślała je, podczas gdy ona na chwilę «zapomni o świecie». Zazwyczaj nie przypomina sobie o nim zbyt szybko, toteż gdy tylko jej czepek zaczął się chwiać jak ciężka dalia, wyciągnęłam z kieszeni *Wikarego z Wakefield* i zaczęłam czytać, z jednym okiem na nim, a drugim na ciotce. Dotarłam właśnie do tego miejsca, gdzie wszyscy wpadają do wody i zupełnie się zapomniawszy, wybuchnęłam głośnym śmiechem. Ciotka obudziła się, a będąc po swojej drzemce w nieco lepszym usposobieniu, powiedziała mi, żebym przeczytała kawałek i pokazała jej, jaką to frywolną książkę przedkładałam nad wartościowego i pouczającego Belshama. Staralam się jak mogłam i spodobało jej się, chociaż powiedziała tylko:

«Zupełnie nie rozumiem o co tu chodzi. Zaczynij od początku, moje dziecko».

No więc zaczęłam od początku i starałam się uczynić Primrosów jak tylko mogłam najciekawszymi. Raz byłam nawet tak okrutna, że zatrzymałam się w niezwykle pasjonującym momencie i powiedziałam miękko: «Obawiam się, że to ciotkę męczy. Czy mam przerwać, proszę cioci?»

Podniosła robótkę, która wypadła jej z rąk, spojrzała na mnie ostro przez okulary i powiedziała na swój zwykły szorstki sposób:

«Dokończ rozdział i nie bądź impertynencka, panienko».

- Czy przyznała, że jej się podobało? - zapytała Meg.

- Och, oczywiście, że nie! Ale pozostawiła starego Belshama w spokoju, a kiedy po południu pobiegłam do niej po moje rękawiczki, siedziała tak zaczytana w *Wikarym*, że nie słyszała nawet jak się śmiałam i odtańczyłam w korytarzu żiga, myśląc o nadchodzących dobrych czasach. Jakież przyjemne mogłoby być jej życie, gdyby tylko zechciała! Nie zazdrozczę jej zbyt pomimo jej pieniędzy, bo bogaci ludzie mają poza wszystkim tyle samo kłopotów co biedni, tak przynajmniej sądzę - dodała Jo.

- To mi przypomina - powiedziała Meg - że ja też mam coś do opowiedzenia. Nie jest to tak wesołe jak historia Jo, ale dużo o tym myślałam w drodze do domu. Dziś u Kingów zastałam wszystkich Poruszonych i jedno z dzieci powiedziało mi, że ich najstarszy brat zrobił coś okropnego i ojciec wysłał go z domu. Słyszałam, jak pani King Płakała, pan King mówił coś bardzo głośno, a Grace i Ellen odwracały - twarze, kiedy przechodziły obok mnie, żebym nie widziała ich czerwonych oczu. Oczywiście o nic nie pytałam, ale było mi ich żal i czułam się raczej zadowolona, że ja nie mam żadnych dzikich braci, którzy dokonują straszliwych wybryków i sprowadzają wstyd na całą rodzinę.

- Ja uważam, że być zawstydzonym w szkole, to znacznie bardziej irytujące niż wszystko cokolwiek mogą zrobić niegrzeczni chłopcy - powiedziała Amy, kręcąc głową z miną osoby o głębokim życiowym doświadczeniu. - Susie Perkins przysłała dziś do szkoły z takim ślicznym pierścionkiem z karnelitem. Tak bardzo chciałam mieć taki sam i z całej siły pragnęłam być na jej miejscu. No, a ona narysowała portret pana Davisa, ze straszliwym nosem i garbem, i ze słowami: «Panienki, moje oko spoczywa na was!», które wylatywały z jego ust w takim baloniku. Zaśmiewaliśmy się z tego, kiedy nagle jego oko spoczęło na nas i kazał Susie przynieść tabliczkę. Susie była spolaryzowana ze strachu, ale poszła i, och, jak myślicie co on zrobił? Złapał ją za ucho - za ucho, wyobraźcie sobie tylko, jakie to okropne! - i zaprowadził ją na podest do recytacji i kazał jej tam stać przez pół godziny i trzymać tę tabliczkę tak wysoko, żeby wszyscy widzieli.

- Czy dziewczynki nie śmiały się na widok tabliczki? - zapytała Jo, która rozkoszowała się opowieścią.

- Śmiały się? Ani jedna! Siedziały cicho jak myszki, a Susie wylewała potoki łez, sama widziałam. Już jej nie zazdrościłam i czułam, że nawet milion karnelitowych pierścionków nie uszczęśliwiłby mnie po czymś takim. Nigdy, przenigdy nie podniosłabym się po tak agonialnym upokorzeniu. I Amy zajęła się swoją robótką, świadoma swych cnót i udanego wymówienia dwóch długich słów za jednym zamachem.

- Ja też widziałam dziś rano coś, co mi się podobało i chciałam opowiedzieć o tym przy kolacji, ale zapomniałam - powiedziała Beth, porządkując jednocześnie nieład w koszyczku Jo. - Kiedy poszłam po ostrygi dla Hanny, pan Laurence był w sklepie z rybami, ale nie widział mnie, bo schowałam się za beczką, a on był zajęty z właścicielem, panem Cutterem. Wtedy weszła ta biedna kobieta z wiadrem i szmatą i zapytała pana Cuttera, czy mogłaby posprzątać w zamian za

trochę ryby, bo nie dostała dziś pracy i nie ma nic dla swoich dzieci na kolację. Pan Cutter śpieszył się i powiedział dość niegrzecznie: «Nie» i ona już miała odejść głodna i zmartwiona, kiedy pan Laurence wyłowił zakrzywionym końcem swojej laski dużą rybę i podał jej. Była taka zadowolona i zdziwiona, że złapała ją od razu w ramiona i zaczęła mu dziękować raz po raz. Pan Laurence powiedział: «Idź i ugotuj ją» i ona wybiegła, taka szczęśliwa! Czy to nie ładnie z jego strony? Och, jak ona zabawnie wyglądała, kiedy ścisnęła tę wielką, śliską rybę i miała nadzieję, że «pan Laurence będzie miał w niebie umoszczone łożo».

Kiedy naśmiały się już do woli z opowieści Beth, poprosiły matkę, by także opowiedziała coś i ta, po chwili namysłu, powiedziała poważnie:

- Kiedy siedziałam dziś krojąc kurtki z niebieskiej flaneli, zaczęłam z niepokojem rozmyślać o ojcu, o tym jak samotne i bezradne byłybyśmy, gdyby stało mu się cokolwiek. Nie było to mądre zajęcie, ale nie przestawałam się martwić, aż przyszedł jakiś starzec z zamówieniem na ubrania. Usiadł koło mnie i zaczęłam z nim rozmawiać, bo wyglądał na biednego, zmęczonego i pełnego niepokoju.

«Czy ma pan synów w armii?» - zapytałam, bo list z wyjaśnieniem, który przyniósł, nie był do mnie.

«Tak, proszę pani. Miałem czterech, ale dwóch zginęło, jeden jest w niewoli, a teraz jadę do czwartego, który leży chory w szpitalu w Waszyngtonie» - odpowiedział cicho.

«Tak wiele uczynił pan dla swego kraju» - powiedziałam, czując teraz szacunek zamiast litości.

«Ani krztynę nie więcej niż powinienem - proszę pani. Sam bym poszedł, gdybym mógł się na coś przydać, a że nie mogę, to dałem moich chłopców i dałem ich z ochotą».

Mówił tak pogodnie, wyglądał tak szczerze i zdawał się być tak zadowolony z tego, że oddał wszystko, co posiadał, że poczułam się zawstydzona. Ja dałam jednego mężczyznę i uważałam, że to za dużo, podczas gdy on bez ociągania oddał czterech. Na mnie czekały w domu wszystkie moje dziewczynki, żeby mnie pocieszyć, podczas gdy jego syn czekał oddalony o mile, by się z nim, być może, pożegnać! Poczułam się tak bogata, tak szczęśliwa myśląc o moim błogosławionym losie, że przygotowałam mu mały pakunek, dałam trochę pieniędzy i podziękowałam mu z całego serca za lekcję, której mi udzielił.

- Opowiedz jeszcze jedną historię, mamó - też z morałem, tak jak ta. Lubię rozmyślać nad nimi później, jeśli są prawdziwe i nie zanadto kaznodziejskie - powiedziała Jo po chwili ciszy.

Pani March uśmiechnęła się i zaczęła bez zwłoki, bo już od wielu lat snuła opowieści dla swej małej widowni i znała jej upodobania.

- Dawno, dawno temu, były sobie cztery dziewczynki, które miały co jeść i pić i w co się przyodzierać, miały wiele wygod i przyjemności, miłych przyjaciół i rodziców, którzy czule je kochali, a mimo to nie były zadowolone. (Tu, słuchaczki rzuciły na siebie ukradkowe spojrzenia i pilnie pochyliły się nad szyciem.) - Dziewczynki te bardzo chciały być dobre i podejmowały wiele wspaniałych zobowiązań, ale niezbyt dobrze je dotrzymywały i wciąż powtarzały: «Gdybyśmy tylko miały to» albo «Gdybyśmy tylko mogły robić tamto», zapominając zupełnie, jak wiele miały i ile przyjemnych rzeczy mogły robić. Pewnego razu zapytały starą kobietę, jakiego zaklęcia powinny użyć, żeby zaznać szczęścia, a ta odpowiedziała: «Kiedy czujecie się niezadowolone, pomyślcie o tym jak jesteście błogosławione i bądźcie wdzięczne». (Tu Jo podniosła szybko wzrok jakby chciała coś powiedzieć, ale widząc, że opowieść nie jest jeszcze skończona, zmieniła zamiar).

- Ponieważ były rozsądnymi dziewczynkami, postanowiły zastosować się do jej rady i wkrótce z zaskoczeniem odkryły, jak były bogate. Jedna z nich odkryła, że pieniądze nie odpędzają wstydu i smutku od domów bogaczy; druga, że mimo iż biedna, to dzięki swej młodości, zdrowiu i humorowi była o wiele szczęśliwsza niż pewna drażliwa i słaba stara dama, która nie umiała cieszyć się swoimi wygodami; trzecia, że choć pomagać przy robieniu kolacji nie jest przyjemnie, to znacznie trudniej jest musieć o nią żebrać; a czwarta, że nawet pierścionki z karnelitem nie są warte tyle, co dobre zachowanie. Tak więc postanowiły przestać narzekać, zacząć cieszyć się z posiadanego błogosławieństwa i starać się być go godne, albowiem miast powiększone, może im ono zostać odjęte, i myślę, że nigdy nie żałowały tego, że postąpiły za radą starej kobiety.

- Och, Marmisiu, to doprawdy przebiegłe z twojej strony, żeby obrócić przeciw nam nasze własne historie i uraczyć nas kazaniem, zamiast romantycznej opowieści! - wykrzyknęła Meg.

- Lubię takie kazania. Ojciec opowiadał nam właśnie takie - powiedziała Beth w zamyśleniu, wpinając równiutko igły w poduszkę Jo.

- Ja narzekam bez porównania mniej niż inni, a teraz będę jeszcze ostrożniejsza niż zwykle, bo upadek Susie był dla mnie ostrzeżeniem - powiedziała Amy umoralniającym tonem.

- Potrzebna nam była ta lekcja i nie zapomnimy jej. A jeśli zapomnimy, to powiedz nam

po prostu tak jak stara Chloe w *Chacie wuja Toma*: «Myście o sfoich łaskach, dzieci! Myście o sfoich łaskach!» - dodała Jo, która za nic w życiu nie mogła się powstrzymać, żeby nie zrobić z kazania choćby małego żartu, mimo że wzięła je sobie do serca, tak samo jak pozostałe dziewczynki.

ROZDZIAŁ 5

DOBRE SĄSIADKI

- Cóż ty masz zamiar tym razem robić, Jo? - zapytała Meg pewnego śnieżnego popołudnia na widok siostry, która przebiegała przez korytarz w gumowych kaloszach, starym płaszczu i kapturze, trzymając w jednej ręce miotłę a w drugiej szufłę.

- Wychodzę, żeby zażyć ruchu - odpowiedziała Jo, z łobuzerskim błyskiem w oku.

- Sądziłam, że wystarczą ci dwa długie poranne spacerunki. Na dworze jest tak zimno i mokro, że radzę ci, zostań jak ja przy kominku, gdzie jest ciepło i sucho - powiedziała Meg wzdrygając się.

- Nigdy nie słuchaj rad! Nie mogę siedzieć sztywno przez cały dzień, a że nie jestem kociakiem, nie lubię drzemać przy kominku. Lubię przygody i ruszam właśnie, żeby jakąś znaleźć.

Meg wróciła do pokoju, by wygrzewać nogi i czytać *Ivanhoe*, a Jo zaczęła z wielką energią przekopywać ścieżki. Śnieg był lekki i za pomocą miotły już wkrótce zamiotła przejście dookoła ogrodu, żeby Beth mogła pospacerować, kiedy ukaże się słońce, a chore lalki będą potrzebowały świeżego powietrza. Ogród ten oddzielał dom Marchów od domu pana Laurence'a. Oba stały na przedmieściu, które zachowało wciąż wiejski charakter, z alejami i trawnikami, dużymi ogrodami i cichymi uliczkami. Pomiędzy obiema posiadłościami rósł żywopłot. Po jednej jego stronie był stary brązowy dom, o dość teraz zapuszczonym wyglądzie, gdyż obdarty był z dzikiego wina, które porastało go w lecie i pozbawiony otaczających go kwiatów. Po drugiej stronie stała imponująca kamienna rezydencja, wyraźnie ukazująca swe wygody i luksus, począwszy od dużej Wozowni i dobrze utrzymanego dziedzińca, aż po cieplarnię i piękne Przedmioty, które dostrzec można było przelotnie za wspaniałymi osłonami. A mimo to dom ten wydawał się samotny i pozbawiony życia, gdyż na trawniku nie baraszkowały dzieci, matczyzna twarz nigdy nie uśmiechała się w oknie i bardzo niewiele osób wchodziło do niego i wychodziło, z wyjątkiem starego pana i jego wnuka.

W żywej wyobraźni Jo dom ten zdawał się jakimś zaklętym miejscem, pełnym wspaniałości i rozkoszy, którymi nikt się nie cieszył. Już od dawna chciała ujrzeć te ukryte skarby i poznać „małego Laurence'a”, który wyglądał tak, jakby bardzo chciał być poznanym,

gdyby tylko wiedział od czego zacząć. Od czasu przyjęcia Jo pragnęła tego jeszcze bardziej i wymyślała przeróżne sposoby na to, by się z nim zaprzyjaźnić, ale nie było go ostatnio widać i zaczynała już myśleć, że wyjechał, kiedy pewnego dnia wyszła w oknie na górze jego smagłą twarz spoglądającą tęsknie w dół do ich ogrodu, gdzie Beth i Amy obrzucały się śnieżkami.

- Ten chłopiec marzy o towarzystwie i zabawie - powiedziała sobie. - Jego dziadek nie wie, co jest dla niego dobre i trzyma go cały czas samego w zamknięciu. A jemu potrzeba gromady wesołych chłopaków do zabawy albo kogoś młodego i żywego. Doprawdy, mam ochotę zajrzeć tam i powiedzieć o tym starszemu panu!

Pomysł ten spodobał się Jo, która lubiła śmiałe przedsięwzięcia i zawsze gorszyła Meg swoimi dziwacznymi wyczynami. Plan o „zajrzeniu” nie został zapomniany i tegoż śnieżnego popołudnia Jo postanowiła sprawdzić, co się da zrobić. Zobaczyła, że pan Laurence odjeżdża, po czym wypuściła się kopać przejście do żywopłotu, gdzie zatrzymała się, by zlustrować okolicę. Panował spokój - w oknach na dole spuszczone zasłonki, służby nie widać, a jedynym śladem ludzkiej obecności była widoczna w oknie na górze głowa pełna czarnych loków, wsparta na chudej ręce.

- A więc tu jest - pomyślała Jo. - Biedny chłopiec! Sam i w dodatku chory w taki okropny dzień. To hańba! Rzucę śnieżką, żeby wyjrzał na dwór i powiem mu coś miłego.

Garść śniegu poleciała do góry i głowa odwróciła się od razu, ukazując twarz, która w mgnieniu oka straciła swój apatyczny wyraz, gdyż duże oczy ożywiły się, a na wargach pojawił się uśmiech. Jo skinęła głową, zaśmiała się i pomachała miotłą, wołając:

- Jak się masz? Jesteś chory?

Laurie otworzył okno i zachrypiął skrzekliwie jak kruk:

- Już lepiej, dziękuję. Byłem bardzo przeziębiony i przez tydzień nie mogłem wychodzić.

- Tak mi przykro. W co się bawisz?

- W nic. Ponuro tu jak w grobowcu.

- Nie czytasz?

- Niewiele. Nie pozwalają mi.

- Nie może ci ktoś poczytać?

- Dziadek czasem mi czyta, ale moje książki go nudzą, a nie chcę przez cały czas męczyć tym Brooka.

- To zaproś kogoś, żeby cię odwiedził.

- Nie znam nikogo, kogo chciałbym zaprosić. Chłopcy robią taki hałas, że boli mnie głowa.

- Nie znasz jakiejś miłej dziewczynki, która by ci mogła poczytać? Dziewczynki są spokojne i lubią bawić się w pielęgniarce.

- Nie znam żadnej.

- Znasz nas - zaczęła Jo, po czym zaśmiała się i przerwała.

- To prawda! Czy przyjdiesz tu, proszę? - zawołał Laurie.

- Nie jestem miła i spokojna, ale przyjdę, jeśli mama mi pozwoli. Pójdę i zapytam ją. Bądź dobrym chłopcem, zamknij to okno i poczekaj na mnie.

Z tymi słowami Jo zarzuciła miotłę na ramię i pomaszerowała do domu, zastanawiając się co jej tam powiedzą. Laurie, niezwykle podniecony na myśl, że będzie miał towarzystwo, pobiegł, żeby się przygotować, a ponieważ, jak mówiła pani March, był „małym dżentelmenem”, toteż na cześć zaproszonego gościa wyszczotkował swoją kędzierzawą czuprynę, włożył czysty kołnierzyk i próbował uporządkować pokój, który pomimo kilku służących bynajmniej nie był posprzątany. Rozległ się głośny dzwonek, a następnie stanowczy głos zapytał o „Pana Laurie” i zdziwiona służąca przybiegła, żeby zaanonsować młodą damę.

- W porządku, wprowadź ją, to panna Jo - powiedział Laurie, podchodząc do drzwi swego pokoju, aby powitać Jo, która ukazała się zaróżowiona, miła i wcale nie speszona, trzymając w jednej ręce przykryty półmisek, a w drugiej trzy kocięta Beth.

- Oto jestem, z dobrodziejstwem inwentarza - powiedziała szybko. - Mama przesyła pozdrowienia i cieszy się, że mogę coś dla ciebie zrobić. Meg chciała, żebym zabrała dla ciebie trochę migdałowej galaretki, którą robi całkiem niezłą, a Beth uważała, że jej kocięta pocieszą cię nieco w niedoli. Wiedziałam, że cię to rozśmieszy, ale nie mogłam odmówić, bo tak bardzo chciała coś zrobić.

Okazało się, że pożyczka Beth była dokładnie tym, czego Laurie potrzebował, gdyż śmiejąc się z kociąt zapomniał o swojej nieśmiałości i od razu zrobił się towarzyski.

- To wygląda tak ładnie, że aż żal jeść - powiedział, uśmiechając się z przyjemnością, kiedy Jo odkryła półmisek i pokazała mu galaretkę ozdobioną girlandą zielonych liści i szkarłatnym kwiatem ulubionego geranium Amy.

- To nic takiego, po prostu wszystkie chciały ci okazać sympatię. Powiedz służącej, żeby to zabrała i podała ci do herbaty. To bardzo - lekkie i na pewno ci nie zaszkodzi, a poza tym takie

miękkie, że ześlizgnie się w dół nie raniąc twojego bolącego gardła. Jaki to przytulny pokój!

- Mógłby taki być, ale służące są leniwe, a ja nie wiem, jak je nakłonić do większej dbałości. Trochę mnie to martwi.

- Doprowadzę go do porządku w dwie minuty, bo trzeba tu tylko zamieść kominek, o tak - i uporządkować te rzeczy na jego obramowaniu, o tak - książki ustawić tu, a butelki tam, odwrócić sofę od okna, poprawić nieco poduszki. No, teraz już posprzątane.

I było tak, bowiem śmiejąc się i mówiąc, Jo poustawiała wszystko na miejsce i nadała pokojowi zupełnie inny wygląd. Laurie przyglądał się jej w pełnym szacunku milczeniu, a kiedy zaprosiła go na sofę, usiadł z zadowolonym westchnieniem, mówiąc z wdzięcznością:

- Jaka ty jesteś miła! Tak, teraz jest tak jak chciałem. Proszę, weź sobie teraz fotel i pozwól mi zabawić mojego gościa.

- Nie, to ja przyszłam, żeby cię zabawić. Czy mam ci poczytać? - I Jo spojrzała miłośnie na stojące zachęcająco w pobliżu książki.

- Dziękuję ci, ale czytałem je już wszystkie i jeśli nie masz nic przeciw temu, wolałbym porozmawiać - odpowiedział Laurie.

- Nic a nic. Jak już raz zacznę, to mogę mówić przez cały dzień. Beth mówi, że nigdy nie wiem, kiedy przestać.

- Czy Beth to ta różana dziewczynka, która dużo czasu spędza w domu, a czasem wychodzi z małym koszykiem? - zapytał Laurie z zainteresowaniem.

- Tak, to Beth. To moja ulubienica i w dodatku jest naprawdę dobra.

- Ta ładna to Meg, a ta z kręconymi włosami to Amy, prawda?

- Skąd wiesz?

Laurie zarumienił się, ale odpowiedział uczciwie: - Wiesz, często słyszę, jak się nawzajem wołacie, a kiedy siedzę tu sam, nie mogę się powstrzymać przed patrzeniem na wasz dom, wydajecie się zawsze tak świetnie bawić. Przepraszam cię bardzo za to grubiaństwo, ale czasami zapominacie zaciągnąć zasłony w tych oknach z kwiatami i kiedy lampy są zapalone, to zupełnie tak jakby się oglądało obraz, bo widać kominek i was siedzące z matką dookoła stołu. Jej twarz jest dokładnie naprzeciwko i wygląda tak słodko spoza kwiatów, że nie mogę się powstrzymać od patrzenia. Wiesz, ja nie mam matki...

I Laurie zaczął dłużyć pogrzebaczem w kominku, żeby ukryć lekkie drżenie warg, którego nie był w stanie opanować.

Osamotnione, zgłodniałe spojrzenie jego oczu powędrowało wprost do ciepłego serca Jo. Otrzymała w domu tak proste wychowanie, że w głowie jej nie było żadnych bzdur, a mając piętnaście lat była niewinna i szczerą jak dziecko. Laurie był chory i samotny, toteż czując, jakie bogactwo miłości i szczęścia miała w domu, chętnie spróbowała podzielić się z nim. Jej twarz miała przyjazny wyraz, a ostry głos był niezwyczajnie łagodny, kiedy powiedziała:

- Już nigdy nie zaciągniemy tej zasłonki i pozwalam ci patrzeć na nas, ile ci się tylko podoba. Wolałabym tylko, żebyś zamiast nas podglądać, wpadł do nas z wizytą. Mama jest taka wspaniała, że będzie ci z nią bardzo dobrze, Beth zaśpiewa dla ciebie, jeśli ja ją o to poproszę, a Amy zatańczy. Meg i ja będziemy cię rozśmieszać naszymi zabawnymi scenicznymi rekwizytami i będziemy się świetnie bawić. Czy myślisz, że twój dziadek się zgodzi?

- Myślę, że tak, jeśli twoja mama go poprosi. Jest bardzo dobry, chociaż na to nie wygląda, i pozwala mi właściwie robić to, na co mam ochotę, obawia się tylko, że mogę być ciężarem dla obcych.

- My nie jesteśmy obcy. Jesteśmy sąsiadami i nie powinieneś myśleć, że będziesz ciężarem. Bardzo chcemy cię poznać i starałam się to zrobić już od jakiegoś czasu. Nie mieszkamy tu od dawna, ale zawarłyśmy już znajomość ze wszystkimi sąsiadami oprócz was.

- Widzisz, dziadek żyje wśród swoich książek i niewiele go obchodzi co się dookoła dzieje. Pan Brooke, mój guwerner, nie mieszka tu, więc nie mam z kim wychodzić, toteż siedzę po prostu w domu i radzę sobie jak mogę.

- To niedobrze. Powinieneś zrobić wysiłek i chodzić z wizytą wszędzie, dokąd cię zapraszają; wtedy miałbyś wielu przyjaciół i wiele miłych miejsc do odwiedzania. Nie przejmuj się, że jesteś nieśmiały. To minie, jeśli będziesz wychodził.

Laurie znów się zaczerwienił, ale nie obraził się, że zarzucono mu nieśmiałość, bo w Jo było tyle dobrej woli, że nie można było przyjmować jej bezceremonialnych słów mniej życzliwie, niż były one wypowiedziane.

- Czy lubisz swoją szkołę? - zapytał chłopiec, zmieniając temat po krótkiej przerwie, w czasie której rozpałił ogień, a Jo rozejrzała się wokół siebie z zadowoleniem.

- Nie chodzę do szkoły. Jestem człowiekiem interesu - to znaczy dziewczynką, oczywiście. Chodzę doglądać mojej ciotki i, doprawdy, złośliwe z niej, stare indywiduum - odpowiedziała Jo.

Laurie otworzył usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale przypomniał sobie w porę, że

zbytnie wtrącanie się w sprawy innych osób nie było świadectwem dobrych manier, zamknął je więc z powrotem i wyglądał na speszzonego. Jo doceniała jego dobre wychowanie i nie miała nic przeciw żartowaniu z ciotki March, toteż dała mu żywy opis niecierplivej starej damy, jej tłustego pudła, papugi, która mówiła po hiszpańsku i biblioteki, którą uwielbiała. Laurie bawił się znakomicie, a kiedy opowiedziała mu o pewnym sztywnym starszym panu, który przyszedł kiedyś w zaloty do ciotki March i któremu, w trakcie wyszukanej tyrazy, Polly, ku jego przerażeniu, ściągnął z głowy perukę, chłopiec padł na sofę i śmiał się tak, że aż łzy pociekły mu po policzkach, a pokojówka zajrzała, żeby sprawdzić co się dzieje.

- Och! Jak mi to dobrze zrobiło. Opowiadaj dalej, proszę - powiedział podnosząc z poduszek sofę twarz, całą czerwoną i promieniejącą radością.

Bardzo zadowolona ze swego sukcesu Jo opowiadała więc o zabawach i planach, nadziejach i niepokojach związanych z ojcem, i o wszystkich najważniejszych wydarzeniach ze świata, w którym żyły cztery siostry. Potem przeszli do rozmowy o książkach i ku swojej radości Jo odkryła, że Laurie lubił je równie bardzo jak ona, a przeczytał ich jeszcze więcej od niej.

- Skoro tak bardzo lubisz książki, to chodź i obejrzyj nasze. Dziadka nie ma, więc nie musisz się bać - powiedział Laurie wstając.

- Ja się niczego nie boję - odparła Jo potrząsając głową.

- Chętnie w to wierzę! - wykrzyknął chłopiec, spoglądając na nią z wielkim podziwem, chociaż w głębi duszy pomyślał, że gdyby ujrzała starszego pana w niektórych z jego humorów, miałaby niezłe powody, żeby bać się go choć odrobinę.

W całym domu panowała wakacyjna atmosfera, toteż Laurie poprowadził Jo z pokoju do pokoju, pozwalając jej zatrzymać się, ilekroć coś ją zainteresowało, i tak doszli w końcu do biblioteki, gdzie Jo klasnęła w dłonie i podskoczyła, co było u niej zawsze wyrazem najwyższego zachwytu. Pokój był całkowicie wypełniony książkami, były tam obrazy i posągi, urocze szafeczki pełne monet i osobliwości, głębokie fotele i dziwaczne stoliki, brązy i, wspanialszy od wszystkiego innego, wielki otwarty kominek obramowany niezwyklejmi kaflami.

- Jakie bogactwo! - westchnęła Jo, zanurzając się w głębi aksamitnego fotela i spoglądając wokół siebie z niezwyklejmi zadowoleniem. - Teodorze Laurence, powinienes być najszcześniejszym chłopcem na świecie - powiedziała niezwykle przejęta.

- Nie można żyć tylko książkami - powiedział Laurie, potrząsając głową i przysiadając na

stojącym obok stoliku.

Zanim mógł coś więcej powiedzieć, rozległ się dzwonek i Jo zerwała się, wykrzykując przerażona: „Biada mi! To twój dziadek!”

- Jeśli nawet, no to i cóż? Ty się przecież niczego nie boisz - odparł żartobliwie chłopiec.

- Myślę, że trochę się go boję, choć nie bardzo wiem, dlaczego. Mama pozwoliła mi tu przyjść i nie sądzę, żeby ci się od tego pogorszyło - powiedziała Jo, uspokoiwszy się nieco, lecz spoglądając bacznie na drzwi.

- Znacznie mi się od tego poprawiło i jestem niezwykle zobowiązany. Boję się tylko, że bardzo cię zmęczyło opowiadanie mi. To było takie ciekawe, że nie mogłem się zdobyć, żeby ci przerwać - powiedział z wdzięcznością Laurie.

- Przyszedł doktor, paniczu - powiedziała z ukłonem pokojówka.

- Czy nie pogniewasz się jeśli cię na chwilę opuszczę? Myślę, że powinienem się z nim zobaczyć - powiedział Laurie.

- Nie przejmuj się mną. Jestem tu szczęśliwa jak ryba w wodzie - odpowiedziała Jo.

Laurie wyszedł, a jego gość zaczął się zabawiać po swojemu. Stała właśnie przed wspaniałym portretem starszego pana, kiedy drzwi znów się otworzyły, a Jo, nie odwracając się, powiedziała zdecydowanym tonem: - Jestem pewna, że nie powinnam się go bać, bo ma całkiem łagodne oczy i chociaż jego usta są dość ponure, lecz wygląda na kogoś o ogromnej sile woli. Nie jest taki przystojny jak mój dziadek, ale podoba mi się.

- Dziękuję, droga pani - odezwał się gruby głos z tyłu, gdzie ku jej przerażeniu stał stary pan Laurence.

Biedna Jo zarumieniła się tak, że nie mogłaby stać się ani trochę bardziej czerwona, a serce jej zaczęło bić nieprzyjemnie szybko na myśl o tym, co właśnie powiedziała. Na chwilę opanowało ją dzikie pragnienie ucieczki, ale że byłby to tchórzliwy postępek i dziewczęta wyśmiałyby ją, toteż postanowiła pozostać i jakimś sposobem wydostać się z kabały. Ponowne spojrzenie ukazało jej, że żywe oczy spoglądały spod krzaczastych brwi jeszcze łagodniej niż te na portrecie, i że był w nich figlarny błysk, który znacznie osłabił jej obawy. Gruby głos wydał się jeszcze grubszy, kiedy po przerwie nie do zniesienia starszy pan powiedział nagle: - A więc nie boisz się mnie, ha?

- Nie bardzo, proszę pana.

- I uważasz, że nie jestem równie przystojny jak twój dziadek?

- Niezupełnie, proszę pana.
- I posiadam ogromną siłę woli, czy tak?
- Powiedziałam tylko, że tak mi się zdaje.
- Ale mimo to podobam ci się?
- Tak, proszę pana.

Odpowiedź ta spodobała się starszemu panu. Zaśmiał się krótko, uściśnął jej dłoń, po czym biorąc ją palcem pod brodę, podniósł jej twarz do góry, obejrzał ją poważnie, a potem opuścił i powiedział skinąwszy głową: - Masz ducha swego dziadka, jeśli nawet nie masz jego twarzy. Był on rzeczywiście przystojnym mężczyzną, moja droga, ale co ważniejsze, był dzielny i uczciwy, i dumny jestem z tego, że byłem jego przyjacielem.

- Dziękuję panu. - I Jo poczuła się zupełnie swobodnie, bo doskonale ją to zadowalało.

- Co ty tu wyprawiałaś z tym moim chłopcem, ha? - padło następne bezceremonialne pytanie.

- Staralam się tylko być dobrą sąsiadką, proszę pana. I Jo opowiedziała, jak doszło do jej wizyty.

- Uważasz, że potrzeba mu nieco rozrywki, nieprawdaż?

- Tak, proszę pana, zdawał się nieco samotny i obecność młodych ludzi mogłaby mu dobrze zrobić. My jesteśmy tylko dziewczynkami, ale chętnie pomożemy w miarę naszych możliwości, bo nie zapomnialiśmy wspaniałego gwiazdkowego prezentu, jaki nam pan przysłał - powiedziała ochoczo Jo.

- Te, te, te! To był pomysł chłopca. Jak się miewa ta biedna kobieta?

- Dobrze, proszę pana. I Jo, mówiąc bardzo szybko, opowiedziała wszystko o Hummlach, którymi jej matka zainteresowała swoich zamożniejszych przyjaciół.

- Tak właśnie pomagał innym jej ojciec. Muszę odwiedzić ją któregoś dnia. Uprzedź ją. A oto dzwonek na herbatę. Pijemy ją wcześniej ze względu na chłopca. Chodź na dół i bądź nadal dobrą sąsiadką.

- Jeśli sprawi to panu przyjemność.

- Nie zapraszałbym cię, gdyby tak nie było.

I pan Laurence, ze staroświecką kurtuazją podał jej ramię.

- Co by na to powiedziała Meg? - myślała Jo, podczas gdy oczy jej lśniły z rozbawienia na wyobrażenie tego, jak opowie o wszystkim w domu.

- Hej! Cóż to za diabeł opętał tego młodzieńca? - powiedział starszy pan na widok Laurie, który zbiegał właśnie po schodach i zatrzymał się w zdumieniu jak wryty na zaskakujący widok Jo idącej pod ramię z jego groźnym dziadkiem.

- Nie wiedziałem, że dziadek już wrócił - zaczął, podczas gdy Jo rzuciła mu triumfalne spojrzenie.

- To oczywiste, sądząc ze sposobu w jaki zbiegasz ze schodów. Chodź no na herbatę, mój panie, i zachowuj się jak dżentelmen. I potargawszy pieszczotliwie jego włosy, pan Laurence ruszył do przodu, podczas gdy Laurie wykonał za ich plecami serię tak komicznych ewolucji, że Jo omal nie wybuchnęła śmiechem.

Starszy pan niewiele się odzywał przy picciu czterech filiżanek herbaty, ale bacznie obserwował dwie młode osoby rozmawiające ze sobą wkrótce niczym starzy przyjaciele i zmiana, jaka zaszła we wnuku, nie umknęła jego uwagi. Na twarzy chłopca pojawiły się kolory, w jego zachowaniu ożywienie i prawdziwa wesołość dźwięczała w jego śmiechu.

- Ona ma rację, chłopak jest samotny. Zobaczę, w czym mogą mu pomóc te dziewczynki - myślał pan Laurence obserwując i przysłuchując się. Polubił Jo, gdyż odpowiadał mu jej niezwykle bezpośredni sposób bycia, a ponadto zdawała się rozumieć Laurie prawie tak dobrze, jakby sama była chłopcem.

Gdyby Laurencowie byli, jak to nazywała Jo „sztywni i kłujący”, nie zrobiłaby dobrego wrażenia, gdyż w obecności takich osób była nieśmiała i niezgrabna, ale znajdując ich swobodnymi i miłymi, sama też tak się zachowywała i wywarła wrażenie jak najlepsze. Kiedy wstali, zaproponowała, że wróci już do domu, ale Laurie powiedział, że chciał jej jeszcze coś pokazać i zabrał ją do cieplarni, w której specjalnie dla niej zapalono światła. Jo wydawało się, że jest w bajce, kiedy spacerowała po alejkach, zachwycając się rosnącymi wzdłuż nich kwiecistymi ścianami, łagodnym światłem, słodkim wilgotnym powietrzem oraz zwisającymi ponad nią wspaniałymi drzewami i powojami - podczas gdy jej przyjaciel ścinał najpiękniejsze kwiaty dopóki nie zebrał pełnego ich naręcz. Po czym związał je i ze szczęśliwym wyrazem, który Jo tak lubiła oglądać na jego twarzy, powiedział: „Proszę, daj je swojej matce i powiedz jej, że przysłane przez nią lekarstwo było bardzo dobre”.

Pana Laurence odnaleźli stojącego przy kominku w wielkiej bawialni, gdzie uwagę Jo pochłonął całkowicie wspaniały fortepian, który stał tam otwarty.

- Czy to ty grasz? - zapytała, odwracając się do Laurie z wyrazem szacunku.

- Czasami - odpowiedział skromnie.
- Proszę, zagraj coś. Chciałabym posłuchać, żeby móc opowiedzieć o tym Beth.
- Może ty zagrasz pierwsza?
- Nie umiem, za głupia jestem do nauki, ale bardzo kocham muzykę.

Laurie zagrał więc, a Jo słuchała z nosem zanurzonym w heliotropie i herbacianych różach. Jej szacunek i podziw dla „małego Laurie” bardzo wzrosły, gdyż grał wyjątkowo dobrze i bez przybierania żadnych póz. Pragnęła gorąco, żeby Beth mogła tu być, ale nie powiedziała tego głośno, a tylko chwaliła go tak bardzo aż się niemal zawstydził i dziadek przyszedł mu z pomocą.

- To wystarczy, zupełnie wystarczy, młoda damo. Zbyt wiele słodczy może mu zaszkodzić. Jego gra nie jest zła, ale mam nadzieję, że będzie sobie równie dobrze radził w ważniejszych sprawach. Już do domu? No cóż, Jestem ci niezwykle zobowiązany i mam nadzieję, że przyjdiesz znowu. Moje uszanowanie dla twojej matki. Dobranoc, doktorze Jo.

Uściskał jej serdecznie dłoń, ale wyglądał tak jakby coś mu się nie podobało. Kiedy wyszli do holu, Jo zapytała Laurie, czy powiedziała coś niezręcznego. Potrząsnął głową.

- Nie, to ja. Nie lubi kiedy gram.
- Dlaczego?
- Opowiem ci kiedyś. John odprowadzi cię do domu, bo ja nie mogę.
- Nie ma potrzeby. Nie jestem młodą damą i to tylko dwa kroki. Trzymaj się, dobrze?
- Tak, ale ty przyjdiesz znowu, prawda?
- Jeśli ty obiecasz, że odwiedzisz nas, kiedy wyzdrowiejesz.
- Obiecuję.
- Dobranoc Laurie!
- Dobranoc Jo, dobranoc!

Kiedy wszystkie popołudniowe przygody zostały już opowiedziane, cała rodzina postanowiła złożyć wizytę w komplecie, gdyż każdy znalazł w dużym domu po drugiej stronie żywopłotu coś bardzo pociągającego. Pani March chciała porozmawiać o swym ojcu ze starcem, który go nie zapomniał, Meg marzyła o spacerze po cieplarni, Beth wzdychała do fortepianu, a Amy pragnęła obejrzeć wspaniałe obrazy i posągi.

- Mamo, dlaczego pan Laurence nie chciał, żeby Laurie grał? - zapytała Jo, która miała dociekliwe usposobienie.

- Nie jestem pewna, ale myślę, że to dlatego, iż jego syn, ojciec Laurie, ożenił się z

włoską pianistką, co bardzo nie podobało się dumnemu starszemu panu. Dama ta była dobra, piękna i czarująca, ale on jej nie lubił i nigdy nie widywał swego syna po jego ślubie. Oboje umarli, kiedy Laurie był małym chłopcem i wtedy dziadek wziął go do siebie. Przypuszczam, że chłopiec, który urodził się we Włoszech, nie jest zbyt silny i starszy pan boi się go utracić, dlatego jest tak ostrożny. Laurie ma wrodzoną miłość do muzyki, gdyż podobny jest do swojej matki i podejrzewam, że dziadek obawia się, że może zapragnąć zostać muzykiem. A w każdym razie, jego umiejętności przypominają mu kobietę, której nie lubił i dlatego, jak powiedziała Jo «sPOCHMURNIAŁ».

- Jakież to romantyczne! - zawołała Meg.

- Jaki głupie! - powiedziała Jo. Niech sobie będzie muzykiem, skoro ma na to ochotę, zamiast zatruwać mu życie wysyłając go na studia, których nienawidzi.

- To pewnie dlatego ma takie ładne czarne oczy i piękne maniery. Włosi są zawsze bardzo mili - powiedziała Meg, która była nieco sentymentalna.

- Co ty możesz wiedzieć o jego oczach i manierach? Nigdy właściwie z nim nie rozmawiałś - zawołała Jo, która nie była sentymentalna.

- Widziałam go na przyjęciu, a z tego, co opowiadasz, wynika, że wie, jak się zachować. Bardzo ładnie to powiedział o lekarstwie, które mama mu posłała.

- Przypuszczam, że miał na myśli galaretkę migdałową.

- Jakaś ty głupiotka, moje dziecko! Miał na myśli oczywiście ciebie.

- Naprawdę? - I Jo otworzyła oczy, bo nie przyszło jej do głowy.

- Nigdy nie widziałam takiej dziewczynki! Nie poznajesz, że to komplement, nawet jeśli jest pod twoim adresem - powiedziała Meg z miną młodej damy, która wszystko w tej materii wie.

- Uważam, że komplementy to wielki nonsens i byłabym ci wdzięczna, gdybyś przestała opowiadać głupstwa i nie psuła mi zabawy. Laurie to miły chłopiec i ja go lubię i nie będę wysłuchiwać żadnych sentymentalnych bredni o komplementach i innych bzdurach. Będziemy wszystkie dla niego miłe, bo nie ma matki i na pewno będzie mógł nas odwiedzić, prawda, Marmisiu?

- Tak, Jo, twój mały przyjaciel jest tu bardzo mile widziany, a ja mam nadzieję, że Meg. będzie pamiętała o tym, że dzieci powinny być dziećmi jak długo mogą.

- Ja nie nazywam siebie dzieckiem, a nie mam jeszcze nawet nastu lat - zauważyła Amy. -

A co ty na to, Beth?

- Ja myślałam o naszym pochodzie pielgrzymów - odpowiedziała Beth, która nie słyszała ani słowa. - O tym, jak wydostałyśmy się z Bagna i przeszłyśmy przez Bramę Kołowrotu, kiedy podjęłyśmy zobowiązanie, że będziemy dobre, i o tym, jak staramy się wspinać na strome zbocze, i że może ten dom, pełen wspaniałości, będzie naszym Pięknym Pałacem.

- Najpierw jednak musimy przejść obok lwów - powiedziała Jo, której pomysł ten bardzo się spodobał.

ROZDZIAŁ 6

BETH ODNAJDUJE PIĘKNY PAŁAC

Wielki dom okazał się rzeczywiście Pięknym Pałacem, chociaż minęło trochę czasu zanim wszystkie tam dotarły, gdyż zwłaszcza Beth bardzo trudno było przejść obok lwów. Stary pan Laurence był oczywiście największym z nich, ale kiedy odwiedził je, powiedział każdej z nich coś miłego i zabawnego i porozmawiał z ich matką o starych czasach, nikt, oprócz nieśmiałej Beth, nie bał się go już tak bardzo. Drugim lwem był fakt, że one były biedne, a Laurie bogaty i zawstydzalo je to, że nie mogły odwzajemniać doznawanych przyjemności. Po jakimś czasie zrozumiały jednak, że to on uważał je za swoich dobroczyńców i sam nie wiedział, jak okazać swoją wdzięczność za matczyne przyjęcie, z jakim spotkał się u pani March, oraz za wesołe towarzystwo i pociechę jakiej zaznawał w ich skromnym domu. Szybko więc zapomniały o swojej dumie i wymieniali grzeczności, nie zastanawiając się nad tym, które były większe.

W tym czasie wydarzyło się wiele miłych rzeczy, gdyż nowa przyjaźń rosła jak grzyby po deszczu. Wszystkie lubiły Laurie, a on z kolei prywatnie poinformował swojego guwernera, że Marchówny to „naprawdę wspaniałe dziewczęta”. Z czarownym entuzjazmem młodości przyjęły samotnego chłopca do swojej gromadki i zatroszczyły się o niego, a on znalazł coś bardzo urzekającego w niewinnym towarzystwie tych prostodusznych dziewcząt. Nie miał matki ani siostry i szybko odczuł wpływ, jaki na niego wywierały, a ich pracowite, aktywne życie sprawiło, że zawstydził się swego własnego próżniactwa. Zmęczony był książkami i odkrywał teraz ludzi z takim zainteresowaniem, że pan Brooke musiał wystawiać mu bardzo niezadowolające oceny, gdyż Laurie, wagarował i uciekał do Marchów.

- Nie szkodzi. Niech ma wakacje, a nadrobi to później - powiedział starszy pan. - Miła dama, która mieszka obok, uważa, że on za dużo się uczy i potrzebuje młodego towarzystwa, zabawy i ruchu. Podejrzewam, że ma rację, i że rozpieszczałem gagatka jakbym był jego babką. Niech więc robi na co ma ochotę, jak długo jest szczęśliwy. Nie może popaść w żadne tarapaty w tym małym klasztorze, a pani March robi dla niego więcej, niż my potrafimy.

Jakże wspaniale się bawili! Jakie urządzali sztuki i żywe obrazy, jakie jazdy saniami i zabawy na ślizgawce, jakie miłe wieczory w starej bawialni i wesołe małe przyjęcia w wielkim domu. Meg mogła, kiedy chciała, spacerować po cieplarni i układać do woli bukiety; Jo

żarłocznie myszkowała po nowej bibliotece i bulwersowała starszego pana swoim krytycyzmem, Amy kopiowała obrazy i podziwiała do woli otaczające ją piękno, a Laurie grał rolę „pana na zamku” w najbardziej czarujący sposób.

Tylko Beth, mimo marzeń o fortepianie, nie mogła zebrać się na odwagę, by podejść do tego „Zamku Szczęśliwości” jak go nazywała Meg. Poszła tam raz z Jo, ale starszy pan, nie wiedząc o jej chorobliwej nieśmiałości, spojrział na nią groźnie spod swych grubych brwi i powiedział „Hej!” tak głośno, że przestraszył ją do tego stopnia, że jej „nogi dygotały” jak powiedziała matce, i uciekła oświadczając, że nigdy już tam nie pójdzie mimo ukochanego fortepianu. Żadne perswazje i kuszenia nie mogły przewyciężyć jej strachu, aż pan Laurence, dowiedziawszy się o tym w tajemniczy sposób, postanowił wszystko naprawić. Podczas jednej ze swoich krótkich wizyt zręcznie naprowadził rozmowę na muzykę i mówił o wielkich śpiewakach, których oglądał, wspaniałych organach, które słyszał i opowiadał tak urocze anegdoty, że Beth nie mogła usiedzieć w swoim odległym kątku, lecz podchodziła bliżej i bliżej, jak zaczarowana. Zatrzymała się przy oparciu jego fotela i stała słuchając, z szeroko otwartymi oczyma i policzkami czerwonymi z podniecenia wywołanego tymi niezwykłymi opowieściami. Nie zwracając na nią więcej uwagi niż gdyby była muchą, pan Laurence mówił o lekcjach i nauczycielach Laurie, a w pewnej chwili, jakby pomysł ten właśnie wpadł mu do głowy, powiedział do pani March:

- Chłopak zaniedbuje teraz grę i jestem z tego rad, gdyż poświęcał jej zbyt wiele czasu. Ale fortepian cierpi nie używany. Czy nie myśli pani, że któraś z pani dziewczynek mogłaby wpaść od czasu do czasu i poćwiczyć na nim, żeby się nie rozstroił?

Beth postąpiła o krok naprzód i ścisnęła mocno ręce, żeby nie klasnąć w nie, bo była to pokusa nie do odparcia i sama myśl o ćwiczeniu na tak wspaniałym instrumencie zapierała jej po prostu dech w piersi. Zanim pani March zdążyła odpowiedzieć, pan Laurence kontynuował skinąwszy lekko głową z uśmiechem:

- Nie musiałyby nikogo widywać ani z nikim rozmawiać, a tylko przybiegać o dowolnej porze, bo ja siedzę zamknięty w moim gabinecie w drugim końcu domu, Laurie spędza dużo czasu poza domem, a służący nigdy nie wchodzi do bawialni po dziewiątej.

Tu wstał jakby miał zamiar wyjść i Beth postanowiła przemówić, bo jego ostatnie słowa zaspokajały absolutnie wszystkie z jej pragnień.

- Proszę przekazać młodym damom moje słowa, a jeśli nie mają na to ochoty, to cóż, nic

nie szkodzi.

Przy tych słowach mała rączka wsunęła się w jego dłoń i Beth spojrzała na niego podnosząc pełną wdzięczności twarz i mówiąc na swój poważny, choć nieśmiały sposób:

- Och, tak, proszę pana, one mają ochotę, bardzo, bardzo dużą ochotę!

- Czy to ty lubisz muzykę? - zapytał bez żadnego przerażającego „Hej!”, patrząc na nią życzliwie.

- Ja jestem Beth. Bardzo kocham muzykę i przyjdę na pewno, jeśli jest pan pewny, że nikt mnie nie usłyszy - to znaczy, że nikomu nie będę przeszkadzać - dodała, obawiając się być nieuprzejmą i drżąc pod wrażeniem własnej odwagi.

- Ani żywej duszy, moja droga. Dom stoi przez pół dnia pusty, więc przychodź i brzdąkaj sobie, ile tylko masz ochotę, a ja będę ci bardzo zobowiązany.

- Jaki pan dobry, proszę pana!

Beth poczerwieniała jak róża pod jego przyjaznym spojrzeniem, ale już się nie bała i z wdzięcznością uścisnęła jego dużą dłoń, gdyż nie miała słów, by podziękować mu za drogocenny dar, który jej ofiarował. Starszy pan lekko odgarnął jej włosy z czoła i pochylając się pocałował ją, mówiąc tonem, który słyszało tylko niewiele osób:

- Miałem kiedyś dziewczynkę o takich samych oczach. Niech cię Bóg błogosławi, moja kochana! Do widzenia, droga pani.

I pośpiesznie wyszedł.

Beth uściskała z zachwytu matkę, a potem ruszyła na górę, żeby podzielić się tą wspaniałą wiadomością ze swoją rodziną inwalidek, bo dziewczynek nie było w domu. Jak pogodnie śpiewała tego wieczora i jak śmiały się z niej wszystkie, bo w środku nocy obudziła Amy, grając przez sen na jej twarzy jak na pianinie. Następnego dnia zobaczywszy, że zarówno starszy pan, jak i jego wnuk wyszli z domu, Beth po dwóch czy trzech próbach ucieczki weszła jednak bocznym wejściem i cichutko jak myszka wsunęła się do bawialni, gdzie stał obiekt jej westchnień. Zupełnym przypadkiem, oczywiście, na fortepianie leżały jakieś ładne i łatwe nuty, toteż zatrzymawszy się kilkakrotnie, nasłuchując i rozglądając się wokół, Beth dotknęła wreszcie wspaniałego instrumentu drżącymi palcami i od razu zapomniała o swoim strachu, o sobie i o wszystkim innym poza niewysłowioną radością jaką sprawiała jej muzyka, która brzmiała dla niej jak głos ukochanego przyjaciela.

Została tam dopóki Hanna nie przyszła, by ją zabrać na kolację, ale nie miała apetytu i

siedziała tylko uśmiechając się do wszystkich w stanie ogólnej szczęśliwości.

Od tej pory mały brązowy kapturek przemykał poprzez żywość prawie codziennie, a bawialnię nawiedzana była przez muzycznego ducha, który przychodził i znikał niezauważony. Nie wiedziała, że pan Laurence często otwierał drzwi swego gabinetu, żeby posłuchać staromodnych arii, które tak lubił; nie zauważyła nigdy Laurie, który trzymał straż w holu, pilnując, żeby nie wszedł ktoś ze służby; nie podejrzewała nawet, że zeszyty ćwiczeń i nowe pieśni, które znajdowała na półce, były tam specjalnie dla niej, a kiedy pan Laurence rozmawiał z nią w domu o muzyce, myślała tylko jak to miło z jego strony, że opowiada o rzeczach, które i jej bardzo mogą się przydać. Tak więc cieszyła się z całego serca i odkryła, co nie zawsze się zdarza, że jej spełnione marzenie było wszystkim tym, czego oczekiwała. Być może właśnie dlatego, że była tak wdzięczna za ten dar, ofiarowany został jej jeszcze większy. W każdym razie zasługiwała na oba.

- Mamo, chcę zrobić parę kapci dla pana Laurence. Jest dla mnie taki dobry, że powinnam mu jakoś podziękować, a nie znam innego sposobu. Czy mogę? - zapytała Beth w parę tygodni po jego pamiętnej wizycie.

- Tak, kochanie. Na pewno mu się spodobają i będzie to ładny sposób, żeby mu podziękować. Dziewczęta ci przy nich pomogą, a ja zapłacę za materiał - odparła pani March, której sprawiało szczególną przyjemność spełnianie próśb Beth, gdyż tak rzadko prosiła ona o cokolwiek dla siebie.

Po wielu poważnych dyskusjach z Meg i Jo wybrany został wzór, kupiony materiał i praca nad kapciami ruszyła. Wiązanka poważnych, acz pogodnych bratków na ciemniejszym fioletowym tle została uznana za bardzo odpowiedni i ładny wzór i Beth pracowała nad nimi wytrwale, przerywając od czasu do czasu przy nieco trudniejszych częściach. Była z niej dzielna, mała hafciarka, toteż skończyła je zanim jeszcze wszyscy się nimi zmęczyli. Następnie napisała krótki prosty liścik i pewnego ranka z pomocą Laurie przemyciła kapcie na stół w gabinecie, zanim starszy pan wstał.

Kiedy opadło podniecenie, Beth zaczęła czekać, co się stanie. Cały dzień i część następnego minęły bez wiadomości i zaczynała już myśleć, że obraziła swego kapryśnego przyjaciela. Po południu drugiego dnia wyszła po jakiś sprawunek i żeby wyprowadzić Joannę, lalkę inwalidkę, na jej codzienny spacer. Kiedy pojawiła się z powrotem na swojej uliczce, ujrzała trzy, nie, cztery głowy wychylające się z okien bawialni, a kiedy tylko ją ujrzały, kilka rąk

zaczęło machać, a kilka wesołych głosów wołało:

- Masz tu list od starszego pana! Chodź szybko i przeczytaj!

- Och, Beth, on ci przysłał... - zaczęła Amy, gestykując z niezwykłą energią, ale nie zdążyła powiedzieć nic więcej, gdyż Jo powstrzymała ją zatrzaszkując okno.

Beth pośpieszyła więc podniecona zagadką. U drzwi opadły ją siostry i poprowadziły w triumfalnym pochodzie do bawialni, wszystkie pokazując i mówiąc jednocześnie: „Popatrz tutaj! Popatrz tutaj!” Beth popatrzyła i pobladła z radości i zdumienia, bo stało tam małe pianino, na którego lśniącym wieku leżał list zaadresowany niczym szyld do „panny Elisabeth March”.

- Dla mnie? - wyszeptała Beth, trzymając się Jo i czując jakby zaraz miała upaść, takie to wszystko było oszałamiające.

- Tak, wszystko dla ciebie, moja najdroższa! Czy to nie wspaniale z jego strony? Czy nie uważasz, że to najmilszy starszy pan na świecie? Nie otworzyłyśmy, ale umieramy z ciekawości, żeby dowiedzieć się, co on tam pisze - zawołała Jo, przytulając siostrę i podając jej list.

- Ty przeczytaj! Ja nie mogę, tak dziwnie się czuję! Och, to takie piękne! - I Beth ukryła twarz w fartuszk Jo, zupełnie wytrącona z równowagi swoim prezentem.

Jo otworzyła papier i zaczęła się śmiać, gdyż pierwszymi słowami, jakie zobaczyła, były:

Panna March:

Łaskawa Pani -

- Jak to ładnie brzmi! Chciałabym, żeby ktoś tak do mnie napisał - powiedziała Amy, która uważała, że staroświeckie zwroty są bardzo eleganckie.

Miałem w swoim życiu wiele par kapci, lecz żadne nie podobały mi się tak bardzo jak te - kontynuowała Jo. Bratki to moje ulubione kwiaty, a te zawsze będą mi przychodzić na myśl miłą ofiarodawczynię. Lubię spłacać moje długi, toteż mam nadzieję, że pozwoli pani «starszemu panu», by podarował coś, co należało niegdyś do małej wnuczki, którą stracił. Z gorącym podziękowaniem i serdecznymi pozdrowieniami, pozostaję Pani wdzięcznym przyjacielem i uniżonym sługą,

James Laurence

- Och, Beth, to naprawdę zaszczyt, z którego możesz być dumna. Laurie opowiadał mi, jak bardzo pan Laurence kochał dziewczynkę, która umarła i jak pieczołowicie przechowywał wszystkie pamiątki po niej. Pomyśl tylko, podarował ci jej pianino. Oto, co przynoszą ogromne błękitne oczy i miłość do muzyki - powiedziała Jo, starając się uspokoić Beth, która drżała i wyglądała na bardziej podnieconą niż kiedykolwiek przedtem.

- Spójrz na te śliczne świeczniki i ten miły zielony jedwab ułożony w fałdy ze złotą różą pośrodku, i ten ładny pulpit, i stołeczek, cały komplet - dodała Meg, otwierając instrument i ukazując całe jego piękno.

„*Pani uniżony sługa, James Laurence*”. - Tylko pomyśleć, że on to do ciebie napisał. Opowiem wszystko koleżankom. Na pewno będą uważały, że to wspaniałe - powiedziała Amy, na której list wywarł niezwykle wrażenie.

- Zagraj, kotek. Posłuchamy dźwięk od ten mały pianinko - powiedziała Hanna, która zawsze uczestniczyła w rodzinnych radościach i smutkach.

I Beth spróbowała, a wszyscy uznali, że było to najznakomitsze pianino, jakie kiedykolwiek słyszeli. Było widać, że zostało świeżo nastrojone i doprowadzone do nienagannego porządku, ale jakby nie było doskonałe, myślę, że prawdziwy jego urok znajdował się w najszcześniejszej ze szczęśliwych twarzy, która się nad nim pochylała, kiedy Beth uderzyła w białe i czarne klawisze i przycisnęła błyszczące pedały.

- Musisz pójść i podziękować mu - powiedziała Jo żartem, bo nie przyszło jej nawet do głowy, że siostra mogłaby rzeczywiście to zrobić.

- Tak, mam taki zamiar. Myślę, że powinnam zrobić to zaraz, zanim myśląc wciąż o tym, zacznę się bać. I ku absolutnemu zdumieniu całej rodziny Beth stanowczym krokiem przeszła przez ogród, minęła żywopłot i weszła w drzwi Laurenców.

- Niech tak umrę, jak to nie jest najdziwniejszy rzecz jaka widziałam! Ten pianinek zamącił jej w głowę! Przy zdrowych zmysłach nigdy by tam nie poszła - wołała Hanna, patrząc za nią w ślad, podczas gdy dziewczęta całkiem zaniemówiły pod wrażeniem cudu.

Byłyby jeszcze bardziej zdumione, gdyby mogły zobaczyć, co Beth zrobiła potem. Jeśli możecie mi uwierzyć, to wyobraźcie sobie, że bez chwili zastanowienia podeszła i zapukała do drzwi gabinetu, a kiedy szorstki głos zawołał: „Wejść!” weszła wprost na pana Laurence, który wyglądał na dość zaskoczonego, i wyciągając dłoń powiedziała, z lekkim tylko drżeniem w głosie: „Przyszłam, proszę pana, podziękować panu za... „ Ale nie skończyła, bo pan Laurence

wyglądał tak przyjaźnie, że zapomniała o swojej mowie, i pamiętając tylko, że stracił on małą dziewczynkę, którą kochał, objęła go za szyję i pocałowała.

Gdyby dach domu zawalił się nagle, starszy pan nie byłby pewnie bardziej zdumiony, ale podobało mu się to, och tak, nawet bardzo mu się podobało! - i tak był wzruszony i ucieszony tym ufnym pocałunkiem, że cała jego szorstkość zniknęła, posadził ją sobie po prostu na kolanach i przytulił swój pomarszczony policzek do jej różowej buzi, czując się tak jakby odzyskał swoją małą wnuczkę. W tej samej chwili Beth przestała się go bać i siedziała rozmawiając z nim tak swobodnie, jakby знаła go przez całe życie, bo miłość odpędza strach, a wdzięczność przewycięża dumę. Kiedy poszła do domu, pan Laurence odprowadził ją aż do furtki, uścisnął jej serdecznie ręce, a kiedy odchodził wyprostowany i dostoyny, jak przystało na przystojnego starego żołnierza dotknął palcami kapelusza.

Kiedy dziewczęta ujrzały to przedstawienie, Jo, by dać wyraz swej radości, zaczęła tańczyć żiga, Amy omal nie wypadła z okna ze zdumienia a Meg zawołała z podniesionymi rękoma: - Tak, teraz wierzę, że świat się kończy!

ROZDZIAŁ 7

DOLINA WSTYDU AMY

- Ten chłopiec to prawdziwy cyklop, prawda? - powiedziała pewnego dnia Amy, widząc Laurie, który przejeżdżał obok konno, wywijając bacikiem.

- Jak możesz tak o nim mówić, skoro ma dwoje oczu? I to w dodatku bardzo ładnych - zawołała Jo, która nie cierpiała lekceważących uwag na temat swojego przyjaciela.

- Nie powiedziałam nic o jego oczach i zupełnie nie rozumiem, dlaczego musisz się tak złościć, kiedy podziwiam jego jazdę konną.

- Och, mój Boże! Ta gąska ma na myśli centaury, a nazywa go cyklopem - zawołała Jo wybuchając śmiechem.

- Nie powinnaś być taka surowa. To tylko *lapsa lingi*, jak mówi pan Davis - odparowała Amy, dobijając Jo swoją łaciną. - Chciałabym mieć choćby część tych pieniędzy, które Laurie wydaje na tego konia - dodała jakby sama do siebie, ale w nadziei, że siostry ją usłyszą.

- Dlaczego? - spytała życzliwie tylko Meg, bo Jo zaśmiewała się nad ostatnim przejęzyczeniem Amy.

- Bardzo mi są potrzebne, jestem straszliwie zadłużona, a to nie moja kolej na nasze comiesięczne pieniądze za ścinki.

- Zadłużona, Amy? Co przez to rozumiesz? I Meg spoważniała.

- Otóż jestem winna przynajmniej z dziesięć marynowanych cytrynek i nie mogę ich oddać zanim nie dostanę pieniędzy, bo Marmisia zabroniła mi brać w sklepie cokolwiek na kredyt.

- Opowiedz mi wszystko po kolei. Więc w modzie są teraz cytrynki? Zdawało mi się, że było to robienie kulek z kawałków gumy. I Meg bardzo starała się zachować powagę, gdyż wygląd Amy znamionowało skupienie i poczucie ważności.

- Och, widzisz, dziewczynki wciąż je kupują i jeśli nie chcesz, żeby uważano cię za samolubną, to też musisz je kupować. Wszyscy teraz za nimi szaleją i jedzą je pod ławkami w czasie lekcji, a podczas przerw wymieniają na ołówki, pierścionki z koralikami, papierowe lalki czy coś innego. Jeśli jedna dziewczynka lubi drugą, to daje jej cytrynkę; jeśli jest na nią wściekła, to zjada cytrynkę wprost przed nosem tej drugiej i nie proponuje jej nawet jednego liźnięcia.

Częstuje się wszystkich po kolei i ja dostałam ich bardzo dużo, ale jeszcze ich nie oddałam, mimo że powinnam, bo to jest dług honorowy.

- Ile ci potrzeba, żeby się zrewanżować i odbudować swoją reputację? - zapytała Meg, wyjmując portmonetkę.

- Dwadzieścia pięć centów zupełnie wystarczy i zostanie mi jeszcze parę centów, żeby i ciebie poczęstować. Lubisz cytrynki?

- Nie bardzo. Możesz sobie wziąć moją część. Oto pieniądze. Niech ci wystarczy na jak najdłużej, bo to nie jest wiele, jak sama widzisz.

- Ach, dziękuję! To musi być bardzo przyjemne, kiedy ma się własne kieszonkowe pieniądze. Będę miała prawdziwą ucztę, bo jeszcze nie spróbowałam cytrynki w tym tygodniu. Nie śmiałam brać, bo nie mogłam im oddać, a po prostu umieram za choćby jedną.

Następnego dnia Amy przyszła do szkoły dość późno, ale nie mogła oprzeć się pokusie, by z wybaczną dumą zaprezentować paczuszkę z wilgotnego brązowego papieru, zanim zniknęła ona w najbardziej odległych zakamarkach jej ławki. W ciągu kilku następnych minut wiadomość o tym, że Amy March przyniosła dwadzieścia cztery pyszne cytrynki (jedną zjadła po drodze) i będzie nimi częstować podczas przerwy, obiegnęła cały jej rząd, wywołując oszałamiające wprost zainteresowanie jej przyjaciółek. Kąty Brown natychmiast zaprosiła ją na najbliższe przyjęcie; Mary Kingsley nalegała, by pożyczyć jej swój zegarek aż do przerwy, a Jenny Snów, ironiczna młoda dama, która niegodnie wytykała Amy jej bezcytrynkowy stan, bezzwłocznie zakopała topór wojenny i zaofiarowała się dostarczyć wyniki pewnych straszliwych zadań z matematyki. Amy jednak, bynajmniej nie zapomniała kąśliwych uwag o „pewnych osobach, których nosy są dostatecznie zadarte, żeby wywąchać cudze cytrynki” i o „zarozumialcach, którym jednak duma nie przeszkadza o nie prosić”, toteż natychmiast zniweczyła nadzieje „tej Snów”, wysyłając jej miażdżący telegram: „Niepotrzebnie się nagle wysilasz na grzeczności, bo i tak żadnej nie dostaniesz”.

Zdarzyło się, że tego dnia wizytowała szkołę pewna ważna osobistość, i pięknie narysowane przez Amy mapy otrzymały zasłużoną pochwałę, który to zaszczyt, przyznany wrogowi, rozjątrzył duszę panny Snów, podczas gdy panna March przybrała pozę pilnego młodego pawia. Lecz, niestety, och niestety, duma poprzedziła upadek i mściwej Snów udało się ze straszliwym powodzeniem obrócić bieg wydarzeń na swoją korzyść. Ledwie tylko gość wypowiedział kilka stosownych zdawkowych komplementów, uklonił się i wyszedł, a już Jenny,

pod pretekstem bardzo ważnego pytania, podeszła do pana Davisa i poinformowała go, że Amy March ma pod swoim pulpitem marynowane cytrynki.

Trzeba wiedzieć, że pan Davis ogłosił cytrynki artykułem zakazanim i przyrzekł solennie, że publicznie ukarze pierwszą osobę złapaną na łamaniu prawa. Mąż ten o wielkiej wytrzymałości i uporze zdołał po długiej i burzliwej walce skazać na banicję gumę do żucia, urządził ognisko ze skonfiskowanych powieści i pisemek, zlikwidował prywatną pocztę, wprowadził zakaz robienia min, przezwisk i karykatur, jednym słowem, dokonał wszystkiego, co było w mocy jednego człowieka, by utrzymać w ryzach pół setki buntowniczych dziewcząt. Bóg jeden wie, że już chłopcy wystawiają ludzką cierpliwość na dostateczną próbę, ale dziewczynki są nieskończenie gorsze, zwłaszcza dla nerwowego dżentelmena o usposobieniu tyrana i nie większym talencie do nauczania niż posiadał go doktor Blimber. Pan Davis znał trochę łaciny, greki, algebry i różnych „logii”, toteż uważany był za świetnego nauczyciela, a tego, jakie posiadał maniery, zasady moralne, uczucia i jaki dawał przykład, nie uważano za szczególnie istotne. Chwila wybrana, by donieść na Amy, była najgorszą z możliwych i Jenny dobrze o tym wiedziała. Pan Davis najwyraźniej wypił rano zbyt mocną kawę, wiatr wiał od wschodu, co zawsze oddziaływało na jego neuralgię, a ponadto uczennice nie doceniały jego wysiłków, tak jak uważał, że na to zasługuje. Toteż, by użyć niezbyt eleganckiego, lecz obrazowego określenia jednej z uczennic: „Był nerwowy jak czarownica i wściekły jak niedźwiedź”. Słowo „cytrynki” podziało jak płachta na byka. Jego żółta twarz zapłonęła i uderzył pięścią w biurko z siłą, która spowodowała, że Jenny z niebywałą szybkością odskoczyła na swoje miejsce.

- Panienci, proszę o uwagę!

Na srogi ten rozkaz umilkły szepty, a pięćdziesiąt par niebieskich, czarnych, szarych i brązowych oczu posłusznie zwróciło się ku jego straszliwemu obliczu.

- Panno March, proszę podejść do mojego biurka.

Amy posłusznie wstała, na pozór opanowana, lecz owładnięta tajonym strachem, gdyż cytrynki ciążyły jej na sumieniu.

- Proszę przynieść ze sobą cytrynki, które panna ma pod ławką - zabrzmiało nieoczekiwane polecenie, które zaskoczyło ją nim jeszcze wyszła ze swojego miejsca.

- Nie bierz wszystkich - szepnęła jej sąsiadka, młoda dama obdarzona wielką przytomnością umysłu.

Amy pośpiesznie wytrząsnęła część cytrynek z torby, a resztę położyła przed panem

Davisem, uważając, że każdy osobnik posiadający ludzkie serce musi zmięknąć, gdy tylko cudowny aromat dosięgnie jego nozdrzy. Niestety, pan Davis szczególnie nie cierpiał modnych marynat i niesmak powiększył tylko jego gniew.

- Czy to wszystko?

- Niezupełnie - wyjąkała Amy.

- Proszę natychmiast przynieść pozostałe.

Rzuciwszy rozpaczliwe spojrzenie na swój rząd, Amy usłuchała.

- Na pewno nie ma już więcej?

- Ja nigdy nie kłamię, proszę pana.

- Właśnie to widzę. A teraz, proszę wziąć to obrzydlistwo i wyrzucić po dwie za okno.

Rozległo się jednoczesne westchnienie wielu piersi, które spowodowało niewielki podmuch, albowiem rozplynęła się ostatnia nadzieja, a poczęstunek odebrany został spragnionym wargom. Purpurowa ze wstydu i gniewu Amy przeszła tam i z powrotem sześć straszliwych razy, a kiedy każda ze skazanych par - wyglądając, och! jakże soczyście i smakowicie - wypadła z jej opierających się rąk, wrzaski dobiegające z ulicy dopełniły zgryzoty dziewczynek, gdyż dowodziły, że należna im uczta padła łupem małych Irlandczyków, którzy byli ich zagorzałymi wrogami. Tego było już doprawdy za wiele. Wszystkie rzucały pogardliwe lub proszące spojrzenia na nieubłaganego Davisa, a pewna gorąca miłośniczka cytrynek wybuchnęła nawet płaczem.

Kiedy Amy powróciła ze swej ostatniej podróży do okna, pan Davis wydał złowrogie „Hmm!” i powiedział z niezwykłym namaszczeniem:

- Młode damy, pamiętacie, jak sądzę, co powiedziałem wam tydzień temu. Przykro mi, że tak się stało, ale nie pozwolę, by naruszano moje zasady i nigdy nie łamię danego słowa. Panno March, proszę wyciągnąć dłoń.

Amy wzdrygnęła się i ukryła obie dłonie za plecami, zwracając ku niemu błagalny wzrok, który przemawiał za nią lepiej niż słowa, których nie była w stanie wymówić. Była ona jedną z ulubienic „starego Davisa” jak go oczywiście nazywano, i moim prywatnym zdaniem, złamałby on prawdopodobnie swoje słowo, gdyby oburzenie pewnej nieopanowanej młodej damy nie znalazło swego ujścia w znaczącym syknieniu. Syknienie to, mimo iż dość ciche, zirytowało pobudliwego dżentelmena i przypieczętowało los winowajczynie.

- Ręka, panno March! - brzmiała jedyna odpowiedź, jaka padła na jej niemą prośbę, i

Amy, zbyt dumna, by płakać czy błagać, wyzywająco odrzuciła głowę do tyłu i bez mrugnienia zniosła kilka palących uderzeń wymierzonych w jej małą dłoń. Nie było ich wiele ani też nie były one mocne, ale dla niej nie miało to znaczenia. Po raz pierwszy w życiu została uderzona i w jej oczach niosło to równie głęboką hańbę, co gdyby powalił ją razami na ziemię.

- A teraz proszę stać na podeście aż do przerwy - powiedział pan Davis, zdecydowany dokonać dzieła porządnego, skoro już je rozpoczął.

Było to okropne. Dostatecznie trudno byłoby Amy wrócić na miejsce wśród pełnych litości spojrzeń przyjaciółek i zadowolonego wzroku jej kilku wrogów; zupełną niemożliwością zdawało się jej jednak stanąć tak, okrytej świeżym wstydem, przed całą szkołą, toteż przez chwilę czuła, że upadnie tam, gdzie stoi, a serce jej pęknie z rozpacz. Gorzkie poczucie krzywdy i myśl o Jenny Snów pomogły jej jednak wytrzymać, więc zajmując haniebne miejsce utkwiała wzrok w kominie piecyka ponad tym, co zdawało jej się teraz morzem twarzy i stała tam bez ruchu i tak blada, że koleżankom bardzo trudno było uczyć się, mając przed oczyma jej nieszczęśliwą postać.

W ciągu następnych piętnastu minut dumna i wrażliwa dziewczynka cierpiała wstyd i ból, których nigdy nie miała zapomnieć. Innym całą sprawą mogła wydawać się śmieszna lub nieważna, ale dla niej było to bardzo trudne doświadczenie, gdyż przez całe dwanaście lat swojego życia kierowano nią wyłącznie obdarzając miłością i nigdy przedtem nie ugodził jej podobny cios. Boląca ręka i cierpiące serce zostały zapomniane na ukłucie myśli:

- Będę musiała opowiedzieć o tym w domu i wszyscy będą tak bardzo zawiedzeni moim postępowaniem!

Piętnaście minut zdawało się długie jak godzina, ale i one wreszcie minęły, a słowo „Przerwa!” nigdy nie wydawało jej się brzmieć przyjemniej niż tego dnia.

- Proszę już zejść, panno March - powiedział pan Davis, wyglądając i czując się dość niewyraźnie.

Nieprędko zapomniał pełne wyrzutu spojrzenie, jakim obrzuciła go Amy, zanim nie odzywając się do nikogo odeszła wprost do szatni, zabrała swoje rzeczy i opuściła szkołę „na zawsze” jak to sobie z pasją przysięgła. Dotarła do domu w dość smętnym stanie, a kiedy nieco później wróciły starsze dziewczynki, natychmiast odbyło się oburzone zebranie rodzinne. Pani March nie powiedziała wiele, ale wyglądała na poruszoną i na swój czuły sposób pocieszała zranioną córeczkę. Meg skropiła znieważoną rączkę łzami i gliceryną; Beth uznała, że na taki

smutek nawet jej ukochane kocięta nie będą lekarstwem; Jo gniewnie zaproponowała, żeby niezwłocznie zaarrestować pana Davisa, a Hanna pogroziła „łobuzu” pięścią i ubijała ziemniaki na kolację tak, jakby to jego miała pod swoim tłuczkiem.

Nikt, oprócz koleżanek, nie zwrócił uwagi na ucieczkę Amy, ale spostrzegawcze te panienki zauważyły, że pan Davis był tego popołudnia wyjątkowo łagodny, a zarazem nadzwyczaj nerwowy. Tuż przed końcem lekcji pojawiła się Jo, z ponurym wyrazem twarzy podeszła do biurka pana Davisa i przekazała mu list od matki, po czym zabrała resztę rzeczy Amy i odeszła, pieczołowicie wycierając przed wyjściem buty z błota, tak jakby chciała otrząsnąć ze swych stóp wszelki pył tego miejsca.

- Owszem, możesz nie chodzić przez jakiś czas do szkoły, ale chcę, żebyś codziennie uczyła się razem z Beth - powiedziała pani March tego wieczora. - Nie pochwalam kar cielesnych, zwłaszcza dla dziewczynek. Nie podobają mi się metody pedagogiczne pana Davisa i nie sądzę, żeby towarzystwo dziewczynek, z którymi przebywasz, przynosiło ci jakiegokolwiek korzyści, toteż poradzę się ojca i pošlę cię do innej szkoły.

- To świetny pomysł! Chciałabym, żeby wszystkie dziewczynki odeszły i zniszczyły tę jego starą szkołę. Rozwściecza mnie sama myśl o tych cudownych cytrynkach - westchnęła Amy z miną męczennicy.

- Wcale mi nie żal, że je straciłaś, bo złamałaś zasady i należała ci się kara za nieposłuszeństwo - brzmiała surowa odpowiedź, rozczarowując nieco młodą damę, która oczekiwała wyłącznie sympatii.

- Czy to znaczy, że cieszysz się, że zostałam zawstydzona przed całą szkołą? - rozplakała się Amy.

- Nie wybrałabym takiej metody, by naprawić winę - odparła matka - ale nie jestem pewna, czy nie przyniesie ci to więcej pożytku niż nieco łagodniejszy sposób. Stajesz się dość zarozumiała, moja droga, i już najwyższy czas, żebyś postarała się skorygować swoje postępowanie. Masz wiele cnót i uzdolnień, ale nie ma potrzeby przechwalać się nimi, albowiem zarozumiałość niszczy najwspanialszy nawet talent. Nie ma obawy, by prawdziwe zdolności i dobroć długo pozostały niedostrzeżone. A gdyby tak nawet było, to sama świadomość posiadania ich i właściwego z nich korzystania powinna cię zadowalać, gdyż największym ze wszystkich wdzięków jest skromność.

- Tak właśnie jest! - zawołał Laurie, który grał z Jo w kącik w szachy. - Znałem kiedyś

dziewczynkę, która miała doprawdy ogromny talent muzyczny, a wcale o tym nie wiedziała, nawet nie podejrzewała, jakie urocze utwory komponowała, kiedy była sama i nie uwierzyłyby, gdyby ktokolwiek powiedział jej o tym.

- Jaka szkoda, że nie znam tej miłej dziewczynki. Może pomogłaby mi czasem, bo jestem wciąż taka głupia - powiedziała Beth, która stała obok niego i uważnie słuchała.

- Znasz ją dobrze i pomaga ci ona lepiej niż ktokolwiek inny - odpowiedział Laurie, patrząc na nią z tak łobuzerskim błyskiem w swoich wesołych czarnych oczach, że Beth gwałtownie poczerwieniała i ukryła twarz w poduszkach sofy, oszołomiona niespodziewanym odkryciem.

Jo pozwoliła Laurie tym razem wygrać, by odplacić mu za gest wobec Beth, której po tym komplementcie nie można było przekonać, żeby zgodziła się dla nich zagrać. Laurie stanął więc na wysokości zadania i zaśpiewał bardzo pięknie, bo był w wyjątkowo dobrym humorze, gdyż u Marchów rzadko ukazywał nieprzyjemną stronę swego charakteru. Kiedy odszedł, Amy, która przez cały wieczór była zamyślona, odezwała się nagle, tak jakby przyszła jej do głowy nowa myśl:

- Czy Laurie jest uzdolnionym chłopcem?

- Tak, otrzymał doskonałe wykształcenie i jest bardzo utalentowany. Wyrośnie na wspaniałego mężczyznę, jeśli nie będzie się go zanadto rozpieszczać - odpowiedziała jej matka.

- I nie jest zarozumiały, prawda? - zapytała Amy.

- Ani trochę. Dlatego właśnie jest taki czarujący i tak bardzo go wszyscy lubimy.

- Rozumiem. To miło mieć różne zdolności i być eleganckim, a mimo to nie przechwalać się ani nie zadzierać nosa - powiedziała Amy w zamyśleniu.

- Zalety te łatwo dają się dostrzec w zachowaniu i rozmowie, jeśli tylko używane są skromnie, i nie potrzeba bynajmniej popisywać się nimi przed innymi - powiedziała pani March.

- Nie byłoby to ani trochę bardziej właściwe niż noszenie jednocześnie wszystkich czepków, sukni i wstążek po to, żeby wszyscy wiedzieli, że się je posiada - dodała Jo i wykład zakończył się wybuchem śmiechu.

ROZDZIAŁ 8

JO SPOTYKA APOLLYONA

- Dokąd idziecie, dziewczęta? - zapytała Amy, wchodząc w sobotnie popołudnie do pokoju starszych sióstr i widząc jak przygotowują się do wyjścia, a wyglądają przy tym tak tajemniczo, iż podsyciło to tylko jej ciekawość.

- Nieważne. Małe dziewczynki nie powinny tyle pytać - odparła ostro Jo.

Jeśli cokolwiek jest w stanie upokorzyć nasze uczucia, kiedy jesteśmy młodzi, to właśnie takie słowa i rozkaz „uciekaj, kochanie” który sprawia jeszcze większe cierpienie. Amy zachnęła się na tę zniewagę i postanowiła bezwzględnie wykryć, co to za sekret, nawet gdyby miała naprzykrzać się przez cały dzień. Zwracając się do Meg, która nigdy nie była w stanie odmawiać jej czegoś przez dłuższy czas, powiedziała przymilnie: - Powiedz mi! Uważam, że powinnyście i mnie zabrać, bo Beth siedzi nad swoim pianinem, a ja nie mam nic do roboty i czuję się taka samotna.

- Nie mogę, kochanie, bo nie jesteś zaproszona - zaczęła Meg, ale Jo przerwała jej niecierpliwie: - Bądź lepiej cicho, Meg, bo wszystko zepsujesz. Nie możesz iść, Amy, więc nie bądź dzieckiem i przestań grymasić.

- Wychodzicie gdzieś z Laurie, jestem pewna. Chichotaliście razem i szeptaliście wczoraj wieczorem na sofie, i przerwaliście, kiedy weszłam. Może to nieprawda, że z nim idziecie?

- Tak, idziemy. A teraz daj spokój i przestań nudzić.

Amy powstrzymała język, ale wyteżyła wzrok i zauważyła, jak Meg wkłada do kieszeni wachlarz.

- Wiem! Wiem! Idziecie do teatru na *Siedem zamkowi* - zawołała, dodając rezolutnie: - I ja też powinnam pójść, bo mama pozwoliła mi to zobaczyć, i mam swoje pieniądze ze sprzedaży ścinków, i to bardzo niegrzecznie, że nie powiedziałyście mi w porę.

- Wysłuchaj mnie tylko przez minutę i bądź dobrym dzieckiem - powiedziała Meg łagodnie. - Mama nie chce, żebyś szła w tym tygodniu, bo twoje oczy są jeszcze za słabe, żeby wytrzymać światła tego ognistego przedstawienia. W przyszłym tygodniu pójdziesz z Beth i Hanną i będziesz się świetnie bawiła.

- Nie podoba mi się to nawet w połowie tak bardzo, jak pójść z wami i z Laurie. Proszę,

pozwołcie mi. Tak długo byłam przeziębiona i siedziałam zamknięta. Umieram za odrobiną rozrywki. Proszę, Meg! Będę bardzo grzeczna - błagała Amy, wyglądając tak nieszczęśliwie jak tylko potrafiła.

- A może ją weźmiemy? Myślę, że mama nie będzie miała nic przeciw temu, jeśli tylko ciepło ją opatulimy - zaczęła Meg.

- Jeśli ona idzie, to ja zostaję, a jeśli ja nie pójdę, to Laurie nie będzie zachwycony, a poza tym to bardzo niegrzecznie ciągnąć Amy ze sobą, kiedy on zaprosił tylko nas dwie. Nie przypuszczam, żeby chciała pchać się tam, gdzie jej nie proszą - powiedziała Jo złośliwie, bo nie lubiła kłopotów z nadzorowaniem niespokojnej dziewczynki, zwłaszcza wtedy, kiedy chciała sama się bawić.

Jej ton i zachowanie rozzłościły Amy, która zaczęła wkładać buty, mówiąc w możliwie najbardziej nieprzyjemny sposób: - A ja i tak pójdę. Meg powiedziała, że mogę, a jeśli zapłacę za siebie, to Laurie nie będzie miał z tym nic wspólnego.

- Nie możesz siedzieć z nami, bo mamy zarezerwowane miejsca, a nie powinnaś siedzieć sama, więc Laurie na pewno odstąpi ci swoje miejsce, co popsuje nam całą zabawę, albo zdobędzie ci inne miejsce, a to nie będzie stosowne, bo nie byłaś zaproszona. Nie możesz zrobić kroku, toteż najlepiej zostań tam, gdzie jesteś - besztła ją Jo, jeszcze bardziej rozzłoszczona, bo w pośpiechu ukłuła się w palec.

Siedząc w jednym bucie na podłodze, Amy zaczęła płakać, a Meg pocieszać ją, kiedy z dołu zawołał Laurie i obie dziewczynki zbiegły po schodach, pozostawiając siostrę całą w szlochach, bo od czasu do czasu zapominała o swojej dorosłości i zachowywała się jak rozpieszczone dziecko. Kiedy całe towarzystwo zbierało się już do wyjścia, Amy, wychylając się przez poręcz, zawołała z pogrózką w głosie: - Pożałujesz tego, Jo March! Jeszcze zobaczysz!

- Bzdury! - odparła Jo, zatrząskując drzwi.

Bawili się znakomicie, gdyż *Siedem zamków na Diamentowym Jeziorze* było tak błyskotliwym i cudownym przedstawieniem, jak tylko można sobie to było wymarzyć. Ale pomimo komicznych czerwonych chochlików, gwiazdzistych elfów oraz wspaniałych księżąt i księżniczek, kropla goryczy zakłócała przyjemność Jo. Żółte loki królowej wrózek przypominały jej Amy i w przerwach pomiędzy aktami zabawiała się odgadywaniem, co też jej siostra może wymyślić, żeby „pożałowała”. Jo i Amy przydarzyło się już w życiu wiele drobnych utarczek, gdyż obie miały porywczy temperament i odpowiednio sprowokowane, nie potrafiły się

opanować. Amy dokuczała Jo, Jo irytowała Amy i wynikały z tego na w pół przypadkowe eksplozje, których obie później bardzo się wstydziły. Jo, mimo że starsza, była mniej opanowana i kontrolowanie ognistego ducha, który bezustannie wpędzał ją w kłopoty, sprawiało jej prawdziwą trudność. Jej gniew nigdy nie trwał długo i wyznając pokornie swoje winy, zawsze szczerze za nie pokutowała i starała się poprawić. Jej siostry mawiały, że całkiem przyjemnie było doprowadzać Jo do pasji, gdyż zawsze potem stawała się prawdziwym aniołem. Biedna Jo rozpaczliwie pragnęła być lepsza, ale jej wewnętrzny wróg zawsze gotów był zapłonąć i pokonać ją, i na opanowanie go trzeba było lat cierpliwego wysiłku.

Po powrocie do domu zastali Amy czytającą w bawialni. Na ich widok przybrała urażoną minę, nie podniosła wzroku znad książki i nie zadała nawet jednego pytania. Być może ciekawość pokonałaby w końcu urazę, gdyby nie Beth, która zaczęła sama wypytywać i otrzymała olśniewającą relację z przedstawienia. Idąc na górę, by odłożyć kapelusz, Jo rzuciła najpierw okiem na swoje biurko, bo podczas ich ostatniej kłótni Amy ukoła swoje uczucia, wyrzucając na podłogę całą zawartość jej górnej szuflady. Wszystko było jednak na miejscu i po pośpiesznym zlustrowaniu różnych szafek, torebek i pudełek Jo doszła do wniosku, że Amy wybaczyła i zapomniała jej winy.

Myliła się jednak, albowiem następnego dnia dokonała odkrycia, które wywołało burzę. Meg, Beth i Amy siedziały razem późnym popołudniem, kiedy wpadła podniecona Jo i zapytała bez tchu: - Czy ktoś brał moją książkę?

Meg i Beth odpowiedziały od razu: „Nie” i wyglądały na zaskoczone. Amy grzebała pogrzebaczem w ogniu i nic nie powiedziała. Jo zauważyła jej rumieniec i jednym susem była przy niej.

- Amy, ty ją masz!

- Nie, nie mam.

- Więc wiesz, gdzie jest!

- Nie, nie wiem.

- To kłamstwo! - zawołała Jo, chwytając ją za ramiona i wyglądając tak groźnie, że mogło to przestraszyć dziewczynkę znacznie odważniejszą od Amy.

- Wcale nie. Nie mam jej, nie wiem, gdzie jest i nic mnie to nie obchodzi.

- Wiesz coś o tym i lepiej powiedz od razu zanim cię do tego zmuszę. I Jo potrząsnęła nią lekko.

- Wrzeszcz, ile tylko masz ochotę i tak już nigdy więcej nie zobaczysz swojej głupiej, starej książki - wykrzyknęła Amy, sama z kolei podekscytowana.

- Dlaczego nie?

- Bo ją spaliłam.

- Co? Moją małą książeczkę, którą tak kochałam i nad którą pracowałam, żeby ją skończyć na powrót ojca? Naprawdę ją spaliłaś? - powiedziała Jo blednąc niesamowicie, podczas gdy oczy jej płonęły, a ręce kurczowo zacisnęły się na Amy.

- Tak, spaliłam! Powiedziałam ci, że zapłacisz mi za to, że byłaś wczoraj taka wstrętna i...

Amy nie dokończyła, bo gorący temperament Jo wziął górę i potrząsnęła siostrą tak, że zaszczekały jej zęby, wołając w pasji z gniewu i bólu:

- Ty wstrętna, wstrętna dziewczyno! Już nigdy nie będę mogła pisać i nie wybaczę ci tego do końca życia.

Meg ruszyła na pomoc Amy, a Beth, aby uspokoić Jo, ale Jo była niepokieszona i wymierzywszy pożegnalny cios w ucho Amy wybiegła z pokoju, by dokończyć walki w samotności starej sofy na strychu.

Na dole burza minęła, gdy pani March wróciła do domu i po wysłuchaniu całej historii szybko uświadomiła Amy krzywdę, jaką wyrządziła siostrze. Książka Jo była dumą jej serca, a przez całą rodzinę uważana była za niezwykle obiecujące literackie początki. Było to tylko kilka krótkich baśni, ale Jo pracowała nad nimi cierpliwie, wkładając w tę pracę całe swe serce i mając nadzieję, że rezultat będzie się nadawał do druku. Przepisała je właśnie bardzo starannie i zniszczyła starą kopię, toteż ognisko Amy pochłonęło wytrwałą pracę wielu lat. Innym wydawało się to niewielką stratą, ale dla Jo była to straszliwa katastrofa i uważała, że nic jej tego nie wynagrodzi. Beth pogrzyżyła się w żałobie jak po zaginionym kociątku i nawet Meg nie broniła swojej ulubienicy. Pani March wyglądała poważnie i smutno, i Amy czuła, że nikt nie będzie jej kochał dopóki nie poprosi o przebaczenie za swój czyn, nad którym ubolewała teraz bardziej nawet niż pozostałe.

Kiedy zabrzmiał dzwonek na herbatę, pojawiła się Jo wyglądając tak ponuro i niedostępnie, że Amy musiała zebrać całą odwagę, żeby powiedzieć słabo:

- Proszę, wybac mi, Jo. Bardzo, bardzo mi przykro.

- Nigdy ci nie wybaczę - brzmiała surowa odpowiedź Jo i od tej chwili całkowicie ignorowała Amy.

Nikt nie rozmawiał o tej wielkiej tragedii, bo wszystkie wiedziały z doświadczenia, że kiedy Jo była w takim humorze, słowa były daremne i najmądrzej było poczekać, aż jakieś drobne zdarzenie lub jej własny wspaniałomyślny charakter złagodzi urazę Jo i uleczą ranę. Nie był to szczęśliwy wieczór, bo mimo że szyły jak zwykle, a matka czytała Bremera, Scotta i Edgewortha, czegoś było brak i spokój całego domu był zakłócony. Odczuły to najbardziej, kiedy nadszedł czas śpiewania, a tymczasem Beth mogła tylko grać, Jo stała niema jak kamień, a Amy załamała się i matka z Meg musiały śpiewać same. Jednak mimo starań, by brzmieć pogodnie jak skowronki, ich wysokie głosy nie dźwięczały tak zgodnie jak zwykle i wszystko wypadło fałszywie.

Całując Jo na dobranoc, pani March szepnęła łagodnie:

- Kochanie, nie pozwól, by słońce zaszło widząc twój gniew. Wybaczcie sobie nawzajem, pomóżcie sobie i zacznijcie jutro od początku.

Jo chciała złożyć głowę na matczynej piersi i wypłakać swój smutek i gniew, ale łzy były tak niemęską słabością i czuła się tak boleśnie zraniona, że doprawdy nie mogła jeszcze wybaczyć. Przymknęła mocno oczy, potrząsnęła głową i powiedziała burkliwie, bo Amy przysłuchiwała się z boku:

- To był niewybaczalny postępek i ona nie zasługuje na wybaczenie.

Po tych słowach pomaszzerowała do łóżka i tej nocy nie było w sypialniach żadnych żartów ani poufałych ploteczek.

Amy była bardzo dotknięta, że jej pokojowe gesty spotkały się z odmową i zaczęła żałować, że się poniżyła. Poczowała się jeszcze bardziej urażona niż przedtem i pyszniła się swymi nadzwyczajnymi zaletami w sposób szczególnie irytujący. Jo wyglądała wciąż jak chmura gradowa i nic jej się tego dnia nie udawało. Rano było bardzo zimno, a ona upuściła swój drogocenny pasztecik do rynsztoka^ ciotka March miała atak drażliwości; Meg była zamyślona; po powrocie do domu zastała Beth smutną i zadumaną, a Amy robiła przez cały czas uwagi o osobach, które wciąż mówią o tym, jak należy być dobrym, ale same nawet nie spróbują, podczas kiedy inne osoby dają im dobry przykład.

- Wszyscy są tacy nieprzyjemni, poproszę Laurie, żeby poszedł ze mną na łyżwy. Jest zawsze taki miły i wesoły, że dobrze mi to robi - powiedziała do siebie Jo i wyszła.

Amy usłyszała brzęk łyżew i wyrzała na dwór z niecierpliwym okrzykiem:

- No tak! Obiecała, że ja pójdę następnym razem, bo to już resztki lodu w tym roku. Ale

takiej złoŃnicy nie ma nawet co prosić, żeby mnie zabrała.

- Nie mów tak. To ty byłaś bardzo niegrzeczna i jest jej bardzo trudno wybaczyć ci zniszczenie małej książeczki, ale myślę, że może teraz - to zrobi, jeśli tylko spróbujesz w odpowiedniej chwili - powiedziała Meg. - Idź za nimi, nic nie mów dopóki Jo nie rozchmurzy się przy Laurie, a wtedy skorzystaj z okazji i pocałuj ją albo zrób coś miłego, a jestem pewna, że znów z całego serca będzie ci przyjazna.

- Spróbuję - powiedziała Amy, której spodobała się ta rada i po pośpiesznych przygotowaniach wybiegła za przyjaciółmi, którzy właśnie znikali za wzgórzem.

Rzeka nie była daleko, ale oboje byli już gotowi zanim Amy tam dotarła. Jo zobaczyła ją i odwróciła się tyłem. Laurie nie widział Amy, gdyż ślizgał się wzdłuż brzegu sprawdzając lód, bo obecne nagłe ochłodzenie poprzedził okres ciepłej pogody.

- Pojadę do pierwszego zakrętu i sprawdzę, czy wszystko w porządku zanim zaczniemy się ścigać - usłyszała Amy jego słowa, kiedy odjeżdżał wyglądając jak młody Rosjanin, w obramowanym futrem palcie i czapce.

Jo usłyszała, jak Amy, zdyszana po biegu, przytupuje i dmucha na palce starając się założyć łyżwy, ale nie odwróciła się, tylko powoli pojechała zygzakiem w dół rzeki, odczuwając rodzaj gorzkiej, nieszczęśliwej satysfakcji z kłopotów siostry. Rozdmuchiwała swój gniew, aż o władnął ją jak to zawsze bywa ze złymi myślami i uczuciami, jeśli się ich od razu nie odrzuci. Znikający za zakrętem Laurie zawołał:

- Trzymaj się brzegu, na środku nie jest bezpiecznie.

Jo usłyszała go, ale Amy wciąż była pochylona nad swoimi łyżwami i nie zrozumiała ani słowa. Jo rzuciła okiem przez ramię i mały diablík, który w niej mieszkał, szepnął jej do ucha:

- Nieważne czy słyszała, czy nie, niech się troszczy sama o siebie.

Laurie zniknął za zakrętem, Jo właśnie tam dojeżdżała, a Amy, daleko z tyłu, zmierzała w stronę gładszego lodu na środku rzeki. Przez minutę Jo stała bez ruchu, z dziwnym uczuciem w sercu. Następnie postanowiła ruszyć naprzód, ale coś ją powstrzymało i odwróciła się w samą porę, by ujrzeć, jak Amy wyciągnęła w górę ręce i zanurzyła się z nagłym trzaskiem łamiącego się lodu, pluskiem wody i krzykiem, który sprawił, że serce Jo zamarło ze strachu. Spróbowała zawołać Laurie, ale głos jej uwiązł; spróbowała ruszyć do przodu, ale jej stopy zdawały się pozbawione wszelkiej siły, i przez chwilę mogła tylko stać bez ruchu, wpatrując się z zamarłą z przerażenia twarzą w mały niebieski kapturek widoczny ponad czarną wodą. Coś przemknęło

szybko obok niej i głos Laurie zawołał:

- Przynieś deskę. Szybko, szybko!

Jak tego dokonała, nie była nigdy w stanie zrozumieć, ale przez następne kilka minut pracowała jak opętana, ślepo wykonując polecenia Laurie, który bardzo skupiony leżał płasko na lodzie i podtrzymywał Amy ramieniem i kijem do hokeja, dopóki Jo nie przyniosła deski z płotu, za pomocą której razem wyciągnęli z wody bardziej przestraszona niż poturbowaną dziewczynkę.

- Teraz musimy ją jak najszybciej zaprowadzić do domu. Narzuć na nią nasze rzeczy, a ja tymczasem zdejmę te przeklęte łyżwy - zawołał Laurie, owijając Amy w swoje palto i szarpiąc rzemyki, które jakoś nigdy przedtem się nie plątały.

Drżącą, kapiącą i płaczącą odprowadzili Amy do domu, gdzie po całym podnieceniu zasnęła zawinięta w koce przy rozpalonym kominku. W czasie całego zamieszania Jo niewiele mówiła, tylko snuła się dookoła, wyglądając blado i dziko, na w pół rozebrana, z podartą sukienką, a rękoma pociętymi i posiniaczonymi przez lód, kołki i odporne sprzączki. Kiedy Amy wygodnie zasnęła, a dom ucichł, pani March usiadła przy łóżku i przywołała do siebie Jo, żeby owinąć jej poranioną rękę.

- Czy jesteś pewna, że jest już bezpieczna? - wyszeptła Jo, spoglądając przepraszająco na złotą główkę, którą zdradziecki lód mógł na zawsze zabrać sprzed jej oczu.

- Zupełnie bezpieczna, kochanie. Nic jej się nie stało, nawet się nie przeziębi. Uważam, że postąpiliście bardzo rozsądnie okrywając ją i przyprowadzając tak szybko do domu - odpowiedziała matka pogodnie.

- To wszystko Laurie. Ja pozwoliłam jej jechać. Mamo, gdyby ona umarła, to byłaby moja wina. I Jo opadła na łóżko, opowiadając w powodzi pokutniczych łez o wszystkim co się stało, gorzko obwiniając się o twarde serce i wypłakując swoją wdzięczność za to, że oszczędzona jej została ciężka kara, która mogła na nią spaść.

- To ten mój okropny charakter! Staram się poprawić, już myślę, że się poprawiłam, a tu nagle okazuję się gorsza niż przedtem. Och, mamo, co ja mam zrobić? Co mam robić? - płakała biedna Jo w rozpacz.

- Staraj się i módl, kochanie. Niech cię nigdy nie zmęczy staranie i nie myśl nigdy, że nie zdołasz pokonać swych błędów - powiedziała pani March, przyciągając potarganą głowę do swego ramienia i całując mokry policzek tak czule, że Jo rozplakała się jeszcze bardziej.

- Ty nawet nie wiesz, nie możesz się domyślić, jakie to okropne! Zdaje się, że kiedy jestem w pasji, mogłabym zrobić wszystko. Staję się taka dzika, że mogłabym każdego skrzywdzić i cieszyć się tym. Boję się, że kiedyś naprawdę zrobię coś strasznego i zmarnuję swoje życie, i wszyscy będą mnie nienawidzić. Och mammo, pomóż mi, pomóż mi!

- Pomogę, moje dziecko, pomogę. Nie płacz tak żałośnie, ale zapamiętaj ten dzień i podejmij w duszy postanowienie, że nigdy ci się podobny nie zdarzy. Jo, kochanie, wszyscy mamy swoje pokusy, niektóre znacznie większe niż twoje i często potrzeba nam całego życia, by je - pokonać. Ty myślisz, że twój charakter jest najgorszy na świecie, ale mój był kiedyś dokładnie taki sam.

- Twój mammo? Jak to, ty przecież nigdy się nie gniewasz! I zdumiona Jo na chwilę zapomniała o wyrzutach sumienia.

- Staram się go poprawić przez całe czterdzieści lat, ale udało mi się zaledwie zdobyć nad nim kontrolę. Prawie każdego dnia mojego życia jest we mnie gniew, Jo, ale nauczyłam się go nie okazywać i wciąż mam nadzieję, że nauczę się go nie odczuwać, choć może mi to zająć następne czterdzieści lat.

Cierpliwość i pokora malujące się na twarzy, którą tak bardzo kochała, były dla Jo lepszą lekcją niż najmądrzejszy wykład, najostrzejsza nagana. Sympatia i zaufanie, jakie zostały jej okazane, sprawiły, że poczuła się natychmiast pocieszona. Świadomość, że i matka miała takie wady jak ona, i starała się je pokonać, sprawiała, że łatwiej było znosić własne przywary i umacniała postanowienie, by się poprawić, mimo że piętnastoletniej dziewczynce czterdzieści lat wydawało się bardzo długim czasem na czuwanie i modlenie.

- Mammo, czy gniewasz się wtedy, kiedy tak ciasno zaciskasz wargi i wychodzisz do innego pokoju, kiedy czasem ciotka March się złości albo inni ludzie cię martwią? - zapytała Jo czując, że matka była jej bliższa i droższa niż kiedykolwiek.

- Tak, nauczyłam się opanowywać pochopne słowa, które cisną mi się na wargi, a kiedy czuję, że mogą wyrwać mi się wbrew mej woli, wychodzę na chwilę i daję sobie krótką reprimendę za słabość i gniew - odpowiedziała pani March, wzdychając i z uśmiechem wygładzając i związując potargane włosy Jo.

- Jak nauczyłaś się zachowywać spokój? To mój największy kłopot - ostre słowa wylatują, zanim sama zdam sobie z tego sprawę, a im więcej powiem, tym gorsza się staję, aż sprawia mi przyjemność ranienie ludzkich uczuć i mówienie okropnych rzeczy. Powiedz mi, jak

ty to robisz, Marmis, kochanie.

- Moja kochana matka pomagała mi...

- Tak jak ty nam pomagasz - przerwała Jo z pełnym wdzięczności pocałunkiem.

- ... ale straciłam ją, kiedy byłam nieco starsza od ciebie, i przez lata musiałam zmagać się samotnie, bo byłam zbyt dumna, żeby wyznać komukolwiek moją słabość. Było mi bardzo ciężko, Jo, i wylałam wiele gorzkich łez nad moimi klęskami, bo pomimo mych wysiłków zdawało się, że nigdy nie osiągnę celu. Wtedy poznałam twojego ojca i byłam taka szczęśliwa, że bycie dobrą okazało się bardzo łatwe. Ale potem, kiedy miałam wokół siebie cztery małe dziewczynki i byliśmy biedni, wtedy stare kłopoty znów się zaczęły, gdyż z natury nie jestem cierpliwa i bardzo trudno było mi znieść fakt, że moim dzieciom czegoś brakuje.

- Biedna mamo! I co ci pomogło?

- Twój ojciec, Jo. On nigdy nie traci cierpliwości - nigdy nie wątpi, nie narzeka - zawsze ma nadzieję, pracuje i czeka z taką pogodą, że należy się przy nim wstydzić innego postępowania. On mi pomógł, pocieszył mnie i pokazał mi, że muszę starać się opanować wszystkie te cnoty, które chciałabym widzieć w moich dziewczynkach, gdyż ze mnie będą brały przykład. Znacznie łatwiej było próbować ze względu na was niż na mnie samą. Jedno przestraszone czy zdumione spojrzenie którejś z was, kiedy podniosłam głos, powstrzymywało mnie bardziej, niż mogłyby to zrobić jakiegokolwiek słowa, a miłość, szacunek i zaufanie moich dzieci były najśłodsza nagrodą, jaką mogłabym otrzymać za moje wysiłki, aby być kobietą, która może służyć im za wzór.

- Och, mamo, wystarczy mi, jeśli kiedykolwiek będę choć w połowie tak dobra jak ty - zawołała Jo, bardzo wzruszona.

- Mam nadzieję, że będziesz znacznie lepsza, kochanie, ale musisz pilnować swego «wewnętrznego wroga», jak go nazywa ojciec, w przeciwnym razie zasmuci on, a może nawet zniszczy twoje życie. Otrzymałaś ostrzeżenie. Pamiętaj o nim i postaraj się całym sercem i duszą opanować swój porywczy charakter zanim sprowadzi na ciebie większe smutki i żal niż te, których zaznałaś dzisiaj.

- Spróbuję, mamo, naprawdę spróbuję. Ale musisz mi pomagać, przypominać mi i powstrzymywać mnie od wybuchu. Widywałam, jak ojciec kładł czasem palce na ustach i patrzył na ciebie bardzo łagodnie, lecz zarazem poważnie, a ty wtedy zaciskałaś wargi i wychodziłaś. Czy przypominał ci wtedy o twoim postanowieniu? - zapytała łagodnie Jo.

- Tak, prosiłam go, żeby mi w ten sposób pomagał i nigdy o tym nie zapomniał ratując mnie tym nieznacznym gestem i łagodnym spojrzeniem od wielu porywczych słów.

Jo zobaczyła, jak oczy matki wezbrały od łez, a usta jej drżały przy mówieniu, i obawiając się, że powiedziała za dużo, szepnęła zaniepokojona: - Czy to źle, że ci się przyglądałam i że o tym mówię? Nie chciałam być niegrzeczna, ale to tak dobrze móc ci powiedzieć wszystko, co myślę i czuć się tak bezpiecznie i szczęśliwie.

- Moja Jo, możesz powiedzieć swojej matce o wszystkim, bo napawa mnie największym szczęściem i dumą poczucie, że moje dziewczynki zwracają mi się i wiedzą, jak bardzo je kocham.

- Myślałam, że cię zasmuciłam.

- Nie, kochanie, ale mówienie o ojcu przypomniało mi, jak bardzo za nim tęsknię, jak wiele mu zawdzięczam i jak wiernie powinnam czuwać i pracować, by zachować mu jego dziewczynki bezpieczne i dobre.

- A przecież powiedziałaś mi, mamo, żeby szedł i nie płakałaś, kiedy odchodził i nigdy nie narzekasz ani nie wyglądasz jakbyś potrzebowała jakiegokolwiek pomocy - powiedziała Jo w zamyśleniu.

- Oddałam krajowi, który kocham, to co miałam najlepszego i powstrzymywałam moje łzy, dopóki nie odszedł. Jak mogłam narzekać, skoro oboje spełniliśmy tylko nasz obowiązek i na pewno będziemy dzięki temu w końcu jeszcze szczęśliwsi? Jeśli wydaje się, że nie potrzeba mi pomocy, to dlatego, że mam jeszcze lepszego niż ojciec przyjaciela, który mnie pociesza i podtrzymuje. Moje dziecko, kłopoty i pokusy twego życia zaczynają się i będzie ich wiele, ale możesz je pokonać i przeżyć, jeśli nauczysz się odczuwać siłę i czułość twego Niebieskiego Ojca tak, jak tego na ziemi. Im bardziej Go kochasz i ufasz Mu, tym będziesz Mu bliższa i mniej zależna od ludzkiej władzy i wiedzy. Jego miłość i troska nigdy nie ustają i nie zmieniają się, nie mogą być ci odebrane, lecz mogą stać się źródłem pokoju, szczęścia i siły na całe życie. Uwierz w to całym sercem i zwracaj się do Boga z twoimi drobnymi troskami, nadziejami, grzechami i smutkami tak swobodnie i z takim zaufaniem jakbyś powierzała je własnej matce.

Odpowiedzią Jo było uściśnięcie jedynie matki jeszcze mocniej, a w ciszy, która potem nastąpiła, serce jej opuściła bez słów najszczersza modlitwa, jaką kiedykolwiek wymówiła, bo w tej smutnej, a mimo to szczęśliwej godzinie, poznała nie tylko gorycz wyrzutów i rozpacz, ale i słodycz wyrzeczenia i opanowania, a prowadzona ręką swej matki zbliżyła się do Przyjaciela,

który wita wszystkie dzieci miłością silniejszą, niż miłość każdego ojca, czulszą, niż miłość każdej matki.

Amy poruszyła się i westchnęła we śnie, i Jo, jakby od razu gotowa do naprawy swych win, spojrzała na nią z wyrazem, którego nigdy przedtem nie miała na twarzy.

- Pozwoliłam, by słońce zaszło na mój gniew. Nie wybaczyłam jej, a dziś, gdyby nie Laurie, mogłoby już być za późno! Jak mogłam być taka zła? - powiedziała Jo półgłosem, pochylając się nad siostrą i delikatnie odgarniając jej wilgotne włosy rozrzucone na poduszce.

Jakby słysząc jej słowa, Amy otworzyła oczy i wyciągnęła ramiona z uśmiechem, który sięgnął wprost do serca Jo. Żadna z nich nie odezwała się, ale uściśniły się mocno pomimo licznych kocy i wszystko zostało wybaczone i zapomniane w jednym gorącym pocałunku.

ROZDZIAŁ 9

MEG UDAJE SIĘ NA TARGOWISKO PRÓŻNOŚCI

- Uważam, że doprawdy wspaniale się złożyło, że te dzieci właśnie teraz zachorowały na odrę - powiedziała Meg pewnego kwietniowego dnia, kiedy otoczona wokół siostrami, pakowała w swoim pokoju „nazagraniczną” walizkę.

- I jak to miło ze strony Annie Moffat, że nie zapomniała o swojej obietnicy. Całe dwa tygodnie zabawy, to po prostu wspaniale - dodała Jo, wyglądając jak wiatrak, kiedy swoimi długimi rękoma składała spódnicę Meg.

- I taka śliczna pogoda. Tak się z tego cieszę - dodała Beth, porządnie układając wstążki na szyję i do włosów w swoim najlepszym pudełku, wypożyczonym siostrze na tę wielką okazję.

- Jak ja bym chciała móc się tak świetnie bawić i nosić wszystkie te ładne stroje - powiedziała Amy, z ustami pełnymi szpilek, bo przygotowywała siostrze poduszeczkę do igieł.

- Chciałabym, żebyście mogły ze mną pojechać, ale skoro nie możecie, zapamiętam wszystkie przygody, żeby opowiedzieć wam je po powrocie. To doprawdy drobiazg w porównaniu z tym, jakie byłyście miłe pożyczając mi swoje rzeczy i pomagając mi się przygotować - powiedziała Meg, spoglądając na bardzo skromne stroje, które w jej oczach wydawały się niemal doskonałe.

- Co ci mania dała z pudełka ze skarbami? - zapytała Amy, która nie była obecna przy otwieraniu pewnej cedrowej szkatułki, w której pani March trzymała drobne resztki dawnej świetności z przeznaczeniem na prezenty dawane dziewczynkom przy odpowiedniej okazji.

- Parę jedwabnych pończoch, ten śliczny rzeźbiony wachlarz i piękną niebieską szarfę. Chciałam mieć fioletową jedwabną suknię, ale nie zdążyłoby się jej przygotować, więc muszę się zadowolić moją starą muślinową.

- Będzie bardzo ładnie wyglądała na mojej nowej muślinowej spódnicy, a szarfa znakomicie ją uwydatni. Szkoda, że zniszczyłam moją koralową bransoletkę, bo bym ci ją dała - powiedziała Jo, która lubiła dawać i pożyczać, ale której dobra były z reguły tak zniszczone, że na niewiele się zdawały.

- W pudełku ze skarbami jest piękny staroświecki komplet z pereł, ale mama powiedziała, że prawdziwe kwiaty są najpiękniejszą ozdobą dla młodej dziewczyny i Laurie obiecał, że

przyśle mi, co tylko będę chciała - odparła Meg. - Pozwólcie, że zobaczę. To mój szary spacerowy kostium - zawiń mi tylko troszkę pióro na kapeluszu, Beth; na niedzielę i małe przyjęcia moja popelina wygląda nieco ciężko jak na wiosnę, prawda? Fioletowy jedwab byłby taki ładny - no cóż!

- Nie szkodzi. Masz muślin na duże przyjęcia, a w bieli zawsze wyglądasz jak anioł - powiedziała Amy, zadumana nad tym małym składem kobiecych ozdób, tak miłych jej sercu.

- Nie ma dekoltu i nie ciągnie się dostatecznie, ale musi wystarczyć. Moja niebieska domowa suknia bardzo dobrze wygląda przenicowana i świeżo oblamowana, prawie jakbym dostała nową. Ale jedwabna lizeska jest zupełnie niemodna i mój czepek nie wygląda tak ładnie jak Sallie. Nie lubię narzekać, ale naprawdę przykro się rozczarowałam parasolką. Powiedziałam mamie - czarna z białą rączką, ale zapomniała i kupiła zieloną z żółtawą. Jest mocna i porządna, więc nie powinnam narzekać, ale wiem, że będę się jej wstydzić obok Annie, która ma jedwabną ze złotym wierzchem - westchnęła Meg, oglądając z wielkim niezadowoleniem małą parasolkę.

- Zamień ją - poradziła Jo.

- Nie jestem aż taka głupia i nie chcę ranić uczuć Marmisi, która tyle włożyła troski w to, żeby mnie przygotować. To tylko moje bzdurne fanaberie i nie mam zamiaru im ulegać. Moje jedwabne pończochy i dwie pary nowych rękawiczek będą mi pociechą. Jesteś taka kochana, że pożyczyłaś mi swoje, Jo. Czuję się bogata i całkiem elegancka, kiedy mam ich dwie pary, a stare, wyczyszczone do noszenia na co dzień. I Meg zerknęła z zadowoleniem na pudełko z rękawiczkami.

- Annie Moffat ma błękitne i różowe kokardki na swoich nocnych czepkach. Czy nie przyszyłybyś kilku i do moich? - zapytała, kiedy Beth przyniosła stos śnieżnych muślinów, wprost spod rąk Hanny.

- Nie, nie przyszyłabym, bo wymyślne czepki nie będą pasowały do prostych koszul bez żadnego oblamowania. Biedacy nie powinni się fiokować - powiedziała Jo zdecydowanym tonem.

- Zastanawiam się, czy będę kiedykolwiek na tyle szczęśliwa, żeby mieć prawdziwą koronkę na moich sukniach i kokardki na czepeczkach? - powiedziała niecierpliwie Meg.

- Przedtem mówiłaś, że byłabyś absolutnie szczęśliwa, gdybyś tylko mogła pojechać do Annie Moffat - zauważyła Beth na swój spokojny sposób.

- Mówiłam! Jestem szczęśliwa i nie będę się irtować, ale im więcej się dostaje, tym

więcej się pragnie, czyż nie? Tak, walizki gotowe i wszystko oprócz mojej balowej sukni spakowane, ale tę zostawię mamie do złożenia - powiedziała Meg, wypogadzając się, kiedy przeniosła spojrzenie od na wpół wypełnionej walizki do wielokrotnie prasowanego i naprawianego muślinu, który z ważną miną nazywała swoją „balową suknią”.

Następnego dnia pogoda była ładna i Meg w wielkim stylu wyruszyła na dwa tygodnie przyjemności i nowinek. Pani March zgodziła się na tę wizytę raczej niechętnie, obawiając się, że Margaret powróci jeszcze bardziej niezadowolona niż odjeżdżała. Ale ona błagała tak usilnie, Sallie obiecała się nią opiekować, a drobna przyjemność zdawała się jeszcze wspanialsza po zimie pełnej nieprzyjemnej pracy, toteż matka zgodziła się i córka odjechała, by zaczerpnąć swój pierwszy łyk modnego życia.

Moffatowie byli rzeczywiście bardzo modni i prosta Meg była z początku dość oszołomiona okazałością domu i elegancją jego mieszkańców. Ale mimo luksusowego życia, jakie wiedli, byli to mili ludzie, toteż szybko sprawili, że ich gość poczuł się swobodnie. Być może Meg wyczuła także, nie bardzo to nawet rozumiejąc, że nie byli zbyt wykształceni czy też inteligentni i że cała ich pozłota nie mogła w pełni ukryć bardzo zwyczajnego tworzywa, z którego byli wykonani. Bardzo przyjemnie było wykwinąć jadać, jeździć pięknym powozem, nosić na co dzień najlepszą sukienkę i nie robić nic innego poza zabawą. Doskonale jej to odpowiadało i wkrótce zaczęła naśladować maniery i sposób mówienia otaczających ją osób, przybierać ich pozy i miny, używać francuskich wyrażeń, karbować włosy, układać suknie i rozmawiać o modzie jak tylko umiała najlepiej. Im dłużej oglądała piękne rzeczy Annie Moffat, tym bardziej jej zazdrościła i wzdychała do tego, żeby być bogatą. Dom zdawał się nagi i smętny, gdy teraz o nim myślała, praca wydawała się jeszcze trudniejsza niż zwykle i uważała się za bardzo poszkodowaną i pokrzywdzoną przez los dziewczynkę mimo nowych rękawiczek i jedwabnych pończoch.

Nie miała jednak wiele czasu na skargi, gdyż trzy młode panienki zajęte były pilnie „bawieniem się znakomicie”. Robiły zakupy, spacerowały, jeździły konno, chodziły z wizytami, do teatrów i opery albo bawiły się wieczorami w domu, gdyż Annie miała wiele przyjaciółek i umiała je przyjmować. Jej starsze siostry były eleganckimi młodymi damami, a jedna z nich była nawet zaręczona, co Meg uważała za niezwykle interesujące i romantyczne. Pan Moffat był grubym, jowialnym starszym panem, który znał jej ojca, a pani Moffat - grubą jowialną starszą panią, która polubiła Meg tak bardzo jak jej córki. Wszyscy ją rozpieszczali i „Daisy” jak ją

nazywali, była na dobrej drodze, by zupełnie przewróciło jej się w głowie.

Kiedy nadszedł wieczór „małego przyjęcia”, odkryła, że popelina zupełnie się nie nadaje, bo pozostałe dziewczęta wkładały cienkie suknie i stroiły się doprawdy bardzo elegancko, toteż wyciągnięty został muślin, który teraz, w porównaniu z nowym, z którego miała sukienkę Sallie, wyglądał na jeszcze bardziej stary, pomięty i matowy niż zwykle. Meg zauważyła, jak dziewczynki spojrzały na jej suknię, a potem jedna na drugą i policzki jej zaczęły płonąć, bo przy całej swej łagodności była bardzo dumna. Nikt nie powiedział słowa, ale Sallie zaofiarowała się, by uczesać jej włosy, Annie, by upiąć szarfę, a Belle, zaręczona siostra, chwaliła biel jej ramion, ale Meg widziała w ich grzeczności jedynie litość wobec jej biedy i stała na uboczu, podczas gdy inne śmiały się, rozmawiały i fruwały dokoła jak powiewne motyle. Ciężkie, gorzkie uczucie stawało się nie do zniesienia, gdy służąca wniosła pudło z kwiatami. Zanim zdążyła się odezwać, Annie podniosła wieko i wszystkie wykrzyknęły podziwiając zawarte wewnątrz wspaniałe róże, wrzosa i paprocie.

- To oczywiście dla Belle. George zawsze jej coś przysyła, ale tym razem są absolutnie wspaniałe - zawołała Annie, wdychając ich woń głęboko.

- Posłaniec powiedział, że to dla panny March. A tu jest bilecik - powiedziała służąca podając Meg liścik.

- A to dopiero! Od kogo? Nie wiedziałyśmy, że masz kawalera - wołały dziewczynki, skupiając się wokół Meg w stanie najwyższej ciekawości i zdziwienia.

- Bilecik jest od mamy, a kwiaty od Laurie - powiedziała Meg skromnie, ogromnie jednak wdzięczna, że o niej nie zapomniał.

- Och, doprawdy! - powiedziała Annie z zabawną miną, kiedy Meg wsunęła bilecik do kieszeni niczym talizman przeciw zazdrości, próżności i fałszywej dumie, gdyż kilka kochających słów dobrze jej zrobiło, a kwiaty rozweseliły ją swoim pięknem.

Czując się znów niemal szczęśliwa, odłożyła dla siebie kilka paproci i róż, a z pozostałych kwiatów szybko zrobiła bukiety do upięcia przy piersi oraz na włosach i sukienkach przyjaciółek, robiąc to tak ładnie, że Klara, starsza z sióstr, powiedziała jej, że jest „najmilszym maleństwem, jakie kiedykolwiek widziała”, i wszystkie zdawały się być oczarowane jej drobnym gestem. Ten miły uczynek położył kres jej przygnębieniu i kiedy pozostałe wyszły, aby pokazać się pani Moffat, Meg zobaczyła w lustrze szczęśliwą twarz o błyszczących oczach, gdy spojrzała tam, by upiąć paprocie na swych falujących włosach i

przymocować róże do sukienki, która teraz nie wydawała jej się aż tak bardzo nędzna.

Znakomicie się tego wieczora bawiła, gdyż tańczyła do woli, wszyscy byli bardzo mili i otrzymała aż trzy komplementy. Annie poprosiła ją, żeby zaśpiewała i ktoś powiedział, że ma niezwykle piękny głos, major Lincoln zapytał, kim jest „ta świeża dziewczynka o pięknych oczach”, a pan Moffat nalegał, by z nią zatańczyć, bo „nie wałkoni się, tylko ma w sobie sprężynę”, jak to wdzięcznie wyraził. Tak więc, koniec końcem, bardzo dobrze się bawiła, dopóki nie podsłuchiwała fragmentu rozmowy, który ją bardzo poruszył. Siedziała właśnie w cieplarni, czekając aż jej partner przyniesie lody, kiedy usłyszała głos, który zapytał po drugiej stronie kwietnej ściany:

- Ile on ma lat?

- Przypuszczam, że szesnaście albo siedemnaście.

- Byłaby to wielka rzecz dla jednej z tych dziewcząt, nieprawdaż? Sallie mówi, że są teraz w wielkiej zażyłości, a starszy pan wprost za nimi przepada.

- Podejrzewam, że pani M. na pewno przygotowała już cały plan i dobrze rozegra swoje karty, mimo że jeszcze jest wczesnie. Mała najwyraźniej jeszcze o tym wcale nie myśli - powiedziała pani Moffat.

- Opowiedziała kłamstewko o matce, tak jakby nie wiedziała i zarumieniła się całkiem ładnie, kiedy nadeszły kwiaty. Biedactwo! Byłaby taka ładna, gdyby ją tylko odpowiednio ubrać. Czy sądzisz, że obraziłaby się, gdybyśmy jej pożyczyły sukienkę na wtorek? - zapytał drugi głos.

- Jest dumna, ale nie sądzę, żeby miała coś przeciw temu, bo ten stary muślin to wszystko, co ma. Może go dziś podrzeć, a wtedy będziemy miały dobry pretekst, żeby dać jej coś porządnego.

- Zobaczymy. Zaproszę młodego Laurencę jako gest pod jej adresem i potem się z tego pośmiejemy.

Tu pojawił się partner Meg i zastał ją płonąca i dosyć poruszoną.

Była rzeczywiście dumna i duma ta okazała się teraz użyteczna, gdyż pomogła jej ukryć zmartwienie, gniew i niesmak wywołane tym, co przed chwilą usłyszała, albowiem mimo swej niewinności i łatwowierności Meg zrozumiała jednak, o czym plotkowały jej przyjaciółki. Starła się zapomnieć o tym, ale nie mogła i powtarzała tylko: „pani M. przygotowała plan”, „to kłamstewko o matce” i „stary muślin”, aż w końcu gotowa była płakać i biec do domu, by opowiedzieć o swoich kłopotach i prosić o radę. Ponieważ jednak było to niemożliwe, toteż

postarała się, jak umiała, by wyglądać wesoło, a ponieważ była dość podniecona, udało jej się to tak dobrze, że nikt nawet nie podejrzewał, jakiego wymagało od niej wysiłku. Była jednak bardzo zadowolona, kiedy wszystko się skończyło i znalazła się spokojnie w łóżku, gdzie mogła myśleć, zastanawiać się i unosić gniewem aż rozbolała ją głowa, a jej gorące policzki ochłodziło kilka naturalnych łez. Te głupie choć wypowiedziane w dobrej intencji słowa otworzyły Meg nowy świat i poważnie zmąciły spokój tego starego, w którym żyła dotychczas szczęśliwa jak dziecko. Jej niewinna przyjaźń z Laurie została zepsuta głupimi słowami, które podsłuchiwała; jej wiara w matkę zachwiana nieco przyziemnymi planami, jakie przypisywała jej pani Moffat, która sądziła innych według siebie; a rozsądne postanowienie, by zadowolić się skromnymi strojami, jakie przystały córce niezamożnego człowieka, osłabione zostało niepotrzebną litością dziewcząt, które uważały, że nędzna suknia jest największą tragedią pod słońcem.

Biedna Meg miała niespokojną noc i wstała z podkrążonymi oczyma, nieszczęśliwa i na wpół urażona wobec swoich przyjaciółek, a na wpół wstydząc się, że nie potrafi szczerze z nimi porozmawiać i wszystkiego wyjaśnić. Wszyscy się tego ranka wałkonili i było już południe zanim dziewczęta znalazły wreszcie dość energii, by podjąć swoje obowiązki. Meg od razu uderzyło coś w zachowaniu przyjaciółek. Zdawało jej się, że traktowały ją z większym szacunkiem, zwracały baczną uwagę na to, co mówiła i patrzyły na nią oczyma, które jasno zdradzały ciekawość. Wszystko to zdumiewało ją i pochlebiało jej, choć niczego nie mogła zrozumieć, dopóki panna Bell nie uniosła głowy znad pisania i nie powiedziała sentymentalnym tonem:

- Daisy, kochanie, wysyłam zaproszenie na czwartek do twego przyjaciela, pana Laurencja. Chciałybyśmy go poznać i jest to bardzo właściwy gest wobec ciebie.

Meg zarumieniła się, ale złośliwa chęć podrażnienia dziewczynek kazała jej odpowiedzieć poważnie:

- To bardzo miło z twojej strony, ale obawiam się, że nie będzie mógł przyjść.
- Dlaczego nie, cherie? - zapytała panna Bell.
- Jest za stary.
- Moje dziecko, o czym ty mówisz? Ileż więc on ma lat? - zawołała panna Klara.
- Około siedemdziesięciu, jak sądzę - odpowiedziała Meg, licząc ścięgi, aby ukryć swoje rozbawione oczy.
- Ty sprytne stworzenie! Mamy oczywiście na myśli młodego pana Laurencja -

wykrzyknęła panna Bell ze śmiechem.

- Nie ma takiego, Laurie jest tylko chłopcem. I Meg zaśmiała się także na widok zdziwionych spojrzeń, które siostry wymieniły między sobą na taki opis jej mniemanego kawalera.

- Mniej więcej w twoim wieku - powiedziała Nan.

- Raczej w wieku mojej siostry Jo. Ja będę miała w sierpniu siedemnaście lat - odparła Meg, podrzucając głowę.

- To bardzo miło z jego strony, że przysłał ci kwiaty, prawda? - powiedziała Annie, niczego już nie rozumiejąc.

- Tak, często je nam wszystkim przysyła, bo mają ich w domu tak dużo, a my je bardzo lubimy. Moja mama i stary pan Laurence są przyjaciółmi, więc to naturalne, że my, dzieci, bawimy się razem. I Meg miała nadzieję, że już nic więcej nie powiedzą.

- To oczywiste, że Daisy nie weszła jeszcze w świat - powiedziała panna Klara do Belle, która potaknęła.

- Jakiż to błogi stan niewinności - odparła panna Belle ze wzruszeniem ramion.

- Wychodzę, żeby kupić parę drobiazgów dla moich dziewczynek. Czy mogę coś dla was zrobić, młode damy? - zapytała pani Moffat, która weszła, wyglądając niczym słoń przystrojony w jedwab i koronki.

- Nie, dziękuję, proszę pani - odpowiedziała Sallie. - Mam na czwartek mój nowy różowy jedwab i nic mi nie potrzeba.

- Ani mnie - zaczęła Meg, ale zatrzymała się, bo uświadomiła sobie, że ona i owszem potrzebowała wielu rzeczy tylko nie mogła ich mieć.

- Co włożysz? - zapytała Sallie.

- Jeszcze raz moją starą białą, jeśli uda mi się naprawić ją tak, żeby nie było widać. Trochę się wczorajszego wieczora podarła - powiedziała Meg, starając się mówić swobodnie, ale czując się dość nieswojo.

- Dlaczego nie poślesz do domu po inną? - powiedziała Sallie, która nie była zbyt spostrzegawczą młodą damą.

- Nie mam innej. Meg trochę kosztowało, żeby to powiedzieć, ale Sallie tego nie zauważyła i zawołała w przyjaznym zdumieniu:

- Tylko tę? Jak śmiesznie - nie skończyła zdania, gdyż Belle potrząsnęła głową i

przerwała mówiąc łagodnie:

- Wcale nieśmiesznie. Jaki pożytek z wielu sukien, skoro ona jeszcze nie weszła w świat? Nie ma potrzeby słać do domu, Daisy, nawet gdybyś miała ich dziesięć, bo ja mam tu piękny błękitny jedwab, z którego wyrosłam i włożysz ją, żeby mi zrobić przyjemność, prawda, kochanie?

- Jesteś bardzo miła, ale mnie nie przeszkadza moja stara sukienka, jeśli wy nic przeciw niej nie macie. To zupełnie wystarczy dla takiej małej dziewczynki jak ja - powiedziała Meg.

- Bardzo proszę, zrób mi przyjemność i pozwól się modnie ubrać. Bardzo lubię to robić, a ty, po drobnych poprawkach, będziesz prawdziwą pięknoscią. Nie pozwolę nikomu cię oglądać dopóki nie będziesz gotowa, a potem zaskoczymy ich jak Kopciuszek i jej wróżka w drodze na bal - powiedziała Bell przekonującym tonem.

Meg nie mogła odrzucić tak uprzejmej propozycji, a pragnienie ujrzenia, czy rzeczywiście po drobnych poprawkach będzie „prawdziwą małą pięknoscią”, sprawiło, że zgodziła się i zapomniała o wszystkich swych uprzednich urazach wobec Moffatów.

W czwartkowy wieczór Bell zamknęła się ze swoją pokojówką i we dwie zmieniły Meg w elegancką damę. Podkreśliły i ufryzowały jej włosy, posypały jej szyję i ramiona jakimś pachnącym pudrem, natarły jej usta koralową pomadką, by były czerwieńsze, a Hortensja dodałaby nawet „soupon” różu, gdyby Meg nie zaprotestowała. Zasznurowały ją w błękitną sukienkę, która była tak ciasna, że ledwie mogła oddychać i tak głęboko wycięta, że skromna Meg poczerwieniała, kiedy zobaczyła się w lustrze. Dodany został do tego komplet ze srebrnego filigranu: bransoletki, naszyjnik, broszka, a nawet kolczyki, gdyż Hortensja przywiązała je Meg do ucha jedwabną różową nitką, której wcale nie było widać. Bukiecik pączków herbacianych róż przy piersi i kreza przekonały Meg do dekoltu, który ukazywał jej piękne białe ramiona, a para pantofelków z niebieskiego jedwabiu na wysokich obcasach zaspokoila jej ostatnie pragnienia. Koronkowa chusteczka, wachlarz z piór i bukiet w srebrnym uchwycie dopełniły stroju i panna Belle zlustrowała ją z satysfakcją małej dziewczynki oglądającej świeżo wystrojoną lalkę.

- Mademoiselle jest charmante, tres jolie, nieprawdaż? - zawołała Hortensja, klaszcząc w dłonie w zachwycie.

- Chodź i pokaż się - powiedziała Belle, prowadząc ją do pokoju, w którym oczekiwały pozostałe.

Kiedy Meg podążyła za nią z szelestem trenu długiej sukni, brzękiem kolczyków, powiewem loków i biciem serca, czuła, że jej - zabawa - nareszcie się zaczęła, bo lustro jasno jej powiedziało, że rzeczywiście była „małą piękną”. Przyjaciółki entuzjastycznie powtórzyły jej te przychylne słowa i przez kilka minut stała jak kawka z bajki, napawając się pożyczonymi piórkami, podczas gdy pozostałe ćwierkały wokół niej jak gromadka srok.

- Podczas kiedy ja będę się ubierać, ty, Nan, pokaż jej co robić z suknią i z tymi francuskimi obcasami, żeby się nie przewróciła. Klaro, weź swojego srebrnego motyla i podepnij jej ten długi lok z lewej strony głowy i niech żadna się nie odważy zniszczyć czarującego dzieła moich rąk - powiedziała Belle wychodząc w pośpiechu, bardzo zadowolona ze swego osiągnięcia.

- Nie mam odwagi zejść na dół, czuję się tak dziwnie i sztywno i jakby tylko na wpół ubrana - powiedziała Meg do Sallie, kiedy zadzwonił dzwonek i pani Moffat weszła poprosić młode damy, żeby zaraz schodziły na dół.

- Wyglądasz zupełnie niepodobna do siebie, ale bardzo ładnie. Ginę przy tobie, bo Belle ma ogromny smak i jesteś zupełnie francuska, zapewniam cię. Opuść kwiaty, nie martw się tak o nie i uważaj, żebyś się nie potknęła - odparła Sallie, starając się nie przejmować tym, że Meg wyglądała ładniej od niej.

Starając się pamiętać o tym ostrzeżeniu, Margaret bezpiecznie zeszła na dół i pozeğłowała do bawialni, gdzie zebrali się Moffatowie i kilku wczesnych gości. Bardzo szybko odkryła, że eleganckie stroje posiadają urok, który przyciąga pewien rodzaj ludzi i zapewnia ich szacunek. Kilka młodych dam, które nie zwróciły na nią poprzednio żadnej uwagi, nagle okazywało jej niezwykłą sympatię; paru młodych dżentelmenów, którzy jedynie przyglądali jej się w czasie poprzedniego przyjęcia, teraz nie tylko patrzyło, lecz poprosiło, by ich przedstawiono i zaczęło opowiadać jej różne miłe głupstwa, a kilka starszych pań, które siedziały na sofach i krytykowały resztę towarzystwa, zaczęło się z zainteresowaniem dopytywać, kim ona jest. Usłyszała, jak pani Moffat odpowiedziała jednej z nich:

- Daisy March - ojciec, pułkownik w armii - jedna z naszych najlepszych rodzin, ale pokrzywdzona przez los; bliscy przyjaciele Laurenców; słodkie stworzenie, zapewniam was; mój Ned zupełnie stracił dla niej głowę.

- Ach tak! - powiedziała starsza dama, podnosząc do oczu monokl, by przyjrzeć się dokładniej Meg, która starała się wyglądać tak, jakby niczego nie słyszała i nie była dość

zaszokowana kłamstwami pani Moffat.

„Dziwne uczucie” nie opuszczało jej, ale wyobrażała sobie, że odgrywa nową rolę wytwornej damy i dawała sobie nieźle radę, mimo że ciasna suknia uwierała ją w bok, tren wciąż plątał jej się pod nogami i bez przerwy obawiała się, że kolczyki spadną jej z uszu i zgubią się lub potłuką. Śmiała się właśnie z kiepskich dowcipów młodego człowieka, który starał się być błyskotliwy, aż nagle urwała i zmieszła się, gdyż tuż obok spostrzegła Laurie. Wydało jej się, że patrzył na nią z nie ukrywanym zdumieniem i dezaprobatą, bo mimo że uklonił się i uśmiechnął, to jednak coś w jego uczciwych oczach sprawiło, że zarumieniła się i żałowała, że nie ma na sobie swojej starej sukienki. Zmieszanie jej dopełniło się, gdy zauważyła, że Belle szturcha Annie i obie spoglądają na nią i na Laurie, który szczęśliwie wyglądał wyjątkowo chłopięco i nieśmiało.

- Te głupie stworzenia nawkładały mi takich myśli do głowy. Nie będę się tym wcale przejmować i nie dopuszczę, żeby mnie to choć trochę zmieniło - pomyślała Meg i pośpieszyła przez pokój, aby uścisnąć dłoń przyjaciela.

- Cieszę się, że tu jesteś, bałam się, że nie przyjdiesz - powiedziała jak umiała najdoroślej.

- Jo chciała, żebym przyszedł i opowiedział jej, jak wyglądałaś, więc jestem - odparł Laurie nie patrząc na nią, mimo że uśmiechnął się lekko na jej macierzyński ton.

- I co jej opowiesz? - zapytała Meg, bardzo ciekawa jego opinii, choć czuła się po raz pierwszy w jego towarzystwie dość nieswojo.

- Powiem, że cię nie poznałem, bo wyglądasz tak dorośle i tak niepodobnie do siebie, że prawie się ciebie boję - powiedział kręcąc guzikiem u rękawiczki.

- Ależ to absurd! Dziewczęta wystroiły mnie dla żartu i nawet mi się to podoba. Czy Jo nie zamarłaby z wrażenia, gdyby mnie zobaczyła? - powiedziała Meg, zdecydowana wymusić na nim oświadczenie na temat własnego wyglądu.

- Tak, myślę, że by zamarła - powiedział poważnie Laurie.

- Nie podoba ci się mój wygląd? - zapytała Meg.

- Nie, nie podoba - zabrzmiała szczerą odpowiedzią.

- Dlaczego nie? - padło niespokojnym tonem.

Spojrzał na jej ufryzowane włosy, nagie ramiona i nadmiernie ozdobną suknię z wyrazem twarzy, który zawstydził ją bardziej niż jego odpowiedź, w której nie było odrobiny zwykłej

grzeczności.

- Nie lubię przesady.

Tego było już za wiele w ustach kogoś młodszego od niej i Meg odeszła, mówiąc rozdrażnionym tonem:

- Jesteś najmniej uprzejmym chłopcem jakiego kiedykolwiek widziałam.

Czując się bardzo urażona stanęła przy zacisznym oknie, by ochłodzić policzki, bo ciasna suknia wywołała na jej twarzy nieprzyjemne rumieńce. Kiedy tak stała, przeszedł obok niej major Lincoln, a w chwilę potem usłyszała, jak mówił do swojej matki:

- Ogłupiają tu tę dziewczynkę. Chciałem, żebyś ją poznała, ale zepsuły ją całkowicie. Dziś wieczorem jest tylko lalką.

- Och, Boże! - westchnęła Meg. - Jak mi żal, że nie byłam dość rozsądna, żeby nosić moje własne stroje. Wtedy nie napawałabym innych niesmakiem i nie czułabym się sama taka zmieszana i zawstydzona.

Oparła czoło o szybę i stała na wpół ukryta za zasłonkami, nie zwracając uwagi na to, że zaczął się jej ulubiony walc, aż poczuła czyjeś dotknięcie, a odwróciwszy się zobaczyła Laurie, który ze skruszoną miną uklonił jej się jak umiał najładniej i wyciągając dłoń, powiedział:

- Wybacz, proszę, moją niegrzeczność i zatańcz ze mną.

- Obawiam się, że będzie to dla ciebie zbyt nieprzyjemne - powiedziała Meg, starając się zupełnie bezskutecznie wyglądać na bardzo obrażoną.

- Ani trochę. Marzę o tym. Chodź, będę miły. Nie podoba mi się twoja suknia, ale uważam, że wyglądasz po prostu wspaniale. I podniósł ręce tak, jakby słowa nie wystarczały dla wyrażenia jego podziwu.

Meg uśmiechnęła się i zgodziła, szepcząc, kiedy czekali, by włączyć się do tańca:

- Uważaj, żebyś się nie potknął o moją spódnicę. To przekleństwo mojego życia i byłam gęsią, że ją włożyłam.

- Upnij ją wokół szyi, a wtedy przynajmniej na coś ci się przyda - powiedział Laurie spoglądając w dół na błękitne pantofelki, które najwyraźniej aprobował.

I ruszyli do tańca, bystro i wdzięcznie, gdyż po ćwiczeniach w domu byli bardzo dobrze zgrani - pogodna młoda para, która przedstawiała przyjemny widok, gdy wirowali wesoło dookoła, czując się po drobnej sprzeczce jeszcze lepszymi przyjaciółmi.

- Laurie, chcę cię poprosić o przysługę, zgoda? - powiedziała Meg, kiedy stał wachlując

ją, bo bardzo szybko straciła dech, choć nie chciała się przyznać dlaczego.

- Oczywiście! - powiedział skwapliwie Laurie.

- Proszę, nie mów im w domu o mojej dzisiejszej sukni. Nie zrozumieją żartu, a mama się zmartwi.

- Więc dlaczego to zrobiłaś? - zapytały oczy Laurie tak jasno, że Meg pośpiesznie dodała:

- Sama im o wszystkim opowiem i „powiadam się” mamie z własnej głupoty. Ale chciałabym to zrobić sama. Więc nie powiesz, prawda?

- Masz moje słowo, że nie powiem. Tylko co mam im powiedzieć, kiedy mnie zapytają?

- Powiedz tylko, że wyglądałam dość dobrze i świetnie się bawiłam.

- Powiem to pierwsze z całego serca, ale to drugie? Nie wyglądasz jakbyś się świetnie bawiła. Mam rację?

- To prawda, teraz nie. Nie myśl, że jestem wstrętna. Chciałam tylko trochę się zabawić, ale okazuje się, że taka zabawa nie popłaca i jestem nią już zmęczona.

- Idzie tu Ned Moffat. Czego on chce? - powiedział Laurie marszcząc brwi, tak jakby nie uważał młodego gospodarza za przyjemny dodatek do przyjęcia.

- Wpisał mi się na trzy tańce i przypuszczam, że przychodzi teraz po nie. Co za nuda! - powiedziała Meg przybierając omdlewającą pozę, która niezwykle ubawiła Laurie.

Nie rozmawiał z nią potem aż do kolacji, kiedy zobaczył ją pijącą szampana z Nedom i jego przyjacielem Fisherem, którzy zachowywali się jak „para głupców”, jak to do siebie powiedział, gdyż odczuwał rodzaj braterskiego prawa do pilnowania Marchówien i występowania w ich obronie, ilekroć potrzebowały obrońcy.

- Będzie cię jutro straszliwie bolała głowa, jeśli za dużo tego wypijesz. Nie radzę ci, Meg. Wiesz, że twoja matka tego nie lubi - szepnął pochylając się ku niej, kiedy Ned odwrócił się, by napelnić jej kieliszek, a Fisher zatrzymał się, by podnieść jej wachlarz.

- Dziś nie jestem Meg. Jestem „lalką”, która robi różne głupstwa. Jutro odłożę moje „pozy i piórka” i będę z powrotem rozpaczliwie dobra - odpowiedziała z afektowanym śmieszkiem.

- W takim razie chciałbym, żeby już było jutro - mruknął Laurie odchodząc, niezadowolony ze zmiany jaką w niej widział.

Meg tańczyła i flirtowała, plotkowała i chichotała tak jak inne dziewczęta. Po kolacji ruszyła do niemieckiego kotyliona i jakoś przezeń przebrnęła, niemal przewracając swego partnera, który zaplątał się w jej długą spódnicę, i figlując w sposób niezwykle gorszący, jak

uważał Laurie, który przyglądał jej się, obmyślając kazanie. Ale nie miał okazji go wygłosić, gdyż Meg trzymała się od niego z daleka aż do czasu, kiedy podszedł, by powiedzieć dobranoc.

- Pamiętaj! - powiedziała, starając się uśmiechnąć, gdyż straszliwy ból głowy już jej się dawał we znaki.

- Silence a la mort - odparł Laurie odchodząc z melodramatycznym ukłonem.

Ta drobna wymiana słów na stronie podsycała ciekawość Annie, ale Meg była zbyt zmęczona na plotki i poszła do łóżka, czując się tak, jakby uczestniczyła w maskaradzie i nie bawiła się tak dobrze, jak tego oczekiwała. Cały następny dzień była chora, a w sobotę pojechała do domu, zmęczona swoimi dwoma tygodniami zabawy, z poczuciem, że dostatecznie długo „spoczywała w objęciach luksusu”.

- Jak miły zdaje się spokój i to, że nie trzeba przez cały czas przestrzegać towarzyskich manier. W domu jest miło, choć może nie jest on najwspanialszy - powiedziała Meg rozglądając się wokół siebie z wyrazem ukojenia na twarzy, kiedy usiadła z matką i Jo w sobotni wieczór.

- Cieszę się, kochanie, że to mówisz, bo obawiałam się, że dom wyda ci się nudny i biedny po tamtej eleganckiej rezydencji - odparła matka, która w ciągu tego dnia wielokrotnie spoglądała na nią z niepokojem, gdyż matczyne oczy szybko dostrzegają zmiany na twarzach dzieci.

Meg wesoło opowiedziała o swoich przygodach, powtarzając bez przerwy, jak miło spędziła czas, ale zdawało się, że coś ciąży jej nadal na duszy i kiedy młodsze dziewczynki poszły spać, usiadła zamyślona wpatrując się w ogień, mało mówiąc i wyglądając na zmartwioną. Kiedy zegar wybił dziewiątą i Jo zaproponowała, żeby poszły do łóżek, Meg nagle wstała ze swojego krzesła i biorąc stołeczek Beth, oparła łokieć na kolanie matki i powiedziała odważnie:

- Marmisiu, chcę się «powiadać».

- Tak sądziłam. O co chodzi, kochanie?

- Czy mam wyjść? - zapytała dyskretnie Jo.

- Oczywiście, że nie - czyż nie mówię ci zawsze o wszystkim? Wstyd mi było mówić o tym przy dzieciach, ale chcę, żebyście wiedziały o wszystkich okropnych rzeczach, które robiłam u Moffatów.

- Jesteśmy gotowe - powiedziała pani March z uśmiechem, ale wyglądała na nieco zaniepokojoną.

- Powiedziałam wam, że mnie przebrały, ale nie powiedziałam, że mnie upudrowały,

zasznurowały w gorset i ufryzowały, tak że wyglądałam jak z żurnalu mody. Laurie uważał, że to nie było stosowne. Wiem, że tak sądził, mimo że nic nie powiedział, a jeden pan nazwał mnie lalką. Wiedziałam, że to było głupie, ale one tak mi pochlebiały i mówiły, że jestem piękną i inne bzdury, więc pozwoliłam, żeby zrobiły ze mnie idiotkę.

- I to wszystko? - zapytała Jo, podczas gdy pani March patrzyła w milczeniu na przygnębioną twarz swojej ładnej córki i nie mogła znaleźć w swym sercu nagany dla jej drobnych szaleństw.

- Nie. Piłam szampana i figlowałam, i próbowałam flirtować, i byłam w ogóle okropna - powiedziała Meg samokrytycznie.

- Myślę, że jest coś jeszcze. I pani March pogłaskała delikatny policzek, który nagle poróżowiał, a Meg powoli odpowiedziała:

- Tak. To bardzo głupie, ale chcę wam o tym opowiedzieć, bo nie mogę znieść tego, że ludzie mówią takie rzeczy o nas i o Laurie.

I opowiedziała o plotkach, które słyszała u Moffatów, a podczas gdy mówiła, Jo zauważyła, że matka zacisnęła mocno wargi, niezadowolona z tego, że ktoś podsuwał takie myśli niewinnemu umysłowi Meg.

- No tak, to już doprawdy największe bzdury jakie kiedykolwiek słyszałam - wykrzyknęła Jo z oburzeniem. - Dlaczego nie wstałaś i nie powiedziałaś im tego od razu na miejscu?

- Nie mogłam, takie to było dla mnie żenujące. Z początku słuchałam przypadkiem, a potem byłam taka zła i zawstydzona, że zapomniałam, że powinnam odejść.

- Poczekaj tylko, niech no ja spotkam Annie Moffat, a pokażę ci, jak należy się odnosić do takich bzdur. Też pomyśl, że mamy «plany» i jesteśmy miłe dla Laurie, bo jest bogaty i może się z nami w przyszłości ożenić! Dopiero wrzaśnie, kiedy mu opowiem, co to za głupstwa opowiadają o nas, biednych dzieciach! - I Jo zaśmiała się, jakby po namyśle wszystko wydało jej się dobrym żartem.

- Jeśli powiesz Laurie choć słowo, nigdy ci tego nie wybaczę! Nie wolno jej, nie wolno, mamo? - powiedziała Meg wyglądając na zrozpaczoną.

- Nie, nie powtarzaj nigdy tych głupich plotek i zapomnij o nich jak możesz najszybciej - powiedziała poważnie pani March. - Byłam bardzo nierozważna, pozwalając ci znaleźć się wśród ludzi, których tak mało znam - miłych, nie powiem, ale przyziemnych, źle wychowanych i pełnych tak pospolitych wyobrażeń o młodych ludziach. Jest mi nie do wyrażenia przykro, Meg,

z powodu zła, które ta wizyta mogła ci wyrządzić.

- Nie martw się, to mi nie zaszkodzi. Zapomnę o tym, co złe, a będę pamiętała tylko dobre, bo doprawdy bawiłam się świetnie i bardzo jestem ci wdzięczna, że pozwoliłaś mi jechać. Nie będę sentymentalna ani niezadowolona, mamó. Wiem, że jestem głupią dziewczynką i pozostanę przy tobie dopóki nie będę potrafiła sama się o siebie troszczyć. Ale to jest miłe, kiedy się jest chwalonym i podziwianym i nie mogę się powstrzymać od przyznania, że to lubię - powiedziała Meg, na wpół zawstydzona swoim wyznaniem.

- To zupełnie naturalne i nieszkodliwe, byle tylko upodobanie to nie zmieniło się w namiętność i nie wiodło do popełniania głupstw czy czynów, które nie przystoją młodej panience. Naucz się poznawać i cenić pochwałę, która jest tego warta i wywoływać podziw wspaniałych ludzi, zarówno swoją urodą jak i skromnością, Meg.

Margaret siedziała przez chwilę zamyślona, podczas gdy Jo stała z rękoma założonymi do tyłu, wyglądając na zainteresowaną i zarazem nieco zakłopotaną, gdyż po raz pierwszy widziała Meg rumieniącą się i mówiącą o podziwie, kawalerach i tego typu rzeczach, a wszystko to sprawiało, że Jo miała uczucie, jakby przez te dwa tygodnie jej siostra niezwykle wyoroślała i zaczęła odsuwać się od niej w świat, do którego nie mogła za nią podążyć.

- Mamó, czy ty masz «plany», jak je nazwała pani Moffat? - zapytała nieśmiało Meg.

- Tak, kochanie, mam ich wiele, tak jak wszystkie matki, tylko, że moje plany są, podejrzewam, nieco inne niż te, które ma pani Moffat. Opowiem ci o niektórych z nich, bo nadszedł czas na słowa, które naprowadzą twoje romantyczne serduszko i główkę na bardzo poważny temat. Jesteś młoda, Meg, ale nie zbyt młoda, żeby mnie zrozumieć, a usta matki są najodpowiedniejszymi, by mówić o takich sprawach dziewczętom takim jak ty. Jo, twoja kolej też może z czasem nadejść, więc posłuchaj, jakie są moje plany i pomóż mi w ich realizacji, jeśli są dobre.

Jo podeszła i usiadła na poręczy fotela, wyglądając tak, jakby uważała, że przystępują do jakiegoś bardzo uroczystego wydarzenia. Trzymając je obie za ręce i patrząc w zadumie na dwie młode twarze, Pani March powiedziała na swój poważny, acz pogodny sposób:

- Pragnę, żeby moje córki były piękne, utalentowane i dobre; żeby je podziwiano, kochano i szanowano; żeby miały szczęśliwą młodość, dobrze i mądrze wyszły za mąż i wiodły użyteczne, przyjemne życie, w którym niech będzie tak mało trosk i smutku, jak się Bogu spodoba im zesłać. Być kochaną i wybraną przez dobrego mężczyznę, to najlepsza i najśladza

rzecz, jaka może spotkać kobietę, i mam szczerą nadzieję, że moje dziewczęta doświadczą tego pięknego uczucia. To naturalne, że się o tym myśli, Meg, słusznie jest o tym marzyć i czekać na to, i mądrze jest przygotowywać się tak, żebyś, kiedy nadejdzie szczęśliwy czas, była gotowa do podjęcia obowiązków i godna radości. Moje drogie dziewczynki, mam w stosunku do was ambicje, ale nie byście zrobiły furorę w świecie - wyszły za mąż za bogatych mężczyzn wyłącznie ze względu na ich bogactwo albo miały wspaniałe pałace, które nie są domami, bo brakuje w nich miłości. Pieniądze są rzeczą cenną i potrzebną - a jeśli dobrze użyte, także szlachetną - ale nie chciałabym nigdy, żebyście uważały je za główną czy jedyną nagrodę do osiągnięcia. Wolalabym raczej widzieć was jako żony biednych mężczyzn, ale szczęśliwe, kochane i zadowolone niż jako królowe na tronach, pozbawione szacunku dla siebie i spokoju.

- Belle mówi, że biedne dziewczęta nie mają żadnej szansy, jeśli nie robią starań, żeby się korzystnie zaprezentować - westchnęła Meg.

- W takim razie zostaniemy starymi pannami - powiedziała zdecydowanie Jo.

- Słusznie, Jo. Lepiej być szczęśliwymi starymi pannami niż nieszczęśliwymi żonami czy nieskromnymi pannami, które uganiają się, żeby złapać męża - powiedziała pani March zdecydowanym tonem. - Nie martw się, Meg. Bieda rzadko zniechęca prawdziwie zakochanego. Jedne z najlepszych i najbardziej poważanych kobiet, jakie znam, były dziewczętami biednymi, ale tak godnymi miłości, że nie pozwolono im na staropanieństwo. Zostaw te sprawy czasowi i staraj się uczynić szczęśliwym ten dom, tak żebyś potem dobrze się czuła we własnym domu, kiedy zostanie ci ofiarowany, i potrafiła być zadowolona, jeśli nie zostanie. Pamiętajcie o jednym, moje dziewczynki - matka zawsze gotowa jest być waszym powiernikiem, ojciec waszym przyjacielem, a oboje pełni jesteśmy wiary i nadziei, że nasze córki, zamężne lub nie, będą dumą i pociechą naszego życia.

- Będziemy, Marmisiu, będziemy! - zawołały obie z całego serca, kiedy matka życzyła im dobrej nocy.

ROZDZIAŁ 10

KP I PP

Kiedy nadeszła wiosna, popularne stały się nowe rodzaje zabaw, a wydłużające się dni miały teraz długie popołudnia, które można było przeznaczyć na wszelkiego rodzaju zajęcia. Należało uporządkować ogród i każda z siostr miała tam swoją działkę, z którą mogła robić co chciała. Hanna mawiała: „poznałabym, czyja jest który ogródek, żebym ich zobaczyła w Chinie” i pewnie miała rację, bo ogrodnicze upodobania dziewczynek różniły się nie mniej niż ich charaktery. Meg miała u siebie róże i heliotrop, mirt i małe drzewko pomarańczowe. Grządki Jo co roku wyglądały inaczej, bo wciąż na nich eksperymentowała. Tego roku przewidziana była plantacja słoneczników, a nasiona tej wesołej i ambitnej rośliny miały pożywić „Ciotkę Koklikotkę” i jej kurczęta. Beth miała w swoim ogródku staromodne, wonne kwiaty - pachnący groszek i rezedę, nasturcję, goździki, bratki i boże drzewko oraz ptasie ziele dla ptaków i kocią miętę dla kotków. Amy urządziła altankę, dość małą i pełną skorków, ale z daleka bardzo ładną - oplatały ją wdzięczne wianki kapryfolium i powoju, zwieszając swe kolorowe trąbki i dzwonki; były tam wysokie białe lilie, delikatne paprocie i tyle wspaniałych malowniczych kwiatów, ile tylko zgodziło się zakwitnąć.

Praca w ogrodzie, spacer, wiosłowanie po rzece i zbieranie kwiatów zabierały pogodne dni, podczas gdy deszczowe przeznaczały dziewczęta na zabawy w domu - niektóre stare, inne nowe - wszystkie jednak dość oryginalne. Jedną z takich zabaw był KP - ze względu na modę na tajne stowarzyszenia, stosownie było posiadać takowe, a ponieważ wszystkie dziewczęta zachwycały się Dickensem, toteż nazwały się Klubem Pickwicka. Z kilkoma przerwami utrzymywały go przez cały rok i spotykały się w każdą sobotę na dużym strychu, gdzie z tej okazji odbywała się następująca ceremonia: trzy krzesła ustawiano rzędem przed stołem, na którym stała lampa oraz leżały cztery białe odznaczenia z wielkimi literami „KP” w różnych kolorach i tygodnik pod tytułem „Portfolio Pickwicka”, do której wszystkie pisywały, podczas gdy uwielbiająca pióra i atrament Jo była redaktorem naczelnym. O godzinie siódmej czterech członkowie wchodzili do klubu, zakładali na szyję swoje odznaczenia i z wielką powagą zajmowali miejsca. Meg jako najstarsza była Samuelem Pickwickiem, Jo ze względu na swe literackie zainteresowania została Augustusem Snodgrassem; okrągła i rumiana Beth - Tracy

Tupmanem, a Amy, która zawsze porywała się na rzeczy niemożliwe, była Natanielem Winkle. Przewodniczący Pickwick czytał gazetę, pełną oryginalnych bajek, poezji, wiadomości lokalnych, zabawnych ogłoszeń i aluzji, w których autorki z humorem wypominały sobie nawzajem wady i niedociągnięcia. Podczas jednego z takich zebrań pan Pickwick włożył pozbawione szkieł okulary, stuknął w stół, chrząknął i patrzył srogo na kiwającego się w krześle pana Snodgrassa dopóty, dopóki ten nie usiadł porządnie, następnie zaczął czytać:

„Portfolio Pickwicka”

20 maja 18..

Kącik Poezji

ODA JUBILEUSZOWA

Dziś znów uczymy wszyscy wraz
Wręczeniem tych medali
Nasz pięćdziesiąty drugi raz,
Tutaj w Pickwicka Sali.
Zdrowiem wszyscy się cieszymy,
Nie ubył nikt z zespołu;
Znane twarze swe widzimy,
Dłonie ściskając pospołu.
Na miejscu swoim Pickwicka
Z szacunkiem dziś witamy,
Gdy w okularach czyta Nasz wspaniały magazyn.
Choć cierpi na przeziębienie,
Z radością go słyszymy,
Gdyż wiedzy jest objawienie
Wśród jego chrząkaniny.
Snodgrass, na sześć stóp wysoki,
Urodę ma słoniową,
Twarz jego jaśnieje wokół,

Jowialna i brązowa.
W oku poezji lśnią blaski,
Zmaga się ze swym losem,
Na czole ambicji zmarszczki,
A nos pokryty kleksem!
A oto Tupman nasz cichy,
Różowy, pulchny, słodki,
Nad żartem wybucha śmiechem,
I spada nam ze stołka.
Mały Winkle, jaki sztywny,
Włos każdy w miejscu ma tkwić,
Wszelkich cnót wzór to poprawny,
Choć twarzy nie cierpi myć.
Rok już, jak się tu jednoczym,
By czytać, żart powiedzieć,
Literacką drogą kroczyć,
Która do chwały wiedzie.
Niech prosperuje gazeta,
I klub nie rozpada się,
Niech spłyną sukcesów lata.
Na nasz wesoły „KP”
A. Snodgrass

ŚLUB W MASKACH

Opowieść wenecka

Gondola za gondolą podpływały do marmurowych schodów i pozostawiały tam swój czarowny ładunek, by powiększył olśniewający tłum, który wypełniał imponującą siedzibę hrabiego de Adelon. Rycerze i damy, elfy i paziowie, mnisi i kwiaciarki, wszyscy radośnie mieszali się w tańcu. Słodkie głosy i bogactwo melodii wypełniały powietrze i bal maskowy

trwał pośród wesołości i muzyki.

- Czy widziała dziś Jej Wysokość lady Wiołę? - zapytał szarmancki trubadur królową wróżek, która, wsparta na jego ramieniu, przepływała przez salę.

- Tak, czyż nie jest śliczna, mimo iż tak smutna! Jej suknia także dobrze jest wybrana, albowiem za tydzień poślubi ona hrabiego Antonia, którego darzy gwałtowną nienawiścią.

- Na mą wiarę, zazdrozczę mu! A oto i on nadchodzi, wystrojony jak młodożeniec, z wyjątkiem czarnej maski. Gdy maska ta opadnie, ujrzymy jak spogląda on na piękną damę, której serca nie może zdobyć, aczkolwiek jej srogi ojciec oddaje mu jej rękę - odparł trubadur.

- Ludzie szepczą, że kocha ona młodego angielskiego artystę, który podąża za nią krok w krok, pogardliwie odtrącony przez starego hrabiego - powiedziała dama, kiedy włączyli się do tańca.

Zabawa dosięgła właśnie szczytu, kiedy ukazał się ksiądz i wprowadziwszy młodą parę do alkowy zawieszanej fioletowym aksamitem, nakazał im, by uklękli. Nagła cisza opadła na rozbawioną cizbę. Ni dźwięk nie przerywał milczenia i tylko fontanny szemrały, a pomarańczowe gaje szeleściły w świetle księżyca, kiedy hrabia de Adelon wyrzekł te słowa:

- Panowie i panie, wybaczcie podstęp, którego użyłem dla zgromadzenia was tu, byście byli świadkami ślubu mej córki. Ojczy, dokonaj ceremonii.

Wszystkie oczy zwróciły się ku parze młodożeńców, a przez tłum przebiegł szmer zdziwienia, gdyż ani panna młoda, ani pan młody nie odsłoniли swych twarzy. Serca zebranych opanowała ciekawość i zdumienie, ale szacunek powstrzymał wszystkie języki, dopóki święty obrządek nie został dopełniony. Wtedy dopiero gorliwi widzowie skupili się wokół hrabiego, żądając wyjaśnień.

- Chętnie udzieliłbym ich, gdybym mógł, ale wiem tylko, że był to kaprys mej nieśmiałej Wioli, któremu uległem. A teraz, moje dzieci, skończmy z zabawą. Zdejmijcie maski i podejdźcie po me błogosławieństwo.

Ale żadne z nich nie ugięło kolan, a młody małżonek odparł tonem, który poruszył wszystkich słuchaczy, albowiem, gdy maska opadła, ukazało się szlachetne oblicze Ferdynanda Devereux, ukochanego artysty, na którego piersi, zdobnej teraz w gwiazdę angielskiego hrabiego, spoczywała piękna Wiola, promieniejąc radością i urodą.

- Panie mój, z szyderstwem zabroniłeś mi starać się o twą córkę, gdy mogłem poszczycić się równie wysokim rodem i wielką fortuną jak hrabia Antonio. Mogę dokonać więcej, gdyż

nawet twa ambitna dusza nie potrafi odrzucić pana na Devereux i De Vere, kiedy swe starożytne nazwisko i nieopisane bogactwo składa w zamian za umiłowaną rękę tej oto pięknej damy, teraz mej małżonki.

Hrabia stał jak skamieniały, a odwracając się do oszołomionego tłumu, Ferdynand dodał z radosnym uśmiechem triumfu: - Wam, moi szlachetni przyjaciele, mogę tylko życzyć, by wasze starania zostały uwieńczone sukcesem, podobnie jak moje, i abyście wszyscy mogli zdobyć tak wspaniałą małżonkę jak ta, którą ja zdobyłem biorąc ślub w maskach.

S. Pickwick

Dlaczego KP jest jak Wieża Babel? Bo pełen jest nieposłusznych członków.

HISTORIA KABACZKA

Dawno, dawno temu, ogrodnik posadził w swoim ogrodzie ziarenko, a po jakimś czasie ono wykiełkowało i wypuściło pędy, i miało wiele kabaczków. Pewnego dnia w październiku, kiedy kabaczki były już dojrzałe, zerwał jeden i zaniósł na targ. Sklepiarz kupił go i zabrał do swojego sklepu. Tego samego ranka mała dziewczynka w brązowym kapturku i niebieskiej sukience, z okrągłą buzią i zadartym nosem, przyszła i kupiła kabaczek dla swojej mamy. Przytączyła go do domu, pokroiła i ugotowała w dużym garnku, część ubiła z solą i masłem na kolację, a do reszty dodała pół kwarty mleka, dwa jajka, cztery łyżki cukru, trochę gałki muszkatołowej i sucharów, włożyła do głębokiej formy i piekła aż był brązowy i ładny i następnego dnia został zjedzony przez rodzinę, która nazywała się March.

T. Tupman

Szanowny Panie Pickwick, Zwracam się do Pana niniejszym w sprawie grzechu to znaczy grzesznikiem jest mężczyzna o nazwisku Winkle który wywołuje kłopoty w klubie bo się śmieje i czasem nie pisze swojej części do tego znakomitego pisma mam nadzieję że wybaczy mu pan jego niegodne czyny i pozwoli nadesłać francuską bajkę bo nie umie napisać nic z głowy i ma tyle lekcji do odrabiania i za mało rozumu w przyszłości postaram się nie marnotrawnie czasu i przygotować coś co będzie commy la fo co znaczy w porządku śpieszę się bardzo, bo muszę już

iść do szkoły Pański z poważaniem,

N. Winkle

(Powyższy tekst jest po męsku i ładnie napisanym wyznaniem przeszłych win. Byłoby dobrze, gdyby nasz młody przyjaciel pouczył się nieco zasad interpunkcji.)

PUBLICZNA ŻAŁOBA

Uważamy za swój bolesny obowiązek donieść o nagłym i tajemniczym zniknięciu naszej drogiej przyjaciółki, pani Śnieżynki Pati Łapki. Ten uroczy i kochany kot był ulubieńcem szerokiego grona oddanych i serdecznych przyjaciół, gdyż uroda jej przyciągała wzrok, wdzięk i cnoty czyniły ją bliską wszystkim sercom, a jej strata została boleśnie odczuta przez całe społeczeństwo.

Ostatnio widziano ją, gdy siedziała na furtce obserwując przejeżdżający wóz rzeźnika i istnieje obawa, że jakiś łobuz, zwabiony jej wdziękami, niecznie ją ukradł. Minęły już tygodnie, a po niej nie ma ani śladu, toteż porzuciliśmy wszelką nadzieję, zawiązaliśmy czarną kokardę na jej koszyku, odstawiliśmy jej miseczkę i oplakujemy ją jak kogoś utraconego na zawsze.

Współczujący przyjaciel nadesłał następujący klejnot poezji:

ELEGIA

Na śmierć Ś. Pati Łapki

Oplakujemy małej kotki śmierć,
Nad losem jej strasznym wzdychamy,
Już przy kominku nie będzie siedzieć,
Ani u zielonej grać bramy.
Grób mały, gdzie dziecię jej spoczywa,
Jest pod kasztanowcem cienistym,
Nad jej grobem płacz się nie odzywa,
Nie wiemy, gdzie snem śpi wiecznym.

Puste posłanie, piłka w bezruchu,
Nie będą już nigdy jej witać,
Jej cichych stąpań, słodkich pomruków.
Pod drzwiami bawialni nie słyhać.
Inna już kotka jej myszkę goni,
Kotka, która brudny ma pyszczek,
Lecz jak kochanie nasze nie łowi,
I obcy jej czarowny jest wdzięk.
Ten sam korytarz depczą jej łapy,
Gdzie zwykle bawiła się Śnieżka,
Co dość, by tylko splunęła na psy,
A każdy szarmancko uciekał.
Choć pożyteczna, pilna, łagodna,
Dla oka najmiłsza, ach, nie jest;
Miejsca jej twego dać niepodobna,
Ni czcić ją, jak czciliśmy ciebie.
A. S.

PRZYKRY WYPADEK

W ostatni piątek zostaliśmy porażeni gwałtownym wstrząsem w naszej piwnicy, po którym rozległy się okrzyki rozpacz. Pośpieszywszy osobiście na dół odkryliśmy naszego drogiego prezydenta, rozciągniętego w prostracji na podłodze, na którą upadł był potknąwszy się w drodze po drzewo dla celów domowych. Scena absolutnej katastrofy ukazała się naszym oczom, albowiem podczas swego upadku pan Pickwick wpadł głową i ramionami do miski z wodą, przewrócił na swą męską postać baryłkę z płynnym mydłem i poważnie podarł swe okrycie. Po wyratowaniu go z tej straszliwej opresji okazało się, iż nie odniósł on większych obrażeń poza kilkoma siniakami i z radością donosimy, że ma się obecnie znakomicie.

Red.

OGŁOSZENIA

Panna Oranthy Bluggage, doskonała Stanowcza Wykładowczyni wygłosi swój słynny odczyt *Kobieta i jej pozycja* w Holu Pickwicka, w przyszłą sobotę wieczorem, po zwykłym programie.

Cotygodniowe zebranie odbędzie się w Miejscu Kuchennym, aby nauczyć młode damy gotowania. Przewodniczyć będzie Hanna Brown i wszyscy zaproszeni są do wzięcia udziału.

Towarzystwo Odkurzania spotka się w przyszłą środę i odbędzie pochód po drugim piętrze siedziby Klubu. Wszyscy członkowie proszeni są o stawienie się w pełnym rynsztunku, z miotłami na ramieniu, punktualnie o dziewiątej.

Pani Beth Bouncer otworzy w nadchodzącym tygodniu nową kolekcję Kapelusznictwa dla Lalek. Najnowsze fasony nadeszły właśnie z Paryża, toteż uprzejmie zachęcamy do składania zamówień.

Nowa sztuka zostanie wystawiona w Teatrze Stodoły w ciągu kilku najbliższych tygodni i prześcignie wszystko, co dotychczas oglądano na amerykańskiej scenie. Wstrząsający ten dramat nosi tytuł *Grecki niewolnik albo Mściciel Konstantyn!!!*

UWAGI NA MARGINESIE

Gdyby S. P. nie zużywał tyle mydła do mycia swych rąk, nie byłby zawsze spóźniony na śniadanie. A. S. proszony jest o niegwizdanie na ulicy. T. T. nie zapomnij, proszę, o serwetce dla Amy. N. W. nie powinien stroić fochów tylko dlatego, że jego suknia ma dziewięć zakładek.

TYGODNIOWE OCENY

Meg - dobry

Jo - zły

Beth - bardzo dobry

Amy - taki sobie

Kiedy przewodniczący skończył czytanie pisma (które, zaręczam moich czytelników, jest najprawdziwszą kopią innego, wydawanego niegdyś przez najprawdziwsze dziewczynki), rozległy się oklaski, a następnie pan Snodgrass wstał, by przedłożyć następującą propozycję:

- Panie Przewodniczący, Panowie - zaczął przyjmując postawę i ton członka parlamentu. -

Pragnę zaproponować przyjęcie nowego członka - kogoś, kto w pełni zasługuje na ten zaszczyt, będzie zań dozgonnie wdzięczny i przyczyni się ogromnie do rozwoju ducha klubu, podniesienia literackich walorów pisma oraz będzie nieskończenie wesoły i miły. Proponuję pana Teodora Laurencę na honorowego członka KP. No, chodźcie, przyjmijmy go.

Nagła zmiana tonu w głosie Jo pobudziła dziewczynki do śmiechu, ale wszystkie wyglądały na dość zaniepokojone i żadna nie odezwała się, kiedy Snodgrass powrócił na swoje miejsce.

- Poddamy to pod głosowanie - powiedział przewodniczący. - Wszyscy głosujący za przyjęciem wniosku proszę o powiedzenie «Tak».

Po głośniejszej odpowiedzi Snodgrassa, ku ogólnemu zaskoczeniu, rozległa się także nieśmiała odpowiedź Beth.

- Tych, którzy są przeciw, proszę o powiedzenie «Nie».

Meg i Amy były przeciw i pan Winkle wstał, by z wielką elegancją powiedzieć: - Nie chcemy tu żadnych chłopców, oni tylko żartują i rozrabiają. To jest klub dla dam i chcemy, żeby był prywatny i stosowny.

- Obawiam się, że będzie się śmiał z naszej gazety i żartował z nas potem - zauważył Pickwick, pociągając mały loczek nad czołem, jak zawsze kiedy miał wątpliwości.

Snodgrass zerwał się z wielką żarliwością. - Sir, daję słowo dżentelmena, że Laurie nic takiego nie robi. Lubi pisać, więc wiele doda do naszego pisma i pomoże nam nie popaść w sentymentalizm, naprawdę. Tak mało możemy dla niego zrobić, podczas gdy on tak wiele robi dla nas, więc uważam, że możemy przynajmniej ofiarować mu to miejsce i przyjąć go z radością, kiedy przyjdzie.

Ta zręczna aluzja do wyniesionych korzyści spowodowała, że Tupman zerwał się na nogi, tak jakby decyzja jego była absolutnie nieodwołalna.

- Tak, powinniśmy tak zrobić, nawet jeśli mamy obawy. Moim zdaniem może przyjść także i jego dziadek, jeśli ma ochotę.

Ten uczuciowy wybuch ze strony Beth zelektryzował klub i Jo wstała z miejsca by z uznaniem uściśnąć jej dłoń. - No więc, głosujmy jeszcze raz. Pamiętajcie wszystkie, że to nasz Laurie i powiedzcie «Tak!» - zawołał w podnieceniu Snodgrass.

- Tak! Tak! Tak! - odpowiedziały natychmiast trzy głosy.

- Świetnie! Dziękuję! A teraz, ponieważ nie należy «marnotrawić czasu», jak mawia

Winkle, pozwólcie mi przedstawić naszego nowego członka. I ku zdumieniu reszty klubu Jo otworzyła drzwi szafy i ukazała Laurie, który siedział na worku ze ścinkami, cały czerwony, z oczyma przymrużonymi z tłumionego śmiechu.

- Oszust! Zdrajczyń! Jo, jak mogłaś? - zawołały trzy dziewczynki, podczas gdy Snodgrass triumfalnie wyprowadził swego przyjaciela i podsuwając mu krzesło i odznaczenie błyskawicznie go usadowił.

- Wasza bezczelność, paro łobuzów, jest po prostu zdumiewająca - zaczął pan Pickwick, starając się przywołać na twarz surową minę, ale zdobywając się tylko na miły uśmiech. Ale nowy członek umiał się znaleźć i powstawszy pozdrowił z wdzięcznością przewodniczącego, po czym powiedział w niezwykle porywający sposób:

- Panie przewodniczący i Wy, Szanowne Panie - proszę mi wybaczyć, Szanowni Panowie - pozwólcie mi przedstawić się: Sam Weller, uniżony sługa klubu.

- Dobrze! Dobrze! - zawołała Jo, bębniąc uchwytem starej grzałki, o którą się opierała.

- Mój wierny przyjaciel i szlachetny protektor - ciągnął dalej Laurie ze skinieniem dłoni - który tak pochlebnie mnie przedstawił, nie ponosi winy za ten nikczemny podstęp. Był to mój pomysł, a on ustąpił dopiero po bardzo długim nagabywaniu.

- Już dobrze, nie bierz wszystkiego na siebie, wiesz, że to ja wymyśliłam szafę - przerwał Snodgrass, który znakomicie bawił się tym żartem.

- Proszę, nie zwracajcie uwagi na jej słowa. To ja jestem złoczyńcą, który ponosi winę za wszystko, sir - powiedział nowy członek z wellerowskim skinieniem w stronę pana Pickwicka. - Ale, na honor, nigdy już tego nie zrobię i od tej pory złożę siebie w ofierze dla sprawy tego nieśmiertelnego klubu.

- Świetnie! Świetnie! - wołała Jo, uderzając w pokrywę grzałki jak w talerze.

- Dalej! Dalej! - dodali Winkle i Tupman, podczas gdy przewodniczący skłonił się życzliwie.

- Pragnę jedynie powiedzieć, że jako skromny wyraz wdzięczności w zamian za wyświadczony mi honor oraz w celu rozwijania przyjacielskich stosunków pomiędzy sąsiadującymi narodami zorganizowałem pocztę w rogu ogrodu, ładny, przestronny budynek, z kłódkami na drzwiach i wszelkimi udogodnieniami dla poczmistrza - lub też dla poczmistrzyni, że się tak wyrażę. Jest to stary domek dla ptaków, ale zabiłem drzwi i zrobiłem otwór w dachu, tak że może pomieścić najróżniejsze rzeczy i oszczędzi nasz cenny czas. Można tam będzie

składać listy, rękopisy, książki i paczki, a ponieważ każdy z narodów będzie miał klucz, więc, moim zdaniem, będzie to niezwykle przyjemne. Pozwólcie, że złożę na ręce klubu ten oto klucz i dziękując za zaszczyt, jaki mnie spotkał, zajmę swoje miejsce.

Kiedy pan Weller położył mały kluczyk i usiadł, rozległ się gromki aplauz; grzałka grzechotała i dziko pomachiwała, i przywrócenie porządku wymagało pewnego czasu. Następnie odbyła się długa dyskusja i wszyscy wypadli zdumiewająco dobrze, gdyż starali się jak tylko potrafili, toteż było to niezwykle ożywione zebranie i zakończone zostało dopiero późnym wieczorem, kiedy to odkrzyknięto trzykrotne przeraźliwe „hurra!” na cześć nowego członka. Nikt potem nie żałował przyjęcia Sama Wellera, gdyż żaden klub nie mógłby się poszczycić bardziej oddanym, zdyscyplinowanym i wesołym członkiem. Bez wątpienia dodał on „ducha” zebraniom i „walorów” gazecie, albowiem jego oracje przyprawiły słuchaczy o konwulsje, a jego artykuły były znakomite, patriotyczne, klasyczne, komiczne bądź dramatyczne, lecz nigdy sentymentalne. Jo uważała je za godne Bacona, Milтона lub Shakespeara i wzorowała na nich swe własne prace z bardzo dobrym skutkiem, tak przynajmniej sądziła.

KP był wspaniałą małą organizacją i rozwijał się cudownie, albowiem odbywało się w nim niemal tyle samo dziwacznych spraw, co w prawdziwym urzędzie. Tragedie i fulary, poezje i marynaty, nasiona do ogrodu i długie listy, muzyka i pierniki, gumki, zaproszenia, inwektywy i szczenięta. Starszemu panu także spodobała się ta gra i bawił się przesyłając dziwaczne pakunki, tajemnicze przesyłki i zabawne telegramy, a jego ogrodnik, który oczarowany był wdziękami Hanny, przesłał nawet do niej „przez grzeczność” Jo, prawdziwy list miłosny. Jakże się wszyscy śmiali, kiedy sekret się wydał, nikomu nie śniło się bowiem jeszcze wówczas, ile listów miłosnych przepląnąć miało przez tę małą pocztę w nadchodzących latach!

ROZDZIAŁ 11

EKSPERYMENTY

- Pierwszy lipca! Kingowie wyjeżdżają jutro nad morze i jestem wolna. Trzy miesiące wakacji - jak ja się na nie cieszę! - zawołała Meg, kiedy wróciła do domu pewnego ciepłego dnia i zastała Jo leżącą na sofie w stanie niezwykłego wyczerpania, podczas gdy Beth zdejmowała jej zakurzone buty, a Amy przygotowywała dla wszystkich lemoniadę.

- Ciotka March wyjechała dzisiaj, za co, och, niech będą stokrotne dzięki! - powiedziała Jo. - Śmiertelnie się bałam, że poprosi, żebym z nią pojechała. Gdyby tak zrobiła, czułabym się w obowiązku jechać, a w Plumfield jest równie wesoło jak na kościelnym dziedzińcu, więc doprawdy, dziękuję, ale nie. Mieliliśmy tyle zamieszania z wyprawieniem starszej pani, a ja drżałam, kiedy się tylko do mnie odezwała, bo tak bardzo się śpieszyłam, żeby już było po wszystkim, iż byłam nadzwyczaj pomocna i słodka i bałam się, że uzna wyjazd beze mnie za niemożliwy. Drżałam dopóki nie wsiadła do powozu, a i wtedy mnie przestraszyła, bo odjeżdżając już, wychyliła głowę przez okno i powiedziała: «Józefiino, czy nie chciałabyś?» Nie słyszałam reszty, bo po prostu odwróciłam się i uciekłam. Naprawdę biegłam, aż zniknęłam za rogiem, gdzie poczułam się bezpieczna.

- Moja biedna Jo! Wróciła wyglądając jakby ścigały ją niedźwiedzie - powiedziała Beth, głaszcząc po macierzyńsku stopę siostry.

- Ciotka March to prawdziwy *sampir*, prawda? - zauważyła Amy, krytycznie próbując przygotowywanej mikstury.

- Ona ma na myśli wampira, a nie rodzaj wodorostu, ale to nie ma znaczenia. Jest za ciepło, żeby zwracać uwagę na czyjeś słownictwo - mruknęła Jo.

- Co będziesz robiła w czasie wakacji? - zapytała Amy, zmieniając z wdziękiem temat.

- Ja będę do późna leżeć w łóżku i nic nie robić - odparła Meg z głębi fotela na biegunach.

- Przez całą zimę byłam zrywana do marszu wcześniej i musiałam spędzać całe dni pracując dla innych, więc teraz będę odpoczywać i delektować się tym do woli.

- Nie - powiedziała Jo - nie odpowiada mi takie drzemanie. Obłożyłam się stertą książek i mam zamiar upiększyć me świetlane godziny czytaniem na mojej grzędzie na starej jabłoni, kiedy nie będę wyprawiać szaleństw cała w s...

- Nie mów «skowronkach!» - pouczyła Amy, jako przytyk w odwecie za uwagę o *sampirach*.

- Więc powiem «w słowikach» - jak mawia Laurie. To będzie właściwe i poprawne, bo on jest przecież naszym śpiewakiem.

- Beth, nie każ nam obu odrabiać przez jakiś czas żadnych lekcji, tylko bawmy się i odpoczywajmy tak, jak mają to zamiar zrobić dziewczęta - zaproponowała Amy.

- Dobrze, jeśli mama się zgodzi. Chcę nauczyć się kilku nowych piosenek i moje dzieci należy przygotować do lata. Są w okropnym stanie i bardzo im są potrzebne ubrania.

- Czy możemy, mamó? - zapytała Meg, zwracając się do pani March, która siedziała szyjąc w tak zwanym „kąciku Marmisi. „

- Możecie przeprowadzić swój eksperyment przez tydzień i zobaczycie, jak wam się to spodoba. Myślę, że już w sobotę wieczorem uznacie, że zabawa bez żadnej pracy jest tak samo zła jak praca bez żadnej zabawy.

- Ależ skąd! Jestem pewna, że to będzie wspaniałe - powiedziała Meg w błogim rozmarzeniu.

- A teraz, jak mawia «moja przyjaciółka i wybawicielka, Sairey Gamp», proponuję toast. Za wieczną zabawę i precz z harówką! - zawołała Jo wstając ze szklanką w dłoni, kiedy lemoniada obiegła dokoła.

Wypiły wszystkie wesoło i rozpoczęły eksperymentowanie od wypoczywania przez całą resztę dnia. Następnego ranka Meg ukazała się dopiero o dziesiątej. Śniadanie w samotności nie było zbyt smaczne, a pokój wydawał się opuszczony i zaniedbany, bo Jo nie napełniła wazonów, Beth nie starła kurzy, a książki Amy leżały porozrzucane dookoła. Tylko „kącik Marmisi” był porządny i miły i wyglądał tak jak zawsze, i tam też usiadła Meg, żeby „poczytać i odpocząć”, to znaczy ziewać i wyobrazać sobie, jakie piękne letnie suknie kupi sobie za zarobione pieniądze. Jo spędziła poranek nad rzeką z Laurie, a popołudnie na czytaniu i płakaniu nad *Szerokim, szerokim światem* wysoko na jabłoni. Beth rozpoczęła od wygrzebania wszystkiego z dużej, rodzinnej szafy, ale zmęczycywszy się w połowie, zostawiła całe swe mienie w nieładzie i poszła grać, ciesząc się, że nie musi zmywać naczyń. Amy uporządkowała altankę, włożyła swoją najlepszą białą sukienkę, wygładziła loki i zasiadła pod kapryfolium do rysowania, mając nadzieję, że ktoś ją zauważy i zapyta, kim jest ta młoda artystka. Ale ponieważ nikt się nie pojawił poza jednym dociekliwym pajakiem, który z zainteresowaniem obejrzał jej dzieło, toteż poszła na spacer,

gdzie złapał ją deszcz i wróciła do domu przemoczona.

Przy herbacie porównały swoje wrażenia i wszystkie zgodziły się, że był to czarujący choć niezwykle długi dzień. Meg, która po południu poszła na zakupy i przyniosła „słodki błękitny muślin” odkryła dopiero po odcięciu szerokości, że nie można go prać, co nieco ją rozzłościło. Jo, przypiekła sobie nos podczas wiosłowania i dostała okropnego bólu głowy od zbyt długiego czytania. Beth była zmartwiona bałaganem w swojej szafie i miała kłopoty z nauczeniem się trzech czy czterech piosenek jednocześnie, a Amy głęboko ubolewała nad zniszczoną sukienką, gdyż następnego dnia miało być przyjęcie u Kąty Brown i teraz, niczym Flora Mc Flimsey „nie miała co na siebie włożyć”. Ale to wszystko były tylko drobiazgi i wszystkie zapewniły matkę, że eksperyment znakomicie się udawał. Ta, uśmiechnęła się, nic nie powiedziała i z pomocą Hanny wykonała za nie wszystkie zaniedbane prace, utrzymując dom w porządku i całą domową maszynię pracującą bez przeszkód. Zadziwiające było, jak dziwny i nieprzyjemny stan rzeczy spowodował ów proces „odpoczywania i leniuchowania”. Dni stawały się dłuższe i dłuższe; pogoda była niezwykle zmienna i podobnie zmienne były humory; wszystkich ogarnęło jakieś niespokojne uczucie i Szatan znajdował wiele psot dla bezczynnych rąk. Jako szczyt luksusu Meg odłożyła swoje szycie, po czym czas dłużył jej się tak przeraźliwie, że w rezultacie pocięła i zniszczyła ubrania, które próbowała przerabiać a la Moffat. Jo czytała, dopóki nie rozbolały jej oczy i nie miała dość książek, po czym stała się tak nieznośna, że nawet dobry z natury Laurie pokłócił się z nią, przez co tak podupadła na duchu, że zaczęła nawet żałować beznadziejnie, że nie wyjechała z ciotką March. Beth dawała sobie radę zupełnie nieźle, bo wciąż zapominała, że miała to być tylko zabawa i żadnej pracy i raz po raz powracała do swych zwykłych zajęć, ale i na nią wywarła wpływ ogólna atmosfera i dawny jej spokój nie raz był tak zakłócony, że za którymś razem schwyciła nawet biedną Joannę i nazwała ją „straszydłem”. Amy dawała sobie radę najgorzej, bo jej zasoby były najmniejsze i kiedy siostry pozostawiły ją, by sama się bawiła i sama sobą zajmowała, szybko poczuła, że ta doskonała i ważna osóbką jest nie lada ciężarem. Nie lubiła lalek, bajki były za dziecinne, a nie można przecież przez cały czas rysować; proszone herbatki niewiele pomagały, podobnie pikniki, chyba że bardzo dobrze zorganizowane. „Gdyby tak można mieć dom pełen miłych dziewczynek albo pojechać w podróż, wtedy lato byłoby cudowne, ale siedzieć w domu z trzema samolubnymi siostrami i dorosłym chłopakiem to wystarczy, by wyczerpać cierpliwość Boaza” - narzekała pani Malaprop po kilku dniach poświęconych przyjemnościom, grymasom i nudzie.

Żadna nie przyznałaby się, że zmęczone były eksperymentem, ale w piątek wieczorem wszystkie cieszyły się w duchu, że tydzień dobiegł już prawie końca. Pragnąc, by lekcja odniosła jeszcze głębszy skutek, pani March, która miała niemałe poczucie humoru, postanowiła zakończyć próbę w odpowiedni sposób, toteż dała Hannie wychodne i pozwoliła dziewczynkom zasmakować w pełni rezultatów ich zabawy.

Kiedy w sobotę rano wstały z łóżek, w kuchni nie był rozpalony ogień, w stołowym nie czekało śniadanie i nigdzie nie widać było matki.

- Litości, co się stało? - zawołała Jo, spoglądając wokół z niepokojem.

Meg pobiegła na górę i zaraz wróciła na dół nieco uspokojona, ale zarazem osłupiała i trochę zawstydzona.

- Mama nie jest chora, tylko bardzo zmęczona i mówi, że zostanie sobie spokojnie przez cały dzień w swoim pokoju, a my możemy robić, co nam się podoba. To bardzo u niej dziwne i nie zachowuje się ani trochę na swój zwykły sposób, ale mówi, że miała bardzo ciężki tydzień, więc nie powinniśmy narzekać tylko zająć się same sobą.

- Nic łatwiejszego i bardzo mi się ten pomysł podoba. Umieram za czymś do roboty - to znaczy, oczywiście, do zabawy - dodała pośpiesznie Jo.

W gruncie rzeczy była to doprawdy dla nich wielka ulga, że miały choć trochę pracy, toteż zabrały się do niej ochoczo, ale wkrótce przekonały się, jak prawdziwe było powiedzenie Hanny: „Prowadzić dom to nie żart”. W spiżarni było dużo jedzenia i podczas gdy Beth i Amy nakrywały do stołu, Meg i Jo przygotowały śniadanie, zastanawiając się jednocześnie dlaczego służące zawsze narzekają na ciężką pracę.

- Zaniosę trochę mamie, chociaż powiedziała, żeby o niej nie myśleć i że sama się o siebie zatroszczy - powiedziała Meg, która dowodziła i czuła się niemal jak matrona, siedząc za czajnikiem z herbatą.

Zanim więc ktokolwiek zaczął jeść, przygotowano tacę, która została zaniesiona na górę z życzeniami „smacznego” od kucharza. Ugotowana herbata była bardzo gorzka, omlet przypalony, a biszkopty w plamy z proszku do pieczenia, ale pani March przyjęła swój posiłek z podziękowaniem i szczerze się nad nim uśmieła, kiedy Jo już wyszła.

- Biedne maleństwa, obawiam się, że będzie im ciężko, ale nie nacierpią się wiele, a tylko im to dobrze zrobi - powiedziała, wyjmując nieco bardziej zjadalny prowiant, w który zawczasu się zaopatrzyła, a wyrzucając nieudane śniadanie tak, by ich uczucia nie zostały urażone - drobne

matczyne oszustwo, za które bardzo byłyby jej wdzięczne, gdyby o nim wiedziały.

Na dole wiele było narzekań i wielki był smutek głównego kucharza z powodu klęski. - Nic nie szkodzi, ja zrobię kolację i będę służącą. A ty będziesz damą, zadbasz o swoje dłonie, posiedzisz w towarzystwie i będziesz wydawać polecenia - powiedziała Jo, która знаła się na sztuce kulinarnej jeszcze mniej niż Meg.

Uprzejma ta propozycja została przyjęta z radością i Margaret wycofała się do bawialni, którą pośpiesznie doprowadziła do porządku zmiatając śmieci pod kanapę i zamykając żaluzje, żeby nie musieć potem ścierać kurzy. Jo, z absolutną wiarą w swe umiejętności i w przyjaznym zamiarze pogodzenia się, natychmiast włożyła do skrzynki list zapraszający Laurie na kolację.

- Sprawdź lepiej najpierw co masz, zanim zaczniesz zapraszać gości - powiedziała Meg, poinformowana o gościnnym, acz pochopnym uczynku.

- Och, jest duszona wołowina i pełno ziemniaków, a do tego zrobię jakieś szparagi i homara «na smak», jak mawia Hanna. I zrobimy sałatkę z zielonej sałaty. Nie wiem jak, ale w książce jest przepis. Na deser będzie galaretka mleczna i truskawki, a nawet kawa, jeśli chcesz, żeby było elegancko.

- Nie łap zbyt wielu srok za ogon, Jo, bo tylko ciastka imbirowe i karmelki robisz tak, że nadają się do jedzenia. Ja umyvam ręce od tej kolacji, a skoro na własną odpowiedzialność zaprosiłaś Laurie, to sama się teraz nim zajmiesz.

- Nie chcę od ciebie niczego, ponadto żebyś była dla niego miła i pomogła przy budyniu. Poradzisz mi przecież, jeśli wpadnę w kabałę, prawda? - zapytała Jo, nieco dotknięta.

- Tak, ale niewiele się na tym znam, poza chlebem i paroma drobiazgami. I lepiej poproś mamę o pozwolenie, zanim zaczniesz cokolwiek zamawiać - odpowiedziała ostrożnie Meg.

- Oczywiście, że poproszę. Nie jestem szalona. I Jo odeszła obrażona wątpliwościami wyrażonymi pod adresem jej umiejętności.

- Kupuj, co chcesz i nie przeszkadzaj mi. Wychodzę na obiad i nie mogę zajmować się tym, co się dzieje w domu - powiedziała pani March, kiedy Jo poszła z nią porozmawiać. - Nigdy nie przepadałam za prowadzeniem domu, toteż dziś postanowiłam zrobić sobie wakacje, czytać, pisać, iść z wizytą i mieć trochę rozrywki.

Niezwykły widok matki, z reguły zajętej, a teraz, wcześniej z rana kołyszącej się z książką w fotelu, sprawił na Jo takie wrażenie jakby nastąpiła jakaś klęska żywiołowa; bo doprawdy zaćmienie słońca, trzęsienie ziemi, czy wybuch wulkanu, nie wydałyby jej się dziwniejsze.

- Wszystko jest jakoś nie tak jak powinno - mówiła do siebie schodząc na dół. - Beth płacze. To pewny znak, że coś w tej rodzinie nie jest w porządku. Jeśli to Amy jej dokucza, to już ja jej pokażę.

Czując się sama dość nieswojo, Jo pośpieszyła do bawialni, gdzie zastała Beth łkającą nad Pipkiem, kanarkiem, który martwy leżał w swojej klatce, z patetycznie wyciągniętymi łapkami, jakby błagając o jedzenie, z braku którego zmarł.

- To wszystko moja wina - zapomniałam o nim - nie ma tu ani ziarenka, ani kropli. Och, Pipek! Och, Pipek! Jak mogłam być dla ciebie tak okrutna? - płakała Beth, biorąc biedaka w dłonie i starając się go przywrócić do życia.

Jo zajrzała w jego na wpół otwarte oczy, posłuchała małego serduszka, a widząc, że jest sztywny i zimny, potrząsnęła głową i zaproponowała na trumnę swoje pudełko od domina.

- Połóż go na piecu, to może się rozgrzeje i ożyje - powiedziała z nadzieją Amy.

- Został zagłodzony i nie powinien być do tego jeszcze pieczony, teraz po śmierci. Przygotuję mu całun i zostanie pochowany w ogrodzie i już nigdy nie będę miała innego ptaszka, nigdy, mój Pipku, bo nie jestem tego warta - mruzczała Beth, siedząc na podłodze ze swoim ulubieńcem w dłoniach.

- Pogrzeb odbędzie się po południu i wszyscy będziemy uczestniczyć. A teraz nie płacz już, Bethy. To szkoda, ale w tym tygodniu nic nie dzieje się tak jak powinno i Pipek padł ofiarą eksperymentu. Przygotuj całun i ulóż go w moim pudełku, a po kolacji urządzimy mu miły mały pogrzeb - powiedziała Jo, czując się tak jakby podjęła się poważnych zadań.

Pozostawiając pozostałe siostry na pocieszeniu Beth, Jo wyszła do kuchni, która znajdowała się w stanie najbardziej odstrasającego chaosu. Włożywszy ogromny fartuch, zabrała się do pracy i ustawiła wszystkie naczynia do zmywania, kiedy odkryła, że tymczasem zgasł ogień.

- Oto urocza perspektywa! - mruknęła Jo, otwierając z trzaskiem drzwiczki kuchenki i grzebiąc w popiele pogrzebaczem.

Rozpalwszy w piecu postanowiła, w czasie kiedy woda będzie się grzała, pójść na targ. Spacer podniósł ją na duchu i zachwycona swoimi znakomitymi zakupami, ruszyła objuczona do domu, po nabyciu bardzo młodego homara, bardzo starych szparagów i dwóch pudełek kwaśnych truskawek. Kiedy uporała się ze sprzątaniami, nadeszła pora kolacji, a tu piec rozpalony był do czerwoności. Hanna zostawiła dzieżę z zaczynionym chlebem, Meg wyrobiła go nieco wcześniej

i postawiła na piecu do wyrośnięcia, po czym zapomniała o nim. Meg przyjmowała właśnie w bawialni Sallie Gardiner, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły i ukazała się w nich zachlapana, potargana, usmolona sadzą i ubielona mąką postać, która zapytała zgryźliwie:

- Czy kiedy chleb wylewa się z miski, to można uznać, że dość już wyrósł?

Sallie zaczęła się śmiać, ale Meg skinęła tylko głową i uniosła brwi tak wysoko jak tylko się dało, co skłoniło zjawę do zniknięcia i wsadzenia chleba do pieca bez dalszej zwłoki. Pani March wyszła z domu, zajrzawszy uprzednio tu i tam, by sprawdzić jak się sprawy mają, i powiedzieć słowo pociechy Beth, która siedziała przygotowując całun, podczas gdy drogi zmarły spoczywał w pokoju, w pudełku po dominie. Dziwne uczucie bezradności spadło na dziewczęta, kiedy szary czepiek zniknął za rogiem, a kilka minut później ogarnęła je rozpacz, bo pojawiła się pani Crocker mówiąc, że przyszła na kolację. Dama ta była to chuda i żółta stara panna, o ostrym nosie i badawczym wzroku, która widziała wszystko i plotkowała o wszystkim, co widziała. Dziewczęta nie lubiły jej, ale wiedziały, że powinny być dla niej grzeczne, choćby dlatego, że była stara i biedna i miała niewielu przyjaciół. Toteż Meg podsunęła jej fotel i starała się ją zabawić, podczas gdy ona wypytywała, krytykowała wszystko i opowiadała historie o osobach, które znała.

Żaden język nie opisze tych lęków, emocji i wysiłków jakich doświadczyła tego dnia Jo, a obiad, który podała, przeszedł do historii jako niezawodny dowcip. Obawiając się prosić ponownie o radę, starała się sama zrobić co mogła, i odkryła, że poza energią i dobrą wolą, jeszcze czegoś potrzeba, by stać się dobrym kucharzem. Szparagi gotowała przez godzinę i z rozpaczą ujrzała rozgotowane główki, a łodygi twardsze niż przedtem. Chleb przypalił się na czarno, gdyż sos do sałaty tak ją rozzłościł, że nie zwracała uwagi na nic innego, dopóki nie przekonała się, że nie jest w stanie przygotować go tak, by nadawał się do jedzenia. Homar był dla niej szkarłatną tajemnicą, ale stuknęła i szturchnęła w niego tak długo aż został obrany ze skorupy, a jego znikoma postać zniknęła w gaju sałacianych liści. Ziemniaki musiały się śpieszyć, by nie kazać zbyt długo czekać szparagom, toteż w rezultacie nie były dogotowane. Galaretką mleczną miała pełno gruzołów, a truskawki okazały się nie tak dojrzałe jak wyglądały, kiedy tylko te najładniejsze widoczne były na wierzchu pudełka.

- Och, mogą jeść wołowinę i chleb z masłem, jeśli są głodni, tyle, że to straszne spędzić tak całe przedpołudnie zupełnie na niczym - myślała Jo, kiedy dzwoniła na obiad pół godziny później niż zwykle i stała zgrzana, zmęczona i zrezygnowana, patrząc na ucztę, którą wydawała

dla przyzwyczajonego do wszelkich wykwestów Laurie i pani Crocker, której wścibskie oczy zauważą niewątpliwie wszelkie niedociągnięcia, a plotkarski język opowie o nich wszem i wobec.

Biedna Jo miała ochotę wejść pod stół, kiedy jedno danie po drugim było próbowane i odstawiane. Amy chichotała, Meg wyglądała na nieszczęśliwą, pani Crocker ściągała wargi a Laurie rozmawiał i żartował z całych sił, żeby nadać uczcie nieco weselszy ton. Mocnym punktem Jo okazały się truskawki, bo posypała je porządnie cukrem i podała do nich dzbanek znakomitej śmietany. Jej gorące policzki ochłodziły nieco i wciągnęła głęboki oddech, kiedy ładne szklane talerzyki obieżyły stół i wszyscy spoglądali z wdzięcznością na małe różowe wysepki pływające w morzu śmietany. Pani Crocker pierwsza spróbowała i zrobiła dziwną minę, po czym pośpiesznie napiła się wody. Jo, która odmówiła ich jedzenia, bojąc się, że nie wystarczy dla wszystkich, bo dziwnie ich ubyło po obraniu, spojrzała na Laurie, ale on zajadał po męsku, choć miał podejrzaną zmarszczkę w kąciku warg, a wzrok utkwiony w talerzu. Amy, która przepadała za łakociami, nabrała kopiastrą łyżkę, zakrzuszyła się, ukryła twarz w serwetce, po czym pośpiesznie wstała od stołu.

- Och, co się stało? - wykrzyknęła Jo drżąc.

- Sól zamiast cukru, a śmietana jest kwaśna - odparła Meg, z tragicznym gestem.

Jo wydała z siebie jęk i opadła na krzesło, przypominając sobie, że ostatni raz pośpiesznie posypała truskawki z dwóch pudeł stojących na kuchennym stole i że zapomniała wstawić mleko do lodu. Zrobiła się purpurowa i miała się już rozpląkać, kiedy wzrok jej napotkał oczy Laurie, śmiejące się mimo jego heroicznego wysiłków. Uderzyła ją nagle komiczna strona całego wydarzenia i wybuchnęła śmiechem tak, że łzy popłynęły jej po policzkach. W jej ślady poszli wszyscy pozostali, nawet „Krokietka”, jak nazywały starą damę dziewczynki i niefortunny obiad zakończył się wesoło na chlebie z masłem, oliwkach i żartach.

- Nie mam teraz dość siły umysłu na sprzątanie, więc spoważnijemy nieco przy pogrzebie - powiedziała Jo, kiedy wstali, a pani Crocker gotowa już była do wyjścia, niecierpliwa, by opowiedzieć całą historię przy stole innych przyjaciół.

Spoważnieli więc ze względu na Beth. Laurie wykopał grób w zagajniku pod paprociami i mały Pipek został tam, pośród wielu łez, złożony przez swą czułą właścicielkę, przykryty mchem, a wieniec z fiołków i ptasiego zieleń powieszono na kamieniu, który ozdabiała epitafium skomponowane przez Jo podczas jej obiadowych zmagania:

*Tu drogi nasz Pipek March spoczywa,
Który zmarł był czerwca siódmego;
Gorzko będziemy go oplakiwać,
I nieprędko zapomnimy go.*

Po zakończeniu uroczystości Beth z uczuciem ciężkości, jakie wywołał nadmiar wrażeń i zjedzony homar, odeszła do swojego pokoju, ale nie było tam gdzie odpocząć, bo łóżka nie zostały pościelone toteż smutek jej znacznie się rozwił w trakcie ubijania poduszek i doprowadzania wszystkiego do ładu. Meg pomogła Jo posprzątać resztki po przyjęciu co zajęło im pół popołudnia i przypawiło je o takie zmęczenie że postanowiły zadowolić się na kolację herbatą i grzanką. Laurie zabrał Amy na przejażdżkę, co było aktem miłosierdzia, bo kwaśna śmietana wywarła bardzo zły wpływ na jej humor. Wróciwszy do domu pani March zastała trzy starsze dziewczynki przy ciężkiej pracy w pełni popołudnia, a jedno spojrzenie na kredens dało jej pojęcie o sukcesie przynajmniej części eksperymentu.

Zanim gosposie miały chwilę na to, by odpocząć, pojawiło się kilka osób i należało się w pośpiechu przygotować, by je przyjąć i podać herbatę, potem zaś załatwić sprawunki i nadrobić jedną czy dwie krawieckie poprawki odłożone na ostatnią chwilę. Kiedy nadszedł zmierzch, a z nim rosa i spokój, na werandzie, gdzie czerwcowe róże rozwijały pięknie swe pąki, zebrały się jedna po drugiej dziewczynki i wszystkie po kolei usiadły z westchnieniem lub jękiem, jakby czymś zmęczone czy zmartwione.

- Jakiż to był straszny dzień! - zaczęła Jo, która zwykle odzywała się pierwsza.

- Zdawał się krótszy niż zwykle, ale taki nieprzyjemny - powiedziała Meg.

- Ani troszkę nie jak w domu - dodała Amy.

- Nie mogło być inaczej bez Marmisi i małego Pipka - westchnęła Beth, spoglądając ze łzami w oczach na pustą klatkę wiszącą nad jej głową.

- Tu jest matka, kochanie, a jutro, jeśli chcesz, dostaniesz nowego ptaszka.

Mówiąc to pani March podeszła i zajęła wśród nich swoje miejsce, wyglądając tak, jakby i jej wakacje nie były wiele bardziej udane.

- Czy zadowolone jesteście ze swego eksperymentu, dziewczynki, czy może chcecie spróbować jeszcze przez tydzień? - zapytała, podczas gdy Beth przytuliła się do niej, a pozostałe

zwróciły ku niej rozjaśnione twarze, tak jak słoneczniki obracają się ku słońcu.

- Ja nie chcę! - zawołała zdecydowanie Jo.

- Ani ja - zawtórowały jej pozostałe.

- Uważacie więc, że lepiej jest mieć nieco obowiązków i żyć trochę także dla innych?

- Odpoczywanie i wálkonienie się nie popłaca - zauważyła Jo, potrząsając głową. - Jestem tym zmęczona i mam zamiar zabrać się natychmiast za robienie czegoś.

- A może po prostu nauczysz się gotować? Jest to pożyteczna umiejętność, która konieczna jest każdej kobiecie - powiedziała pani - March, śmiejąc się niesłyszalnie na wspomnienie prozonego obiadu Jo, gdyż. spotkała panią Crocker i wysłuchiwała dokładnej relacji.

- Mamo, czy wyszłaś zostawiając wszystko własnemu losowi, żeby sprawdzić, jak sobie poradzimy? - zapytała Meg, która przez cały dzień coś podejrzewała.

- Tak, chciałam żebyście zobaczyły, że wygoda wszystkich zależy od tego, by każda starannie wykonywała, to co do niej należy. Kiedy obie z Hanną pracowałyśmy za was, dawałyście sobie radę całkiem nieźle, chociaż nie sądzę, żebyście były bardzo szczęśliwe czy też sympatyczne, toteż pomyślałam, że w charakterze małej lekcji pokażę wam co się dzieje, kiedy każdy myśli tylko o sobie. Czy nie uważacie, że przyjemniej jest pomagać sobie i mieć codzienne obowiązki, które czynią odpoczynek słodszy, gdy nadchodzi, a także znosić trudy, aby dom był wygodny i ukochany dla nas wszystkich?

- Tak, mamo, tak uważamy! - zawołały dziewczynki.

- Więc pozwólcie, że poradzę wam, żebyście, podniosły znów swoje małe tobołki, bo mimo że czasem wydają się ciężkie, to dobrze nam robią i stają się lżejsze, gdy nauczymy się je nieść. Praca to zdrowie i jest jej dość dla każdego. Broni nas przed nudą i złymi uczynkami, jest dobra dla ciała i dla ducha i daje nam poczucie siły i niezależności większe niż pieniądze czy moda.

- Będziemy pracowały jak pszczołki i to w dodatku z ochotą. Sama się przekonasz! - zawołała Jo. - W ramach mojego wakacyjnego zadania nauczę się zwykłego gotowania i mój następny prozony obiad będzie sukcesem.

- A ja, mamo, wyręcę cię przy szyciu kompletu koszul dla ojca. Umieję to robić i zrobię, mimo że nie przepadam za szyciem. To będzie znacznie lepsze niż wydziwianie nad moimi własnymi ubraniami, które są całkiem ładne takie, jakie są - powiedziała Meg.

- Ja będę odrabiała codziennie lekcje, zamiast spędzać tyle czasu nad moimi nutami i

lalkami. Jestem taka głupiutka i powinnam uczyć się, a nie bawić - takie było postanowienie Beth, podczas gdy Amy podążyła jej śladem deklarując bohatercko: - Nauczę się jak obszywać dziurki do guzików i poprawię się z gramatyki.

- Bardzo dobrze! W takim razie jestem całkowicie zadowolona z eksperymentu i mam nadzieję, że nie będziemy go musiały powtarzać. Nie popadnijcie tylko w odwrotną skrajność i nie harujcie jak niewolnice. Ustalcie sobie stałe godziny pracy i zabawy, sprawcie, by każdy dzień był zarazem użyteczny i przyjemny i udowodnijcie, że rozumiecie wartość czasu poprzez dobre wykorzystywanie go. A wtedy młodość będzie cudowna, starość przyniesie niewiele żalu, a życie mimo biedy okaże się pięknym sukcesem.

- Będziemy pamiętały, mamó! - I pamiętały.

ROZDZIAŁ 12

OBÓZ LAURENCE

Beth została poczmistrzem, gdyż przebywając zazwyczaj w domu, mogła zajmować się tym regularnie i bardzo lubiła swój codzienny obowiązek otwierania małych drzwiczek i rozdawania wszystkim poczty. Pewnego lipcowego dnia przyszła do domu z całym naręczem i chodziła dookoła zostawiając listy i paczki niczym prawdziwy listonosz.

- Oto bukiet dla ciebie, mamo! Laurie nigdy o nim nie zapomina - powiedziała, wkładając świeżą wiązaną do wazonu, który stał w „kąciku Marmisi” i zaopatrywany był regularnie przez serdecznego chłopca.

- Panna Meg March, list i rękawiczka - ciągnęła Beth, wręczając wymienione artykuły siostrze, która siedziała obok matki, fastrygując mankiety.

- Jak to, zostawiłam tam całą parę, a tu jest tylko jedna - powiedziała Meg, spoglądając na szarą bawełnianą rękawiczkę.

- Beth, może zgubiłaś drugą w ogrodzie?

- Nie, na pewno nie zgubiłam, w skrzynce była tylko jedna.

- Nie cierpię mieć rękawiczek nie do pary! Nie szkodzi, może znajdzie się i druga. Mój list to tylko przekład niemieckiej pieśni, o który prosiłam. Myślę, że zrobił go pan Brooke, bo to nie jest pismo Laurie.

Pani March rzuciła okiem na Meg, która wyglądała bardzo ładnie, a zarazem bardzo kobieco w swojej przedpołudniowej sukience w kratkę i z drobnymi loczkami powiewającymi wokół czoła, kiedy tak siedziała pochylona nad szyciem przy swoim małym stoliku pełnym równo poukładanych białych szpulek. Szyła i śpiewała pozwalając swym palcom fruwać przy pracy, a myślom zajmować się dziewczęcymi marzeniami, niewinnymi i świeżymi jak bratki przypięte u jej paska i zdawała się być tak nieświadoma myśli, która przyszła matce do głowy, że pani March uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Dwa listy dla Doktor Jo, książka i śmieszny stary kapelusz, który wetknięty na zewnątrz, przykrywał całą skrzynkę pocztową - powiedziała Beth, kiedy śmiejąc się szła do gabinetu, gdzie Jo siedziała przy pisaniu.

- Jakiż szczywany jegomość z tego Laurie! Powiedziałam mu, że żałuję, że nie są w

modzie większe kapelusze, bo każdego gorącego dnia przypiekam sobie twarz. On na to: «Po co się przejmować modą? Noś duży kapelusz, skoro ci tak wygodnie!» Ja mu na to powiedziałam, że nosiłabym, gdybym miała taki, a on teraz przysłał mi ten, żeby mnie wypróbować. A właśnie, że włożę go dla żartu i pokażę mu, że nie dbam o modę. I odwieszając szerokoskrzydły antyk na popiersiu Platona, Jo przystąpiła do czytania swoich listów.

Pierwszy, od matki, sprawił, że policzki jej zapłonęły, a oczy napęłniły się łzami, gdyż napisane tam było:

Kochanie moje

Piszę te kilka słów, żeby ci powiedzieć, z jakim zadowoleniem obserwuję starania, jakich dokładasz, by kontrolować swe zachowanie. Nie mówisz nic o swych próbach, porażkach i sukcesach i być może myślisz, że nikt ich nie dostrzega, poza Przyjacielem, o którego pomoc prosisz co dzień, jak sędzę po wytartej okładce twego przewodnika. Ja także widzę twe wysiłki i z całego serca wierzę w szczerą twego postanowienia, gdyż zaczyna już ono rodzić owoce. Postępuj tak nadal, kochanie, cierpliwie i odważnie i zawsze pamiętaj, że nikt nie podziela twych uczuć czulej niż twa kochająca

matka.

- Tak mi to dobrze zrobiło. To warte milionów i beczek pochwał. Och, Marmis, naprawdę próbuję! Będę nadal próbowała i nie zmęczone się, bo mam przecież ciebie do pomocy.

Złożywszy głowę na ramionach Jo zmoczyła swój romans kilkoma łzami szczęścia, gdyż rzeczywiście myślała, że nikt nie dostrzegał i nie doceniał jej wysiłków, by być lepszą, toteż otrzymane zapewnienie było podwójnie cenne, podwójnie dodawało odwagi, jako że tak nieoczekiwane i że pochodziło od osoby, której pochwałę ceniła najwyżej. Czując w sobie więcej niż kiedykolwiek sił na spotkanie i pokonanie Apollyona, przypięła sobie liścik pod spód bluzki, niczym tarczę i przypomnienie w razie gdyby czujność jej miała osłabnąć, po czym przystąpiła do czytania drugiego listu, przygotowana teraz zarówno na dobre, jak i złe wiadomości. Wielkimi, śmiały literami, Laurie pisał:

Droga Jo,

Hej ho!

Ma mnie jutro odwiedzić parę dziewcząt i chłopców z Anglii i chciałbym zorganizować świetną zabawę. Jeśli będzie ładna pogoda, mam zamiar rozbić namiot w Longmeadow i powiosłować tam ze wszystkimi na piknik i krykieta - urządzimy ognisko, posiłek na trawie, cygańskie stroje i wszelkie inne swawole. Oni są bardzo mili i lubią takie zabawy. Brooke pojedzie z nami, żeby chłopcy zachowywali się statecznie, a Kate Vaughn będzie uważała na dziewczynki. Chcę, żebyście wszystkie przyszły. Nie zwolnię Beth za żadne skarby i nikt nie będzie jej niepokoił. Nie martw się o aprowizację - zadbam o to i o wszystko inne - tylko na pewno przyjdź, bądź dobrym kumplem!

*W rozdzierającym pośpiechu,
Zawsze twój,
Laurie.*

- Oto coś wspaniałego! - zawołała Jo, wpadając do pokoju, by przekazać nowinę Meg.

- Możemy oczywiście pójść, prawda mam? Będzie to duża pomoc dla Laurie, bo ja potrafię wiosłować, a Meg może dopilnować posiłku, a dziewczynki też się jakoś przydadzą.

- Mam nadzieję, że Vaughnowie nie są eleganckimi dorosłymi osobami. Czy wiesz coś o nich, Jo? - zapytała Meg.

- Tyle tylko, że jest ich czworo. Kate jest starsza od ciebie, Fred i Frank - bliźnięta - są mniej więcej w moim wieku, a mała dziewczynka - Grace - ma dziewięć czy dziesięć lat. Laurie poznał ich za granicą i polubił chłopców. Po sposobie, w jaki ściąga wargi, kiedy mówi o Kate. wnoszę, że zbyttno za nią nie przepada.

- Tak się cieszę, że moja sukienka we francuski wzór jest czysta; doskonale się nadaje i bardzo mi w niej ładnie! - zauważyła Meg z zadowoleniem. - Czy ty masz coś porządnego, Jo?

- Czerwono - szary komplet wiosłarski, zupełnie mi wystarczy. Będę wiosłować i biegać dookoła, więc nie chcę zawracać sobie głowy żadnymi krochmalami. Pójdiesz z nami, Bethy?

- Jeśli nie pozwolicie żadnemu chłopcu odezwać się do mnie.

- Żadnemu chłopcu!

- Chciałabym zrobić przyjemność Laurie i nie boję się pana Brooke, jest taki miły, ale nie chcę grać ani śpiewać, ani nic mówić. Będę ciężko pracowała i nikt nie będzie miał ze mną kłopotu, a ty się mną zaopiekujesz, Jo, więc chyba pójdę.

- Oto moja dobra dziewczynka. Starasz się pokonać swoją nieśmiałość i kocham cię za to. Zwalczanie własnych wad nie jest łatwe, coś o tym wiem, i dobre słowo podnosi nieco na duchu. Dziękuję, mammo.

I Jo złożyła na wiotkim policzku pocałunek wdzięczności, który dla pani March cenniejszy był niż gdyby przywracał jej twarzy różaną okrągłość młodości.

- A ja dostałam pudełko czekoladek i obrazek, który chciałam skopiować - powiedziała Amy pokazując swoją pocztę.

- A ja dostałam list od pana Laurence z prośbą, żeby przysłała i zagrała dla niego zanim zapala lampy, i oczywiście pójdę - dodała Beth, której przyjaźń ze starszym panem ostatecznie rozkwitła.

- A teraz pędźmy, by popracować dziś podwójnie, tak żebyśmy jutro mogły się bawić z czystym sumieniem - powiedziała Jo, gotowa już, by zamienić pióro na szczotkę.

Kiedy następnego dnia wczesnym rankiem słońce zajrzało do pokojów dziewcząt, aby obiecać im piękną pogodę, ujrzało komiczny zaiste widok. Każda dokonała takich przygotowań do pikniku, jakie zdały jej się konieczne i właściwe. Meg miała nad czołem dodatkowy rząd papilotów, Jo obficie nasmarowała obolałą twarz chłodzącym kremem, Beth wzięła do swego łóżka Joannę, by wynagrodzić jej nadchodzącą rozłakę, a Amy prześcignęła wszystkich zakładając sobie na nos spinacz do bielizny, aby uszlachetnić jego obraźliwy wygląd. Był to jeden z takich spinaczy, jakich malarze używają do przytrzymywania papieru na swoich deskach kreślarskich, a więc jak najbardziej odpowiedni i skuteczny dla celu, w którym został wykorzystany. Prześmieszny ten widok zdawał się bawić słońce, które wybuchnęło takim światłem, że Jo otworzyła oczy i obudziła siostry serdecznym śmiechem nad ozdobą Amy.

Słońce i śmiech był to dobry omen na nadchodzące przyjęcie i wkrótce w obu domach rozpoczęła się ożywiona krzątanina. Beth, która pierwsza była gotowa, donosiła, co działo się u sąsiadów i urozmaicała toaletę siostr częstymi telegramami spod okna.

- Właśnie przyszedł człowiek z namiotem. Widzę panią Barker jak przygotowuje jedzenie w wielkich koszach. Teraz pan Laurence patrzy na niebo i na kurka na dachu. Chciałabym, żeby i on z nami jechał. A oto Laurie, ubrany jak marynarz - jaki to ładny chłopiec! Och, litości, nadjechał powóz pełen ludzi - wysoka dama, mała dziewczynka i dwóch okropnych chłopaków. Jeden z nich utyka, idzie o kulach. Laurie nic nam o tym nie powiedział. Pośpieszcie się dziewczynki, już późno. Och, daję wam słowo, że to Ned Moffat. Spójrz, Meg, czy to nie jest ten

mężczyzna, który ci się uklonił któregoś dnia, kiedy byliśmy na zakupach?

- Tak, to on. Jakie to dziwne, że przyszedł. Myślałam, że był w górach. A oto Sallie. Cieszę się, że zdążyła wrócić. Czy dobrze wyglądam, Jo? - wołała Meg w podnieceniu.

- Prawdziwa Daisy. Przytrzymaj sukienkę i włoż prosto kapelusz. Podwinięty wygląda sentymentalnie i odleci za pierwszym podmuchem. No, już, chodźcie!

- Och, Jo, nie masz chyba zamiaru włożyć tego okropnego kapelusza? To zbyt absurdalne! Nie będziesz robiła z siebie pośmiewiska - zaprotestowała Meg widząc, że Jo zawiązuje czerwoną wstążką szerokoskrzydły, staromodny, słomiany kapelusz, który Laurie przysłał jej dla żartu.

- A właśnie, że mam zamiar, bo jest po prostu znakomity - taki cienisty, lekki i duży. Będzie zabawnie i wcale mi nie przeszkadza, że będę pośmiewiskiem, skoro mi wygodnie. Co powiedziawszy Jo wymaszerowała, a za nią reszta - wesola mała grupka sióstr, o szczęśliwych twarzach pod wesółymi rondami kapeluszy, wyglądających najlepiej jak potrafiły w swoich letnich strojach.

Laurie wybiegł im na spotkanie i w najserdeczniejszy sposób przedstawił je swoim przyjaciółom. Trawnik pełnił funkcję salonu przyjęć i przez kilka minut rozgrywała się tam ożywiona scena. Meg z ulgą zauważyła, że panna Kate mimo swych dwudziestu lat ubrana była z prostotą, którą amerykańskim dziewczętom nie zaszkodziłoby czasem naśladować, i niezwykle pochlebila jej uwaga pana Neda, że przyszedł specjalnie, aby ją zobaczyć. Jo zrozumiała, dlaczego Laurie „ściągał wargi”, kiedy mówił o Kate, albowiem młoda ta dama miała wygląd „nie - podchodź - nie - dotykaj”, który był w żywym kontraście ze swobodnym zachowaniem innych dziewcząt. Beth przyjrzała się nowym chłopcom i zdecydowała, że ten kulejący nie był „okropny”, lecz łagodny i słaby, i postanowiła w związku z tym być dla niego miła. Amy uznała Grace za dobrze wychowaną, wesolą osóbkę i przyjrawszy się sobie przez kilka minut bez słowa natychmiast zostały bardzo dobrymi przyjaciółkami.

Namioty, jedzenie i przybory do krykieta wysłane zostały przodem, toteż całe towarzystwo zaokrętoowało się wkrótce i dwie łodzie odbiły jednocześnie, pozostawiając na brzegu machającego kapeluszem pana Laurencę. Laurie i Jo wiosłowali w jednej łodzi, a pan Brooke i Ned w drugiej, podczas gdy Fred Vaughn, buntowniczy bliźniak, robił co mógł, żeby im przeszkadzać, wiosłując obok w małej łódce, niczym natrętny wodny owad. Zabawnemu kapeluszu Jo należały się podziękowania, gdyż okazał się niezwykle przydatny; przełamał

początkowe lody, wywołując ogólne rozbawienie; dostarczał ożywczego powiewu wachlując tam i z powrotem, kiedy wiosłowała, a - jak dodała - w razie deszczu mógł posłużyć całemu towarzystwu jako parasol. Kate zdawała się dość oszołomiona zachowaniem Jo, zwłaszcza gdy ta wykrzyknęła „Na Krzysztofa Kolumba!” kiedy zgubiła wiosło, czy też, gdy Laurie zapytał: „Czy uderzyłem cię, mój stary?” - kiedy potknął się o jej nogę w drodze na swoje miejsce. Ale podniósłszy lorgnon, by przyjrzeć się kilkakrotnie dziwnej dziewczynce, panna Kate zdecydowała, że była ona „dziwaczna, lecz raczej inteligentna” i uśmiechnęła się do niej z daleka.

Siedząca w drugiej łodzi Meg miała wspaniałe miejsce, naprzeciw obu wiosłarzy, którzy podziwiali widok i naciskali wiosła z niezwykłą - siłą i zręcznością. Pan Brooke był to poważny, małowówny młody człowiek o ładnych brązowych oczach i przyjemnym głosie. Meg podobało się jego spokojne zachowanie i uważała go za chodzącą encyklopedię pożytecznych wiadomości. Nigdy z nią wiele nie rozmawiał, ale spoglądał na nią często i była pewna, że nie odnosił się do niej z awersją. Ned, który był już na uniwersytecie, przyjmował oczywiście wszelkie pozy, jakie nowi studenci uważają za swój święty obowiązek przyjmować. Nie był on zbyt mądry, ale miał miłe usposobienie i w sumie był znakomitą osobą do zapraszania na piknik. Sallie Gardiner zajęta była pilnowaniem, żeby nie pobrudzić swojej sukienki z białej piki oraz rozmową z wszechobecnym Fredem, którego psoty wywoływały nieustający strach Beth.

Do Longmeadow nie było daleko, ale kiedy przybili, namioty były już rozbite, a bramki do krykieta ustawione na przyjemnym zielonym polu, z trzema rozłożystymi dębami pośrodku i równym pasem darni do gry.

- Witam w Obozie Laurence! - powiedział młody gospodarz, kiedy wysiadali z okrzykami zachwyty.

- Brooke jest głównodowodzącym, ja jestem komisarzem specjalnym, a pozostali panowie oficerami sztabowymi, a wy, panie, zaproszonymi gośćmi. Namiot jest specjalnie dla waszych potrzeb, pod tamtym dębem jest bawialnią, tu jest mesa, a pod tym trzecim kuchnia polowa. Zagrajmy teraz, zanim zrobi się gorąco, a potem pomyślimy o obiedzie.

Frank, Beth, Amy i Grace usiedli, by przyglądać się grze pozostałej ósemki. Pan Brooke wybrał Meg, Kate i Freda. Laurie wziął Sallie, Jo i Neda. Anglicy grali dobrze, ale Amerykanie lepiej i walczyli o każdy piędź ziemi tak, jakby przyświecał im duch 76 roku. Jo i Fred stoczyli kilka potyczek, a raz o włos tylko uniknęli ostrej wymiany słów. Jo przechodziła już przez

ostatnią bramkę, kiedy nie trafiła i klęska ta porządnie ją rozzłościła. Fred był tuż za nią i jego kolej nadeszła wcześniej. Uderzył, jego piłka trafiła w bramkę i zatrzymała się o cal po złej stronie. Nikogo nie było w pobliżu, toteż kiedy pobiegł, żeby sprawdzić wynik, przesunął nieznacznie piłkę stopą, tak że znalazła się dokładnie o cal po dobrej stronie.

- Przeszedłem! Teraz, rozprawię się z tobą, panno Jo, i skończę pierwszy - zawołał młody człowiek, sposobiąc swój drewniany młotek do kolejnego uderzenia.

- Przesunąłeś piłkę. Widziałam cię. Teraz moja kolej - powiedziała ostro Jo.

- Daję słowo, że nie przesunąłem. Być może trochę się przeturlała, ale to jest dozwolone, więc odsuń się, proszę i pozwól mi ruszyć na słupek.

- My tu w Ameryce nie oszukujemy, ale jeśli ty chcesz, to proszę bardzo - powiedziała gniewnie Jo.

- Wszyscy wiedzą, że to Jankesi są najbardziej podstępni. A teraz uważaj! - odparł Fred, odrzucając jej piłkę bardzo daleko.

Jo otworzyła usta, żeby powiedzieć coś niegrzecznego, ale opanowawszy się w porę, zarumieniła się tylko aż po same włosy i stała przez chwilę, wbijając z całej siły bramkę, podczas gdy Fred uderzył w słupek i z ogromnym triumfem ogłosił, że wygrał. Poszła poszukać swojej piłki i przez dłuższy czas nie mogła znaleźć jej w krzakach, ale wróciła, wyglądając spokojnie i chłodno, i cierpliwie czekała na swoją kolej. Zabrało jej to kilka uderzeń zanim odzyskała straconą pozycję, a kiedy to osiągnęła, przeciwnicy bliscy już byli zwycięstwa, gdyż piłka Kate była ostatnia i leżała tuż koło słupka.

- Na Jerzego, już po nas! Do widzenia Kate. Panna Jo jest mi dłużna jednego i teraz cię wykończy - zawołał podniecony Fred, kiedy wszyscy podeszli, żeby przyjrzeć się końcówce gry.

- Podstępny Jankesów polegają na wspaniałomyślności wobec przeciwników - powiedziała Jo, spoglądając tak, że chłopiec się zaczerwienił. - Zwłaszcza kiedy ich pokonują - dodała, kiedy wygrała grę jednym zręcznym uderzeniem i pozostawiła piłkę Kate nietkniętą.

Laurie wyrzucił w górę kapelusz, po czym przypomniał sobie, że nie należy unosić się radością nad porażką gości i przerwał w połowie okrzyku, by szepnąć swojej przyjaciółce:

- Świetnie, Jo! Widziałem, że on oszukiwał chociaż nie można mu tego udowodnić, ale gwarantuję ci, że już tego nie zrobi.

Meg odprowadziła ją na bok pod pretekstem upięcia rozluźnionego warkocza i powiedziała z uznaniem:

- To była straszliwa prowokacja i bardzo się cieszę, że zdołałaś się opanować, Jo.

- Nie chwal mnie, Meg, bo nawet w tej chwili mogłabym mu dać w ucho. Na pewno wybuchnęłabym, gdybym nie powstała wśród pokrzyw dopóki nie opanowałam gniewu na tyle, by powściągnąć język. Jeszcze się we mnie gotuje, więc lepiej, żeby nie wchodził mi w drogę - odparła Jo, zagryzając wargi i spoglądając na Freda groźnie spod wielkiego kapelusza.

- Czas na obiad - powiedział pan Brooke, patrząc na zegarek. - Komisarzu generalny, czy rozpalisz ogień i przyniesiesz wody, podczas gdy panna March, panna Sallie i ja nakryjemy do stołu? Kto potrafi zaparzyć dobrą kawę?

- Jo potrafi - powiedziała Meg, zadowolona, że może zarekomendować siostrę. Tak więc Jo, czując, że spóźnione lekcje gotowania przyniosą jej zaszczyt, przejęła nadzór nad maszynką do kawy, podczas gdy dzieci zbierały suche gałęzie, a chłopcy rozpalili ogień i przynieśli wodę z pobliskiego źródła. Panna Kate szkicowała, a Frank rozmawiał z Beth, która robiła małe maty z plecionego sitowia, by wykorzystać je jako talerze.

Naczelnny wódz i jego pomocnice szybko rozłożyli obrus, na którym ustawili zachęcający zestaw jadła i napitku, pięknie udekorowany zielonymi liśćmi. Jo zaanonsowała, że kawa jest gotowa i wszyscy zasiedli do smacznego posiłku, gdyż młodość rzadko cierpi na niestrawność, a ruch przysparza wspaniałego apetytu. Był to bardzo wesoły obiad, gdyż wszystko zdawało się świeże i zabawne, toteż częste wybuchy śmiechu podrywały na równe nogi szacownego konia, który pasł się nieopodal. Stół odznaczał się przyjemną pochyłością, która powodowała liczne wypadki wśród szklanek i talerzy. Żółędzie wpadały do mleka, małe czarne mrówki brały udział w posiłku, choć nie były zaproszone, a puszyste gąsienice zwieszały się z drzew, żeby zobaczyć co się dzieje. Troje jasnowłosych dzieci zaglądało przez płot i pewien podejrzany pies szczekał z całych sił z przeciwnego brzegu rzeki.

- Tu jest sól, w razie gdybyś wołała - powiedział Laurie, podając Jo półmisek z truskawkami.

- Dziękuję, wolę pająki - odpowiedziała, wyławiając dwa nieostrożne maluchy, które poniosły śmierć w śmietanie.

- Jak śmiesz przypominać mi o tym koszmarnym przyjęciu, kiedy twoje jest pod każdym względem tak bardzo udane? - dodała Jo, kiedy oboje śmiejąc się zajadali z jednego talerza, gdyż wystąpiły braki w zastawie stołowej.

- Niezwykle dobrze się tamtego dnia bawiłem i wciąż nie mogę o tym zapomnieć. A tutaj,

to wcale nie moja zasługa, sama wiesz. Nic przecież nie robię. To ty, Meg i Brooke wszystko organizujecie i jestem wam za to nieskończenie wdzięczny. Co będziemy robili, kiedy nie będziemy już mogli więcej zjeść? - zapytał Laurie z poczuciem, że jego atutowa karta została zgrana po skończeniu posiłku.

- Będziemy grać dopóki się nie ochłodzi. Przyniosłam „Autorów”, a założę się, że panna Kate zna jakąś ciekawą nową grę. Idź i zapytaj ją. Jest twoim gościem i powinieneś więcej z nią przebywać.

- Czyż i ty nie jesteś gościem? Myślałem, że przypadnie do gustu Brookowi, ale on wciąż rozmawia z Meg i Kate tylko im się przygląda przez ten swój śmieszny okular. Już idę, żebyś nie musiała uczyć mnie manier, bo nie potrafisz tego robić, Jo.

Panna Kate rzeczywiście знаła wiele nowych gier, a ponieważ dziewczynki już nie chciały, a chłopcy nie mogli więcej jeść, toteż wszyscy przeszli do bawialni, by zagrać w rigmarolę.

- Jedna osoba zaczyna opowiadać, co tylko jej przyjdzie do głowy, i opowiada tak długo jak chce, dbając tylko o to, żeby przerwać w jakimś pełnym napięcia momencie i wtedy następna osoba podejmuje wątek. Kiedy się w to dobrze gra, jest bardzo zabawnie i wychodzi z tego prawdziwy galimatias tragiczno - komiczny, z którego można się po prostu zaśmiewać. Proszę zacząć, panie Brooke - powiedziała Kate, tonem polecenia, który zaskoczył Meg, gdyż ona traktowała nauczyciela z takim samym szacunkiem jak wszystkich innych dżentelmenów.

Leżąc na trawie u stóp obu młodych dam, pan Brooke posłusznie rozpoczął opowieść, a jego piękne brązowe oczy utkwione były w przestrzeń ponad rozświetloną rzeką.

- Dawno, dawno temu, pewien rycerz wyruszył w świat, by szukać szczęścia, albowiem nie posiadał nic ponad swój miecz i tarczę. Wędrował bardzo długo, niemal dwadzieścia i osiem lat i bardzo mu się źle wiodło, aż dotarł do pałacu dobrego starego króla, który ofiarował nagrodę temu, kto ujarzmi i wyćwiczy wspaniałego, lecz nieokiełznanego żrebaka, którego bardzo kochał. Rycerz zgodził się spróbować i dawał sobie radę powoli, lecz konsekwentnie, gdyż żreback był wdzięcznym kompanem i szybko polubił swego nowego pana, mimo że był narowisty i dziki. Codziennie, po udzieleniu temu królewskiemu ulubieńcowi lekcji, rycerz jeździł na nim po mieście, a podczas jazdy wypatrywał pewnej pięknej twarzy, którą widział wielokrotnie w swych snach, lecz nigdy nie mógł odnaleźć na jawie. Pewnego dnia, kiedy galopował cichą uliczką, ujrzał tę śliczną twarz w oknie zrujnowanego zamku. Zachwyciwszy się nią, pocałował się

wypytywać, kto mieszka w starym zamku i powiedziano mu, że uwięzione tam zostały za pomocą zaklęcia księżniczki, które spędzają całe dni na ciułaniu pieniędzy, by wykupić się z niewoli. Rycerz gorąco pragnął móc je uwolnić, ale był biedny i mógł tylko przechodzić obok co dzień, wypatrując słodkiej twarzyczki i marząc, by ujrzeć ją w słonecznym blasku. W końcu postanowił udać się do zamku i zapytać, jak mógłby przyjść im z pomocą. Poszedł i zastukał. Wielkie drzwi otworzyły się i ujrzał...

- Olśniewająco piękną damę, która zawołała ze szlochem uniesienia: «Nareszcie! Nareszcie!» - kontynuowała Kate, która czytywała francuskie powieści i podziwiała ich styl. - «Ach! To ona!» - zawołał hrabia Gustaw i padł jej do stóp w radosnej ekstazie. «Och, powstań!» - powiedziała ona, wyciągając dłoń o marmurowej bieli. «Przenigdy, dopóki nie powiesz mi, jak mogę cię ocalić» - przysiągł rycerz, wciąż klęcząc. «Niestety, okrutny los zmusza mnie do pozostania tu dopóki żyje mój dręczyciel». «Gdzież jest ten niegodziwiec?» «W fiołkowym salonie. Idź tam, odważne serce, i ocal mnie od udreki». «Posłucham i powrócę zwycięski lub zginę!» Z tymi straszliwymi słowami wybiegł - i otworzywszy na oścież drzwi do fiołkowego salonu, miał właśnie wejść gdy otrzymał...

- Silny cios greckim leksykonem, który rzucił w niego starszy jegomość w czarnym stroju - powiedział Ned. - Natychmiast jednak rycerz... no, jak mu tam, zerwał się, wyrzucił tyrana przez okno i odwrócił się, by dołączyć do damy zwycięski, tyle że z guzem na czole, ale drzwi były zamknięte, więc podarł zasłony, zrobił sznurową drabinę, zjechał do połowy, a ta drabina się zerwała i spadł na głowę do fosy o sześćdziesiąt stóp w dole. Umiał pływać jak kaczka, więc popruł dookoła zamku aż znalazł drzwiczki pilnowane przez dwóch potężnych jegomościów, stuknął ich głowami aż trzasnęły jak dwa orzechy, potem nadludzkim wysiłkiem swej cudownej mocy wyłamał drzwi, wszedł po kilku schodach pokrytych kurzem grubym na stopę, ropuchami wielkimi jak pięść i pajakami, które przeraziłyby panią śmiertelnie, panno March. Na szczycie tych schodów nadział się na widok, który odebrał mu dech i zmroził krew w żyłach...

- Była to wysoka postać cała w bieli i w welonie na twarzy, trzymająca w wychudzonej dłoni lampę - ciągnęła Meg. - Przywołała go, sunąc przed nim bezszelestnie po korytarzu, ciemnym i zimnym niczym grobowiec. Po obu jego stronach stały ponure posągi w zbrojach, panowała martwa cisza, lampa płonęła niebieskawym światłem, a widmowa postać raz po raz odwracała ku niemu twarz, ukazując poprzez biały welon błysk straszliwych oczu. Doszli do okrytych zasłoną drzwi, spoza których dobiegała cudowna muzyka. Rycerz rzucił się naprzód, by

wejść do środka, ale upiór odepchnął go i groźnie pomachał przed nim...

- Tabakierką - powiedziała Jo grobowym głosem, który przyprawił słuchaczy o konwulsje. «Dzięki» - powiedział grzecznie rycerz wzięwszy szczyptę i kichnąwszy siedem razy tak gwałtownie, że aż odpadła mu głowa. «Ha! Ha!» - zaśmiał się duch i spojrzawszy przez dziurkę od klucza na księżniczki, które przedły zarabiając na życie, złapał swą ofiarę i zapakował do wielkiego metalowego pudła, gdzie leżało już upakowanych jak sardynki jedenastu innych rycerzy bez głów, którzy teraz powstali i zaczęli...

- Tańczyć polkę - wtrącił Fred, kiedy Jo przerwała, by wziąć oddech. - A podczas gdy tańczyli, stary zrujnowany zamek zamienił się w okręt wojenny pod pełnymi żaglami. «W górę kliwer, refować fały topsła, trzymać mocno od zawietrznej i obsadzić działa!» - krzyczał kapitan, bo ukazał się statek portugalskich piratów z flagą czarną jak tusz, powiewającą na maszcie. «Idźcie i zwyciężajcie, moi chłopcy!» - zawołał kapitan i rozgorzała straszliwa walka. Oczywiście Brytyjczycy zwyciężyli. Zawsze zwyciężają.

- Wcale nie! - zawołała na stronie Jo.

- Wzięwszy kapitana piratów do niewoli, pozęglowali prosto przez szkuner, którego pokłady wypełnione były ciałami, a z luków na zawietrznej lała się krew, albowiem rozkaz brzmiał «Nożami dźgaj, drogo sprzedamy swe życie!» «Bosmanie, weź sznur od kliwera i zacznij wieszać tego drania, jeśli w mgnieniu oka nie wyzna swych grzechów» - powiedział brytyjski kapitan. Ale Portugalczyk trzymał głowę na kłódkę i szedł z zawiązanymi oczyma po desce wystawionej za burtę, podczas gdy wiara marynarska cieszyła się, wrzeszcząc szaleńczo. Lecz podstępny ten pies zanurkował, podpłynął pod dno okrętu wojennego, przedziurawił je i statek pod pełnymi żaglami poszedł na «dno morskie, morskie dno», gdzie...

- Och mój Boże! Co ja mam powiedzieć? - zawołała Sallie, kiedy Fred zakończył swoją rigmarolę, w której wymieszał jak popadło marynarskie zwroty i zdarzenia z jednej ze swoich ulubionych książek.

- Więc poszli na dno i powitała ich miła syrenka, ale bardzo jej było smutno, kiedy znalazła pudło z bezgłowymi rycerzami, toteż ostrożnie zamarynowała ich w słonej wodzie, mając nadzieję odkryć ich tajemnicę, bo jako kobieta była bardzo ciekawa. Po jakimś czasie przyplłynął nurek i syrenka powiedziała: «Dam ci to pudło pereł, jeśli zdołasz je unieść», bo chciała przywrócić biedaków do życia, a nie umiała sama podnieść takiego ciężaru. Więc nurek wyciągnął pudło na górę i był bardzo zawiedziony, kiedy je otworzył i nie znalazł pereł.

Pozostawił je na wielkim pustym polu, gdzie zostało znalezione przez...

- Małą gęsiarkę, która pasła tam sto tłustych gęsi - powiedziała Amy, kiedy Sallie wyczerpała się inwencją. - Dziewczynka bardzo ich żałowała i zapytała starą kobietę, co powinna zrobić, żeby im pomóc. «Twoje gęsi ci powiedzą, one wiedzą wszystko» - powiedziała stara kobieta. Zapytała więc, czego ma użyć na nowe głowy, bo stare się zgubiły i wszystkie gęsi otworzyły swoje sto dziobów i zageęły...

- «Kapusty!» - podchwycił natychmiast Laurie. «Doskonały pomysł» - powiedziała dziewczynka i pobiegła, żeby przynieść z ogrodu dwanaście okazałych główek. Położyła je na miejsce, rycerze natychmiast ożyli, podziękowali jej i poszli wesoło swoją drogą, nie zdając sobie sprawy z różnicy, gdyż na świecie było tyle podobnych głów, że nikt nie zwracał nawet na to uwagi. Rycerz, który nas interesuje, wrócił, by odnaleźć śliczną twarzyczkę i dowiedział się, że królowny wyprzedły się na wolność i wszystkie poza jedną wyszły za mąż. Bardzo go to ucieszyło i wskoczywszy na żrebaka, który stał przy nim wiernie w słoty i w pogody, ruszył na zamek, aby zobaczyć, która królowna została. Spoglądając przez żywopłot ujrzał panią swego serca, zrywającą kwiaty w ogrodzie. «Czy dasz mi różę?» - powiedział. «Musisz przyjść tu po nią. Ja nie mogę do ciebie podejść. To niestosowne» - odpowiedziała słodko jak miód. Spróbował wdrapać się na żywopłot, ale zdawał się on rosnać - coraz wyżej. Starał przedrzeć się przezeń, ale wówczas żywopłot stawał się gęstszy i w końcu rycerz wpadł w rozpacz. Zaczął więc cierpliwie łamać gałązkę po gałązce, aż zrobił małą dziurkę, przez którą zajrzał mówiąc błagalnie: «Wpuść mnie! Wpuść mnie!» Ale piękna królowna zdawała się nie rozumieć, bo nadal spokojnie zrywała różę, pozostawiając go własnemu losowi. A czy sobie sam poradził czy nie, opowie wam Frank.

- Nie potrafię. Ja nie gram, nigdy w to nie gram - powiedział Frank, przerażony sentymentalnymi kłopotami, z których miał ratować absurdalną parę. Beth schowała się za Jo, a Grace spała.

- Więc biedny rycerz ma tak tkwić w żywopłocie? - zapytał pan Brooke, patrząc wciąż na rzekę i bawiąc się dziką różą, którą wpiętą miał w butonierkę.

- Myślę, że królowna po jakimś czasie dała mu bukiet i otworzyła furtkę - powiedział Laurie i uśmiechnął się do siebie, rzucając w swojego guwernera żołędziem.

- Ależ stek bzdur wymyśliliśmy! Gdybyśmy trochę poćwiczyli, moglibyśmy ułożyć coś zupełnie sensownego. Czy znacie «Prawdę»? - zapytała Sallie, kiedy już pośmiali się nad swoim opowiadaniem.

- Wydaje mi się, że tak - powiedziała Meg poważnie.

- Mam na myśli grę?

- Co to za gra? - powiedział Fred.

- No więc tak, układa się dłonie jedną na drugiej, wybiera jakąś liczbę i odlicza się po kolei, a ten na czyją dłoń wypada ta liczba, musi odpowiedzieć zgodnie z prawdą na pytania zadawane przez pozostałych. To świetna zabawa.

- Spróbujmy - powiedziała Jo, która lubiła eksperymenty.

Panna Kate, pan Brooke, Meg i Ned odmówili udziału, ale Fred, Sallie, Jo i Laurie ułożywszy dłonie zaczęli grać i los padł na Laurie.

- Kto jest twoim bohaterem? - zapytała Jo.

- Dziadek i Napoleon.

- Która z obecnych dam jest, według ciebie, najładniejsza? - powiedziała Sallie.

- Margaret.

- Którą najbardziej lubisz? - spytał Fred.

- Oczywiście Jo.

- Co za głupie pytanie! - Jo zatrzęsła się z oburzenia kiedy wszyscy śmiechem powitali rzeczowy ton Laurie.

- Spróbujmy jeszcze raz. «Prawda» to niezła gra - powiedział Fred.

- Zwłaszcza dla ciebie - odparła cicho Jo. Następnym razem wypadło na nią.

- Jaka jest twoja największa wada? - zapytał Fred, sprawdzając u niej zaletę, której sam nie posiadał.

- Porywczy temperament.

- Czego pragniesz? - powiedział Laurie.

- Pary sznurowadeł - odparła Jo, odgadując i udaremniając jego zamiar.

- To nie jest prawdziwa odpowiedź. Musisz odpowiedzieć, czego naprawdę najbardziej pragniesz.

- Być geniuszem. Czy nie żal ci, że nie możesz mi tego dać, Laurie? - I uśmiechnęła się na widok jego zawiedzionej twarzy.

- Jakie cnoty najbardziej podziwiasz w mężczyźnie? - zapytała Sallie.

- Odwagę i uczciwość.

- Teraz moja kolej - powiedział Fred, kiedy jego ręka była ostatnia.

- Teraz mu pokażemy - szepnął Laurie do Jo, która skinęła głową i od razu zapytała:
- Czy oszukiwałeś przy krykcie?
- Noo, tak, troszeczkę.
- Dobrze! Czy nie ściągnąłeś swojej historii z *Morskiego Lwa*? - powiedział Laurie.
- Trochę.
- Czy uważasz, że naród angielski pod każdym względem przewyższa inne? - zapytała Sallie.

- Wstydem byłoby, gdybym uważał inaczej.
- To prawdziwy John Buli. A teraz Sallie, ty masz szansę bez czekania na odliczanie. Ja pierwszy zrnię tve uczucia pytając, czy nie sądzisz, że jesteś nieco kokietką - powiedział Laurie, podczas gdy Jo skinęła pojednawczo do Freda na znak, że zawarty został pokój.

- Ty impertynencki chłopcze! Oczywiście, że nie - wykrzyknęła Sallie z miną, która świadczyła o czymś wprost przeciwnym.

- Czego najbardziej nienawidzisz? - zapytał Fred.
- Pająków i budyniu ryżowego.
- Co najbardziej lubisz? - zapytała Jo.
- Tańczyć i francuskie rękawiczki.
- Uważam, że «Prawda» to bardzo głupia gra. Zagrajmy rozsądnie w «Autorów», żeby odświeżyć sobie umysły - zaproponowała Jo.

Ned, Frank i młodsze dziewczynki dołączyli się, a podczas gdy gra się rozpoczęła, troje starszych usiadło z boku, rozmawiając. Panna Kate ponownie wyjęła szkicownik, Margaret przyglądała jej się, a pan Brooke leżał na trawie z książką, której nie czytał.

- Jak ty to pięknie robisz! Chciałabym umieć rysować - powiedziała Meg, z mieszaniną podziwu i żalu w głosie.

- Dlaczego się nie nauczysz? Przypuszczam, że masz do tego i smak, i talent - odparła wdzięcznie panna Kate.

- Nie mam czasu.
- Podejrzewam, że twoja mama ceni inne umiejętności. Tak samo było z moją, ale udowodniłam jej, że mam talent, wzięwszy kilka prywatnych lekcji i wtedy łatwo zgodziła się, że powinnam kontynuować. Czy nie możesz zrobić tego samego ze swoją guwernantką?

- Nie mam guwernantki.

- Zapomniałam, że młode damy w Ameryce chodzą częściej niż my do szkoły. Papa mówi, że to bardzo eleganckie szkoły. Ty chodzisz pewnie do prywatnej, czy tak?

- Wcale nie chodzę. Sama jestem guwernantką.

- Ach, tak! - powiedziała panna Kate, ale mogła równie dobrze powiedzieć: „O Boże, jakie to okropne!” - gdyż tak właśnie brzmiał jej głos i coś w jej twarzy sprawiło, że Meg zarumieniła się i pożałowała swojej szczerości.

Pan Brooke spojrział w górę i powiedział szybko: - Młode damy w Ameryce kochają niezależność tak, jak ich przodkowie i są bardzo podziwiane i szanowane za to, że się same utrzymują.

- Ależ tak. Oczywiście to bardzo miłe i stosowne z ich strony, że tak robią. My też mamy wiele szanowanych i cenionych młodych kobiet, które robią to samo i zatrudniane są w przyzwoitych domach, bo jako córki dżentelmenów są jednocześnie dobrze urodzone i wykształcone - powiedziała panna Kate protekcyjnym tonem, który uraził dumę Meg i sprawił, że wykonywana praca wydała jej się nie tylko nieciekawa, ale i poniżająca.

- Czy podobała się pani niemiecka pieśń, panno March? - zapytał pan Brooke, przerywając niezręczną ciszę.

- Och, tak! Jest taka słodka i bardzo jestem zobowiązana temu, kto ją dla mnie przetłumaczył. I opuszczona twarz Meg rozjaśniła się przy wymawianiu tych słów.

- Nie czytasz po niemiecku? - zapytała panna Kate z wyrazem zdziwienia.

- Nie za dobrze. Ojciec, który mnie uczył jest daleko, a sama nie robię szybkich postępów, bo nikt nie poprawia mojej wymowy.

- Proszę spróbować trochę. Oto *Maria Stuart* Schillera i korepetytor, który uwielbia uczyć. I pan Brooke z zachęcającym uśmiechem położył jej na kolanach swoją książkę.

- To takie trudne, że boję się próbować - powiedziała Meg, wdzięczna, lecz onieśmielona w obecności wykształconej młodej damy.

- Przeczytam fragment, by cię zachęcić. I panna Kate przeczytała jeden z najpiękniejszych fragmentów w absolutnie poprawny i absolutnie bezuczuciowy sposób.

Pan Brooke nie skomentował, a ona oddała książkę Meg, która Powiedziała niewinnie:

- Myślałam, że to poezja.

- Częściowo. Proszę spróbować tutaj.

Dziwny uśmiech był na ustach pana Brooka, kiedy otworzył książkę na lamencie biednej

Mary.

Meg posłusznie podążając za długim źdźbłem trawy, którego jej nauczyciel używał do pokazywania tekstu, czytała powoli i nieśmiało, nieświadomie nadając twardym słowom poetycki wyraz poprzez delikatną intonację swego muzycznego głosu. Zielona wskazówka powędrowała w dół strony, a zapominając wobec piękna smutnej sceny o słuchaczach Meg czytała jakby była sama, nadając tragiczny wyraz słowom nieszczęsnej królowej. Gdyby mogła ujrzeć pewne brązowe oczy, przerwałaby natychmiast, ale ona nie podniosła wzroku i lekcja nie była dla niej niczym zakłócona.

- Doprawdy bardzo dobrze! - powiedział pan Brooke kiedy przerwała, ignorując całkowicie jej liczne błędy i wyglądając jakby rzeczywiście „kochał uczyć”.

Panna Kate podniosła swoje lorgnon i spojrzawszy na obraz, który jawił się jej oczom powiedziała z lekceważeniem:

- Masz przyjemny akcent i z czasem będziesz dobrze czytała. Radzę ci się uczyć, gdyż niemiecki jest bardzo cenną umiejętnością u nauczycielek. Teraz muszę zająć się Grace, która się rozdokazywała. I panna Kate odeszła, dodając sama do siebie ze wzruszeniem ramion: - Nie przyjechałam tu, żeby być przyzwoitką dla guwernantki, choćby była młoda i ładna. Jacy ci Jankesi są dziwni. Obawiam się, że Laurie całkiem się wśród nich zmarnuje.

- Zapomniałam, że Anglicy kręcą nosem na guwernantki i nie traktują ich tak jak my - powiedziała Meg, spoglądając z wyrazem zmartwienia w ślad za oddalającą się postacią.

- Guwernerom też nie jest tam o wiele lepiej, o czym dowiedziałem się z przykrością. Dla nas, ludzi pracy, nie ma jak Ameryka, panno Margaret. I pan Brooke wyglądał na tak zadowolonego i wesołego, że Meg zawstydziła się swojego uzalania nad ciężkim losem.

- W takim razie cieszę się, że tu mieszkam. Nie lubię mojej pracy, ale ostatecznie dostarcza mi ona wiele satysfakcji, więc nie będę narzekać. Żałuję tylko, że nie lubię uczyć tak jak pan.

- Myślę, że i pani by lubiła, gdyby miała pani takiego ucznia jak Laurie. Będzie mi bardzo smutno, kiedy go w przyszłym roku utracę - powiedział pan Brooke, pracowicie wierząc dziurę w trawie.

- Domyślam się że pójdzie na uniwersytet? - wargi Meg zadały pytanie, a jej oczy dodały:

- A co stanie się z panem?

- Tak, już najwyższy czas, żeby poszedł, bo dawno jest gotów, a jak tylko on wyjedzie, ja

zostanę żołnierzem. Jestem potrzebny.

- Tak się z tego cieszę! - zawołała Meg. - Uważam, że każdy młody mężczyzna powinien pragnąć pójść, mimo że sprawia to ból matkom i siostram, które zostają w domu - dodała za smutkiem.

- Nie mam ani matki, ani siostr i bardzo niewielu przyjaciół, którzy troszczą się o to czy żyję, czy umarłem - powiedział pan Brooke dość gorzko, kiedy w roztargnieniu wkładał zwiędłą różę do wykopanej dziury i zasypywał ją ziemią niczym mały grób.

- Laurie i jego dziadek będą się bardzo martwić i nam wszystkim też byłoby bardzo przykro, gdyby coś się panu stało - powiedziała Meg serdecznie.

- Dziękuję. To miło brzmi - zaczął pan Brooke, ale zanim mógł dokończyć nadjechał ciężko Ned na starym koniu, którego dosiadł, by popisać się przed młodymi damami swymi jeździeckimi umiejętnościami i tego dnia nie było już spokoju.

- Czy lubisz jeździć konno? - zapytała Grace Amy, kiedy zatrzymały się po gonitwie, którą Ned poprowadził dookoła pola.

- Uwielbiam do szaleństwa. Moja siostra Meg jeździła dopóki papa był bogaty, ale teraz nie trzymamy koni, poza Ellen Gałąż - dodała Amy ze śmiechem.

- Opowiedz mi o Ellen Gałąż. Czy to osioł? - zapytała Grace zaciekawiona.

- To jest tak. Jo jest zwariowana na punkcie koni i ja też, ale mamy tylko damskie siodło i żadnego konia. W naszym ogrodzie jest jabłoń, która ma przyjemną niską gałąź, więc Jo kładzie na niej siodło, przywiązuje wodze do tej części, która jest u góry i galopujemy na Ellen, kiedy nam się tylko podoba.

- Jak zabawnie! - zaśmiała się Grace. - Ja mam w domu kucyka i prawie codziennie jeżdżę po parku z Fredem i Kate. To bardzo przyjemne, bo moi przyjaciele też jeżdżą i cały Maneż pełen jest dam i dżentelmenów.

- Boże, jakie to urocze! Mam nadzieję pojechać kiedyś za granicę, ale wolałabym chyba Rzym niż Maneż - powiedziała Amy, która nie miała najmniejszego pojęcia co to jest Maneż, a nie zapytałaby o to za nic w świecie.

Frank, który siedział tuż za dziewczynkami, przysłuchiwał się ich rozmowie, a obserwując aktywną młodzież wyprawiającą różne gimnastyczne łamańce, niecierpliwym gestem odrzucił swoją kulę. Beth, która zbierała porozrzucone karty do gry w „Autorów”, podniosła głowę i powiedziała na swój nieśmiały, lecz przyjazny sposób:

- Wydaje mi się, że jesteś zmęczony. Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Porozmawiaj, proszę, ze mną. Tak nudno jest siedzieć samemu - odpowiedział Frank, który najwyraźniej przyzwyczajony był do tego, że w domu dużo się nim zajmowano.

Gdyby poprosił ją o wygłoszenie oracji po łacinie, nie wydałoby się to nieśmiałej Beth bardziej niemożliwym do spełnienia żądaniem, ale nie było dokąd uciec ani Jo, za którą można by się schować, a biedny chłopiec patrzył na nią tak smutnie, że postanowiła spróbować.

- O czym chciałbyś porozmawiać? - zapytała, szperając wśród kart i upuszczając połowę z nich, kiedy próbowała je zwinąć.

- Och, chciałbym posłuchać o krykocie i wiosłowaniu, i o polowaniu - powiedział Frank, który nie umiał jeszcze dostosowywać zabaw do swoich obecnych możliwości.

- Dolo moja, cóż ja pocznę? Nic o tym wszystkim nie wiem - pomyślała Beth i zapominając w zmieszaniu o kalectwie chłopca, powiedziała, mając nadzieję, że jego nakłoni do mówienia: - Nigdy nie widziałam polowania, ale jestem pewna, że ty się na tym świetnie znasz.

- Kiedyś się znałem, ale już nigdy nie będę mógł polować, bo miałem wypadek przy skoku przez przeszkodę i skończyły się dla mnie konie i psy - powiedział Frank z westchnieniem, które sprawiło, że Beth, pożałowała swojej niewinnej gafy.

- Wasze jelenie są znacznie ładniejsze niż nasze brzydkie bizony - powiedziała, zwracając się po pomoc ku preriom, zadowolona, że przeczytała jedną z powieści dla chłopców, które uwielbiała Jo.

Bizony okazały się zadowalające i uspokajające, a w swojej gotowości do zabawienia kogoś drugiego Beth zapomniała o sobie i zupełnie nieświadoma była zdumienia i zachwytu sióstr, które ujrzały niezwykle widok Beth rozmawiającej z jednym z tych okropnych chłopaków, o obronę przed którymi błagała je wcześniej.

- Błogosławione serduszko! Współczuje mu, więc jest dla niego dobra - powiedziała Jo, uśmiechając się do niej z boiska do krykieta.

- Zawsze mówiłam, że ona jest jak mała święta - dodała Meg, tak jakby fakt ten został właśnie raz na zawsze dowiedziony.

- Już bardzo dawno nie słyszałam, żeby Frank tyle się śmiał - powiedziała Grace do Amy, kiedy siedziały omawiając lalki i przygotowując serwisy do herbaty z czapeczek żołądzi.

- Moja siostra Beth, jeśli chce, potrafi być bardzo fastrygującą dziewczynką - powiedziała Amy, zadowolona z sukcesu Beth. Miała na myśli „fascynującą”, ale ponieważ Grace nie znała

żadnego z tych słów „fastrygującą” brzmiało równie dobrze i wywarło odpowiednie wrażenie.

Zaimprovizowany cyrk złożony z lisów i gęsi, oraz przyjacielska partia krykieta zakończyły popołudnie. O zachodzie słońca namiot został złożony, kosze spakowane, bramki wyciągnięte, łodzie załadowane i całe towarzystwo popłynęło w dół rzeki, śpiewając na cały głos. Ned, który był w sentymentalnym nastroju, zaintonował serenadę o smętnym refrenie:

Samotny, samotny, ach jakże samotny

i strofie:

*Obojeśmy młodzi i serca dwa mamy,
Czemuż więc tak zimno z dala spoglądamy?*

I sam spoglądał przy tym na Meg w tak afektowany sposób, że roześmiała się głośno, niszcząc cały efekt pieśni.

- Jak pani może być dla mnie tak okrutną? - szepnął, gdy gromki chór zagłuszał jego słowa. - Przez cały dzień trzymała się pani tej nakrochmalonej Angielki, a teraz robi mi pani taki afront.

- Doprawdy nie miałam zamiaru, ale wyglądał pan tak zabawnie, że zupełnie nie mogłam się powstrzymać - odparła Meg, pomijając pierwszą część jego wymówki, gdyż była to prawda, że unikała go, mając w pamięci przyjęcie u Moffatów i rozmowę po przyjęciu.

Ned był urażony i zwrócił się po pocieszenie do Sallie, mówiąc do niej w dość obraźliwy sposób: - W tej dziewczynie nie ma ani cienia zalotności, nieprawdaż?

- Ani odrobiny, ale jest bardzo kochana - odpowiedziała Sallie, broniąc przyjaciółki, acz przyznając, że ma ona wady.

Zgromadziwszy się na trawniku całe towarzystwo pożegnało się, życząc sobie serdecznie dobrej nocy i do widzenia, albowiem Vaughnowie wyjeżdżali do Kanady. Kiedy cztery siostry odeszły przez ogród do domu, panna Kate spojrzała za nimi i powiedziała bez cienia protekcjonalnego tonu w głosie: - Pomimo dość swobodnych manier, amerykańskie dziewczęta są bardzo miłe, kiedy je się bliżej pozna.

- Całkowicie się z panią zgadzam - odpowiedział pan Brooke.

ROZDZIAŁ 13

Zamki w powietrzu Pewnego ciepłego wrześniowego popołudnia Laurie wylegiwał się rozkosznie w hamaku, huśtając się tam i z powrotem i zastanawiając co robią jego sąsiadki, zbyt leniwy na to, by pójść i samemu się dowiedzieć. Był w złym humorze, gdyż spędził nieudany i bezużyteczny dzień, i żałował, że nie może zacząć go od nowa. Gorąca pogoda przyprawiała go o lenistwo, toteż wymigiwał się od nauki wystawiając na ostateczną próbę cierpliwość pana Brooka, rozgniewał dziadka ćwicząc przez pół popołudnia na fortepianie, przeraził niemal do utraty zmysłów pokojówki dając im złośliwie do zrozumienia, że jeden z jego psów dostał wścieklizny, a po kłótni ze stajennym o jakieś wymyślane niedopatrzenie przy swoim koniu rzucił się na hamak, by złościć się na głupotę świata, dopóki spokój pięknego dnia nie ułagodził go wbrew niemu samemu. Wpatrzony w zielony mrok kasztanowców nad swoją głową, oddawał się najprzeróżniejszym marzeniom i wyobrażał sobie właśnie, jak wyrusza na ocean w podróż dookoła świata, kiedy dźwięk głosów sprowadził go w mgnieniu oka na brzeg. Spoglądając przez otwory hamaka, dostrzegł Marchówny, idące tak jakby ruszały na jakąś wyprawę.

- Cóż one, u licha, tym razem wymyśliły? - pomyślał Laurie, otwierając zaspane oczy, bo w wyglądzie jego sąsiadek było coś szczególnego. Każda z nich miała wielki opadający kapelusz, brunatną lnianą torbę przewieszoną przez ramię, a w ręku długi kij. Meg niosła poduszkę, Jo książkę, Beth koszyk, a Amy blok rysunkowy. Przeszły spokojnie przez ogród do małej tylnej furtki, po czym zaczęły wspinać się na wzgórze leżące między domem i rzeką.

- Tak, to doprawdy miłe - powiedział do siebie Laurie - żeby urządzić piknik i nawet mnie nie zaprosić. Nie mogą popłynąć łodzią, bo - nie mają klucza. A może zapomniały o tym. Zaniose im klucz i zobaczę, co się dzieje.

Mimo iż miał z pół tuzina kapeluszy, znalezienie jednego z nich zabrało mu nieco czasu. Potem nastąpiło poszukiwanie klucza, który odnaleziony został w końcu w kieszeni i kiedy wreszcie przeskoczył przez płot, by pobiec za dziewczętami, nie było ich już widać. Pobiegł na skróty do hangaru z łodzią i czekał aż się ukazą, ale nikt nie nadchodził toteż wdrapał się na wzgórze, żeby się rozejrzeć. Sosnowy zagajnik pokrywał część wzgórza i właśnie ze środka owej plamy zieleni dobiegał jakiś dźwięk, nieco głośniejszy niż delikatne westchnienie sosen czy senne cykanie koników polnych.

- A to ci widok! - pomyślał Laurie, zaglądając poprzez zarośla, zupełnie już rozbudzony i w znacznie lepszym humorze.

Widok był zupełnie ładny, gdyż siostry siedziały razem w cienistym zakątku, ponad nimi igrało słońce i cień, pachnący wiatr unosił ich włosy i chłodził gorące policzki, a mały leśny ludek kręcił się wokół zajęty swoimi sprawami, tak jakby nie były one obcymi przybyszami, lecz starymi przyjaciółmi. Meg siedziała na poduszce, szyjąc delikatnie swymi białymi dłońmi i w różowej sukience wyglądała pośród zieleni tak świeżo i słodko jak róża. Beth zbierała szyszki, które leżały grubą warstwą pod świerkiem, bo umiała z nich robić różne ładne drobiazgi. Amy szkicowała kępę paproci, a Jo robiła na drutach, czytając jednocześnie głośno. Po twarzy przyglądającego się im chłopca przemknął cień, bo czuł że powinien odejść skoro nie został zaproszony, ale cień ten zniknął szybko, gdyż jego niespokojnemu duchowi dom wydał się bardzo pusty, a to ciche leśne przyjęcie niezwykle pociągające. Stał tak cicho, że zajęta swoją krzątaniem wiewiórka zbiegła po sośnie tuż za jego plecami, ujrzała go niespodziewanie i pomknęła z powrotem piszcząc tak przeraźliwie, że Beth podniosła głowę, wysledziła smętną twarz za brzoźkami i skinęła do niego z zapraszającym uśmiechem.

- Czy mogę podejść? A może będę wam przeszkadzał? - zapytał zbliżając się powoli.

Meg podniosła brwi, ale Jo spojrzała na nią z wyzwaniem w oku i powiedziała od razu: - Oczywiście, że możesz. Powinnyśmy zaprosić cię wcześniej, ale myślałyśmy, że nie interesują cię takie zabawy dla dziewczynek, jak ta.

- Zawsze podobają mi się wasze zabawy, ale jeśli Meg mnie nie chce, odejdę.

- Nie sprzeciwiam się, jeśli będziesz coś robił. Bezczytność jest tu wbrew zasadom - powiedziała Meg poważnie, lecz miło.

- Wielkie dzięki. Zrobię wszystko, jeśli tylko pozwolicie mi zostać chwilę, bo tam na dole jest nudno jak na Saharze. Czy mam szyć, czytać, - zbierać szyszki, rysować, czy wszystko jednocześnie? Nałóżcie na mnie ciężary, jestem gotów. I Laurie usiadł z rozkosznym dla oka wyrazem posłuszeństwa na twarzy.

- Dokończ tę historię, a ja tymczasem naprawię sobie obcas - powiedziała Jo, wręczając mu książkę.

- Tak, proszę pani - zabrzmiała potulna odpowiedź i zaczął czytać jak umiał najlepiej, by dowieść swej wdzięczności za łaskawe przyjęcie go do Towarzystwa Pracowitych Pszczółek.

Opowiadanie nie było długie i kiedy się skończyło, zaryzykował kilka pytań w nagrodę za

swe zasługi.

- Wybacz, pani, czy mógłbym dowiedzieć się, czy ta wysoce pouczająca i urocza instytucja jest czymś nowym?

- Powiemy mu? - zapytała Meg siostry.

- Będzie się śmiał - rzuciła ostrzegawczo Amy.

- No to co? - powiedziała Jo.

- Myślę, że mu się to spodoba - dodała Beth.

- Na pewno mi się spodoba! Daję słowo, że nie będę się śmiał. Powiedz mi, Jo, nie bój się.

- Bać się ciebie? Też pomysł! No więc, słuchaj. Kiedyś bawiłyśmy się w pochód pielgrzymów i przez całą zimę i lato naprawdę dokładałyśmy do tego starań.

- Tak, wiem - powiedział Laurie, ze zrozumieniem kiwając głową.

- Kto ci powiedział - zapytała Jo.

- Krasnoludki.

- Nie, to ja. Chciałam go rozweselić pewnego wieczora, gdy was wszystkich nie było, a on wyglądał dość nieszczęśliwie. Podobało mu się, więc nie krzycz na mnie, Jo - powiedziała miękko Beth.

- Nie umiesz utrzymać tajemnicy. Nie szkodzi, oszczędzi nam to teraz wyjaśnień.

- Mów dalej, proszę - powiedział Laurie, bo Jo pograżyła się w swojej pracy wyglądając na nieco niezadowoloną.

- Och, czyżby Beth nie opowiedziała ci wszystkiego o naszym nowym planie? No więc tak, starałyśmy się nie zmarnować wakacji i każda z nas miała swoje zadanie, nad którym chętnie pracowała. Wakacje prawie się skończyły, wszystkie zadania wykonane i jesteśmy bardzo zadowolone, że nie zmarnowałyśmy czasu.

- Tak, macie rację. I Laurie pomyślał z żalem o swoich beczynnych dniach.

- Mama chce, żebyśmy były jak najwięcej na powietrzu, więc przynosimy tu nasze prace i świetnie się bawimy. Dla zabawy wkładamy nasze rzeczy do tych worków, nosimy stare kapelusze, używamy lasek przy wspinaniu się na wzgórze i bawimy się w pielgrzymów, tak jak przed - laty. Nazywamy to wzgórze Górą Rozkoszy, bo możemy z niej spoglądać w dal i oglądać okolice, gdzie mamy nadzieję kiedyś zamieszkać.

Jo wskazała ręką i Laurie usiadł, by się rozejrzeć, gdyż przez otwór pomiędzy drzewami

rozciągał się widok daleko, za szeroką niebieską rzekę i łąki na drugim jej brzegu, poza przedmieścia wielkiego miasta, aż po zielone wzgórza, które wznosiły się na spotkanie nieba. Słońce było już nisko i niebo jaśniało wspaniałością jesiennego zachodu. Złote i fioletowe obłoki spoczywały na szczytach wzgórz, a wysoko w czerwonym świetle wznosiły się srebrzysto - białe szczyty, które błyszczały niczym powietrzne iglice Niebiańskiego Miasta.

- Jakie to piękne! - powiedział łagodnie Laurie, który łatwo dostrzegał piękno wszelkiego rodzaju.

- Często tak wygląda i lubimy się temu przyglądać, bo nigdy nie jest tak samo, a zawsze wspaniale - odpowiedziała Amy, żałując, że nie potrafi tego namalować.

- Kiedy Jo mówi o okolicy, gdzie chciałybyśmy kiedyś mieszkać, ma na myśli prawdziwe miejsca z kurami, świniami i zbieraniem siana. To też byłoby miłe, aleja chciałabym, żeby te piękne miejsca tam w górze istniały naprawdę i żebyśmy mogły tam pójść - powiedziała Beth w zamyśleniu.

- Jest jeszcze piękniejsza od tej kraina, do której kiedyś pójdziemy, jeśli będziemy dostatecznie dobre - odpowiedziała Meg swoim słodkim głosem.

- Tak długo trzeba na to czekać, tak trudno to osiągnąć. A ja chciałabym od razu odlecieć, jak odlatują jaskółki i pójść ku tej wspaniałej bramie.

- Dostaniesz się tam wcześniej czy później Beth, nie ma obawy - powiedziała Jo. - To ja będę musiała zmagać się i pracować, i wspinać, się i czekać, a może i tak nigdy tam nie wejdę.

- Będziesz miała mnie do towarzystwa, jeśli to cię pociesza. Ja będę się musiał nieźle nawędrować zanim ujrzę wasze Niebiańskie Miasto. Jeśli się spóźnię, powiesz o mnie dobre słowo, prawda Beth?

Coś w twarzy chłopca zaniepokoiło jego małą przyjaciółkę, ale odpowiedziała pogodnie, z oczyma wpatrzonymi w zmieniające się chmury: - Jeśli ludzie naprawdę chcą tam dojść i naprawdę starają się przez całe życie, to myślę, że się dostaną, bo nie sądzę, żeby na tej bramie były jakieś kłódki albo żeby pilnowali jej strażnicy. Zawsze sobie wyobrażam, że wygląda to tak jak na ilustracji, gdzie Świetlani wyciągają ręce, by powitać biednego Krystiana, kiedy wychodzi z rzeki.

- Czy nie byłoby zabawnie, gdyby wszystkie zamki powietrzne, które sobie wymyślamy, zamieniały się w prawdziwe, tak żebyśmy mogli w nich zamieszkać? - powiedziała Jo, po małej pauzie.

- Ja wymyślam takie ich ilości, że miałbym kłopot z wybraniem jednego - powiedział Laurie leżąc na wznak i rzucając szyszkami w tę samą wiewiórkę, która zdradziła jego obecność.

- Musiałbyś wybrać swój ulubiony. Jaki on jest? - zapytała Meg.

- Jeśli ci powiem, opowiesz mi o swoim?

- Tak, jeśli dziewczęta też powiedzą.

- Powiemy. No, Laurie?

- Kiedy już zwiedzę na świecie wszystko to, na co mam ochotę, chciałbym osiąść w Niemczech i mieć tyle muzyki, ile tylko zapragnę. Sam będę sławnym muzykiem i kto żyw będzie śpieszyć, by mnie usłyszeć i nigdy nie będę się martwił o pieniądze czy interesy, tylko wciąż będę się bawił i żył tak jak lubię. Oto mój ulubiony zamek. A twój, Meg?

Margaret zdawała się mieć trudności z opowiedzeniem o swoim i wachlując sobie twarz paprocią, jakby chciała odpędzić nie istniejące komary, powiedziała powoli: - Chciałabym mieć ładny dom, pełen różnych luksusowych rzeczy - dobrego jedzenia, pięknych strojów, ładnych mebli, miłych ludzi i gór pieniędzy. Będę jego panią i będę nim zarządzała, jak mi się spodoba, z gromadą służby, żebym nigdy nie musiała pracować. Jak by to było przyjemnie! I oczywiście nie próżnowałabym, tylko spełniała dobre uczynki i wszyscy ogromnie by mnie kochali.

- Czy w twoim powietrznym zamku nie byłoby gospodarza? - zapytał podstępnie Laurie.

- Powiedziałam przecież «mili ludzie». Mówiąc to Meg starannie zawiązywała bucik, żeby nikt nie mógł dostrzec jej twarzy.

- Dlaczego nie powiesz, że miałabyś znakomitego, mądrego i dobrego męża i jakieś anielskie małe dzieci? Wiesz sama, że bez nich twój zamek nie byłby idealny - powiedziała bezceremonialnie Jo, która nie miała jeszcze sentymentalnych marzeń i w ogóle pogardzała romansami, z wyjątkiem powieściowych.

- W twoim byłyby tylko konie, kałamarze i książki - odparła rozdrażniona Meg.

- A czemu nie? Miałabym stajnię pełną arabskich rumaków, pokoje pełne książek, i pisałabym maczając pióro w magicznym kałamarzu, toteż moje książki byłyby równie sławne jak muzyka Laurie. Zanim udam się do mojego zamku, dokonam czegoś wspaniałego - czegoś bohaterskiego i cudownego, co nie zostanie zapomniane po mojej śmierci. Nie wiem jeszcze, co to będzie, ale rozglądam się za tym i mam zamiar zadziwić was wszystkich pewnego dnia. Myślę, że będę pisać książki i zostanę sławna i bogata. To by mi najbardziej odpowiadało, więc takie jest moje ulubione marzenie.

- A moje jest takie, żeby pozostać w domu, z ojcem i z mamą i pomagać im zajmować się rodziną - powiedziała Beth z zadowoleniem.

- I nie pragniesz niczego więcej? - zapytał Laurie.

- Odkąd mam moje małe pianino, jestem absolutnie zadowolona. Chciałabym tylko, żebyśmy wszyscy byli zdrowi i pozostali razem - i nic więcej.

- Ja mam tyle, tyle marzeń, ale moje ulubione, to żeby zostać malarką i pojechać do Rzymu, malować piękne obrazy i być najlepszą artystką na świecie - takie było skromne życzenie Amy.

- Ambitna z nas gromadka, nie ma co. Każdy z nas, poza Beth, pragnie być bogaty i sławny, i wspaniały pod każdym względem. Ciekawe czy ktokolwiek z nas zrealizuje swoje marzenia - powiedział Laurie, żując trawę niczym pogrążone w medytacji ciele.

- Ja mam klucz do mojego powietrznego zamku, ale czy zdołam otworzyć drzwi to się dopiero okaże - zauważyła tajemniczo Jo.

- I ja mam klucz do mojego, ale nie wolno mi go nawet próbować. Niech powiesz uniwersytet! - mruknął Laurie z niecierpliwym westchnieniem.

- Oto mój klucz! - I Amy pomachała ołówkiem.

- Ja nie mam żadnego - powiedziała smutno Meg.

- Owszem, masz - powiedział natychmiast Laurie.

- Gdzie?

- W swojej twarzy.

- Nonsens. To nic nie daje.

- Poczekaj tylko i sama zobaczysz, czy ci to nie przyniesie czegoś, co warto mieć - odparł chłopiec, śmiejąc się na myśl o czarującym, drobnym sekrecie, który zdawało mu się, że odgadł.

Meg poczerwieniała za paprocią, ale o nic nie zapytała i tylko patrzyła poza rzekę z tym samym wyrazem oczekiwania, który widniał na twarzy pana Brooka, gdy opowiadał historię o rycerzu.

- Jeśli wszyscy będziemy żyli od teraz za dziesięć lat, to spotkajmy się i zobaczmy kto z nas zrealizował swoje marzenia lub czy jesteśmy ich bliżej niż teraz - powiedziała Jo, która zawsze miała w pogotowiu jakiś plan.

- Ratunku, ile ja będę miała lat - dwadzieścia siedem! - zawołała Meg, która już uważała się za dorosłą, ponieważ skończyła właśnie siedemnaście.

- Ty i ja będziemy mieli po dwadzieścia sześć, Teddy, Beth dwadzieścia cztery, a Amy dwadzieścia dwa. Cóż za szacowne towarzystwo! - powiedziała Jo.

- Mam nadzieję, że dokonam do tego czasu czegoś, z czego mógłbym być dumny, ale taki ze mnie leń, że obawiam się, iż będę próżniaczył, Jo.

- Mama mówi, że potrzebny ci tylko cel i pewna jest, że kiedy go znajdziesz, będziesz wspaniale pracował.

- Tak myślisz? Na Jupitera, będę, jeśli tylko będę miał okazję! - zawołał Laurie, siadając w nagłym przyptywie energii. - Powinienem być zadowolony, kiedy sprawiam przyjemność dziadkowi, i naprawdę się staram, ale to tak jakbym płynął pod prąd, wiesz, i bardzo ciężko mi to przychodzi. Dziadek chce, żebym został kupcem kolonialnym tak jak on, a ja wolałbym, żeby mnie zastrzelili. Nienawidzę herbaty, jedwabiu, przypraw i wszystkich tych śmieci, które przywożą jego statki i naprawdę nie troszczę się o to, jak szybko pójdą na dno, kiedy wejdą w moje posiadanie. Mój wyjazd na studia powinien go zadowalać, bo dają mu cztery lata mojego życia, i mógłby zwolnić mnie z obowiązku robienia interesów, ale on już postanowił i mam robić dokładnie to co on, chyba że się zbuntuję i pójdę własną drogą, tak jak mój ojciec. Gdyby ktokolwiek mógł zostać przy starszym panu, zrobiłbym to jutro.

Laurie mówił w podnieceniu i wyglądał jakby gotów był zrealizować swoją groźbę, gdyż dorastał bardzo szybko i mimo swego lenistwa pełen był właściwej młodym ludziom nienawiści do podporządkowywania się i niespokojnej tęsknoty, by samemu popróbować świata.

- Radzę ci pozeğłować w świat na jednym z twoich statków i nie wracać do domu, dopóki nie spróbujesz życia na własną rękę - powiedziała Jo, której wyobraźnię rozpałiła myśl o tak odważnym przedsięwzięciu i której sympatię pobudziło to, co nazywała „strapieniami Teddiego”.

- Tak nie można Jo, nie powinnaś tak mówić, a jemu nie wolno korzystać z twoich złych rad. Powinieneś zrobić dokładnie tak, jak życzy » sobie tego twój dziadek, mój drogi chłopcze - powiedziała Meg swoim najbardziej macierzyńskim tonem. - Pracuj jak tylko możesz na uniwersytecie, a kiedy dziadek zobaczy, że starasz się spełniać jego życzenia, na pewno nie będzie dla ciebie okrutny ani niesprawiedliwy. Tak jak powiedziałaś, nie ma nikogo kto mógłby z nim pozostać i kochać go, a ty nigdy byś sobie nie wybaczył, gdybyś opuścił go bez jego zgody. Nie bądź nieszczęśliwy ani urażony, ale spełniaj swoje obowiązki, a spotka cię nagroda, tak jak dobrego pana Brooka, który jest szanowany i kochany.

- A co ty o nim wiesz? - zapytał Laurie, wdzięczny za dobre rady, ale niezbyt zachwycony

kazaniem i zadowolony, że może po swoim niezwykłym wybuchu odwrócić od siebie temat rozmowy.

- Tylko to, co opowiedział nam o nim twój dziadek - jak opiekował się swoją matką aż do jej śmierci i nie wyjechał jako nauczyciel za granicę do jakiejś miłej osoby, bo musiałby ją zostawić, i jak pomaga teraz starej kobiecie, która pielęgnowała jego matkę, i nikomu o tym nie mówi, a jest przy tym tak szlachetny, cierpliwy i dobry jak tylko można.

- Taki właśnie jest, kochany z niego jegomość! - powiedział serdecznie Laurie, kiedy Meg przerwała zarumieniona i wzruszona swoją opowieścią. - To cały mój dziadek, żeby dowiedzieć się o nim wszystkiego, nic mu o tym nie mówiąc i opowiadać o tym innym, żeby mogli go polubić. Brooke nie mógł zrozumieć, dlaczego wasza matka jest dla niego tak miła, zaprasza go razem ze mną i traktuje go na swój piękny przyjacielski sposób. Uważał że ona jest po prostu ideałem, opowiadał o tym po całych dniach, a także w płomiennym stylu o was wszystkich, jeśli kiedykolwiek moje marzenia się spełnią, to zobaczycie same, co zrobię dla Brooka.

- Zaczynaj coś robić już teraz, nie zatruwając mu życia - powiedziała ostro Meg.

- A skąd ty wiesz, że tak jest, panienko?

- Zawsze mogę to odgadnąć z wyrazu jego twarzy, kiedy odchodzi. Jeśli byłś dobry, to wygląda na zadowolonego i idzie energicznie. Jeśli mu dokuczałeś, to jest poważny i idzie powoli, tak jakby chciał zawrócić i lepiej wykonać swoją pracę.

- To mi się podoba! Więc prowadzisz rejestr moich dobrych i złych ocen na twarzy Brooka? Widziałem jak się kłania i uśmiecha, kiedy przechodzi pod twoim oknem, ale nie wiedziałem, że macie telegraf.

- Nie mamy. Nie gniewaj się, i, och, nie mów mu, że coś powiedziałam! Wspomniałam o tym tylko po to, żeby pokazać, że obchodzi mnie, jak sobie dajesz radę i powiedziane to było w zaufaniu - wołała Meg, bardzo zaniepokojona na myśl o tym, jakie mogą być następstwa jej nieostrożnej przemowy.

- Nie jestem plotkarzem - odparł Laurie z wyrazem królewskiej wyższości, jak Jo nazywała pozę, którą czasami przybierał. - Tyle tylko, że skoro Brooke jest barometrem, to muszę się postarać, żeby mógł pokazywać dobrą pogodę.

- Proszę, nie obrażaj się. Nie miałam na myśli kazania, plotek ani żadnych głupstw. Uważałam tylko, że Jo umacnia cię w uczuciach, których kiedyś będziesz żałował. Jesteś dla nas taki miły, że uważamy cię za naszego brata i mówimy to, co myślimy. Wybacz mi, zrobiłam to

naprawdę z przyjaźni. I Meg wyciągnęła dłoń gestem pełnym uczucia, a zarazem nieśmiałym.

Wstydząc się swojego chwilowego wybuchu, Laurie uścisnął przyjazną, małą dłoń i powiedział szczerze: - To ja powinienem prosić o wybaczenie. Jestem złośliwy i przez cały dzień zupełnie nie do zniesienia. Chcę, żebyście wytykały mi moje błędy i były dla mnie jak siostry, toteż nie przejmujcie się, kiedy jestem nie w humorze. Będę wam jednakowo wdzięczny.

Zdecydowany, by udowodnić, że nie jest obrażony, starał się być tak miły jak tylko potrafił - zwijał bawełnę dla Meg, recytował poezje, żeby sprawić przyjemność Jo, strząsał szyszki dla Beth i pomagał Amy przy jej paprociach, dowodząc tym samym, że jest osobą niezwykle nadającą się do Towarzystwa Pracowitych Pszczółek. W środku ożywionej dyskusji na temat obyczajów domowych żółwi, które były najmiłszymi spośród stworzeń wdrapujących się tu od rzeki, słaby dźwięk dzwonka ostrzegł ich, że Hanna postawiła już herbatę żeby, się „warzyła” i że powinni wracać do domu na kolację.

- Czy mogę przyjść tu znowu? - zapytał Laurie.

- Tak, jeśli będziesz dobry i będziesz kochał swoje książki tak, jak to robią chłopcy w podręcznikach - powiedziała z uśmiechem Meg.

- Postaram się.

- W takim razie możesz przyjść, a ja nauczę cię robić na drutach, tak jak to robią Szkoci. Jest teraz duże zapotrzebowanie na skarpety - dodała Jo, kiedy zegnali się przy furtce, wymachując wykonanymi przez siebie, niczym wielką, niebieską, wełnianą chorągwią.

Tego wieczora, kiedy o zmierzchu Beth grała dla pana Lawrence'a, Laurie stojąc w cieniu zasłon, przysłuchiwał się małemu Dawidowi, którego prosta muzyka zawsze koła jego niespokojną duszę i przyglądał się starszemu panu, siedzącemu z siwą głową podpartą na dłoni i pogrążonemu w czułych myślach o zmarłym dziecku, które tak bardzo kochał. Przypominając sobie popołudniową rozmowę, chłopiec powiedział sam do siebie, postanawiając dokonać ofiary z pogodą ducha:

Zrezygnuję z mojego zamku i zostanę z droгим staruszkiem dopóki mnie potrzebuje, bo jestem przecież wszystkim, co posiada.

ROZDZIAŁ 14

Sekrety Jo była bardzo zajęta na strychu, gdyż październikowe dni stawały się chłodne, a popołudnia krótkie. Tylko na trzy czy cztery godziny słońce wpadało łagodnie przez wysokie okna, ukazując Jo siedzącą na starej sofie i pracowicie piszącą, z papierami rozrzuconymi na stojącym przed nią kufrze, podczas gdy Bazgrotek, jej mały szczurek, przechadzał się po belkach pod sufitem w towarzystwie swego najstarszego syna, eleganckiego młodzieńca, który najwyraźniej bardzo był dumny ze swoich wąsów. Całkowicie pochłonięta swoją pracą Jo pisała dopóki nie zapełniła ostatniej strony, na której złożyła swój podpis z zakrętasem i odrzuciwszy na bok pióro, wykrzyknęła:

- Tak, starałam się jak mogłam! Jeśli nie będzie się podobało, to będę musiała poczekać aż potrafię to zrobić lepiej.

Położywszy się na plecach, przeczytała uważnie rękopis, robiąc tu i ówdzie kreski i dodając liczne wykrzykniki, które przypominały małe balony. Potem związała wszystko elegancką czerwoną wstążką i usiadła na chwilę, przyglądając się swemu dziełu z poważnym, smutnym wyrazem twarzy, który w pełni ukazywał, ile starań włożyła w tę pracę. Za biurko służyła Jo stara blaszana kuchnia przymocowana do ściany. Trzymała w niej swoje papiery i kilka książek, bezpiecznie ukrytych przed Bazgrotkiem, który będąc podobnie jak ona miłośnikiem literatury, traktował pozostawione na jego drodze książki jak wypożyczalnię, i wyjadał z nich kartki. Z tego to metalowego pojemnika Jo wydobyła jeszcze jeden rękopis i włożywszy oba do kieszeni po cichu zeszła na dół pozostawiając swych przyjaciół na obgryzaniu ołówków i próbowaniu atramentu.

Najciszej, jak umiała, włożyła płaszcz i kapelusz, poprzez tylne okno wyszła na dach niskiej werandy, następnie ześlizgnęła się na trawiaste zbocze i okrężną drogą wyszła na ulicę. Znalazszy się tam, doprowadziła do porządku swój wygląd i przywoławszy przejeżdżający omnibus odjechała do miasta, wyglądając zarazem wesoło i tajemniczo.

Ktoś, kto by się temu przyglądał uznałby jej poczynania za dość szczególne, gdyż ruszyła od przystanku szybkim krokiem, dopóki nie dotarła do pewnego numeru na pewnej ruchliwej ulicy. Odnalazszy nie bez trudności szukane miejsce, weszła w bramę, spojrzała w górę na brudne schody i postawszy chwilę bez ruchu, dała nagłego nurka na ulicę i odeszła równie

szybko jak przyszła. Manewr ten powtórzyła jeszcze kilkakrotnie, ku wielkiej uciechy czarnookiego dżentelmena siedzącego w oknie budynku po drugiej stronie ulicy. Powracając po raz trzeci, Jo otrząsnęła się, naciągnęła kapelusz głęboko na oczy i pomaszerowała na górę z taką miną jakby szła sobie wyrwać wszystkie zęby.

Wizytówka dentysty wisiała rzeczywiście wśród wielu innych ozdabiających bramę, toteż przyjrząwszy się przez chwilę sztucznej szczęce, która otwierała się i zamykała powoli, by przyciągnąć uwagę do reklamy nieskazitelnego kompletu zębów, młody dżentelmen włożył palto, wziął kapelusz i zszedł na dół by stanąć na warcie u bramy naprzeciwko, mówiąc sobie z uśmiechem i wzruszeniem ramion:

- To podobne do niej, żeby tu samej przyjść, ale jeśli się tam nacierpi, to będzie jej potrzebna pomoc, żeby dotrzeć do domu.

Po dziesięciu minutach Jo zbiegła na dół z bardzo czerwoną twarzą i ogólnym wyglądem kogoś, kto tylko co przeszedł przez niezwykle ciężką próbę. Kiedy ujrzała młodego dżentelmena, bynajmniej nie wyglądała na zadowoloną i minęła go, skinąwszy tylko głową, on jednak pośpieszył za nią, pytając z sympatią:

- Bardzo było ciężko?

- Nie bardzo.

- Szybko się uwinęłaś.

- Tak, dzięki Bogu!

- Dlaczego przyszłaś sama?

- Nikt nie miał wiedzieć.

- Jesteś najdziwniejszym jegomościem pod słońcem. Ile sobie wyrwałaś?

Jo spojrzała na przyjaciela, jakby niezupełnie rozumiejąc o czym mówi, po czym wybuchnęła śmiechem, niezwykle czymś rozbawiona.

- Mam dwa, które chciałabym, żeby wyszły, ale muszę poczekać tydzień.

- Z czego się śmiejesz? Szykujesz na pewno jakąś psotę - powiedział Laurie bardzo zaintrygowany.

- I ty też. Cóż to szanowny pan porabiał w tym salonie bilardowym?

- Wybaczy szanowna pani, ale nie jest to żaden salon bilardowy, tylko sala gimnastyczna i brałem lekcje fechtunku.

- Cieszy mnie to.

- Dlaczego?

- Bo mnie nauczysz i kiedy będziemy wystawiać *Hamleta*, to zagrasz Laertesę i zrobimy znakomitą scenę pojedynku.

Laurie wybuchnął zdrowym chłopięcym śmiechem, który sprawił że kilku przechodniów uśmiechnęło się mimo woli.

- Nauczę cię niezależnie od tego czy będziemy wystawiać *Hamleta*. To świetna zabawa i znakomicie cię wzmocni. Ale nie wierzę, że to był jedyny powód, dla którego tak zdecydowanym tonem powiedziałaś: «Ciesz się tym».

- Nie, ucieszyłam się, że nie byłeś w salonie gier, bo mam nadzieję, że nie chadzasz w takie miejsca. Prawda?

- Niezbyt często.

- Wolałabym, żebyś wcale nie chodził.

- To nic strasznego, Jo. Mam bilard w domu, ale to żadna zabawa, jeśli nie ma się dobrych partnerów, więc ponieważ lubię tę grę, przychodzę czasami, żeby zagrać z Nede Moffatem czy innymi.

- Mój Boże, tak mi przykro, bo wciągniesz się w to coraz bardziej i będziesz tracił czas i pieniądze, i staniesz się taki sam jak te okropne chłopaczyska. Miałam nadzieję, że pozostaniesz godny szacunku i będziesz radością dla swoich przyjaciół - powiedziała Jo, potrząsając głową.

- Czyż mężczyzna nie może zabawić się niewinnie od czasu do czasu, nie tracąc od razu ludzkiego szacunku? - zapytał Laurie, wyglądając na zirytowanego.

- To zależy jak i gdzie oddaje się tym zabawom. Nie lubię Neda i jego kompanii i wolałabym, żebyś trzymał się od nich z daleka. Mama nie chce, żeby on u nas był mimo że on chciałby przychodzić, a jeśli ty staniesz się podobny do niego, to nie pozwoli nam bawić się razem, tak jak teraz.

- Zabroniłaby? - zapytał Laurie zaniepokojony.

- Tak, nie może znieść tych modnych fircyków i raczej pozamykałaby nas w pudłach na ubrania, niż pozwoliła nam się z nimi zadawać.

- Doprawdy, nie musi jeszcze wyciągać swoich pudeł. Nie jestem modnym kawalerem i nie mam zamiaru nim być, ale od czasu do czasu lubię nieszkodliwe zabawy, a ty?

- Oczywiście, to nikomu nie szkodzi, toteż baw się, bylebyś się nie rozszalał, zgoda? W przeciwnym razie skończą się nasze dobre czasy.

- Postaram się być podwójnie destylowanym świętym.

- Nie znoszę świętych. Bądź po prostu zwykłym, prawym i godnym szacunku chłopcem, a nigdy cię nie opuścimy. Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś postępował tak jak syn Kingów. Miał pełno pieniędzy, ale wcale nie umiał ich wydawać, upijał się i hazardował uciekł z domu, zdaje mi się, że nawet podrobił podpis swego ojca, jednym słowem był absolutnie okropny.

- Uważasz, że i ja mógłbym tak postąpić? Jestem ci niezwykle zobowiązany.

- Nie, nie uważam - ależ skąd, oczywiście, że nie! - ale słyszę jak ludzie mówią, że pieniądze są taką pokusą i czasem żałuję, że nie jesteś biedny. Wtedy nie musiałabym się martwić.

- Martwisz się o mnie, Jo?

- Trochę, kiedy czasami wyglądasz na smutnego czy niezadowolonego. Masz taki silny charakter, że jeśli raz wejdiesz na złą drogę, to obawiam się, że bardzo ciężko będzie cię z niej zawrócić.

Laurie szedł przez chwilę w milczeniu, a Jo przyglądała mu się, żałując, że nie powstrzymała swego języka, gdyż w jego oczach był gniew, mimo że wargi wciąż uśmiechały się do jej ostrzeżeń.

- Czy masz zamiar wygłaszać kazania przez całą drogę do domu? - zapytał po chwili.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego?

- Bo jeśli masz zamiar, to pojedę omnibusem. A jeśli nie, to chciałbym się z tobą przejść i opowiedzieć ci coś bardzo ciekawego.

- Nie będę już prawić kazań i okropnie jestem ciekawa nowinek.

- Świetnie, ale to jest sekret i jeśli ci powiem, to i ty musisz mi wyznać swój sekret.

- Nie mam żadnego - zaczęła Jo, ale nagle urwała, przypominając sobie, że owszem, ma.

- Sama wiesz, że masz - nie potrafisz niczego ukryć, więc dalej, «powiadaj się», albo nie ci nie powiem - wołał Laurie.

- Czy twój sekret jest ciekawy?

- Jeszcze jak! Wszystko o osobach, które znasz i bardzo zabawne! Musisz to usłyszeć, a ja już od dłuższego czasu umieram, żeby ci o tym opowiedzieć. No już, ty zaczynasz.

- Nie powiesz o tym ani słowa w domu, przyrzekasz?

- Ani słówka.

- I nie będziesz mi dokuczał?

- Nigdy ci nie dokuczam.

- Owszem, dokuczasz. Zawsze wyciągniesz z każdego to, co chcesz. Nie wiem jak to robisz, ale jesteś urodzonym bałamutem.

- Piękne dzięki. Strzelaj!

- No więc, zostawiłam u redaktora gazety dwa opowiadania i ma mi dać odpowiedź w przyszłym tygodniu - wyszeptała Jo do ucha swego zauszniaka.

- Hurra dla panny March, słynnej amerykańskiej pisarki! - wykrzyknął Laurie, podrzucając kapelusz i łapiąc go ku wielkiej ucieście dwóch kaczek, czterech kotów, pięciu kur i pół tuzina irlandzkich dzieci, gdyż byli już poza miastem.

- Psst! Przypuszczam, że nic z tego nie wyjdzie, ale nie miałabym spokoju, gdybym nie spróbowała, a nic o tym nie mówiłam, bo nie chciałam, żeby wszyscy się rozczarowali.

- Nie rozczarują się. Jo, twoje opowiadania to Shakespeare w porównaniu z tymi śmieciami, które się codziennie publikuje. Czyż to nie będzie zabawnie ujrzeć je w druku i jakże będziemy dumni z naszej autorki!

Oczy Jo rozbłysły, bo zawsze miło jest, kiedy ktoś w nas wierzy, a pochwała przyjaciela słodsza jest niż dziesięć pozytywnych recenzji w gazetach.

- A gdzie twój sekret? Graj fair Teddy albo już ci nigdy nie uwierzę - powiedziała, starając się ugasić wspaniałe nadzieje, które zapłonęły na słowa zachęty.

- Mogę popaść w tarapaty za to, że ci powiem, ale nie obiecywałem, że nie powiem, więc ci powiem, bo nie mam nigdy spokoju ducha zanim ci nie wyjawię najdrobniejszej nowinki, jaką znam. Wiem, gdzie jest rękawiczka Meg.

- I to wszystko? - powiedziała Jo, wyglądając na zawiedzioną, podczas gdy Laurie potakiwał i mrugał z wyrazem tajemniczej inteligencji na obliczu.

- Póki co, to zupełnie wystarczy i sama to przyznasz, kiedy ci powiem, gdzie ona jest.

- No to powiedz.

Laurie pochylił się i szepnął do ucha Jo trzy słowa, które spowodowały komiczną przemianę. Zatrzymała się i wbiła w niego wzrok, wyglądając na zaskoczoną i niezadowoloną zarazem, po czym ruszyła, mówiąc ostro:

- Skąd wiesz?

- Widziałem.

- Gdzie?

- W kieszeni.
- Przez cały czas?
- Tak, czy to nie romantyczne?
- Nie, to okropne.
- Nie podoba ci się to?
- Oczywiście, że nie. To śmieszne! To powinno być zakazane! Och, cierpliwości, co by na to powiedziała Meg?

- Masz nikomu nie mówić, pamiętaj.
- Nie obiecywałam.
- To się samo rozumiało i ja ci zaufałam.
- Dobrze, na razie nie powiem, ale to obrzydliwe i żałuję, że mi powiedziałeś.
- Myślałem, że będziesz zadowolona.
- Zadowolona, że ktoś przyjdzie zabrać Meg? Nie, dziękuję.
- Zmienisz zdanie, kiedy ktoś przyjdzie, żeby zabrać ciebie.
- Chciałabym zobaczyć tego, który się odważy - zawołała groźnie Jo.
- I ja także! - T Laurie zachichotał na samą myśl o tym.
- Sekrety to nie dla mnie. Odkąd mi o tym powiedziałeś, czuję, jak mi się mózg marszczy
- powiedziała Jo dość niewdzięcznie.

- Pościgaj się ze mną z tego wzgórza i od razu ci się polepszy - poradził Laurie.

Nikogo nie było widać, gładka droga opadała zachęcająco tuż przed nią, toteż uznając pokusę za nie do odparcia, Jo ruszyła naprzód, szybko pozostawiając w tyle kapelusz i grzebień i rozsiewając szpilki do włosów. Laurie pierwszy dobiegł do celu i był całkiem zadowolony z sukcesu swojej terapii, albowiem jego Atalanta przybiegła bez tchu, z rozwianym włosom, błyszczącymi oczyma, czerwonymi policzkami i brakiem jakichkolwiek oznak niezadowolenia na twarzy.

- Chciałabym być koniem, wtedy mogłabym biegać całymi milami po tym wspaniałym powietrzu i nie tracić tchu. Było znakomicie, ale zobacz, jakie ze mnie teraz straszycie. Idź, pozbieraj moje rzeczy, niczym cherubin - powiedziała Jo, padając pod klonem, który okrywał zbocze dywanem szkarłatnych liści.

Laurie odszedł bez pośpiechu, by odzyskać zgubioną własność, a Jo podwinęła warkocze, mając nadzieję, że nikt nie nadejdzie zanim nie doprowadzi się z powrotem do porządku. Ale

ktoś nadszedł i któż by to mógł być, jak nie Meg, która wyglądała szczególnie wytwornie w swojej wyjściowej sukni, albowiem wracała właśnie z wizyty.

- A cóż ty tu, na Boga, robisz? - zapytała, spoglądając na swoją potarganą siostrę ze zdziwieniem dobrze wychowanej osoby.

- Zbieram liście - odparła niepewnie Jo ukazując czerwony bukiet, który właśnie zgarnęła.

- I szpilki do włosów - dodał Laurie, rzucając je na kolana Jo. - Rosną przy tej drodze - Meg. Podobnie jak grzebienie i brązowe słomiane kapelusze.

- Biegałaś, Jo. Jak mogłaś? Kiedy wreszcie skończysz z tym dokazywaniem? - powiedziała Meg z wymówką, poprawiając mankiety i przyglądając włosy, w których swawolił wiatr.

- Nigdy, dopóki nie będę stara i sztywna i nie będę chodzić o kulach. Nie poganiaj mnie, żebym stała się przed czasem dorosła, Meg. Dostatecznie trudne jest to, że ty się tak gwałtownie zmieniasz. Pozwól mi być dziewczynką, jak długo mogę.

Mówiąc to Jo pochyliła się nad liśćmi, by ukryć drżenie swych warg, gdyż czuła ostatnio, że Margaret stawiała się szybko kobietą, a sekret Laurie kazał jej lękać się rozstania, które musiało kiedyś nadejść, a teraz zdawało się tak bliskie. Laurie zauważył zmieszanie na jej twarzy i odwrócił uwagę Meg, pytając prędko: - Komu to składałaś wizyty taka elegancka?

- Gardinerom. A Sallie opowiedziała mi wszystko o weselu Belle Moffat. Było wspaniałe, a teraz wyjechali spędzić zimę w Paryżu. Pomyśl tylko jakie to musi być cudowne!

- Zazdrościsz jej, Meg? - powiedział Laurie.

- Obawiam się, że tak.

- Cieszy mnie to! - mruknęła Jo, zawiązując energicznie kapelusz.

- Dlaczego? - zapytała Meg zdziwiona.

- Dlatego, że jeśli tak ci zależy na bogactwie, to nigdy nie weźmiesz i nie wyjdiesz za biedaka - powiedziała Jo, wykrzywiając się do Laurie, który dawał jej nieme znaki, żeby uważała na swoje słowa.

- Nigdy nie «wezmę i nie wyjdę za nikogo» - zauważyła Meg, odchodząc z wielką godnością, podczas gdy pozostała dwójka pośpieszyła za nią, śmiejąc się, szepcząc, przeskakując kamienie i „zachowując się jak dzieci”, jak powiedziała do siebie Meg, mimo że być może kuśliby ją, by do nich dołączyć, gdyby nie miała na sobie swojej najlepszej sukienki.

Przez następne parę tygodni Jo zachowywała się tak dziwnie, że jej siostry zupełnie nie

wiedziały, co o tym myśleć. Śpieszyła do drzwi, gdy tylko zadzwonił listonosz, była niegrzeczna dla pana Brooka, kiedy go spotkała, siadywała wpatrując się w Meg z zasmuconą twarzą i od czasu do czasu w bardzo tajemniczy sposób zrywając się, by ją uściskać i ucałować. Oboje z Laurie wciąż robili do siebie znaki i rozmawiali o *Rozpostartych Orlach*, aż dziewczęta zdecydowały, że oboje postradali zmysły. W drugą sobotę, po tym jak Jo wyskoczyła przez okno, Meg siedząc w oknie przy szyciu patrzyła zgorszona jak Laurie ganiał Jo po ogrodzie, aż w końcu złapał ją w altance Amy. Tego, co tam się działo, Meg nie mogła dojrzeć, ale dobiegały ją wybuchy śmiechu, po których następował szmer głosów i gwałtowny szelest rozkładanej gazety.

x - Co można począć z tą dziewczyną? Nigdy nie będzie się zachowywała jak młoda dama - westchnęła Meg obserwując gonitwy z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

- Mam nadzieję, że nie. Jest zabawna i kochana, taka jaka jest - powiedziała Beth, która nigdy nie zdradziła, że trochę ją bolało, gdy Jo miała sekrety nie tylko z nią.

- To bardzo smutne, ale nigdy nie uczynimy jej *commy la fo* - dodała Amy, która siedziała z lokami upiętymi w niezwykle twarzowy - sposób i przygotowywała sobie nowe falbanki - dwie bardzo miłe rzeczy, które sprawiały, że czuła się bardzo elegancko i arystokratycznie. Po kilku minutach wpadła Jo, ułożyła się na sofie i zabrała się do czytania.

- Masz tam coś ciekawego? - zapytała Meg lekceważąco.

- To tylko opowiadanie! Nie sądzę, żeby to było wiele warte - odparła Jo starannie ukrywając tytuł gazety.

- Przeczytaj je lepiej głośno. Zajmie nas to, a ciebie powstrzyma od psot - powiedziała Amy swoim najdoroślejszym tonem.

- Jaki ma tytuł - zapytała Beth, zastanawiając się dlaczego Jo ukrywała twarz za gazetą.

- *Malarze - rywale*.

- To brzmi nieźle. Czytaj - powiedziała Meg.

Z głośnym „Hmm!” i wzięwszy głęboki oddech Jo zaczęła bardzo szybko czytać. Dziewczęta słuchały z zainteresowaniem, gdyż opowieść była romantyczna, nieco patetyczna i większość bohaterów umierała na zakończenie.

- Podobało mi się to o wspaniałym obrazie - skomentowała z aprobatą Amy, kiedy Jo skończyła.

- Ja wolę scenę miłosną. Wiola i Andżelo to nasze dwa ulubione imiona. Czy to nie dziwne? - powiedziała Meg, ocierając oczy, albowiem „scena miłosna” była tragiczna.

- Kto to napisał? - zapytała Beth, która dostrzegła skrawek twarzy Jo.

Czytająca usiadła gwałtownie, odrzuciła gazetę ukazując zarumienione oblicze i z zabawną mieszaniną uroczystej powagi i podniecenia odpowiedziała głośnym głosem: „Wasza siostra”.

- Ty? - wykrzyknęła Meg, upuszczając robótkę.

- To bardzo dobre - powiedziała Amy niczym krytyk.

- Wiedziałam! Wiedziałam! Och, moja Jo, taka jestem z ciebie dumna! I Beth podbiegła, by uściskać siostrę i nacieszyć się tym wspaniałym sukcesem.

Och, jakież były wszystkie szczęśliwe! Jak Meg nie mogła w to uwierzyć dopóki nie zobaczyła słów „Panna Józefina March” naprawdę wydrukowanych w gazecie; jak wdzięcznie Amy krytykowała artystyczne części opowiadania i oferowała sugestie na dalszy ciąg, których niestety nie można było wykorzystać, gdyż oboje, bohater i bohaterka zostali uśmierceni; jak Beth w podnieceniu podskakiwała i śpiewała z radości; jak Hanna przyszła, by zawołać „Na wielki rety, ja to nigdy!” w ogromnym zdumieniu nad „ta pisanina Jo”; jak dumna była pani March, kiedy się dowiedziała; jak Jo śmiała się ze łzami w oczach kiedy deklarowała, że owszem jest dumna jak paw; i jak, można rzec, *Rozpostarty Orzeł* machał swymi skrzydłami nad domem Marchów, gdy gazeta przekazywana była z rąk do rąk.

- Opowiedz nam o wszystkim - Kiedy to wyszło? Ile ci zapłacili? Co by tata powiedział? Czy Laurie nie będzie się śmiał? - wołały wszystkie jedna przez drugą gromadząc się wokół Jo, albowiem ci zwariowani uczuciowi ludzie urządzali święto z każdej drobnej, domowej radości.

- Przestańcie trąkotać dziewczęta, a wszystko wam opowiem - powiedziała Jo, zastanawiając się czy pani Burney odczuwała większą dumę z powodu swej „Eweliny” niż ona nad „Malarzami - rywalami”. Opowiedziawszy, jak oddała swoje prace, Jo dodała: - A kiedy poszłam po odpowiedź, ten pan powiedział że podobały mu się oba, ale nie płaci początkującym autorom, a tylko pozwala im publikować w swojej gazecie i zdobywać czytelników. To dobra praktyka, powiedziała kiedy debiutant stanie się lepszy, to każdy mu zapłaci. No więc, pozwoliłam mu wziąć oba opowiadania i dziś mi to przysłano, a Laurie mnie na tym przyłapał i nalegał żebym mu dała przeczytać. Pozwoliłam mu a on powiedział, że to dobre i że powinnam więcej pisać, i że załatwi, żeby mi zapłacili za następne, i jestem taka szczęśliwa, bo z czasem będę się mogła sama utrzymać i pomóc dziewczętom.

Jo zabrakło tchu i pakując głowę w gazetę zrosiła swe opowiadanie kilkoma szczerymi

łzami, gdyż zdobycie niezależności i pochwał tych, których kochała, były to najgłębsze pragnienia jej serca, a teraz wydawało się, że uczyniła pierwszy krok, by szczęśliwy ten cel osiągnąć.

ROZDZIAŁ 15

Telegram - Listopad to najbardziej nieprzyjemny miesiąc w całym roku - powiedziała Margaret stojąc pewnego smętnego popołudnia w oknie i spoglądając na zwarzony mrozem ogród.

- To dlatego właśnie ja się w nim urodziłam - zauważyła Jo w zamyśleniu, zupełnie nieświadoma plamy na swoim nosie.

- Gdyby teraz wydarzyło się coś bardzo miłego, uznałybyśmy, że to wspaniały miesiąc - powiedziała Beth, która do wszystkiego podchodziła z nadzieją, nawet do listopada.

- Przypuszczam, że tak, ale w tej rodzinie nigdy nie wydarza się nic miłego - powiedziała Meg, która była w złym nastroju. - Harujemy tylko dzień w dzień, bez żadnej zmiany i zaledwie z odrobiną przyjemności. Równie dobrze mogłybyśmy chodzić w kieracie.

- Cierpliwości, ależ jesteśmy nie w humorze! - zawołała Jo. - Nie dziwię ci się, kochanie, bo musisz patrzeć na to, jak inne dziewczęta świetnie się bawią, podczas gdy ty harujesz rok za rokiem. Jakże chciałabym móc wszystko ci ułożyć, tak jak to robię dla moich bohaterek. Jesteś już dostatecznie ładna i dobra, toteż sprawiłabym, żeby jakiś krewny pozostawił ci niespodziewanie fortunę, a wtedy wyfrunęłabyś w świat jako wielka spadkobierczyni, lekceważąc wszystkich, którzy cię poniżali. Wyjechałabyś za granicę i powróciła jako Lady Jakałam, w blasku splendorów i elegancji.

- Nikt teraz nie dziedziczy w ten sposób fortuny. Mężczyźni muszą pracować, a kobiety wychodzić za mąż dla pieniędzy. To obrzydliwie niesprawiedliwy świat - powiedziała gorzko Meg.

- Jo i ja zbijemy fortuny dla was wszystkich. Poczekajcie tylko z dziesięć lat i same zobaczycie - powiedziała Amy, która siedziała w kącie, zajęta robieniem ciastek z błota, jak nazywała Hanna jej małe gliniane figurki ptaków, owoców i twarzy.

- Nie mogę czekać i obawiam się, że nie mam zbytnej wiary w atrament i błoto, ale wdzięczna wam jestem za dobre intencje.

Meg westchnęła i odwróciła się znów w stronę zmrożonego ogrodu. Jo jęknęła i wyciągnęła na stole oba łokcie w przygnębionej pozie, ale Amy energicznie klepała glinę, a Beth, która siedziała przy drugim oknie, powiedziała uśmiechając się: - Dwie miłe rzeczy wydarzą się

już zaraz - Marmisia nadchodzi ulicą i Laurie biegnie przez ogród jakby miał nam powiedzieć coś miłego.

Oboje nadeszli, pani March ze swym zwykłym pytaniem: - Czy był list od ojca, dziewczynki? a Laurie, aby w swój przekonujący sposób powiedzieć: - Czy któraś z was nie wybrałaby się na przejażdżkę? Ślęczałem nad matematyką dopóki nie zamąciło mi się w głowie i mam zamiar odświeżyć swój umysł szybkim spacerem. Dzień jest ponury, ale powietrze nie jest złe i odwożę Brooka do domu, więc w powozie będzie wesoło, nawet jeśli na dworze tak nie jest. Chodź Jo, prawda, że obie z Beth pojedziecie?

- Oczywiście, że pojedziemy.

- Bardzo dziękuję, ale jestem zajęta. I Meg wyciągnęła swój koszyk do robótek, gdyż zgadzała się z matką, że lepiej było, przynajmniej w jej przypadku, nie jeździć zbyt często w towarzystwie młodego człowieka.

- My trzy będziemy gotowe za minutę - zawołała Amy, wybiegając żeby umyć ręce.

- Czy mogę coś dla pani zrobić, pani mamó? - zapytał Laurie, pochylając się nad fotelem pani March z czułością w głosie i spojrzeniu, gdyż tak się zawsze do niej zwracał.

- Nie, dziękuję, zajrzyj tylko na pocztę, skoro jesteś tak miły, kochanie. To nasz dzień listu, a listonosza nie było. Ojciec jest dokładny jak słońce. Być może zdarzyło się jakieś opóźnienie w drodze.

Przerwał jej ostry dzwonek i po chwili Hanna weszła z listem.

- To ta okropna telegraf, proszę pani - powiedziała, wręczając list tak jakby obawiała się, że za chwilę wybuchnie albo narobi innych szkód.

Na słowo „telegraf” pani March porwała papier, przeczytała dwie linie, które zawierał i opadła na krzesło tak blada jakby ten skrawek papieru posłał kulę prosto w jej serce. Laurie ruszył na dół po wodę, podczas gdy Meg i Hanna podtrzymywały ją, a Jo odczytała głośno, przestraszonym głosem:

Pani March, Pani mąż jest ciężko chory. Proszę natychmiast przyjechać.

S. Hale, Szpital Blanka, Waszyngton

Jak cicho było w pokoju, gdy słuchały bez tchu, jak dziwnie pociemniało na zewnątrz i jak zdało się, zawirował nagle cały świat, kiedy dziewczynki zebrały się wokół matki, czując się tak, jakby całe szczęście i oparcie ich życia miało im być teraz odebrane. Pani March przyszła już do siebie, przeczytała jeszcze raz wiadomość i wyciągając ramiona do córek, powiedziała tonem,

którego nigdy nie zapomniali: - Pojadę natychmiast, ale może już być za późno. Och, dzieci, dzieci, pomóżcie mi to wytrzymać!

Przez kilka chwil w pokoju słychać było tylko szloch, wymieszany z urywanymi słowami pociechy, czułymi zapewnieniami o pomocy i pełnymi nadziei szeptami, które zamierały wśród łez. Biedna Hanna pierwsza się otrząsnęła i z nieświadomą mądrością dała przykład pozostałym, gdyż dla niej praca była lekarstwem na wszelkie nieszczęścia.

- Bóg zachowa drogi pan! Nie będę tu tracić czas na płkanie, tylko przygotuję zaraz pani wszystko, co potrzeba - powiedziała serdecznie, ocierając twarz fartuchem i uściskawszy rękę swej pani własną stwardniałą dłonią odeszła, by pracować za trzech.

- Hanna ma rację. Nie czas teraz na łzy. Uspokójcie się dziewczęta i dajcie mi pomyśleć.

Staraly się być cicho, biedactwa, podczas gdy ich matka usiadła wyglądając blado, lecz spokojnie i odsunęła swój smutek, by o wszystkim pomyśleć i wszystko dla nich zaplanować.

- Gdzie jest Laurie? - zapytała przytomnie, kiedy pozbierała myśli i zdecydowała od czego należy zacząć.

- Tu, proszę pani. Och, proszę pozwolić mi coś zrobić! - zawołał chłopiec, śpiesząc z sąsiedniego pokoju, dokąd wycofał się, czując, że pierwszy smutek zbyt był święty, by oglądały go nawet oczy przyjaciela.

- Wyślesz telegram, że zaraz przyjeżdżam. Następny pociąg odchodzi wczesnym rankiem. Pojadę nim.

- Co jeszcze? Konie są gotowe. Mogę wszędzie pojechać, wszystko załatwić - powiedział gotów pofrunąć na kraj świata.

- Zostawisz wiadomość u ciotki March. Jo, podaj mi pióro i papier.

Odrywając czystą stronę spośród swych świeżo przepisanych kartek, Jo przysunęła matce stół wiedząc doskonale, że pieniądze na daleką smutną podróż trzeba było pożyczyć i czując, że zrobiłaby wszystko, by dodać choć trochę do potrzebnej dla ojca sumy.

- Ruszaj teraz, kochanie, ale nie zabij się jadąc z desperacką szybkością. Nie ma potrzeby aż tak się śpieszyć.

Ostrzeżenie pani March było oczywiście daremne, gdyż w pięć minut później Laurie przegalopował pod oknem na swoim rączym koniu, jadąc jakby szło o jego własne życie.

- Jo, pobiegiesz do magazynów i powiesz pani King, że nie mogę przyjść. Zabierzesz z powrotem trochę rzeczy. Wszystko zaraz spiszę. Będą potrzebne, bo muszę jechać przygotowana

na pielęgnowanie chorego. Szpitalne składy nie zawsze są dobrze zaopatrzone. Beth, pójdziesz i poprosisz pana Laurence'a o parę butelek starego wina - nie jestem zbyt dumna, by zebrać dla ojca. Powinien mieć wszystko co najlepsze. Amy, powiedz Hannie, żeby wyjęła czarną walizkę, a ty Meg, chodź i pomóż mi zebrać moje rzeczy, bo jestem na wpół przytomna.

Pisanie, myślenie i jednoczesne kierowanie wszystkimi mogło ją z powodzeniem pozbawić przytomności, toteż Meg ubłagała ją, by na chwilę usiadła spokojnie w swoim pokoju i pozwoliła im pracować. Wszyscy rozlecieli się jak liście uniesione porywem wiatru i spokojny, szczęśliwy dom rozpadł się tak nagle, jakby list podziałał niczym jakieś złowrogie zaklęcie.

Pan Laurence nadszedł pośpiesznie wraz z Beth, przynosząc wszystkie słowa otuchy jakie tylko dobry starszy pan mógł wymyślić na intencję chorego, oraz przyjacielskie obietnice opieki nad dziewczynkami pod nieobecność matki, co niezwykle ją uspokoiło. Nie było rzeczy, której by nie proponował począwszy od własnego szlafroka, a kończąc na sobie samym jako eskortie. To ostatnie nie było jednak możliwe i pani March nie chciała nawet słyszeć, by starszy pan podejmował tak długą podróż, ale gdy o tym wspomniał twarz jej przybrała na chwilę wyraz ulgi, gdyż niepokój nie usposabia dobrze do podróży. Starszy pan zauważył to, zmarszczył grube brwi, zatarł dłonie i szybko odmaszerował mówiąc, że zaraz wróci. Nikt nie miał czasu znów o nim pomyśleć, dopóki Meg biegnąc przez korytarz z parą kaloszy w jednej ręce, a filiżanką herbaty w drugiej, nie zderzyła się tam z panem Brookiem.

- Tak mi przykro, panno March - powiedział miłym, spokojnym głosem, który kojąco zabrzmiał dla jej umęczonej duszy. - Przyszedłem, by zaoferować pani matce moje towarzystwo. Pan Laurence ma dla mnie zlecenia w Waszyngtonie i sprawi mi ogromną przyjemność, jeśli będę mógł jej się tam przydać.

Kalosze upadły, a i herbata omal nie poszła w ich ślady, gdyż Meg wyciągnęła dłoń z twarzą tak pełną wdzięczności, że wynagrodziłoby to panu Brookowi znacznie większe poświęcenie, niż ta odrobina czasu i pociechy, którą ofiarowywał.

- Jacy wy jesteście dobrzy! Jestem pewna, że mama się zgodzi i będzie to taka ulga wiedzieć, że ma tam kogoś, kto się o nią zatroszczy. Bardzo, bardzo panu dziękuję!

Meg powiedziała to bardzo żarliwie i zapomniała się całkowicie, dopóki coś w brązowych oczach, które spoglądały na nią z góry, nie kazało jej przypomnieć sobie o stygnącej herbacie i odejść do bawialni, powiedziawszy, że poprosi matkę.

Wszystko było już ustalone, kiedy Laurie powrócił od ciotki March z notą zawierającą

potrzebną sumę i kilka zdań powtarzających to, co często przedtem powtarzała, a mianowicie - że zawsze im mówiła, że był to absurd, żeby March szedł do wojska, że zawsze przepowiadała, iż nic dobrego z tego nie wyniknie i że ma nadzieję, że następnym razem skorzystają z jej rady. Pani March wrzuciła list do ognia, pieniądze do torebki i powróciła do swych przygotowań z mocno zaciśniętymi wargami, na sposób, który Jo zrozumiałaby doskonale, gdyby przy tym była.

Krótkie popołudnie dobiegało końca. Wszystko było przygotowane. Meg z matką zajęte były jakimiś niezbędnymi krawieckimi poprawkami, podczas gdy Beth i Amy przygotowywały herbatę, Hanna zakończyła prasowanie z, jak to nazywała „plaskiem i stukiem” i tylko Jo wciąż jeszcze nie było. Zaczynały się już niepokoić i Laurie wyszedł, żeby jej poszukać, bo nikt nie mógł przewidzieć, co mogło przyjsć postrzelonej Jo do głowy. Laurie przeoczył ją jednak i przysła sama z bardzo dziwnym wyrazem twarzy, w którym mieszało się rozbawienie i strach, zadowolenie i żal, co zaskoczyło rodzinę nie mniej niż zwitek banknotów, który położyła przed matką, mówiąc nieco zdławionym głosem: - To mój wkład w to żeby ojcu było lepiej i żebyś go przywiozła do domu!

- Kochanie, skąd to masz? Dwadzieścia pięć dolarów! Jo, mam nadzieję, że nie zrobiłaś czegoś nierozważnego?

- Nie, to uczciwie moje. Nie zebrałam, nie pożyczyłam ani nie ukradłam. Zarobiłam na to i nie sądzę, żebyś się na mnie gniewała, bo sprzedawałam tylko coś, co do mnie należało.

Mówiąc to Jo zdjęła kapturek i tu rozległ się ogólny krzyk, gdyż jej wspaniałe włosy były krótko obcięte.

- Twoje włosy! Twoje piękne włosy! Och, Jo, jak mogłaś? Twój jedyny atut. Moje kochane dziecko, to nie było potrzebne. Nie wygląda teraz jak moja Jo, ale tak bardzo ją za to kocham!

Kiedy wszyscy wykrzykiwali, a Beth czule uściskała ostrzyżoną głowę, Jo przyjęła obojętną pozę, która nikogo ani trochę nie zwiódła i powiedziała zburzywszy brązową gęstwę i starając się wyglądać tak, jakby jej się podobała nowa fryzura: - Nie wywrze to wpływu na losy narodu, więc nie płacz, Beth. To dobre dla mojej próżności. Stawałam się zbyt dumna z mojej czupryny. I mojemu mózgowi dobrze robi, kiedy się pozbędzie tej miotły. Jest mi tak lekko i chłodno w głowę, a fryzjer powiedział że niedługo będę miała fryzurę w drobne loki, co będzie bardzo chłopiące, twarzowe i łatwe do utrzymania. Ja jestem zadowolona, więc proszę, mamó, weź pieniądze i zjedźmy kolację.

- Opowiedz mi wszystko, Jo. Ja nie jestem zupełnie zadowolona, ale nie mogę cię obwiniać, bo wiem, jak chętnie poświęciłaś swoją, jak to nazywasz, próżność dla miłości. Ale, kochanie, to nie było potrzebne i obawiam się, że niedługo będziesz tego żałowała - powiedziała pani March.

- Nie, nie będę! - odparła Jo zdecydowanie, czując znaczną ulgę, że jej postępek nie został całkowicie potępiony.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytała Amy, która równie chętnie dałaby sobie obciąć głowę, co swoje ładne włosy.

- No cóż, strasznie chciałam zrobić coś dla taty - odpowiedziała Jo, kiedy wszyscy zebrali się przy stole, albowiem zdrowi młodzi ludzie mogą jeść nawet pośród kłopotów. - Nienawidzę pożyczać równie gorąco jak mama i wiem, że ciotka March zrzędziłaby, tak jak zawsze, gdybym ją poprosiła o parę groszy. Meg dała całą swoją kwartalną pensję na komorne, a ja za swoją kupiłam tylko trochę ubrań, toteż czułam się okropnie i zdecydowana byłam zdobyć pieniądze choćbym miała sprzedać własny nos.

- Niepotrzebnie czułaś się okropnie, moje dziecko. Nie miałaś zimowych ubrań i kupiłaś sobie najskromniejsze za swoje ciężko zarobione pieniądze - powiedziała pani March, ze spojrzeniem, które ogrzało serce Jo.

- Z początku wcale mi nie przyszło do głowy, żeby sprzedać włosy, ale kiedy tak szłam, rozmyślałam co mogłabym zrobić, a jednocześnie oglądałam wystawy tych eleganckich sklepów, czując, że miałabym ochotę dać do nich nura i poczęstować się czymś. W oknie fryzjera zobaczyłam wtedy warkocze z włosów, z przyczepionymi do nich cenami i jeden czarny warkocz, nie tak gruby jak mój, kosztował czterdzieści dolarów. Olśniło mnie nagle, że miałam coś, za co można było dostać pieniądze i bez namysłu weszłam, zapytałam czy kupują włosy i ile mogą zapłacić mi za moje.

- Nie mogę sobie wyobrazić jak się na to zdobyłaś - powiedziała Beth z nutą przerażenia.

- Och, to był taki malutki mężczyzna, który wyglądał jakby żył tylko po to, żeby pomadować włosy. Najpierw się zdziwił jakby nie był przyzwyczajony, że dziewczęta wskazują do sklepu i pytają go czy nie kupiłby włosów. Powiedział że nie zależy mu na moich, bo nie są w modnym kolorze, a przede wszystkim, że nigdy dużo nie płaci, bo dopiero praca, którą w nie wkłada, podnosi cenę, i tak dalej. Robiło się późno i bałam się, że jeśli nic z tego zaraz nie wyjdzie, to już się wcale nie zdecyduję, a wiecie, że jak zacznę coś robić, to nie cierpię

rezygnować, więc błagałam go, żeby je wziął i powiedziałam mu dlaczego tak mi się śpieszy. Przyznaję, że było to głupie, ale sprawiło, że zmienił zdanie, bo bardzo się podnieciłam i opowiedziałam na mój pokrętny sposób całą historię, a jego żona usłyszała wszystko i powiedziała bardzo miło: «Weź je, Tomaszu, i wyświadczyć młodej damie przysługę. Zaraz zrobiłabym to - samo dla naszego Jimmy, gdybym miała choć kosmyk włosów, który byłby cokolwiek wart».

- Kto to jest Jimmy? - zapytała Amy, która lubiła, żeby wyjaśniano jej wszystko w trakcie opowiadania.

- Ta kobieta powiedziała, że to jej syn, który jest w armii. Czy to nie dziwne, jak takie sprawy przyjaźnie usposabiają nie znanych sobie ludzi? Rozmawiała ze mną, podczas gdy jej mąż mnie strzygł i zręcznie odwracała moją uwagę.

- Czy nie czułaś się okropnie, kiedy ci obciął pierwsze pasmo? - zapytała Meg z dreszczem.

- Spojrzałam po raz ostatni na moje włosy, kiedy fryzjer przygotowywał swoje przybory i tyle. Nigdy nie biadolę nad takimi głupstwami. Wyznam jednak, że dziwnie się poczułam, kiedy ujrzałam drogie stare włosy ułożone na stole, a na głowie czułam krótkie szorstkie końce. Zdawało mi się prawie jakbym straciła rękę albo nogę. Kobieta podchwyciła moje spojrzenie i powiedziała, żebym zabrała jeden długi lok. Dam ci go, Marmiś, jako pamiątkę dawnej świetności, bo ta fryzura jest tak wygodna, że nie wydaje mi się żebym kiedykolwiek jeszcze zapuściła grzywę.

Pani March zwinęła falisty kasztanowy lok i ułożyła go na swoim biurku obok krótkiego siwego. Powiedziała tylko: „Dziękuję, kochanie” ale coś w jej twarzy sprawiło, że dziewczęta zmieniły temat i rozmawiały jak umiały najwesielej o tym jak pięknie postąpił pan Brooke, o zapowiadanej na następny dzień dobrej pogodzie i o tym, jakie wspaniałe czasy nastaną, kiedy ojciec wróci do domu na rekonwalescencję.

Nikommu nie chciało się iść spać, kiedy o dziesiątej pani March odłożyła ostatnią skończoną robótkę i powiedziała: „Chodźcie dziewczęta”.

Beth podeszła do pianina i zagrała ulubiony hymn ojca. Wszystkie dzielnie zaczęły śpiewać, ale załamały się jedna po drugiej, aż Beth pozostała sama, śpiewając z całego serca, gdyż dla niej muzyka była zawsze słodkim ukojeniem.

- Idźcie do łóżek i nie rozmawiajcie już, bo rano musimy wstać i trzeba się

dobrze wyspać. Dobranoc, moje kochane - powiedziała pani March, kiedy skończył się hymn i nikt nie próbował zacząć następnego.

Ucałowały ją i poszły do łóżek tak cicho jakby drogi chory leżał w sąsiednim pokoju. Beth i Amy zaraz zasnęły pomimo wszelkich kłopotów, ale Meg leżała z otwartymi oczyma, snując najpoważniejsze myśli, jakie kiedykolwiek przychodziły jej do głowy w czasie całego krótkiego życia. Jo leżała bez ruchu i siostrze wydawało się, że zasnęła, dopóki zduszony szloch nie sprawił że Meg zawołała dotykając mokrego policzka:

- Jo, kochanie, co się stało? Czy płaczesz z powodu ojca?

- Nie, nie teraz.

- Więc dlaczego?

- Moje - moje włosy! - wybuchnęła biedna Jo, daremnie starając się ukryć swe wzruszenie za poduszką.

Nie zabrzmiało to bynajmniej komicznie dla Meg, która ucałowała i pogładziła zbolaną bohaterkę najczulej jak umiała.

- Nie jest mi ich żal - protestowała Jo, zachłystując się. - Gdybym mogła, jutro znów bym zrobiła to samo. To tylko ta próżna, samolubna część mnie tak głupio płacze. Nie mów nikomu, już po wszystkim. Myślałam, że już śpisz i dlatego urządziłam mały prywatny szloch nad jedynym atutem mojej urody. Dlaczego jeszcze nie śpisz?

- Nie mogę spać. Tak się martwię - powiedziała Meg.

- Pomyśl o czymś przyjemnym i zaraz zaśniesz.

- Próbowałam, ale wtedy jeszcze bardziej się rozbudziłam.

- O czym myślałaś?

- O ładnych twarzach - a zwłaszcza oczach - odpowiedziała Meg, uśmiechając się do siebie w ciemności.

- Jaki kolor najbardziej lubisz?

- Brązowe - to znaczy czasami. Niebieskie też są ładne.

Jo roześmiała się i Meg ostro zabroniła jej się odzywać, a potem miło obiecała, że zakręci jej włosy i zasnęła, by śnić o życiu w powietrznym zamku.

Zegary wydzwaniały północ i pokoje były już ciche, kiedy jakaś postać zaczęła przesuwając się od łóżka do łóżka. Tu wygładziła przykrycie, tam poprawiła poduszkę, zatrzymując się, by rzucić długie i czułe spojrzenie na każdą z nieświadomych we śnie twarzy, ucałować każdą

wargami, które niemo błogosławiły i wymawiały słowa żarliwych modlitw, odmawianych tylko przez matki. Kiedy uniosła zasłonę u okna, by wyrzeć w posępną noc, spoza chmur ukazał się nagle księżyc i zaświecił na nią niczym życzliwa, jasna twarz, która zdawała się szeptać wśród ciszy: „Pociesz się, dobra duszo! Tam za chmurami zawsze jest światło”.

ROZDZIAŁ 16

Listy O szarym, zimnym świetle siostry zapaliły lampę i przeczytały kolejny rozdział swoich małych książeczek z nigdy przedtem nie odczuwaną żarliwością, gdyż teraz oto, kiedy padł na nie cień prawdziwych kłopotów, książeczki te niosły pomoc i pociechę. Ubierając się, postanowiły więc powiedzieć do widzenia pogodnie i z nadzieją, i wyprawić matkę w pełną niepokoju podróż, bez zasmucania jej własnymi łzami i narzekaniem. Kiedy zeszły na dół, wszystko wydawało się bardzo dziwne - na dworze było tak ciemno i spokojnie, a w domu - pełno światła i zamieszania. Dziwnie było jeść o tak wczesnej porze śniadanie i nawet znajoma twarz Hanny wyglądała nienaturalnie, kiedy fruwała wokół kuchni w nocnym czepku na głowie. Wielki kufer stał przygotowany w korytarzu, płaszcz i czepki matki leżały na sofie, a ona sama siedziała starając się coś zjeść, tak blada i zmęczona od bezsennej nocy i trosk, że dziewczętom bardzo trudno było dotrzymać swego postanowienia. Oczy Meg napępniały się łzami wbrew jej woli; Jo niejednemu raz musiała ukrywać twarz za kuchennym wałkiem, a młodsze dziewczynki miały tak poważne i zaniepokojone twarze jakby smutek był dla nich nowym doświadczeniem.

Nikt wiele nie mówił, ale w miarę, gdy czas upływał i siedziały czekając na powóz, pani March powiedziała do dziewczynek, które krzątały się wokół niej, jedna składając jej szal, druga wyglądając wstążki na czepku, trzecia zakładając jej kalosze, a czwarta przymocowując torbę podróżną:

- Dzieci, pozostawiam was pod opieką Hanny i pana Laurenca. Hanna to chodzące przywiązanie, a nasz dobry sąsiad będzie was strzegł tak, jakbyście były jego własnymi dziećmi. Nie boję się o was, ale pragnę, żebyście w należyty sposób przebrnęły przez te kłopoty. Nie smućcie się i nie trąpcie kiedy wyjadę, ani nie myślcie, że możecie znaleźć pociechę i zapomnienie w beczynności. Pracujcie tak jak dotychczas, gdyż to w pracy jest błogosławiona pociecha. Miejcie nadzieję i bądźcie zajęte, a cokolwiek się stanie, pamiętajcie, że nigdy nie będziecie pozbawione ojca.

- Tak, mamo.

- Meg, kochanie, bądź rozważna, uważaj na siostry, radź się Hanny, a w razie jakiegokolwiek kłopotu zwracaj się do pana Laurenca. Bądź cierpliwa, Jo, nie wpadaj w przygnębienie i nie działaj pochopnie. Pisz do mnie często i bądź moją dzielną dziewczynką,

gotową wszystkim nieść pomoc i pociechę. Beth, znajdź ukojenie w swojej muzyce i przykładaj się do drobnych domowych obowiązków. A ty, Amy, pomagaj, ile potrafisz, bądź posłuszna i trzymaj się bezpiecznie domu.

- Będziemy, mamó, będziemy!

Turkot nadjeżdżającego powozu sprawił że zerwały się i zaczęły nasłuchiwać. Była to trudna chwila, ale dziewczęta dobrze ją zniosły. Żadna nie płakała, żadna nie uciekła ani nie jęknęła, choć było im bardzo ciężko na sercu, gdy przesyłały serdeczne pozdrowienia dla ojca, pamiętając przy wymawianiu tych słów, że może już być za późno, by je przekazać. Cicho ucałowały matkę, przywarły do niej czule, a kiedy odjeżdżała, starały się wesoło machać rękoma.

Laurie i jego dziadek także przyszli, by się pożegnać, a pan Brooke wyglądał na tak silnego, rozsądnego i dobrego, że dziewczęta z miejsca ochrzcili go „Pan Wielkie Serce”.

- Do widzenia, moje kochane! Niech Bóg ma nas w opiece i zachowa nas wszystkich! - wyszeptała pani March, całując jedną po drugiej drogie twarzyczki i śpiesząc do powozu.

Gdy już miała odjeżdżać, ukazało się słońce i odwróciwszy się pani March ujrzała, jak oświetliło ono na dobry omen stojącą u furtki gromadkę. Oni też to zauważyli, uśmiechnęli się i pomachali dłońmi, toteż, gdy powóz skręcał za róg, w oczach jej pozostał widok czterech jasnych twarzączek, a poza nimi, niby strażników, pana Laurencę, wiernej Hanny i oddanego Laurie.

- Jak dobrzy są dla nas wszyscy! - powiedziała, odwracając się, by znaleźć kolejny tego dowód w pełnej szacunku sympatii malującej się na twarzy młodego człowieka.

- Jakże mogłoby być inaczej - odparł pan Brooke, śmiejąc się tak zaraźliwie, że i pani March nie mogła się powstrzymać od śmiechu, tak więc długa podróż rozpoczęła się pod dobrym znakiem słońca, uśmiechów i pogodnych słów.

- Czuję się jak po trzęsieniu ziemi - powiedziała Jo, kiedy sąsiedzi odeszli do domu na śniadanie, pozostawiając je, by odpoczęły i odświeżyły się.

- Wydaje się jakby ubyłó pół domu - dodała smutnie Meg.

Beth otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zdołała tylko wskazać na stos ładnie pocerowanych pończoch, które leżały na stoliku matki jako dowód, że nawet w ostatnich chwilach pośpiechu myślała o nich i pracowała dla nich. Był to drobiazg, ale trafił prosto do ich serc, toteż pomimo swych dzielnych postanowień, załamały się i gorzko rozpląkały. Hanna mądrze pozwoliła im ulżyć sobie, a kiedy deszcz zdawał się nieco rzednąć, nadeszła z pomocą, uzbrojona w dzbanek do kawy.

- Teraz, drogie młode damy, pamiętać co powiedziała wasza mama i nie płakać. Chodźcie pić kawa, a potem z powrotem do roboty i przynosić chlubę dla rodzina.

Kawa była smakołykiem i Hanna okazała wielki takt przygotowując ją tego ranka. Nikt nie potrafił oprzeć się jej przekonującym skinieniom oraz pachnącemu zaproszeniu ulatującemu z dzióbka dzbanka do kawy. Podeszły do stołu, zamieniły chusteczki do nosa na serwetki i po dziesięciu minutach wszystko wróciło do normy.

- «Mieć nadzieję i być zajęтым» - oto nasze motto i zobaczymy, kto o nim będzie najlepiej pamiętał. Ja, jak zwykle, ruszam do ciotki March. Och, jakże ona będzie dziś pouczać! - powiedziała Jo, której w miarę popijania kawy poprawiał się humor.

- Ja pójdę do moich Kingów, mimo że znacznie chętniej zostałabym w domu i zajęła się wszystkim tutaj - powiedziała Meg, żałując, że tak jej poczerwieniały oczy.

- Nie ma potrzeby. Beth i ja świetnie zadamy o dom - powiedziała Amy z ważną miną.

- Hanna powie nam co robić i wszystko będzie przygotowane na wasz powrót - dodała Beth, wyciągając bez dalszej zwłoki ścierkę i miskę do zmywania naczyń.

- Moim zdaniem niepokój jest bardzo interesującym doznaniem - zauważyła Amy, jedząc w zamyśleniu cukier.

Dziewczęta nie mogły się powstrzymać od śmiechu i poczuły się od razu znacznie lepiej, mimo że Meg pokręciła głową nad młodą damą, która potrafiła znaleźć pociechę w cukiernicy.

Widok pasztecików sprawił że Jo znów spoważniała, a kiedy obie starsze dziewczynki wyszły do swoich codziennych obowiązków, ze smutkiem obejrzały się na okno, w którym zazwyczaj widywały twarz matki. Nie było jej tam, ale była Beth, która pamiętając o drobnym domowym rytuale, kiwała im głową, niczym różowy mandaryn.

- Taka właśnie jest moja Beth! - powiedziała Jo, machając kapeluszem, z twarzą pełną wdzięczności. - Do widzenia, Meggy. Mam nadzieję, że Kingowie nie będą cię dziś musztrować. I nie martw się o ojca, kochanie - dodała, kiedy się rozstawały.

- A ja mam nadzieję, że ciotka March nie będzie marudzić. Twoja fryzura jest bardzo twarzowa i wygląda chłopięco i ładnie - odparła Meg, starając się nie uśmiechnąć na widok kędzierzawej głowy, która wydawała się komicznie mała na wysokich ramionach siostry.

- To moja jedyna pociecha. I dotykając kapelusza a la Laurie, Jo odeszła, czując się jak ostrzyżona owca w zimowy dzień.

Wiadomości od ojca podniosły dziewczynki bardzo na duchu, gdyż mimo iż był ciężko

chory, obecność najczulszej i najlepszej z pielęgniarek od razu spowodowała poprawę. Pan Brooke przysyłał codzienny biuletyn i Meg, jako głowa rodziny, nalegała, by odczytywać wiadomości, które w miarę upływu tygodni stawały się coraz weselsze. Wszyscy od początku byli chętni do pisania i pękate koperty wpychane były starannie do skrzynki pocztowej przez jedną z siostr, które czuły się bardzo ważne z powodu swojej korespondencji z Waszyngtonem. Ponieważ jedna z takich przesyłek zawierała listy charakterystyczne dla wszystkich zainteresowanych, toteż ograbimy wyimaginowanego kuriera i przeczytamy je:

„Moja Najukochańsza Mamo Nie umiem ci powiedzieć, jak uszczęśliwił nas twój ostatni list, gdyż zawarte w nim wiadomości były tak dobre, że nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu i płaczu. Jak miły jest pan Brooke i jak to się szczęśliwie złożyło, że interesy pana Laurencea zatrzymują go przez cały ten czas blisko ciebie, skoro jest tak użyteczny dla ciebie i dla ojca. Dziewczęta są dobre jak szczerze złoto. Jo pomaga mi przy szyciu i upiera się przy wykonywaniu różnych ciężkich prac. Bałabym się, że się przemęczy, gdybym nie wiedziała, że jej - atak przykładności - nie potrwa długo. Beth jest w swoich obowiązkach dokładna jak zegarek i zawsze pamięta o twoich radach. Martwi się o ojca i wygląda poważnie, z wyjątkiem chwil, kiedy zasiada przy swoim małym pianinie. Amy bardzo ładnie się mnie słucha i ja niezwykle się o nią troszczę. Czesze się sama, a ja uczę ją jak obrabiać dziurki do guzików i cerować pończochy. Stara się bardzo i jestem pewna, że będziesz po powrocie zadowolona z jej postępów. Pan Laurence dba o nas niczym stara macierzyńska kwoka, jak mawia Jo, a Laurie jest bardzo miły i przyjacielski. Oboje z Jo rozweselają nas, bo czasami robi nam się bardzo smutno i czujemy się bez ciebie jak sieroty. Hanna to prawdziwa święta. Nie strofuje nas wcale i zwraca się do mnie - Panno Margaret - co jest zresztą bardzo właściwe, i odnosi się do mnie z szacunkiem. Wszystkie jesteśmy zdrowe i zajęte, ale dniem i nocą tęsknimy żebyś już wróciła. Przekaż ojcu moje najserdeczniejsze pozdrowienia i miej do mnie zaufanie, zawsze twoja, Meg”.

List ten, ładnie napisany na pachnącym papierze, był w wielkim kontraście z następnym, który nagryzmołony został na wielkiej płachcie cienkiego zagranicznego papieru, ozdobionego kleksami i wszelkiego rodzaju zakrętasami i zawijasami.

„Moja Najdroższa Marmisiu, Trzykrotne hurra dla ojca! Brooke to prawdziwy zuch, że zatelegrafował do nas od razu, kiedy ojciec poczuł się lepiej. Kiedy nadszedł list, pobiegłam na strych, żeby podziękować Bogu za to, że jest dla nas taki dobry, ale mogłam tylko płakać i powtarzać: „Ciesz się! Ciesz się!” Czy to nie wystarczy zamiast zwykłej modlitwy? Bo miałam

ich doprawdy bardzo wiele w sercu. Dzieje się tyle zabawnych rzeczy i teraz mogę się nimi cieszyć, gdyż wszyscy są tak straszliwie dobrzy, że przypomina to życie w gnieździe gołębi. Uśmiełabyś się, gdybyś zobaczyła Meg, jak siedzi u szczytu stołu i stara się zachowywać jak matrona. Jest z każdym dniem ładniejsza i czasami jestem w niej po prostu zakochana. Dziewczynki to prawdziwe archanioły, a ja - no cóż, ja jestem Jo i nigdy nie będę niczym innym. Och, muszę ci powiedzieć, że mało brakowało, a pokłóciłabym się z Laurie. Powiedziałam, co sądzę w pewnej drobnej sprawie i on się obraził. Miałam rację, ale nie powiedziałam tego tak jak powinnam, więc poszedł do domu, mówiąc, że nie wróci, dopóki go nie poproszę o przebaczenie. Oświadczyłam mu, że nie ma mowy i byłam wściekła. To trwało cały dzień. Bardzo mi było źle i tak za tobą tęskniłam. Oboje z Laurie jesteśmy tacy dumni i trudno nam błagać o przebaczenie, ale myślałam, że on to zrobi pierwszy, bo to ja miałam rację. On jednak nie przyszedł i wieczorem przypomniało mi się, co powiedziałaś, kiedy Amy wpadła do rzeki. Poczytałam moją małą książeczkę i lepiej się poczułam, więc postanowiłam nie dopuścić, żeby słońce zaszło nad moim gniewem i pobiegłam, żeby przeprosić Laurie. Spotkałam go przy furcie, bo szedł, żeby zrobić to samo. Oboje pośmialiśmy się, przeprosiliśmy się nawzajem i wszystko było z powrotem dobrze i jak należy.

Wczoraj, kiedy pomagałam Hannie przy praniu, ułożyłam „pomat”, a ponieważ tata lubi moje głupie drobiazgi, więc dołączam i ten, żeby się zabawił. Przekaż mu ode mnie najserdeczniejsze uściski na świecie, a siebie ucałuj dziesięciokrotnie od swojej Postrzelonej Jo”.
PIEŚŃ SPONAD MYDLIN Królowa balii, wesoło śpiewam, Biel pian się wznosi do góry,
Porządnie piorę, płuczę, wyżymam, Wieszam ubrania na sznury;

W świeżym powietrzu wszystko powiewa, Pod niebem bez jednej chmury.

Gdyby tak można z naszych serc i dusz, Całego tygodnia sprać plamy, By woda,
powietrze mocą swych wróżb, Dały nam czystość ich samych;

Na ziemi prawdziwie byłby to już, Dzień prania pełen chwały!

Przy ścieżce pracowitego życia, Czyż bratki zakwitną kiedy;

Zajęty umysł chwil nie użycza, Na smutki, rozpacze, biedy;

Myśl niespokojną zaraz wyrzuca, Miotły dzielny ruch jeden.

Ciesz się danymi mi zadaniami mrowie, Gdy ślęczę nad nimi codziennie, Gdyż da mi to siłę, nadzieję i zdrowie, Żeby oświadczyć solennie:

„Myśl sobie głowo, i ty czuj serce, Lecz zawsze pracujcie, wy - Ręce!”

„Droga mamo:

Zostało tylko trochę miejsca dla mnie żeby ci przesłać pozdrowienia i kilka suszonych bratków z sadzonki, którą trzymam w domu, żeby tata mógł je zobaczyć. Czytam każdego ranka, staram się być dobra przez cały dzień i śpiewam sobie do snu piosenki taty. Nie mogę tylko śpiewać „Rajskiej Krainy”, bo chce mi się od razu płakać. Wszyscy są bardzo mili i jesteśmy tak szczęśliwe, jak tylko możemy być bez ciebie. Amy chce, żebym jej zostawiła resztę strony, więc muszę kończyć. Nie zapomniałam o przykryciu szafek i codziennie nakręcam zegar i wietrzę pokoje.

Pocałuj kochanego tatę w policzek, który nazywa moim. Och, wróć szybko do twojej kochającej, małej Beth. „

„Ma chere Mamma, Wszystkie mamy się dobrze, odrabiam lekcje i nigdy nie iryguję dziewcząt - Meg mówi, że mam na myśli irytuję, więc piszę oba wyrazy i możesz wybrać najbardziej właściwy. Meg jest dla mnie wielką pociechą i pozwala mi jeść co wieczór galaretkę do herbaty. Jo mówi, że to mi bardzo dobrze robi, bo utrzymuje mnie w słodkim nastroju. Laurie nie okazuje mi tyle respektu, ile powinien, teraz kiedy prawie jestem nastoletnia, mówi na mnie Kurczak i rani moje uczucia, mówiąc do mnie po francusku bardzo szybko, kiedy mówię Merci albo Bon jour tak jak Hattie King. Rękawy mojej niebieskiej sukienki całkiem się przetarły i Meg przyszyła nowe, ale cały przód źle wyszedł i są bardziej niebieskie niż sukienka. Było mi przykro, ale nie narzekałam i dobrze znoszę moje kłopoty, ale chciałabym, żeby Hanna bardziej krochmalila moje fartuszki i żeby codziennie były racuchy. Czy nie mogłaby tak robić? Czy ładnie napisałam ten znak zapytywania? Meg mówi, że moja interpunkcja i ortografia są okropne i zamartwiam się tym, ale, dobry Boże, mam tyle rzeczy do roboty, że nie poradzę. Adieu, przesyłam góry serdeczności dla papy.

Twoja oddana córka, Amy Curtis March. „

„Droga Pani March Ja tylko jeden linia, żeby powiedzieć, że dajemy sobie radę pierwsza klasa. Dziewczynki jest mądre i lata wokoło bardzo zręczne. Panna Meg wyrośnie na porządna gospodyni; ma na to dryg i we wszystko się strasznie prędko łapie. Jo prześciguje wszystkie, bo zawsze jest pierwsza, ale nigdy się najpierw nie namyśli i człowiek nie wie, co jej strzeli do głowy. W poniedziałek wyprała cały balia sukienek, ale nakrochmalila ich, zanim wyżeła i wybielila ten różowy perkalowy sukienka tak, że myślałam, że umrę od śmiechu. Beth jest najlepszy mały stforzątek i moja wyręka, taki jest zręczna i zawsze na niej mogę polegać. Stara

się wszystko wyuczyć i naprawdę chodzi na rynek jak nie na swoje lata; tak samo trzyma rachunki, z moją pomocą, całkiem pięknie. Do natychczas dajemy sobie rady bardzo oszczędnie; nie pozwalam dziewczynki, żeby piły kawę, tylko raz w tydzień, tak jak pani chciała i trzymam je na zwykły i proste produkty. Amy radzi sobie co do marudzenia i żeby nosić najlepszą sukienkę i jeść słodkie. Pan Laurie ma tyle wymysłów co zawsze i często przewraca dom do góry nogami, ale rozwesela dziewczynki, więc pozwalam im, niech mają. Starszy pan przysyła górę rzeczy, i jest dość nudna, ale dobrze chce i to nie moje miejsce, żeby jemu coś powiedzieć. Mój chleb się wyrosnął, to tyle na ten raz. Przesyłam moją szacunek dla Pana March i mam nadzieję, że już pożegnał swój Pneumonia.

Z uszanowaniem, Hanna Mullet. ,,

„Siostra Przełożona Oddziału nr 2, Spokój panuje nad Rappahannock, oddziały w świetnej formie, tabory znakomicie zaopatrzone. Straż Przyboczna pod wodzą pułkownika Teddy zawsze gotowa; Wódz Naczelny - generał Laurence dokonuje codziennego przeglądu wojsk; Kwatermistrz Mullett utrzymuje porządek w obozie; Major Lew trzyma nocną wartę. Po otrzymaniu pomyślnych wieści z Waszyngtonu oddana została salwa z dwudziestu czterech dział, a w sztabie odbyła się uroczysta parada. Wódz Naczelny przesyła najlepsze życzenia, do których przyłącza się pułkownik Teddy. ,,

„Droga Pani:

Wszystkie dziewczynki mają się dobrze. Beth i mój chłopiec codziennie mi o wszystkim donoszą. Hanna jest wzorową służącą i pilnuje pięknej Meg jak smok. Rad jestem, że dobra pogoda się utrzymuje. Proszę korzystać z pomocy Brooka i donieść mi, jeśli koszta przekroczą pani rachuby. Proszę dbać, by mężowi niczego nie brakowało. Bogu dzięki za jego powrót do zdrowia.

Pani szczerzy przyjaciel i sługa, James Laurence. ,,

ROZDZIAŁ 17

Wierne małenstwo Zasób cnót, jakie praktykowane były przez cały tydzień w starym, domu wystarczyłyby na zaopatrzenie całej okolicy. Było to doprawdy zdumiewające w jak niebiańskim usposobieniu zdawali się wszyscy znajdować, a samowyrzeczenie było obowiązującą modą. Uspokojone jednak nieco w swym początkowym niepokoju o ojca dziewczęta niedostrzegalnie osłabły w swych chwalebnych wysiłkach i poczęły powracać do dawnych przyzwyczajzeń. Nie zapomniały o swoim motto, ale mieć nadzieję i być zajętym zdawało się teraz stawać coraz łatwiejszym zadaniem, a po dotychczasowych, wielkich staraniach uważały, że Wysilek zasługuje na wakacje i postarały się, żeby miał ich do woli.

Jo przeziębila się poważnie na skutek zapomnienia o dostatecznym okrywaniu swojej ostrzyżonej głowy i przykazane miała siedzenie w domu, dopóki jej się nie poprawi, gdyż ciotka March nie lubiła, by czytywały jej przeziębione osoby. Bardzo jej się to podobało i po przeszukaniu domu od strychu po piwnicę opadła na sofę, lecząc grypę za pomocą pigułek i książek. Amy odkryła, że prace domowe i sztuka niezbyt dają się pogodzić i powróciła do swoich ciastek z błota. Meg co dzień chodziła do swych uczniów i szyla albo przynajmniej sądziła, że szyla, gdyż wiele czasu spędzała na pisywaniu długich listów do matki albo czytaniu po raz kolejny wiadomości z Waszyngtonu. Jedna Beth pracowała jak dawniej, z rzadka tylko popadając w lekkie lenistwo czy smutek.

Pieczołowicie wypełniała wszystkie drobne, codzienne obowiązki, a czasem i te należące do sióstr, które często o nich zapominały, co sprawiało, że dom przypominał zegar, któremu zatrzymało się wahadło. Kiedy robiło jej się ciężko na sercu z tęsknoty za matką lub troski o ojca, szła do wielkiej szafy, gdzie ukrywszy twarz w pewnej kochanej, starej sukni, mogła chwilę poszlochać i zmówić cichutko samotną modlitwę.

Nikt nie wiedział, co ją rozweselało w chwilach smutku, ale wszyscy czuli jak słodka i pomocna była Beth i przyzwyczaili się przychodzić do niej po pociechę lub radę w różnych drobnych sprawach.

Żadna z dziewcząt nie zdawała sobie sprawy, że doświadczenie to było prawdziwą próbą charakteru i kiedy opadło pierwsze podniecenie, uznały, że dobrze sobie dały radę i zasługiwały na pochwałę. Tak też i było, tyle że popełniły błąd ustając w swych wysiłkach, o czym miały się

przekonać w wielkim bólu i żalu.

- Meg, myślę, że powinnaś odwiedzić Hummlów. Pamiętasz, że mama powiedziała, żebyśmy o nich nie zapominały - powiedziała Beth w dziesięć dni po wyjeździe pani March.

- Jestem zbyt zmęczona by iść tam dziś po południu - odparła Meg, kołysząc się wygodnie w fotelu i szyjąc.

- A może ty pójdziesz, Jo? - zapytała Beth.

- Jest za zimno na moje przeziębienie.

- Myślałam, że czujesz się już prawie dobrze.

- Wystarczająco dobrze, żeby wychodzić z Laurie, ale nie dość dobrze, żeby pójść do Hummlów - powiedziała Jo ze śmiechem, ale wyglądając na nieco zawstydzoną swoimi wykrętami.

- Dlaczego sama nie pójdziesz? - zapytała Meg.

- Chodzę tam codziennie, ale teraz niemowlę jest chore i nie wiem - co na to poradzić. Pani Hummel wychodzi codziennie do pracy i Lottchen zajmuje się dzieckiem, tylko że ono jest coraz bardziej chore i myślę, że ty albo Hanna powinnyście tam pójść.

Beth mówiła tak żarliwie, że Meg obiecała pójść następnego dnia.

- Poproś Hannę, żeby ci dała jakąś paczuszkę z jedzeniem i zanieś im, Beth. Powietrze dobrze ci zrobi - powiedziała Jo, dodając przeproszająco: - Poszłabym, ale muszę skończyć pisać.

- Boli mnie głowa i jestem zmęczona, dlatego myślałam, że któraś z was mogłaby pójść - powiedziała Beth.

- Amy zaraz wróci i na pewno pobiegnie tam za nas - zasugerowała Meg.

- W takim razie odpocznę trochę i poczekam na nią.

I Beth położyła się na sofie, a pozostałe powróciły do swoich zajęć i o Hummlach zapomniano. Minęła godzina. Amy wciąż jeszcze nie było, Meg poszła do swojego pokoju przymierzyć nową suknię, Jo pogrążona była w swoim pisaniu, a Hanna spała głęboko przy kuchennym ogniu, kiedy Beth cichutko włożyła kapturek, napelniła koszyk drobiazgami dla dzieci i wyszła na chłodne powietrze z ciężką głową i smutnym spojrzeniem w swoich cierpliwych oczach. Kiedy wróciła, było już późno i nikt nie widział, jak wśliznęła się na górę i zamknęła się w pokoju matki. Pół godziny później Jo poszła po coś do „szafy mamy” i znalazła Beth siedzącą na apteczce, z poważną buzią, czerwonymi oczyma i buteleczką kamfory w ręce.

- Na Krzysztofa Kolumba! Co się stało? - wykrzyknęła Jo, bo Beth wysunęła dłoń tak,

jakby chciała ją ostrzec i zapytała pośpiesznie:

- Miałaś już szkarlatynę, prawda?

- Parę lat temu, kiedy Meg ją miała. Dlaczego?

- W takim razie powiem ci. Och, Jo, dziecko umarło!

- Jakie dziecko?

- Niemowlę pani Hummel. Umarło na moich kolanach zanim ona wróciła do domu - zawołała Beth szlochając.

- Moje biedactwo, to musiało być dla ciebie straszne! To ja powinnam była pójść - powiedziała Jo ze skrucą, biorąc siostrę w ramiona i siadając z nią w matczynym fotelu.

- To nie było straszne, Jo, tylko takie smutne! Od razu zauważyłam, że było bardziej chore, ale Lottchen powiedziała, że matka poszła po lekarza, więc wzięłam dziecko, żeby dać Lottchen odpocząć. Zdawało się, że spało, ale nagle zaczęło płakać i drzeć, a potem znieruchomiało. Staralam się rozgrzać mu nogi, a Lotty dawała mu mleko, ale ono nie podniosło się i wiedziałam, że już nie żyje.

- Nie płacz, kochanie! I co zrobiłaś?

- Siedziałam tylko i trzymałam je delikatnie, dopóki pani Hummel nie przyszła z lekarzem. Powiedział że umarło i obejrzał Heinricha i Minnę, których bolały gardła. «Szkarlatyna, proszę pani. Należało wezwać mnie wcześniej» - powiedział ze złością. Pani Hummel powiedziała mu, że jest biedna i próbowała sama leczyć niemowlę, ale teraz było już za późno i mogła go tylko prosić, żeby pomógł pozostałym i ufać w jego dobroczynność co do zapłaty. Uśmiechnął się wtedy i był trochę miłszy, ale to było bardzo smutne i płakałam razem z nimi, aż nagle lekarz odwrócił się i powiedział mi, żebym zaraz poszła do domu i wzięła od razu belladonnę, bo dostanę gorączki.

- Nie, nie dostaniesz! - zawołała Jo, ściskając ją mocno, ze strachem w oczach. - Och, Beth, nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybyś miała się rozchorować. Co mamy robić?

- Nie bój się. Przypuszczam, że nie będę bardzo chora. Sprawdziłam w książce mamy, że to się zaczyna bólem głowy, gardła i dziwnym samopoczuciem, tak jak u mnie, więc wzięłam trochę belladonny i już się lepiej czuję - powiedziała Beth, kładąc zimną dłoń na rozpalonym czole i starając się dobrze wyglądać.

- Gdyby tylko mama była w domu! - wykrzyknęła Jo, chwytając książkę i uświadamiając sobie, że Waszyngton był niezwykle daleko. Przeczytała stronę, spojrzała na Beth, sprawdziła jej

czoło, zajrzała do gardła i powiedziała poważnie: - Przez ponad tydzień codziennie byłaś - z tym dzieckiem i z innymi, którzy już są chorzy, więc obawiam się, że i ciebie to czeka, Beth. Zawołam Hannę, ona wszystko wie o chorobach.

- Nie wpuszczaj tu Amy. Ona tego nie przechodziła i nie chciałabym jej zarazić. Czy ty i Meg możecie się jeszcze raz rozchorować? - zapytała Beth z niepokojem.

- Myślę, że nie. A jeśli nawet, to nie dbam o to. Dobrze mi tak, samolubnej oślicy, za to, że pozwoliłam ci iść, a sama zostałam, żeby pisać głupoty! - mruknęła Jo i wyszła naradzić się z Hanną.

Pocziwa ta dusza obudziła się w jednej chwili i od razu objęła dowództwo, zapewniając Jo, że nie ma powodu się martwić, wszyscy miewają szkarlatynę, a jeśli są należycie leczeni to nikt od tego nie umiera, w co Jo skwapliwie uwierzyła i poszła na górę zawołać Meg.

- Teraz powiem wam, co zrobimy - powiedziała Hanna, kiedy obejrzała i wypytała Beth. - Zawołamy doktor Bangs, tak tylko, żeby cię obejrzał kochanie, i zobaczył czy wszystko dobrze robimy. Potem wyślemy Amy do ciotki March na jakiś czas, żeby była daleko od choroby, a jeden z was, dziewczynki, może zostać w domu i dzień, dwa zabawić Beth.

- Oczywiście to ja zostanę, bo jestem najstarsza - zaczęła Meg, która wyglądała na zaniepokojoną i pełną wyrzutów sumienia.

- Ja zostanę, bo to moja wina, że ona jest chora. Obiecałam mamie, że będę wszystko załatwiać i nie zrobiłam tego - powiedziała Jo zdecydowanym tonem.

- Którą wolisz, Beth? Niepotrzebna ci więcej niż jedna - powiedziała Hanna.

- Jo, proszę. I Beth pochyliła głowę w stronę siostry z zadowoleniem, co statecznie rozstrzygnęło sprawę.

- Idę powiedzieć Amy - stwierdziła Meg nieco urażona, ale w sumie dość zadowolona, bo w przeciwieństwie do Jo nie lubiła pielęgnowania chorych.

Amy natychmiast się zbuntowała i z pasją oświadczyła, że woli mieć gorączkę, niż mieszkać u ciotki March. Meg tłumaczyła, prosiła, nakazywała - wszystko nadaremnie. Amy protestowała, że nie pójdzie i Meg pozostawiła ją zrozpaczoną i poszła spytać Hannę, co ma robić. Zanim wróciła nadszedł Laurie i zastał Amy płaczącą, z głową w poduszkach sofy. Opowiedziała mu swoją historię, oczekując pocieszenia, ale Laurie włożył tylko ręce do kieszeni i spacerował po pokoju gwizdząc cicho, z brwiami ściągniętymi w zamyśleniu. W końcu usiadł obok niej i powiedział swoim najbardziej czułym tonem: - Bądź rozsądną małą kobietką i zrób to,

o co cię proszą. Nie, nie płacz, tylko posłuchaj, jaki świetny plan ułożyłem. Pójdiesz do ciotki March, a ja będę codziennie przychodził i zabierał cię na spacer albo na przejażdżkę i będziemy się świetnie bawili. Czy to nie lepsze, niż zamartwianie się tutaj?

- Nie chcę, żeby mnie odsyłano, tak jakbym komuś zawadzała - zaczęła Amy urażonym tonem.

- Ależ dziecko, to tylko dla twojego dobra. Nie chcesz chyba być chora?

- Nie, oczywiście, że nie chcę, ale przypuszczam, że i tak będę, bo cały czas byłam z Beth.

- To właśnie najlepszy dowód, że powinnaś natychmiast się wynieść, żeby uniknąć choroby. Przypuszczam, że zmiana powietrza i opieka utrzymają cię przy zdrowiu, a jeśli nie, to będziesz łagodniej przechodziła chorobę. Radzę ci, żebyś się od razu zbierała, bo szkarlatyna to nie żarty, panienko.

- Ale u ciotki March jest nudno i ona jest taka złośliwa - powiedziała Amy. Wyglądała na dość przestraszoną.

- Nie będzie nudno, kiedy będę codziennie wpadał, żeby ci powiedzieć, jak się ma Beth i zabierał cię na włóczęgi. Stara dama mnie lubi i będę dla niej jak najśłodszy, żeby się na nas nie złościła, cokolwiek będziemy robić.

- Czy zabierzesz mnie na przejażdżkę bryczką z Pukiem?

- Przyrzekam na honor dżentelmena.

- I będziesz przychodził codziennie?

- Sama się przekonasz.

- I odwieziesz mnie jak tylko Beth się poprawi?

- W tej samej minucie.

- I pójdziemy do teatru?

- Jeśli damy radę to i do dziesięciu.

- Skoro tak - to myślę - że pojedę - powiedziała wolno Amy.

- Dobre dziecko! Zawołaj Meg i powiedz jej, że się poddałaś - powiedział Laurie i poklepał ją protekcyjnie po ramieniu, co uraziło Amy bardziej jeszcze niż „poddanie się”.

Meg i Jo przybiegły, by być świadkami cudu jaki się dokonał, a Amy, czując się niezwykle ważna i pełna poświęcenia, obiecała, że pójdzie do ciotki, jeśli doktor powie, że Beth na pewno będzie chora.

- Jak się czuje małe kochanie? - zapytał Laurie, gdyż Beth była jego ulubienicą i martwił się o nią bardziej niż chciał to okazać.

- Leży w łóżku mamy i ma się lepiej. Śmierć dziecka bardzo ją zmartwiła, ale przypuszczam, że jest tylko przeziębiona. Tak mówi Hanna, ale wygląda na zaniepokojoną, co sprawia, że i ja się denerwuję - odpowiedziała Meg.

- Ileż prób stawia przed nami życie! - powiedziała Jo, burząc włosy w stanie znacznego zmartwienia. - Ledwie pozbyliśmy się jednej troski, a już nadchodzi następna. Kiedy mamy nie ma, to zdaje się jakby nie było na czym się oprzeć i jestem zupełnie zagubiona.

- Dobrze już Jo, nie rób z siebie jeża, bo ci z tym nieładnie. Uporządkuj swoją perukę i powiedz mi, czy mam zatelegrafować do waszej mamy albo zrobić coś innego? - zapytał Laurie, który nigdy się nie pogodził z utratą jedyne go atutu urody swej przyjaciółki.

- To właśnie mnie martwi - powiedziała Meg. - Uważam, że powinniśmy ją zawiadomić, jeśli Beth jest rzeczywiście chora. Ale Hanna mówi, że nie wolno nam, bo matka nie może opuścić ojca i tylko się będą oboje zamartwiać. Beth nie będzie długo chorować, a Hanna dokładnie wie co robić i mama powiedziała, że powinniśmy jej słuchać, więc przypuszczam, że musimy, ale nie wydaje mi się to całkiem w porządku.

- Hm, nie wiem. A może po wizycie lekarza zapytacie mojego dziadka?

- Zapytamy. Jo, biegnij i sprowadź zaraz doktora Bangsa - zarządziła Meg. Przed jego wizytą nie możemy o niczym zdecydować.

- Zostań tam, gdzie jesteś, Jo. Ja tu jestem chłopcem na posyłki - powiedział Laurie, biorąc płaszcz.

- Ale może jesteś zajęty - zaczęła Meg.

- Nie, już odrobiłem moje dzisiejsze lekcje.

- Uczysz się w czasie wakacji? - zapytała Jo.

- Biorę przykład z moich sąsiadek - brzmiała odpowiedź Laurie, kiedy wybiegał z pokoju.

- Uważam, że mój chłopiec ma wielką przyszłość - zauważyła Jo, obserwując z pełnym aprobaty uśmiechem jak przeskakiwał przez żywopłot.

Przyszedł doktor Bangs i powiedział że Beth ma objawy szkarlatyny, ale powinna ją przejść lekko, spoważniał jednak kiedy opowiedziano mu o historii Hummlów. Amy została natychmiast odesłana, zaopatrzona w coś, co miało zapobiec chorobie i odjechała z wielką pompą, mając za eskortę Jo i Laurie.

Ciotka March powitała ich ze swą zwykłą gościnnością.

- Czego tym razem chcecie? - zapytała, spoglądając ostro sponad okularów, podczas gdy papuga siedząca na oparciu jej fotela wrzeszczała:

- Wynoś się. Chłopcom wstęp wzbroniony.

Laurie wycofał się do okna, a Jo opowiedziała całą historię.

- Niczego innego nie można było oczekiwać, skoro pozwala wam się wścibiać nosy w sprawy biedaków. Amy może zostać i być użyteczną, jeśli się nie rozchoruje, co niewątpliwie się stanie - wystarczy na nią popatrzeć. Nie płacz, dziecko, nie lubię słuchać jak ludzie pociągają nosami.

Amy byłaby się rzeczywiście rozpląkała, ale Laurie sprytnie pociągnął papugę za ogon, co skłoniło Polly do zawołania „Na moje buty!” w tak zabawny sposób, że zamiast płakać, dziewczynka wybuchnęła śmiechem.

- Co pisze wasza matka? - zapytała gburowato starsza pani.

- Ojciec ma się znacznie lepiej - odparła Jo starając się zachować powagę.

- Ach tak? No, to nie potrwa długo, moim zdaniem. Marchowie nigdy nie mieli ani odrobiny wytrzymałości - brzmiała pocieszająca odpowiedź.

- Ha, ha! Nie mów nigdy śmierć! Zażyj tabaki! Do widzenia, do widzenia! - zaskrzeczał Polly, tańcząc na swojej poręczy i dziobiąc czepek starszej pani, gdyż Laurie znów uszczypnął go w ogon.

- Wstrzymaj język, ty pozbawione szacunku stare ptaszysko! A ty, Jo najlepiej idź już. To nie jest zbyt stosowne, żeby włączyć się po nocy z takim postrzelonym chłopakiem jak...

- Wstrzymaj język, ty pozbawione szacunku stare ptaszysko! - zawołała Polly, spadając z fotela z podskokiem i biegnąc, by dziobnąć „postrzelonego” chłopaka, który trzął się ze śmiechu po tej ostatniej wypowiedzi.

- Nie sądzę żebym to wytrzymała, ale spróbuję - pomyślała Amy, kiedy została sama z ciotką March.

- Dasz sobie radę, ty tchórz! - zaskrzeczała Polly, i po tej niegrzecznej uwadze Amy nie mogła powstrzymać się od pociągnięcia nosem.

.

ROZDZIAŁ 18

Mroczne dni Beth miała szkarlatynę i była znacznie bardziej chora niż ktokolwiek - oprócz Hanny i lekarza - podejrzewał. Dziewczęta nie miały pojęcia o chorobach, a panu Laurencowi nie pozwolono jej zobaczyć, toteż Hanna zorganizowała wszystko tak jak chciała, a chociaż zapracowany doktor Bangs robił co mógł, wiele pozostawiał jednak znakomitej pielęgniarce. Meg została w domu, żeby nie zarazić Kingów i prowadziła gospodarstwo, czując się bardzo zaniepokojona i nieco winna, kiedy pisała listy, w których nie było wzmianki o chorobie Beth. Nie mogła pogodzić się z oszukiwaniem matki, ale zobowiązana była do posłuszeństwa wobec Hanny, a ta nie chciała nawet słyszeć o tym, żeby „pani March miała wiedzieć i martwić się takim byle co”. Jo poświęcała dnie i noce Beth, co nie było trudnym zadaniem, gdyż Beth była bardzo cierpliwa i znosiła ból nie narzekając, jeśli tylko mogła się opanować. Ale zdarzały się chwile, kiedy w ataku gorączki zaczynała mówić ochryłym łamanym głosem, grać na kołdrze niczym na swoim ukochanym małym pianinie i próbowała śpiewać gardłem tak opuchniętym, że nie było w nim żadnej nutki. Były chwile, kiedy nie poznawała otaczających ją znajomych twarzy, nazywając je innymi imionami i błagalnie przywołując matkę. Jo bardzo się wtedy bała, Meg błagała, by pozwolono jej napisać prawdę i nawet Hanna mówiła, że „pomyśli o tym, chociaż niebezpieczeństwa jeszcze nie ma”. List z Waszyngtonu powiększył ich zgryzotę, gdyż stan pana Marcha znów się pogorszył i o jego powrocie do domu nie mogło być przez dłuższy czas mowy.

Jak mroczne wydawały się teraz dni, jak smutny i opuszczony dom i jakże ciężkie były serca dziewcząt, kiedy pracowały i czekały, podczas gdy cień śmierci unosił się nad szczęśliwą niegdys rodziną! Wtedy to Margaret, siedząc samotnie ze łzami kapiącymi raz po raz na robótkę, uświadomiła sobie, jak bogata była w skarby cenniejsze niż jakiegokolwiek luksusy - miłość, opiekę, pokój, zdrowie, prawdziwe błogosławieństwa życia. Wtedy też Jo, przebywając wciąż w zaciemnionym pokoju i mając przed oczyma twarz cierpiącej siostrzyczki, a w uszach jej nieszczęśliwy głos, nauczyła się rozumieć piękno i słodczy charakteru Beth, czuć jak głębokie i czułe miejsce zajmowała ona we wszystkich sercach i doceniać wartość wspaniałomyślnego dążenia Beth, aby żyć dla innych i czynić dom szczęśliwym poprzez okazywanie tych prostych cnót, które wszyscy mogą posiadać i które wszyscy powinni kochać i cenić, bardziej niż talent,

bogactwo czy urodę. A Amy na swoim wygnaniu tęskniła gorąco, by być w domu i móc pomagać przy Beth, czując teraz, że żadna posługa nie byłaby zbyt ciężka czy przykra i pamiętając z pełnym skruchy smutkiem, jak wiele zaniedbanych obowiązków wykonały za nią te chętne, małe rączki. Laurie nawiedzał dom jak niespokojny duch, a pan Laurence zamknął fortepian, bo nie mógł znieść, tego, że przypominał on o małej sąsiadce, która umiała mu chwile zmierzchu. Wszystkim brakowało Beth. Mleczarz, piekarz, sklepikarz i rzeźnik pytali, jak się czuje. Biedna pani Hummel przyszła, by błagać o przebaczenie za swoją bezmyślność i prosić o całun dla Minny. Sąsiedzi przesyłali wszelkiego rodzaju słowa pociechy i życzenia, i nawet ci, którzy znali Beth najlepiej, zdumieni byli odkrywając, jak wielu przyjaciół miała ta mała nieśmiała dziewczynka.

Ona tymczasem leżała na łóżku, mając przy boku starą Joannę, gdyż nawet mając, nie zapomniała o opuszczonej ulubienicy. Tęskniła do swoich kotków, ale nie chciała, by je przyniesiono, z obawy, że się zarażą, a kiedy nadchodziły cichsze godziny, pełna była niepokoju o Jo. Przesyłała czułe pozdrowienia dla Amy i prosiła, by powiedziały matce, że niedługo do niej napisze, a często prosiła o papier i ołówek próbując napisać parę słów, żeby ojciec nie pomyślał że o nim zapomniała. Ale wkrótce nawet te chwile świadomości ustały i leżała godzinami miotając się we wszystkie strony, a z ust jej wydobywały się niezrozumiałe słowa, lub też zapadała w ciężki sen, który nie przynosił wypoczynku. Doktor Bangs przychodził dwa razy dziennie, Hanna czuwała nocą, Meg miała na swoim biurku telegram gotowy w każdej chwili do wysłania, a Jo nie odchodziła od łóżka Beth.

Pierwszy grudnia był dla nich prawdziwie zimowym dniem, gdyż wiał ostry wiatr, padał gęsty śnieg i rok zdawał się przygotowywać na swoją śmierć. Kiedy tego ranka przyszedł doktor Bangs, popatrzył długo na Beth, potrzymał przez minutę w dłoniach jej gorącą rączkę, a potem, odłożywszy ją delikatnie, powiedział po cichu do Hanny:

- Jeśli pani March może opuścić męża, należałoby po nią posłać.

Hanna skinęła, nie mówiąc ani słowa, gdyż jej wargi wykrzywiły się nerwowo; Meg opadła na krzesło, bo zdawało się, że na dźwięk tych słów wszelka siła opuściła jej członki, a Jo, postawszy przez minutę z bladą twarzą, wybiegła do bawialni, porwała telegram i narzucając coś na siebie, wybiegła w śnieżycę. Wkrótce wróciła, a kiedy zdejmowała bezszelestnie płaszcz, nadszedł Laurie z listem donoszącym, że pan March znowu miał się lepiej. Jo przeczytała go z wdzięcznością, ale ogromny ciężar zdawał się nie znikać z jej serca, a twarz jej tak była pełna

nieszczęścia, że Laurie zapytał pośpiesznie:

- Co się stało? Czy Beth ma się gorzej?

- Posłałam po mamę - powiedziała Jo z tragicznym wyrazem twarzy, szamocząc się ze swoimi kaloszami.

- Słusznie, Jo! Czy zrobiłaś to na własną odpowiedzialność? - zapytał Laurie, kiedy posadził ją na krzesło w holu i zaczął ściągać odporne kalosze, zauważywszy jak drżą jej ręce.

- Nie, doktor powiedział żebyśmy to zrobiły.

- Och, Jo, nie może być aż tak źle? - zawołał Laurie z przestraszoną twarzą.

- Niestety, tak jest. Nie poznaje nas, nie opowiada już nawet o zielonych gołębiach, jak nazywała liście winorośli na ścianach. Wygląda zupełnie jak nie moja Beth i nie ma nikogo, żeby pomóc nam to znieść. Mamy i ojca nie ma, a Bóg wydaje się tak daleko, że nie mogę go odnaleźć.

I łzy popłynęły szybkim strumieniem po policzkach biednej Jo, która w geście beznadziei wyciągnęła rękę jakby próbując coś złapać w ciemności, aż Laurie pochwycił ją w swoje dłonie, szepcząc, na ile pozwalało mu na to ściśnięte gardło:

- Ja tu jestem. Trzymaj się mnie, kochana Jo!

Nie mogła przemówić, ale „trzymała się” i ciepły uścisk przyjaznej, ludzkiej dłoni pocieszył jej obolałe serce i zdawał się prowadzić bliżej do boskiego ramienia, które jako jedyne mogło podtrzymać ją w nieszczęściu. Laurie pragnął powiedzieć coś czułego i pocieszającego, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów, więc stał w milczeniu, lekko gładząc jej opuszczoną głowę, tak jak zwykła to robić jej matka. Było to najlepsze co mógł uczynić, bardziej kojące niż najpiękniejsze słowa, gdyż Jo odczuła jego niewypowiedziane współczucie i w ciszy poznała tę słodką pociechę, jaką serdeczność przynosi smutkowi. Po krótkiej chwili osuszyła łzy, które sprawiły jej ulgę i podniosła głowę z wdzięcznością.

- Dziękuję, Teddy, już mi lepiej. Nie czuję się już taka opuszczona i spróbuję to znieść, jeśli nadejdzie.

- Musisz zachować nadzieję. To ci pomoże, Jo. Wkrótce będzie tu twoja matka, a wtedy wszystko będzie dobrze.

- Tak się cieszę, że ojcu jest lepiej. Nie będzie teraz miała takich wyrzutów sumienia, zostawiając go. Och, Boże! Zdaje się jakby wszystkie kłopoty urosły w jedną górę, a jej najcięższa część spoczywa na moich ramionach - westchnęła Jo, rozpościerając na kolanach

moką chusteczkę, żeby wyschła.

- Czy Meg nie pomaga ci dzielnie? - obruszył się Laurie.

- Och tak, próbuje, ale ona nie kocha Beth tak, jak ja i nie będzie jej tak brakowało Beth, jak mnie. Beth to moje sumienie i nie mogę jej utracić. Nie mogę! Nie mogę!

Jo opadła twarzą na moką chusteczkę i rozplakała się rozpaczliwie, mimo że do tej pory trzymała się dzielnie i nie uroniła jednej łzy. Laurie przeciągnął dłonią po oczach, ale nie mógł przemówić zanim nie pokonał dławiącego uczucia w gardle i drżenia warg. Być może nie było to zbyt męskie, ale nie mógł się opanować i rada jestem, że tak było. Potem, kiedy łkanie Jo ucichło, powiedział z nadzieją: - Myślę, że ona nie umrze. Jest taka dobra i wszyscy ją tak kochamy, że nie wierzę, żeby Bóg już teraz chciał ją zabrać.

- Dobre i kochane osoby też jednak zawsze umierają - jęknęła Jo, ale przestała płakać, gdyż słowa przyjaciela pocieszyły ją pomimo lęku i wątpliwości.

- Biedactwo, jesteś taka wymęczona. To do ciebie nie pasuje, żeby być tak opuszczoną. Poczekaj chwilę. Rozweselę cię w mgnieniu oka.

Laurie wybiegł przeskakując po dwa stopnie na raz, a Jo położyła skolataną głowę na brązowym kapturku, który zapomniany przez wszystkich, leżał na stole, tak jak go tam Beth zostawiła. Musiał on mieć jakąś czarodziejską moc, gdyż łagodny duch jego właścicielki zdawał się wstępować w Jo i kiedy Laurie zbiegł z góry z kieliszkiem wina, wzięła go z uśmiechem i powiedziała dzielnie: - Piję, za zdrowie mojej Beth! Jesteś dobrym lekarzem, Teddy, i takim drogim przyjacielem. Jak ja ci się kiedykolwiek odwdzięczę? - dodała, gdy wino ożywiło jej ciało, tak jak przedtem miłe słowa ukoiły jej umęczony umysł.

- Niebawem przyślę ci rachunek, a dziś dam ci coś, co będzie dla twego serca balsamem, znacznie lepszym niż całe kwarty wina - powiedział Laurie, spoglądając na nią promiennie z twarzą pełną poskramianego zadowolenia.

- Co to takiego? - zawołała Jo, zaintrygowana, zapominając na chwilę o swoich troskach.

- Już wczoraj wysłałem do twojej matki telegram i Brooke odpowiedział, że przyjeżdża ona natychmiast, toteż będzie tu dziś wieczorem i wszystko będzie dobrze. Czy cieszysz się, że to zrobiłem?

Laurie mówił bardzo szybko i w jednej chwili zrobił się czerwony z podniecenia, gdyż trzymał swój plan w tajemnicy, obawiając się zawieść nadzieje dziewcząt lub zranić Beth. Jo gwałtownie pobladła, zerwała się z krzesła, a gdy tylko przestał mówić, zaskoczyła go zupełnie,

zarzucając mu ramiona na szyję i wołając ze łzami radości: - Och Laurie! Och mamó! Tak się cieszę! Nie szlochała już, tylko śmiała się histerycznie, drżała i przywarła do przyjaciela, jakby zmysły opuściły ją nieco na tę niespodziewaną wiadomość.

Laurie, aczkolwiek zdecydowanie zaskoczony, zachował się z dużą przytomnością umysłu. Poklepał ją delikatnie po plecach, a zobaczywszy, że przychodzi do siebie, pocałował ją nieśmiało parę razy, co ocuciło Jo natychmiast. Trzymając się poręczy, odsunęła go delikatnie, mówiąc bez tchu: - Och, nie! Ja nie miałam zamiaru, to było okropne z mojej strony, ale byłeś taki kochany, robiąc to pomimo zakazu Hanny, że nie mogłam się powstrzymać, żeby się na ciebie nie rzucić. Opowiedz mi o wszystkim i nie dawaj mi już więcej wina, bo potem tak się zachowuję.

- Mnie to nie przeszkadza - powiedział Laurie poprawiając krawat. - Wiesz, zacząłem się denerwować i dziadek też. Obaj uważaliśmy, że Hanna przesadza z tym swoim autorytetem i że wasza matka powinna wiedzieć. Nigdy by nam nie wybaczyła, gdyby Beth - no, wiesz, gdyby coś się stało. No więc, kiedy dziadek powiedział że najwyższy czas, żebyśmy coś zrobili, pogałem wczoraj na pocztę, bo doktor wyglądał tak poważnie, a Hanna o mało nie urwała mi głowy, kiedy zaproponowałem telegram. A ponieważ nie mogę znieść, żeby mną „rządzono”, toteż zdecydowałem się i zrobiłem to. Wiem, że twoja matka przyjedzie, a ostatni pociąg nadjeżdża o drugiej rano. Wyjadę po nią, a ty dopilnuj tylko, żeby powściągnąć swój wybuch radości i żeby Beth nie niepokoila się zanim ta błogosławiona dama nie pojawi się tu.

- Laurie, jesteś aniołem! Jak ja ci się kiedykolwiek odwdzięczę?

- Rzuć się na mnie jeszcze raz. Całkiem mi się to podobało - powiedział Laurie, wyglądając psotnie, co nie zdarzyło mu się w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

- Nie, dziękuję. Zrobię to per procura, kiedy przyjdzie twój dziadek. Nie dokuczaj już, tylko idź do domu i odpocznij, bo będziesz na nogach przez pół nocy. Niech cię Bóg błogosławi, Teddy!

Jo wycofała się do kąta, a skończywszy mówić, wyszła pośpiesznie do kuchni, gdzie usiadła na komodzie i oświadczyła zebranym kotom, że jest szczęśliwa, ach, jaka szczęśliwa! - podczas gdy Laurie odszedł całkiem zadowolony ze swojego uczynku.

- To jest najwścibsza chłopak jaki znam, ale mu wybaczam i mam nadzieję, że pani March zaraz przyjedzie - powiedziała Hanna z ulgą, kiedy Jo przekazała jej dobrą wiadomość.

Meg wzruszyła się cichutko, po czym pogrzyżyła się nad listem, podczas gdy Jo

doprowadziła pokój chorej do porządku, a Hanna „zakręciła parę ciast w razie niespodziewane towarzystwo”. Zdawało się jakby przez dom przeleciał powiew świeżego powietrza i coś piękniejszego niż słońce oświetliło ciche pokoje. Wszystko wokół zdawało się przynosić pełne nadziei zmiany: ptaszek Beth zaczął znów ćwierkać, na stojącym w oknie krzaczku Amy odkryto na wpół rozwiniętą różę; kominki płonęły z niezwykłą wesołością, a za każdym razem, kiedy dziewczęta spotykały jedna drugą, ich blade twarze rozpromieniał uśmiech i obejmowały się, szepcząc pocieszająco: - Mama wraca, kochanie! Mama wraca! Cieszyli się wszyscy oprócz Beth. Leżała ona w zupełnym zamroczeniu, jednakże nieświadoma nadziei i radości, zwątpienia i niebezpieczeństwa. Był to żalony widok - różowa niegdyś twarzyczka, tak zmieniona i nieobecna; zajęte dawniej ręce, tak słabe i zmęczone; uśmiechnięte dawniej wargi całkiem teraz nieme, a ładnie zawsze uczesane włosy rozrzucone i potargane na poduszce. Leżała tak przez cały dzień, podnosząc się tylko czasem, by wyszeptać „Wody!” wargami tak spierzchniętymi, że ledwie mogły wypowiedzieć słowo.

Przez cały dzień Jo i Meg krążyły nad nią, czuwając, czekając, mając nadzieję i ufając Bogu i matce. I przez cały dzień padał śnieg, szalała straszna wichura, a godziny ciągnęły się powoli. Lecz noc nadeszła wreszcie i za każdym uderzeniem zegara, siostry siedzące bez przerwy po obu stronach łóżka chorej, patrzyły na siebie błyszczącymi oczyma, gdyż każda godzina przybliżała nadejście pomocy. Przyszedł doktor, by powiedzieć, że jakaś zmiana, na lepsze lub gorsze, nastąpi prawdopodobnie około północy i że ponownie wówczas przyjdzie.

Hanna, zupełnie wycieńczona, położyła się na sofie u nog łóżka i natychmiast zasnęła. Pan Laurence przemierzał tam i z powrotem bawialnię, czując, że wolałby stawić raczej czoła zbuntowanemu batalionowi wojska niż zaniepokojonej twarzy pani March, kiedy ta nadjedzie. Laurie leżał na dywanie, udając, że odpoczywa, a naprawdę patrząc w ogień zamyślonym wzrokiem, który nadawał jego czarnym oczom piękną łagodność i przejrzystość.

Dziewczęta nigdy nie zapomniały tej nocy, gdyż nie zaznały chwili snu trwając w swoim czuwaniu, z tym strasznym poczuciem bezsilności, które nawiedza nas w godzinach takich jak te.

- Jeśli Bóg oszczędzi Beth, już nigdy nie będę narzekać - szepnęła żarliwie Meg.

- Jeśli Bóg oszczędzi Beth, postaram się kochać go i służyć mu przez całe moje życie - odpowiedziała Jo równie gorąco.

- Chciałabym nie mieć serca, bo tak bardzo boli - westchnęła Meg po chwili.

- Jeśli życie często jest tak ciężkie jak teraz, to nie wiem, jak uda nam się przez nie

przebrnąć - dodała w przygnębieniu jej siostra.

W tej właśnie chwili zegar wybił dwunastą i obie zapomniały o sobie, przyglądając się Beth, bo zdawało im się, że zauważyły zmianę na jej wymizerowanej twarzy. W domu było cicho jak w grobie i tylko wycie wiatru przerywało tę ciszę. Zmęczona Hanna wciąż spała, kiedy siostry dostrzegły blady cień, który zdawał się padać na małe łóżko. Minęła godzina i nic się nie wydarzyło, poza tym, że Laurie cicho wyszedł, by udać się na stację. Następną godziną - nadal nikt nie nadchodził i biedne dziewczęta zaczęły dręczyć niepokój na myśl o opóźnieniach w śnieżycy, wypadkach na drodze lub tym co najgorsze - wielkim smutku w Waszyngtonie.

Było już po drugiej, kiedy Jo, która stała przy oknie myśląc o tym, jak ponuro wyglądał świat w wirujących płatkach śniegu, usłyszała poruszenie przy łóżku i odwróciwszy się szybko, zobaczyła, że Meg, ukrywając twarz, klęczy przed fotelem matki. Straszliwy niepokój przeszył Jo lodem, kiedy pomyślała: „Beth umarła, a Meg boi się powiedzieć mi o tym”.

W mgnieniu oka była z powrotem na swym posterunku i jej podniecone oczy dostrzegły, jak wielka zaszła zmiana. Rumieniec gorączki i wyraz cierpienia zniknęły, a mała twarzyczka wyglądała tak blado i spokojnie w wyrazie zupełnego wytchnienia, że Jo nie poczuła nawet pragnienia, by zapłakać czy lamentować. Pochylając się nisko nad najukochańszą ze swoich siostr, pocałowała spocone czoło, jakby serce spłynęło jej na wargi i miękko szepnęła: - Do widzenia, moja Beth. Do widzenia!

Obudzona poruszeniem Hanna zerwała się ze snu i pośpieszyła do łóżka, spojrzała na Beth, dotknęła jej dłoni, przysłuchiwała się wargom, a potem, zarzucając fartuch na głowę usiadła kiwając się tam i z powrotem i mówiąc urywanym głosem: - Gorączka opadła, śpi normalnie. Skóra wilgotna i oddycha łatwo. Chwała Najwyższemu!

Zanim dziewczęta zdążyły uwierzyć w radosną prawdę, nadszedł doktor, by ją potwierdzić. Był to zupełnie zwyczajny mężczyzna, lecz im jego twarz wydała się niebiańska, kiedy uśmiechnął się i powiedział spoglądając na nie po ojcowsku: - Tak, moje drogie, sądzę, że tym razem nasza maleńka sobie poradzi. Niech w domu będzie cicho, pozwólcie jej spać, a kiedy się obudzi, dajcie jej...

Co miały jej dać, tego żadna nie dosłyszała, gdyż obie wyszły do ciemnego holu i usiadły na schodach obejmując się mocno i mając serca pełne radości, która nie dawała się wyrazić słowami. Kiedy wróciły, by wierna Hanna - mogła je ucałować i uściskać, zobaczyły, że Beth leży w swej zwykłej pozycji, z policzkiem opartym na dłoni, bez śladu strasznej bladoci i oddycha

spokojnie, tak jakby właśnie zasnęła.

- Gdyby tylko mama mogła teraz przyjechać! - powiedziała Jo, kiedy zimowa noc zaczęła blednąć.

- Spójrz - powiedziała Meg, podchodząc z na wpół rozkwitłą białą różą. - Myślałam, że chyba nie będzie gotowa, by można ją jutro włożyć w dłoń Beth, gdyby... odeszła od nas. Ale rozkwitła w nocy i teraz wstawię ją tu do wazonu, żeby kiedy nasze kochanie się obudzi, pierwszym, co zobaczy, była ta mała róża i twarz mamy.

Nigdy przedtem słońce nie wschodziło tak pięknie i nigdy świat nie wydawał się tak cudowny, jak ujrzały to zmęczone oczy Meg i Jo, kiedy tego wczesnego ranka wyjrzały przez okno po zakończeniu swej długiej, smutnej straży.

- Wszystko wygląda jak w baśniowej krainie - powiedziała Meg, uśmiechając się sama do siebie, kiedy stała tak przy zasłonce, spoglądając na olśniewający widok.

- Uwaga! - zawołała Jo, zrywając się na równe nogi.

Tak, to od strony drzwi wejściowych słychać było dzwonek, płacz Hanny, a potem głos Laurie mówiący radosnym szeptem: - Dziewczęta, przyjechała, przyjechała!

ROZDZIAŁ 19

Testament Amy Kiedy w domu działy się opisane zdarzenia, Amy przeżywała ciężkie chwile u ciotki March. Ciężko znosiła swoje wygnanie i po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę jak bardzo kochano i rozpieszczano ją w domu. Ciotka March nigdy nie pieściła nikogo i bynajmniej tego nie pochwalała, ale postanowiła być miłą, bo grzeczna dziewczynka bardzo jej przypadła do gustu, a poza tym ciotka March, w głębi duszy, miała słabość do dzieci swego bratanka, mimo że nie uważała za stosowne wyznawanie im tego. Starła się doprawdy jak mogła, aby Amy była zadowolona, ale, Boże drogi, jakież popełniała błędy! Niektórzy starzy ludzie zachowują młode serca pomimo zmarszczek i siwizny, rozumieją drobne dziecięce troski i radości i potrafią sprawić, by dzieci czuły się u nich jak w domu, a mądrych lekcji udzielają w trakcie przyjemnych zabaw, w miły sposób dając i otrzymując przyjaźń. Ale ciotka March pozbawiona była tego daru i dokuczała Amy niezwykle swoimi zasadami i rozkazami, sztywnym zachowaniem i długimi, drętowymi mowami. Ocenivszy dziewczynkę jako bardziej uległą i posłuszną niż jej siostra, stara dama uznała za swój obowiązek postarać się przeciwdziałać, jak tylko to było możliwe, złym efektom swobody i pobłażania jakim otaczano ją w domu. Wzięła więc Amy w swoje ręce i poczęła ją wychowywać tak, jak ją samą wychowywano sześćdziesiąt lat wcześniej - był to proces, który wprawił duszę Amy w przerażenie i spowodował, że poczuła się jak mucha, która wpadła w sieć bardzo surowego pająka.

Każdego ranka musiała umyć kubki i wypolerować staromodne łyżeczki, pękaty dzbanek do herbaty i szklanki aż do połysku. Następnie musiała wytrzeć kurze we wszystkich pokojach, a była to praca nie lada! Nawet pyłek nie umknął uwagi ciotki March, a wszystkie meble miały nogi w kształcie pazurów i niezliczone rzeźbienia, których nigdy nie udawało się dostatecznie odkurzyć. Potem należało nakarmić Polly, uczesać małego pieska i odbyć dziesiątki podróży z góry na dół przynosząc różne rzeczy i przekazując polecenia, gdyż stara dama poważnie kuląła i rzadko opuszczała swój wielki fotel. Po tych męczących zajęciach musiała odrobić lekcje, co wystawiało na codzienną próbę wszystkie posiadane przez nią cnoty. Dopiero potem mogła spędzić godzinę na zabawie i przyjemnościach i była to prawdziwa radość! Laurie przymilał się do ciotki March, dopóki nie pozwoliła Amy wyjść razem z nim i ruszali na spacer lub na przejażdżkę, bawiąc się znakomicie. Po obiedzie musiała czytać głośno, po czym siedzieć bez

ruchu, gdy stara dama spała, co robiła zwykle przez godzinę, zasnawszy przy pierwszej stronie. Potem ukazywały się robótki i Amy szła z pozorną uległością, a wewnętrznym buntem aż do zmierzchu, kiedy wolno jej było zająć się czym chciała, dopóki nie podano herbaty. Wieczory były najgorsze, gdyż ciotka March opowiadała wówczas długie historie ze swojej młodości, które były tak niewypowiedzianie nudne, że Amy gotowa była od razu iść do łóżka i płakać nad swoim ciężkim losem, ale zazwyczaj zasypiała po uronieniu zaledwie jednej lub dwu łez.

Amy zdawało się, że gdyby nie Laurie i służąca Esther, nigdy nie udałoby jej się przetrzymać tego okropnego wygnania. Jednej papugi wystarczyło, by doprowadzić ją do szaleństwa, gdyż ptak ten szybko wyczuł, że Amy nie darzy go sympatią i mścił się jak umiał najzłośliwiej. Ciągnął Amy za włosy, kiedy obok niego przechodziła, rozrzucał swój chleb i mleko, aby jej dokuczyć, kiedy właśnie posprzątała jego klatkę, dziobał Mopa, by ten zaczął szczekać, kiedy Madame drzemała, przezywał Amy w towarzystwie i zachowywał się pod każdym względem karygodnie. Nie mogła także ścierpieć psa - tłustego złośliwego zwierza, który warczał i skowyczał gdy Amy zajmowała się jego toaletą i układał się na grzbiecie z nogami w powietrzu i idiotycznym wyrazem pyska, kiedy chciał jeść, co zdarzało się mniej więcej dziesięć razy dziennie. Kucharka miała porywczy charakter, stangret był głuchy i tylko jedna Esther zwracała uwagę na młodą panienkę.

Esther była Francuzką, która mieszkała z „Madame” jak nazywała swą panią, od wielu lat i zupełnie podporządkowała sobie starą damę, która nie mogła się bez niej obejść. Naprawdę miała ona na imię Estelle, ale ciotka March kazała jej je zmienić, na co przystała pod warunkiem, że nie będzie nigdy zmuszana do zmiany religii. Polubiła ona Mademoiselle i kiedy Amy asystowała jej przy przygotowywaniu koronek dla Madame, zabawiała ją niezwykle opowieściami o swoim życiu we Francji. Pozwalała jej także buszować po wielkim domu i oglądać różne dziwne i piękne przedmioty ukryte w wielkich szafach i starodawnych komodach przez ciotkę March, która zbierała wszystko jak sroka. Amy szczególnie lubiła indyjski sekretarzyk, pełen dziwnych szuflad, małych schowków i tajemnych skrytek, w których trzymane były najróżniejsze ozdoby, niektóre cenne, inne tylko dziwaczne, a wszystkie mniej lub bardziej starodawne. Oglądanie i układanie tych przedmiotów dawało Amy wiele radości, zwłaszcza zaś przeglądanie kasetki z biżuterią, gdzie na aksamitnych poduszczykach spoczywały klejnoty, które ozdabiały ich właścicielkę czterdzieści lat temu. Była tam kolia z granatów, którą ciotka March nosiła, gdy weszła w świat, perły, które podarował jej ojciec w dniu ślubu, brylanty od

narzeczonego, żałobne pierścionki i broszki z gagatów, dziwaczne medaliony, w których były portrety zmarłych przyjaciół i płaczące wierzby zrobione z włosów, małe bransoletki, które nosiła jej jedyna córka, wielki zegarek wuja Marcha z czerwoną dewizką, którą bawiło się tyle dziecięcych rączek, a w specjalnym pudełku leżała ślubna obrączka ciotki March, zbyt mała teraz na jej gruby palec, lecz pieczołowicie odłożona oddzielnie, niczym najcenniejszy ze wszystkich klejnotów.

- Co by Mademoiselle wybrała, gdyby mogła? - zapytała Esther, która zawsze siadała obok, by się przyglądać, a potem pozamykać wszystkie drogocенności.

- Najbardziej podobają mi się brylanty, ale nie ma wśród nich naszyjnika, a ja lubię naszyjniki, są takie twarzowe. Gdybym mogła, wybrałabym to - odparła Amy, spoglądając z wielkim zachwytem na sznur złotych i hebanowych koralików, z którego zwisał taki sam krzyż.

- Ja też bym to chciała, ale nie jako naszyjnik. Ach, nie! Dla mnie to jest różaniec i używałabym go tak, jak powinna dobra katoliczka - powiedziała Esther, patrząc tęsknie na piękny przedmiot.

- Czy tego się używa tak, jak tego sznurka koralików z pachnącego drzewa, które wiszą na twoim lustrze? - zapytała Amy.

- Tak, do modlitwy. Świętym byłoby miło, gdyby używało się takiego pięknego różańca jak ten, zamiast nosić go jako vain bijou.

- Ty Esther, zdajesz się znajdować wiele pociechy w swoich modlitwach i zawsze schodzisz na dół spokojniejsza i zadowolona. Szkoda, że ja tak nie potrafię.

- Gdyby Mademoiselle była katoliczką, to też znalazłaby prawdziwą pociechę, ale skoro tak nie jest, to byłoby dobrze, gdyby panienka szła sobie codziennie gdzieś na ubocze, żeby pomodlić się i pomedytować, tak jak to robiła dobra pani, u której służyłam przed Madame. Miała małą kapliczkę, w której znajdowała ukojenie od wielu smutków.

- Czy byłoby to właściwe, gdybym i ja tak robiła? - zapytała Amy, która w swej samotności odczuwała potrzebę jakiejś pomocy i zauważyła, że skłonna była zapominać o swojej małej książeczce teraz, kiedy nie było tu Beth, by jej o niej przypominała.

- Byłoby to wspaniałe i urocze, i jeśli panienka chce, to chętnie przystosuję do tego małą gotownię. Nie musi panienka nic mówić Madame, tylko kiedy ona zaśnie, pójdzie tam sobie panienka i posiedzi troszkę sama, trzeba być dobrej myśli i pomodlić się do łaskawego Pana Boga, żeby zachował siostrzyczkę.

Esther była prawdziwie pobożna i jej rady były szczerze, gdyż miała dobre serce i współczuła siostram w ich niepokoju. Amy spodobał się ten pomysł i pozwoliła jej przygotować małe pomieszczenie obok swojego pokoju, mając nadzieję, że dobrze jej to zrobi.

- Tak chciałabym wiedzieć, kto dostanie wszystkie te piękne rzeczy po śmierci ciotki March - powiedziała, odkładając powoli błyszczący różaniec i zamykając jedno po drugim pudełka z biżuterią.

- Panienska i jej siostry. Wiem to. Madame mi się zwierza. Byłam świadkiem przy jej testamentie i tak ma właśnie być - szepnęła Esther uśmiechając się.

- Jak to miło! Ale wolałabym, żeby dała nam je teraz. Oczekiwanie nie jest przyjemne - zauważyła Amy, spoglądając po raz ostatni na brylanty.

- Za wcześnie jeszcze dla młodych dam na noszenie takich rzeczy. Pierwsza, która się zaręczy, dostanie perły - tak powiedziała Madame, a zdaje mi się, że ten mały pierścionek z turkusikiem dostanie panienska na odchodne, bo Madame podoba się dobre wychowanie panienski i czarujące maniery.

- Tak myślisz? Och będę prawdziwym barankiem, bylebym tylko mogła mieć ten śliczny pierścionek! Jest o tyle ładniejszy od tego, jaki ma Kitty Bryant. Mimo wszystko lubię ciotkę March. I Amy przymierzyła niebieski pierścionek z uszczęśliwioną miną i mocnym postanowieniem, żeby na niego zasłużyć.

Od tego dnia była wzorem posłuszeństwa i stara dama z zadowoleniem podziwiała sukces swego wychowania. Esther zaopatrzyła garderobę w mały stolik, ustawiła przed nim stołeczek, a na ścianie powiesiła obrazek zabrany z jednego z zamkniętych pokoi. Pomyślała, że nie miał on większej wartości, a ponieważ świetnie się nadawał, więc go wypożyczyła, wiedząc dobrze, że Madame nigdy się o tym nie dowie, ale też i nie troszcząc się zbyt o to, co będzie w przeciwnym razie. W rzeczywistości była to bardzo cenna kopia jednego z najświetniejszych obrazów światowego malarstwa i kochające piękno oczy Amy nigdy nie męczyły się patrzeniem w słodką twarz Matki Boskiej, podczas gdy czułe myśli o własnej matce wypełniały jej serce. Na stoliku położyła swoją małą Ewangelię i książeczkę z hymnami, a także wazon, zawsze pełen najwspanialszych kwiatów, które przynosił jej Laurie, i chodziła tam codziennie, aby „być dobrej myśli i pomodlić się, żeby łaskawy Pan Bóg zachował jej siostrę”. Esther podarowała jej czarny różaniec ze srebrnym krzyżem, ale Amy powiesiła go i nie używała, mając wątpliwości czy był on odpowiedni do jej protestanckich modlitw.

Dziewczynka robiła to wszystko ze szczerego serca, gdyż będąc z dala od bezpiecznego domowego gniazda, odczuwała tak boleśnie potrzebę trzymania czyjejś dobrej dłoni, że instynktownie zwróciła się ku mocnemu i czułemu Przyjacielowi, którego ojcowska miłość pieczołowicie otacza jego małe dzieci. Brakowało jej matczynej pomocy, by samą siebie rozumieć i prowadzić, ale nauczona, gdzie należy szukać, znalazła drogę, jak umiała najlepiej i wkroczyła na nią z ufnością. Amy była tylko małym pielgrzymem, a teraz jej torby zdawały się bardzo ciężkie. Starła się jednak zapominać o sobie i być pogodną i zadowoloną z tego, że postępuje tak jak należy, mimo że nikt nie dostrzegał tego ani nie chwalił jej. W tym swoim pierwszym staraniu, by być bardzo, bardzo dobrą, postanowiła sporządzić testament, tak jak to zrobiła ciotka March, po to, żeby w razie jej choroby i śmierci cały jej dobytek został sprawiedliwie i szczerze rozdzielony. Doznawała przy tym prawdziwych katuszy na samą myśl o rezygnowaniu z drobnych skarbów, które w jej oczach były równie cenne jak klejnoty starej damy.

Podczas jednej ze swoich godzin na zabawę spisała ten ważny dokument najlepiej jak umiała, korzystając z pomocy Esther co do niektórych terminów prawniczych, a kiedy dobroduszna Francuzka złożyła swój podpis, Amy poczuła ulgę i odłożyła dokument, by pokazać go Laurie, którego wybrała na drugiego świadka. Ponieważ dzień był deszczowy, poszła na górę, by pobawić się w jednym z wielkich pokoi, zabierając ze sobą Polly do towarzystwa. W pokoju tym była szafa pełna staromodnych kostiumów, którymi Esther pozwoliła jej się bawić i była to ulubiona rozrywka Amy, która przystroiwszy się w wypłowiałe brokaty paradowała tam i z powrotem przed długim lustrem, wykonując uroczyste ukłony i zamiatając dookoła trenem z szelestem, który był muzyką dla jej uszu. Tego dnia była tak zajęta, że nie usłyszała, kiedy Laurie zadzwonił ani nie dostrzegła jego twarzy, kiedy podpatrywał ją, jak przechadzała się dostojnie tam i z powrotem, powiewając wachlarzem i podrzucając głową, na której miała wielki różowy turban, dziwacznie kontrastujący z jej błękitną brokatową suknią i żółtą pikowaną halką. Musiała spacerować ostrożnie, gdyż nosiła pantofle na wysokich obcasach i, jak potem Laurie relacjonował Jo, był to przekomiczny widok, gdy tak mizdrzyła się w swoim paradnym stroju, a Polly ślizgał się i podskakiwał tuż za nią, starając się naśladować ją jak tylko umiał najlepiej, przystając co chwilę, by zaśmiać się lub zawołać: - Ładne jesteście? Chodź tu, tchórze! Trzymaj język za zębami! Buzi, kochanie! Ha! ha!

Z trudem powstrzymując wybuch śmiechu, by nie obrazić jej wysokości, - Laurie zapukał

i został łaskawie przyjęty.

- Usiądź i odpocznij, podczas gdy ja odłożę te rzeczy. A potem poradzę się ciebie w pewnej bardzo poważnej sprawie - powiedziała Amy, kiedy ukazała już swój splendor i odprowadziła Polly do kąta. - Ten ptak to skaranię mojego życia - kontynuowała, zdejmując z głowy różowy kopiec, podczas gdy Laurie zasiadł okrakiem na krześle. - Wczoraj, kiedy ciotka March zasnęła, a ja starałam się być cicho jak mysz, Polly zaczął skrzeczeć i łopotać w klatce, więc poszłam, żeby go wypuścić i znalazłam tam dużego pająka. Wyciągnęłam go, a on uciekł pod półkę z książkami. Polly pomaszerował prosto za nim, schylił się, zajrzał pod półkę i powiedział w ten swój śmieszny sposób, mrużąc oko: «Chodź na spacer, kochanie». Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, Polly zaczął kłąć, a ciotka obudziła się i zbesztala nas oboje.

- Czy pająk przyjął zaproszenie? - zapytał Laurie z otwartymi ustami.

- Tak, wyszedł, a Polly uciekł śmiertelnie przerażony i wdrapał się na fotel ciotki, wołając: «Łap ją! Łap ją!», kiedy goniłam pająka.

- To kłamstwo! Och Panie! - zawołała papuga, dziobiąc buty Laurie.

- Gdybyś należał do mnie, ukręciłbym ci łeb, ty stary łobuzie - zawołał Laurie, wygrażając pięścią ptakowi, który przekrzywił głowę i zaskrzeczał poważnie: - Aliluja! Błogosław twoje guziki, kochanie!

- Już jestem gotowa - powiedziała Amy, zamykając szafę i wyjmując z kieszeni papier. - Przeczytaj to, proszę, i powiedz mi, czy jest zgodne z prawem i poprawne. Uważałam, że powinnam to zrobić, bo życie to rzecz niepewna, a nie chcę żadnych pretensji nad moim grobem.

Laurie przygryzł wargi i odwracając się nieco od zamyślanej rozmówczyni, przeczytał z chwalebna (uwzględnivszy ortografię) powagą, następvjący dokument:

MOJA OSTATNIA WOLA I TESTAMENT - Ja, Amy Curtis March, będąc zdrowa na umyśle, daję i pszekazuję cały mój majątek - viz., to jest: - mianowicie Mojemu ojcu, moje najlepsze rysunki, szkice, mapy i dzieła sztuki, łącznie z ramami. A także moje 100 \$, żeby z nimi zrobił co chce.

Mojej matce, wszystkie moje ubrania, z wyjątkiem niebieskiego fartuszka z kieszeniami - także moją podobiznę i mój medal, z wyrazami miłości.

Mojej drogiej siostrze Margaret, daję mój pierścionek z turkusem (jeśli go dostanę), także moje zielone pódółko w gołębki i mój kawałek prawdziwej koronki żeby nosiła na szyi, i jej portret, który naszkicowałam, jako upamiętnienie po jej „małej dziewczynce”.

Dla Jo zostawiam moją broszkę, tę naprawianą woskiem do pieczęci i mój brązowy kałamarz - ona zgubiła od niego pokrywkę - i mojego najcenniejszego królika z gipsu, bo przykro mi, że spaliłam jej opowiadania.

Dla Beth (jeśli mnie przeżyje) zostawiam moje lalki i małe biurko, mój wachlarz, moje lniane kołnierzyki i moje nowe kapcie, jeśli będzie je mogła nosić, bo będzie chuda kiedy wyzdrowieje. I niniejszym pozostawiam jej mój żal, że wyśmiewałam się ze starej Joanny.

Mojemu przyjacielowi i sąsiadowi Teodorowi Laurence, pszekazuję mój blok z papier marsze, mój gliniany model konia, chociaż powiedział że on wcale nie ma szyi. A także w zamian za jego serdeczność w godzinie nieszczęścia, to z moich dzieł sztuki jakie będzie chciał Noter dame jest najlepsza.

Naszemu szanownemu dobroczyńcy panu Laurence, zostawiam moje fioletowe pudełko ze szkłem w pokrywce, które będzie bardzo dobre na jego pióra i będzie mu przypominało o utraconej dziewczynce, która dziękuje mu za jego łaski dla jej rodziny, zwłaszcza Beth.

Pragnę aby moja ulubiona koleżanka Kitty Bryant dostała niebieski jedwabny fartuszek i mój pierścionek ze złotym koralikiem z pocałunkiem.

Dla Hanny, zostawiam pudło na kapelusze, które chciała i wszystkie moje ścinki do robótek w nadziei, że „gdy ujrzy je, to wspomni mnie”.

A teraz, rozporządziwszy moją najcenniejszą własnością, mam nadzieję, że wszyscy będą zadowoleni i nie będą obwiniać zmarłej. Przebaczam wszystkim i wierzę, że spotkamy się gdy zabrzmi tromba. Amen.

Na tej to ostatniej woli i testamencie składam swój podpis i pieczęć, 20 dnia Listopada Anni Domino 1861.

Amy Curtis March Świadkowie: Estelle Valnor Teodor Laurence”

Ostatnie nazwisko napisane było ołówkiem i Amy wyjaśniła Laurie, że powinien je teraz przepisać piórem i opieczetować jak należy.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Czy ktoś ci powiedział, że Beth rozdała swoje rzeczy? - zapytał poważnie Laurie, kiedy Amy wyłożyła przed nim kawałek czerwonej taśmy, wosk do pieczęci, stoczek i kałamarz.

Wyjaśniła mu, po czym zapytała niespokojnie: - A co było z Beth?

- Żałuję, że się odezwałem, ale skoro już, to ci powiem. Któregoś dnia czuła się bardzo chora i powiedziała Jo, że chce zostawić swoje pianino Meg, koty tobie, a biedną starą lalkę - Jo,

żeby ją w jej imieniu kochała. Było jej przykro, że miała tak mało do ofiarowania i wszystkim nam pozostałym dała po loku swoich włosów, i najlepsze pozdrowienia dla dziadka. Ona nigdy nie myślała o testamencie.

Mówiąc to Laurie podpisywał i pieczętował nie podnosząc wzroku, dopóki wielka łąza nie upadła na papier. Twarz Amy pełna była zmieszania, ale powiedziała tylko: - Czy nie dodaje się czasem post scriptów do testamentów?

- Tak, nazywa się to «kodycył».

- Dodaj więc jeden i do mojego - że chcę, żeby obcięto wszystkie moje loki i rozdano przyjaciółom. Zapomniałam o tym, ale chcę, żeby tak zrobiono, mimo że zepsuje to mój wygląd.

Laurie uzupełnił więc dokument, uśmiechając się na myśl o największym poświęceniu Amy. Potem zabawiał ją przez godzinę i okazywał duże zainteresowanie jej niedolą. Ale kiedy miał już wychodzić, Amy zatrzymała go i wyszeptala drżącymi wargami: - Czy Beth naprawdę coś grozi?

- Obawiam się, że tak, ale musimy mieć nadzieję, więc nie płacz, kochanie. I Laurie objął ją ramieniem, pełnym pocieszenia, braterskim gestem.

Kiedy odszedł Amy poszła do swojej kapliczki i siedząc w półmroku modliła się za Beth, w potoku łez i z obolałym sercem, czując, że milion pierścionków z turkusem nie pocieszyłyby jej po stracie małej, łagodnej siostrzyczki.

ROZDZIAŁ 20

W zaufaniu brak mi słów, by opisać spotkanie matki z córkami. Takie chwile piękne są, gdy się je przeżywa, lecz bardzo trudne do opisania, toteż pozostawię to wyobraźni moich czytelników i powiem tylko, że dom pełen był prawdziwego szczęścia i że nieśmiałe nadzieje Meg ziściły się, albowiem kiedy Beth obudziła się z długiego uzdrawiającego snu, jej wzrok rzeczywiście padł najpierw na małą różyczkę i twarz matki. Zbyt słaba, by się nad czymkolwiek zastanawiać, uśmiechnęła się tylko i mocno przytuliła do obejmujących ją kochanych ramion, czując, że dręcząca ją tęsknota została wreszcie zaspokojona. Potem znowu zasnęła, a dziewczęta obsługiwały matkę, która nie chciała wypuścić wychudzonej rączki, ściskającej jej dłoń nawet przez sen.

Hanna, nie znajdując innego sposobu na ukojenie swego podniecenia „upichciła” dla podróżniczki olśniewające śniadanie, a Meg i Jo nakarmiły matkę niczym sumienne, młode bociany, wysłuchując jednocześnie jej szeptanej relacji o stanie zdrowia ojca, przyrzeczeniu pana Brooka, by pozostać i opiekować się nim, opóźnieniu, jakie zawieja spowodowała w podróży do domu i niewymownej pociesze, jaką była dla niej pełna nadziei twarz Laurie, kiedy przyjechała wycieńczona ze zmęczenia, niepokoju i zimna.

Jakiż to był dziwny a zarazem przyjemny dzień, tak błyszczący i wesoły za oknem, gdzie cały świat zdawał się witać pierwszy śnieg, a tak cichy i pełen wypoczynku w domu, gdyż wszyscy spali, zmęczeni czuwaniem, w całym domu królował sobotni spokój i tylko Hanna trzymała straż przy drzwiach. Meg i Jo w błogim poczuciu pozbycia się ciężaru, zamknęły zmęczone oczy i położyły się, by odpocząć, niczym sterane burzą okręty, co zawinęły bezpiecznie do cichego portu. Pani March nie chciała odejść od Beth i odpoczywała w dużym fotelu, budząc się często, by popatrzeć, dotknąć lub zamyślić się nad swoim dzieckiem niczym biedak nad odzyskanym skarbem.

Laurie tymczasem pośpieszył, by pocieszyć Amy i opowiedział całą historię tak dobrze, że nawet ciotka March sama „pociągała” nosem i ani razu nie powiedziała: „A nie mówiłam?”. Amy zachowała się przy tej okazji tak dzielnie, że sędzę, iż dobre myśli z małej kapliczki rzeczywiście zaczęły przynosić rezultaty. Szybko otarła łzy, spokojnie opanowała swą niecierpliwość, by zobaczyć matkę i nawet nie pomyślała o pierścionku z turkusem, kiedy stara

dama chętnie zgodziła się z opinią Laurie, że zachowywała się jak „wspaniała mała kobietka”. Nawet na Polly zdawało się to wywierać wrażenie, gdyż nazywał ją „dobrą dziewczynką”, błogosławił jej guziki i błagał ją: „chodź na spacer, kochanie”, swoim najbardziej uprzejmym tonem. Bardzo chętnie poszłaby na spacer, by nacieszyć się piękną zimową pogodą, ale zauważywszy, pomimo męskich wysiłków Laurie, że ukrywa zmęczenie, że ledwo trzyma się on na nogach, namówiła go, by odpoczął na sofie, podczas gdy sama napisała list do matki. Zajęło jej to dłuższy czas, a kiedy wróciła, zastała go wciąż wyciągniętego z rękoma pod głową i śpiącego głęboko, podczas gdy ciotka March zaciągnęła zasłony i siedziała nic nie robiąc, w niezwykle przychylnym łagodności.

Po jakimś czasie zaczęły podejrzewać, że nie obudzi się aż do wieczora i nie jestem pewna, czy nie stałoby się tak, gdyby nie został zerwany ze snu okrzykiem radości, jaki wydała Amy na widok matki. Prawdopodobnie tego dnia wiele było w całym mieście i okolicy szczęśliwych dziewczynek, ale moim osobistym zdaniem, Amy była najszczęśliwszą z nich, kiedy siedząc na kolanach matki i opowiadając jej o swoich próbach, otrzymała pocieszenie i wynagrodzenie w postaci pochwalających uśmiechów i czułych pieszczot. Siedziały same w kapliczce, do której matka nie miała zastrzeżeń, kiedy cel przedsięwzięcia został jej wyjaśniony.

- Wprost przeciwnie, bardzo mi się podoba, kochanie - powiedziała przenosząc spojrzenie od zakurzonego różańca na dobrze znaną wytartą, małą książeczkę i piękny obraz w girlandzie zieleni. - To znakomity pomysł, żeby mieć miejsce, dokąd można pójść, żeby się uspokoić, kiedy coś nas drażni czy martwi. W naszym życiu wiele jest ciężkich chwil, ale zawsze możemy je znieść, jeśli potrafimy we właściwy sposób poprosić o pomoc. Myślę, że tego właśnie uczy się teraz moja mała dziewczynka.

- Tak mam, a po powrocie do domu mam zamiar urządzić sobie kącik w wielkiej garderobie i położyć tam książki i kopię tego obrazu, którą próbowałam zrobić. Twarz kobiety nie bardzo mi się udała - jest dla mnie zbyt piękna - ale dziecko wyszło mi lepiej i bardzo mi się podoba. Lubię myśleć o tym, że On był kiedyś małym dzieckiem, bo wtedy nie czuję się od Niego tak daleko i to mi pomaga.

- Kiedy Amy wskazała uśmiechającego się Chrystusa siedzącego na kolanach Matki, pani March zauważyła na jej wyciągniętej rączce coś, co wywołało jej uśmiech. Nic nie powiedziała, ale Amy zrozumiała jej spojrzenie i po chwili przerwy dodała poważnie:

- Chciałam z tobą o tym porozmawiać, ale zapomniałam. Ciotka March dała mi dziś

pierścionek. Wezwała mnie do siebie, pocałowała i włożyła mi go na palec, mówiąc, że przynoszę jej chlubę i że chciałaby zatrzymać mnie na stałe. Dała mi też to śmieszne zabezpieczenie, żeby przytrzymywać turkus, bo jest za duży. Chciałabym je nosić, mamó. Czy mogę?

- To bardzo ładne, ale myślę, że jesteś trochę za młoda na takie ozdoby, Amy - powiedziała pani March, spoglądając na pulchną małą rączkę z paseczkiem bladoniebieskich kamieni na wskazującym palcu i oryginalnym zabezpieczeniem w postaci dwóch maleńkich, splecionych ze sobą złotych dłoni.

- Postaram się nie być próżna - powiedziała Amy. - Myślę, że lubię to nie tylko dlatego, że jest ładne, ale że chciałabym nosić to tak, jak ta dziewczynka w opowieści nosiła swoją bransoletkę, żeby jej o czymś przypominała.

- Masz na myśli ciotkę March? - zapytała ze śmiechem matka.

- Nie, żebym pamiętała, by nie być samolubną. - Mówiąc to, Amy wyglądała tak żarliwie i szczerze, że matka przestała się śmiać i posłusznie wysłuchiwała jej małego planu.

- Dużo ostatnio myślałam o moim «bagażu niegrzeczności» i samolubstwo jest największą z nich, więc postaram się, jak tylko potrafię, żeby się wyleczyć. Beth nie jest samolubna i dlatego wszyscy ją kochają i tak się martwili na myśl, że mogliby ją utracić. Nie martwiliby się nawet w połowie tak bardzo, gdybym to ja była chora i na nic więcej doprawdy nie zasługuję! Chciałabym jednak, żeby mnie kochało i tęskniło za mną bardzo wielu przyjaciół więc postaram się z całych sił być taka jak Beth. Mam skłonność do zapominania o moich przyrzeczeniach, ale jeśli zawsze będę miała przy sobie coś, co mi będzie o nich przypominało, to myślę, że będzie mi łatwiej. Czy mogę spróbować, mamó?

- Tak, chociaż ja bardziej wierzę w kącik w wielkiej garderobie. Noś swój pierścionek, kochanie, i staraj się jak możesz. Myślę, że ci się uda, bo szczerze pragnienie, by być lepszą, to już połowa sukcesu. Teraz muszę wracać do Beth. Bądź dzielna, córeczko, a wkrótce znów będziesz z nami w domu.

Tego wieczora, kiedy Meg pisała do ojca, by donieść mu o bezpiecznym przybyciu podróżniczki, Jo wśliznęła się na górę do pokoju Beth i znalazłszy matkę na zwykłym miejscu, stała przez chwilę nawijając włosy na palce i wyglądając na zaniepokojoną i niezdecydowaną.

- Co się stało, kochanie? - zapytała pani March, wyciągając dłoń z miną zachęcającą do zwierzeń.

- Chciałam ci coś powiedzieć, mamó.

- O Meg?

- Jak szybko odgadłaś! Tak, o niej, i chociaż to drobiazg, ale bardzo mnie to męczy.

- Beth śpi. Mów po cichu i opowiedz mi o wszystkim. Mam nadzieję, że ten Moffat tu nie przychodził? - zapytała pani March dość ostro.

- Nie, zatrzasnęłabym mu drzwi przed nosem, gdyby przyszedł - powiedziała Jo, sadowiając się na podłodze u stóp matki. - Zeszłego lata Meg zostawiła u Laurenców parę rękawiczek i tylko jedna z nich została zwrócona. Zapomnieliśmy o tym zupełnie i dopiero Teddy powiedział mi, że to pan Brooke ją zatrzymał. Nosił ją w kieszeni kamizelki i kiedyś mu wypadła i Teddy zaczął z niego żartować, a pan Brooke przyznał że lubi Meg, ale nie śmie jej o tym powiedzieć, bo ona jest taka młoda, a on taki biedny. No i czy to nie jest coś okropnego?

- Czy myślisz, że Meg też go lubi? - zapytała pani March, spoglądając z niepokojem.

- Litości! Nie mam pojęcia o miłości i podobnych bzdurach! - zawołała Jo, z zabawną mieszaniną ciekawości i pogardy. - W powieściach dziewczęta zazwyczaj okazują to drząc i rumieniąc się, mdlejąc, chudnąc i zachowując jak szalone. Meg nic podobnego nie wyprawia. Je, pije i śpi jak rozsądne stworzenie, patrzy mi prosto w twarz, kiedy o nim wspominam, a rumieni się tylko trochę, kiedy Teddy opowiada żarty o zakochanych. Zabraniam mu to robić, ale nie jest mi posłuszny tak jak powinien.

- Sądziś więc, że Meg nie jest zainteresowana Johnem?

- Kim? - zawołała Jo wytrzeszczając oczy.

- Panem Brookiem. Nazywam go teraz John. Zaczęliśmy to robić w szpitalu i on to bardzo polubił.

- No tak! Wiedziałaś, że weźmiesz jego stronę. Był dobry dla ojca, więc go nie odeślesz, tylko pozwolisz Meg wyjść za niego, jeśli tylko zechce. To obrzydliwe, żeby pojechać opiekować się tatą i pomagać ci tylko po to, żeby przymilaniem się nakłonić cię do polubienia go. I Jo znów zaczęła wyrывać sobie włosy nawijając je gniewnie na palec.

- Kochanie, nie złość się tak, a opowiem ci, jak to się wszystko stało. John pojechał ze mną na polecenie pana Laurenców i był tak pełen oddania dla biednego ojca, że nie było sposobu, byśmy go nie polubili. Był absolutnie otwarty i uczciwy w sprawie Meg, gdyż powiedział nam, że ją kocha, ale chce najpierw zarobić na przyzwoity dom, zanim poprosi ją o rękę. Chciał tylko, byśmy wyrazili swoją zgodę na to, by ją kochał i pracował dla niej i na jego prawo, by, jeśli

zdoła, zdobyć jej miłość. Jest - on doprawdy wspaniałym młodym człowiekiem i nie mogliśmy odmówić wysłuchania go, ale nie zgodzę się, by Meg zaręczyła się w tak młodym wieku.

- Oczywiście, że nie. To by było idiotyczne! Wiedziałałam, że szykuje się jakiś kłopot! Czulałam to, a teraz okazuje się, że jest gorzej niż sobie wyobrażałam. Gdybym tylko mogła sama ożenić się z Meg i zachować ją bezpiecznie w rodzinie.

Pani March uśmiechnęła się na to dziwaczne rozwiązanie, ale powiedziała poważnie: - Jo, zwierzyłam ci się, i proszę, nie mów jeszcze Meg o niczym. Kiedy John wróci i zobaczę ich oboje razem, wtedy będę mogła lepiej ocenić jej uczucia dla niego.

- Ona od razu uzna, że jego oczy są tymi samymi pięknymi oczyma, o których wciąż mówi i już będzie po niej. Meg ma takie miękkie serce, że stopi się jak masło na słońcu, kiedy tylko ktoś popatrzy na nią z uczuciem. Te krótkie sprawozdania, które on przysyłał czytywała częściej niż listy od ciebie, a kiedy jej to wypomniałam, to mnie uszczypnęła, w dodatku lubi brązowe oczy i nie uważa, że John to brzydkie imię i weźmie, i się zakocha, i to będzie koniec naszych miłych czasów spokoju i wspólnych zabaw. Już to wszystko widzę! Będą sobie miłośnie spacerować po domu, a my będziemy musiały schodzić im z drogi; Meg będzie tym cała pochłonięta i już nie będzie dla mnie dobra; Brooke wyskrobie jakoś majątek, wywiezie ją i zrobi dziurę w rodzinie, a mnie pęknie serce i wszystko będzie okropnie nieprzyjemne. Och, ja biedna! Dlaczego nie jesteśmy wszystkie chłopcami, wtedy nie byłoby żadnego kłopotu. Niepocieszona Jo oparła brodę na kolanach i pogroziła pięścią karygodnemu Johnowi. Pani March westchnęła i Jo podniosła na nią wzrok z wyrazem ulgi.

- Tobie też się to nie podoba, mamó? Tak się cieszę. Odeślijmy go, niech się zajmuje własnymi sprawami, nie mówmy Meg ani słowa o całej sprawie i będziemy wszystkie razem szczęśliwe tak, jak zawsze byliśmy.

- Nie powinnaś wzdychać, Jo. To zupełnie naturalne i słuszne byćście wszystkie w swoim czasie odeszły do własnych domów i nie chciałabym zatrzymywać moich dziewcząt przy sobie tak długo jak się da, ale smutno mi, że stało się to tak wcześnie, bo Meg - ma tylko siedemnaście lat i minie jeszcze kilka lat zanim John będzie mógł zapewnić jej dom. Wasz ojciec i ja jesteśmy zgodni co do tego, że w żadnym razie nie powinna się wiązać ani wychodzić za mąż przed ukończeniem dwudziestu lat. Jeśli będą się z Johnem kochali, to mogą poczekać i tym samym sprawdzić swoją miłość. Meg jest szlachetna i nie obawiam się, że mogłaby go potraktować bezwzględnie. Moja śliczna, czuła dziewczynka! Mam nadzieję, że los przyniesie jej szczęście.

- Czy nie wolałabyś raczej, żeby wyszła za mąż za bogatego mężczyznę? - zapytała Jo, kiedy głos matki zadrżał nieco przy wymawianiu ostatnich słów.

- Pieniądze są rzeczą dobrą i pożyteczną, Jo, i mam nadzieję, że moje dziewczynki nigdy nie odczują zbyt gorzko ich braku, ale też i nie pozwolą, by stały się one zbytnią pokusą. Chciałabym mieć pewność, że John jest zabezpieczony w swoich interesach, które dostarczają mu dostatecznych dochodów, by nie mieć długów i zapewnić Meg wygodne życie. Nie mam ambicji, by moje dziewczęta miały wielkie majątki, modne towarzyskie pozycje czy wspaniałe nazwiska. Jeśli pozycja i majątek idą w parze z miłością i cnotą, to przyjmę je z wdzięcznością i będę cieszyć się waszym szczęściem, ale wiem z własnego doświadczenia, ile prawdziwego szczęścia można zaznać w zwyczajnym, małym domu, kiedy pracuje się na chleb powszedni, a konieczne wyrzeczenia słodszyimi czynią drobne przyjemności. Z zadowoleniem patrzę na to, że Meg zaczyna skromnie, gdyż, jeśli się nie mylę, zdobędzie ona prawdziwe bogactwo w postaci serca dobrego mężczyzny, co więcej jest warte niż wszelkie majątki.

- Rozumiem, mamo i zupełnie się z tobą zgadzam, ale rozczarowałam się co do Meg, bo planowałam, że wyjdzie kiedyś za mąż za Teddy i będzie opływać w luksusy do końca swoich dni. Czy to nie byłoby miło? - zapytała Jo, spoglądając w górę z weselszą twarzą.

- Wiesz, że on jest młodszy od niej... - zaczęła pani March, ale Jo przerwała jej:

- Tylko trochę. Jest całkiem stary jak na swój wiek i wysoki, i może się zachowywać zupełnie jak dorosły, jeśli tylko chce. A poza tym jest bogaty i szczodry, i dobry, i kocha nas wszystkie, więc uważam, że to wielka szkoda, że nic nie wyszło z mojego planu.

- Obawiam się, że Laurie jest doprawdy za mało dorosły dla Meg i w ogóle zbyt niepoważny, by już teraz ktoś mógł na nim polegać. Nie rób planów, Jo, tylko pozwól, by twoich przyjaciół kojarzył czas i ich własne serca. Nie powinniśmy się mieszać do takich spraw ani nabijać sobie głów «romantycznymi śmieciami», jak ty to nazywasz, bo może to zniszczyć nasze przyjaźnie.

- Dobrze, nie będę, ale nie znoszę, kiedy coś idzie na opak i płacze się, podczas gdy jedno pociągnięcie tu czy ciachnięcie ówdzie i wszystko by się wyrównało. Gdyby tak noszenie na głowach żelazek mogło nas powstrzymać od rośnięcia. Ale pąki muszą rozwinąć się w róże, kocięta będą kotami - jaka szkoda!

- Co to za żelazka i kocięta? - zapytała Meg, wsuwając się do pokoju z napisanym listem w ręce.

- To tylko jedno z moich głupich przemówień. Idę do łóżka. Chodź Meggy - powiedziała Jo, rozprostowując się niczym ożywiona układanka.

- Bardzo dobrze i pięknie napisane. Dodaj, proszę, że przesyłam pozdrowienia dla Johna - powiedziała pani March oddając list po przejrzeniu go.

- Nazywasz go Johnem? - zapytała Meg z uśmiechem, a jej niewinne oczy spoglądały na matkę.

- Tak. Był dla nas jak syn i bardzo go lubimy - powiedziała pani March, odpowiadając jej uważnym spojrzeniem.

- Bardzo się cieszę, bo on jest taki samotny. Do widzenia mamó, kochanie. Niewypowiedzianie dobrze jest mieć tu ciebie z powrotem - brzmiała odpowiedź Meg.

Pocałunek, którym pożegnała ją matka, był bardzo czuły, a kiedy wyszła, pani March powiedziała do siebie z mieszaniną satysfakcji i żalu w głosie:

- Jeszcze nie kocha Johna, ale wkrótce się tego nauczy.

ROZDZIAŁ 21

Laurie psoci, a Jo godzi. Warto było zobaczyć twarz Jo następnego dnia, gdyż sekret nieco jej ciążył i przybrała mimo woli tajemniczy i ważny wygląd. Meg zauważyła to, ale nie kłopotowała się wypytywaniem, bo wiedziała, że najlepszym sposobem na Jo było prawo przeciwności i pewna była, że wszystkiego się dowie, jeśli o nic nie będzie pytała. Była więc raczej zdziwiona, gdy milczenie nie zostało przerwane, a Jo przybrała protekcyjną pozę, która zdecydowanie irtowała Meg, toteż ona z kolei poczęła zachowywać się z dystygowaną rezerwą i zajęła się matką. Pozostawiło to Jo własnej pomysłowości, gdyż pani March zastąpiła ją jako pielęgniarka i przykazała jej odpoczywać, ćwiczyć i bawić się po długim zamknięciu. Ponieważ Amy nie było, jedynym wybawieniem był Laurie, ale mimo że lubiła jego towarzystwo, teraz raczej się go obawiała, gdyż był on niepoprawnie dokuczliwy i bała się, że wydobędzie z niej tajemnicę.

Miała całkowitą rację, gdyż psotny chłopak, ledwie tylko wyczuł sekret, od razu postanowił go wykryć i wystawiał Jo na nie lada próby. Przymilał się, przekupywał, ośmieszał, groził i przezywał; udawał obojętność w nadziei, że zaskoczy ją na wyjawieniu prawdy; oświadczał że i tak wie albo że go to nie obchodzi, aż w końcu, dzięki swej wytrwałości, dowiedział się, że chodziło o Meg i pana Brooka. Poczwszy się dotknięty tym, że nauczyciel nie dopuścił go do tajemnicy, począł wysilać umysł nad tym, jakby tu wymyślić należyłą zemstę za doznane lekceważenie.

Zdawało się tymczasem, że Meg zapomniała o całej sprawie i pochłonięta była przygotowaniami do powrotu ojca, gdy nagle zaszła w niej niespodziewana zmiana i przez parę dni była zupełnie niepodobna do siebie. Drżała, gdy do niej mówiono, rumieniła się, gdy na nią patrzono, była bardzo cicha i siedziała nad swoim szyciem z nieśmiałym i zatroskanym wyrazem twarzy. Na pytania matki odpowiadała, że czuje się zupełnie dobrze, a Jo uciszyła błagając, by pozostawiła ją w spokoju.

- Ona to czuje w powietrzu - to znaczy, tę miłość - i zmierza do niej bardzo szybko. Ma już większość objawów - jest rozdrażniona i zła, nie je, leży nie śpiąc i snuje się po kątach. Przyłapałam ją jak śpiewała tę piosenkę, którą od niego dostała, a raz powiedziała o nim John, tak jak ty i zrobiła się czerwona jak mak. Co teraz zrobimy? - powiedziała Jo, gotowa do podjęcia wszelkich środków, choćby najbardziej gwałtownych.

- Nic, będziemy czekać. Zostaw ją w spokoju, bądź miła i cierpliwa, a przyjazd ojca wszystko wyjaśni - odpowiedziała jej matka.

- Tu jest list dla ciebie, Meg, cały zapieczętowany. Jakie to dziwne! Teddy nigdy nie zakleja moich listów - powiedziała Jo następnego dnia, kiedy rozdawała zawartość małej skrzynki pocztowej.

Pani March i Jo pogrążone były głęboko we własnych sprawach, kiedy Meg wydała dźwięk, który sprawił że podniosły głowy i ujrzały jak wpatruje się ona w list z przerażoną twarzą.

- Co się stało, moje dziecko? - zawołała matka podbiegając do niej, podczas gdy Jo starała się pochwycić kartkę, która była przyczyną zamieszania.

- To nieporozumienie - on tego nie wysłał. Och, Jo, jak mogłaś to zrobić? I Meg ukryła twarz w dłoniach, płacząc tak, jakby jej serce było całkowicie złamane.

- Ja! Ja niczego nie zrobiłam! O czym ona mówi? - zawołała Jo osłupiała.

Łagodne oczy Meg płonęły gniewem, gdy wyciągnęła z kieszeni zmięty list i rzuciła nim w Jo, mówiąc z wyrzutem:

- Ty to napisałaś, a ten zły chłopak ci pomógł. Jak mogłaś być tak grubiańska, tak wstrętna, tak okrutna dla nas obojga?

Jo ledwie ją słyszała, bo obie z matką czytały list, który napisany był dziwnym pismem.

„Moja Najdroższa Margaret:

Nie mogę już dłużej powstrzymać mej namiętności i muszę znać mój los, zanim powrócę. Nie odważyłem się jeszcze powiedzieć tego twoim rodzicom, ale myślę, że wyrażą zgodę, jeśli dowiedzą się, jak bardzo się uwielbiamy. Pan Laurence pomoże mi znaleźć jakąś dobrą posadę, a wówczas, moje słodkie dziewczę, ty dasz mi szczęście. Zaklinam cię, nie mów jeszcze o niczym swojej rodzinie, tylko prześlij przez Laurie słowo nadziei Twemu oddanemu Johnowi”.

- Och, to mały drań! To tak zamierzał mi się odpłacić za to, że dotrzymałam danego mamie słowa. Zaraz go porządnie zwymyślłam i przyprowadzę tu, by błagał o przebaczenie - zawołała Jo, płonąć żądzą natychmiastowego wymierzenia sprawiedliwości. Ale matka powstrzymała ją, mówiąc z wyrazem, który bardzo rzadko przybierała:

- Poczekaj Jo, najpierw musisz siebie oczyścić z podejrzeń. Płatałaś tyle żartów, że obawiam się, że i w tym maczałaś palce.

- Daję słowo, mamó, że nie! Nigdy przedtem nie widziałam tego listu i nic o nim nie

wiedziałam, przysięgam na moje życie! - powiedziała Jo tak gorąco, że uwierzyły jej. - Gdybym ja w tym brała udział, to zrobiłabym to znacznie lepiej i napisała sensowny list. Wiedziałabym, że nie uwierzycie, że pan Brooke mógł napisać coś takiego - dodała, pogardliwie odrzucając papier.

- Charakter pisma jest podobny do jego - niepewnie powiedziała Meg, porównując list z innym, trzymanym w ręku.

- Och, Meg, nie odpowiedziałaś chyba? - zawołała szybko pani March.

- Owszem, odpowiedziałam! I Meg znów ukryła twarz, owładnięta wstydem.

- A to ci kabała! Pozwólcie mi wreszcie przyprowadzić tego niegodziwego chłopaka, żeby wszystko wyjaśnił i dostał nauczkę. Nie uspokoję się, póki nie dostanę go w swoje ręce. I Jo ponownie ruszyła ku drzwiom.

- Cicho! Pozwól, że ja się tym zajmę, bo wygląda to gorzej niż myślałam. Margaret, opowiedz mi całą historię - zarządziła pani March, siadając obok Meg, a jednocześnie przytrzymując Jo, żeby tymczasem nie wyfrunęła.

- Pierwszy list dostałam od Laurie, który nie wyglądał jakby cokolwiek wiedział - powiedziała Meg nie podnosząc wzroku. - Początkowo byłam zmartwiona i chciałam ci wszystko opowiedzieć, ale potem przypomniałam sobie, jak lubisz pana Brooka, więc pomyślałam, że nie będziesz się gniewała, jeśli zatrzymam to przez kilka dni jako swój mały sekret. Jestem taka głupia, że zdawało mi się, że nikt o niczym nie wie i kiedy zastanawiałam się co odpowiedzieć, czułam się jak dziewczęta z powieści, które robią podobne rzeczy. Wybacz mi, mamo, zapłaciłam teraz za swoją głupotę. Już nigdy nie będę śmiała spojrzeć mu w twarz.

- Co mu odpowiedziałaś? - zapytała pani March.

- Napisałam tylko, że jestem jeszcze za młoda - żeby cokolwiek przedsięwziąć, że nie chcę mieć przed tobą tajemnic i że musi porozmawiać z ojcem. Powiedziałam, że jestem mu wdzięczna za jego życzliwość i pozostanę jego przyjaciółką, ale niczym więcej jeszcze przez długi czas.

Pani March uśmiechnęła się z zadowoleniem, a Jo klasnęła w dłonie, wykrzykując ze śmiechem:

- Dorównujesz niemal Caroline Percy, która była wzorem ostrożności! Opowiadaj, Meg. Co on na to odpowiedział?

- Odpisał teraz w zupełnie innym duchu, mówiąc mi, że nigdy nie wysyłał żadnego

miłosnego listu i bardzo mu przykro, że moja psotna siostra Jo pozwala sobie wobec nas na takie żarty. To bardzo miła i pełna szacunku odpowiedź, ale pomyśl, jakie to dla mnie okropne!

Meg przywarła do matki, wyglądając jak wcielenie rozpacz, a Jo miotła się po pokoju obrzucając Laurie wyzwiskami. Nagle zatrzymała się, pochwyciła oba listy i przyjrzawszy się im uważnie, powiedziała zdecydowanym tonem: - Nie wierzę, żeby Brooke kiedykolwiek widział któryś z tych listów. Teddy napisał je oba, a twoje trzyma, żeby nade mną zatriumfować, bo nie chciałam mu wyjawić mojego sekretu.

- Nie miej sekretów, Jo. Powiedz o wszystkim mamie i trzymaj się z dala od kłopotów, tak jak ja powinnam była zrobić - powiedziała Meg tonem ostrzeżenia.

- Dziękuję, dziecino! To mama powierzyła mi ten sekret.

- To wystarczy, Jo. Ja pocieszę Meg, a ty tymczasem przyprowadź Laurie. Zbadam całą sprawę od początku do końca i położę raz na zawsze kres takim psotom.

Jo wybiegła, a pani March delikatnie opowiedziała Meg o prawdziwych uczuciach pana Brooka. - A teraz, kochanie, powiedz mi, jakie są twoje uczucia. Czy kochasz go wystarczająco, by poczekać aż będzie ci mógł zapewnić dom, czy wolisz pozostać na razie wolna?

- Tak się przestraszyłam i zmartwiłam, że nie chcę mieć nic wspólnego z żadnymi narzeczonymi przez dłuższy czas - być może nigdy - odpowiedziała przygnębiona Meg. Jeśli John nic nie wie o tej bzdurnej historii, to nie mów mu, proszę, i przykaż Jo i Laurie, żeby powściągnęły swoje języki. Nie mam ochoty żeby mnie oszukiwano, dręczono i wystawiano na pośmiewisko - to wstyd!

Widząc, że łagodna zazwyczaj Meg była w/zburzona, a jej duma zraniona tym złośliwym żartem, pani March uspokoiła ją obiecując absolutną tajemnicę teraz i wszelką dyskrecję w przyszłości. W chwili, gdy kroki Laurie rozległy się w korytarzu, Meg uciekła do gabinetu i pani March sama przyjęła winowajcę. Jo, obawiając się, że mógłby nie przyjść, nie powiedziała mu, po co był wzywany, ale on domyślił się natychmiast, gdy tylko ujrzał twarz pani March i stał, miętosząc swój kapelusz, ze skruszoną miną, która od razu dowodziła jego winy. Jo została odesłana z pokoju, ale postanowiła maszerować tam i z powrotem po korytarzu niczym wartownik, albowiem żywiła obawę, że więzień może próbować ucieczki. Głosy dobiegające z bawialni wznosiły się i opadały przez pół godziny, ale dziewczęta nigdy nie dowiedziały się co działo się podczas tego przesłuchania.

Kiedy zostały wezwane z powrotem, Laurie stał obok ich matki z tak pokutniczą twarzą,

że Jo z miejsca mu wybaczyła, choć nie uważała za stosowne, by się z tym zdradzać. Meg przyjęła jego uniżone przeprosiny i znacznie ją pocieszyło zapewnienie, że pan Brooke nie miał o żarcie pojęcia.

- Nigdy mu o tym nie powiem, do dnia mojej śmierci - nie wyrwą tego ze mnie dzikimi końmi, więc przebac mi, Meg, a ja zrobię wszystko, by ci udowodnić, jak ogromnie mi przykro - dodał Laurie, wyglądając na bardzo zawstydzonego.

- Spróbuję, ale nie było to zachowanie, które przystoi dżentelmenowi. Nie przypuszczałam, że możesz być tak podstępny i złośliwy, Laurie - odparła Meg, starając się ukryć swoje dziewczęce zawstydzenie pod maską surowej reprimendy.

- To było po prostu wstrętne i wiem, że zasługuję na to, żebyś się do mnie przez miesiąc nie odzywała, ale ty przecież taka nie będziesz, prawda, Meg? I Laurie złożył ręce w błagalnym geście, mówiąc tak nieodparcie przekonującym tonem, że absolutnie niemożliwe było, aby gniewać się na niego pomimo jego skandalicznego zachowania. Meg wybaczyła mu, a surowa twarz pani March mimo jej starań, by zachować powagę, rozpogodziła się, kiedy usłyszała jego deklaracje, jak to odkupi swe winy odprawiając wszelkie pokuty i uniży się niczym robak przed skrzywdzoną panną.

Jo stała przez ten czas na uboczu, starając się, by jej serce nie zmiękło dla niego, lecz osiągnęła tylko tyle, że twarz jej zastygła w wyrazie całkowitej dezaprobaty. Laurie spojrzał na nią parę razy, lecz widząc, że nie okazywała znaku przebaczenia, poczuł się urażony i odwrócił się do niej tyłem, dopóki nie skończył rozmawiać z innymi, po czym wykonał przed nią głęboki ukłon i odszedł bez słowa.

Gdy tylko wyszedł pożałowała, że nie była bardziej wyrozumiała, a kiedy Meg i matka poszły na górę, poczuła się samotna i zatęskniła za Teddym. Przez jakiś czas powstrzymywała się, aż wreszcie uległa impulsowi i uzbrojona, w książkę do oddania poszła do wielkiego domu.

- Czy jest pan Laurence? - zapytała Jo pokojówkę, która schodziła na dół.

- Tak, panienko, ale nie sądzę żeby można było go teraz odwiedzać.

- Dlaczego? Czy źle się czuje?

- Ach, nie, panienko, ale miał awanturę z panem Laurie, który z jakiegoś powodu jest w jednym ze swoich złych humorów i to rozzłościło starszego pana tak, że strach do niego podejść.

- Gdzie jest Laurie?

- Zamknięty w swoim pokoju i nie odpowiada, chociaż pukałam. Nie wiem, co będzie; z

kolacją, bo wszystko już przygotowane, a tu nie ma komu jeść.

Jo poszła na górę i mocno zapukała do drzwi małego gabinetu Laurie.

- Przestań albo otworzę i dam ci nauczkę! - zawołał młody dżentelmen groźnym głosem.

Jo natychmiast zapukała ponownie, drzwi otworzyły się i wskoczyła do środka, zanim Laurie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. Widząc, że rzeczywiście był nie w humorze, Jo, która wiedziała jak z nim postępować, przybrała skruszony wyraz twarzy i padając majestatycznie na kolana, powiedziała miękko:

- Wybacz, proszę, że byłam tak niedobra. Przyszłam, żeby się pogodzić i nie wyjdę dopóki tego nie osiągnę.

- W porządku. Wstań i nie bądź gęsią, Jo - brzmiała rycerska odpowiedź.

- Dziękuję, skorzystam. Czy wolno spytać o co chodzi? Nie wydajesz się być w najlepszym humorze.

- Potrząśnięto mną, a tego nie będę tolerował - burknął obrażony Laurie.

- Kto to zrobił? - zapytała Jo.

- Dziadek. Gdyby to był ktokolwiek inny, to bym... I urażony młodzian zakończył zdanie energicznym gestem prawego ramienia.

- To nic takiego. Ja często tobą potrząsam i nie przejmujesz się - powiedziała Jo uspokajająco.

- Też coś! Ty jesteś dziewczyną i to zabawa, ale żadnemu mężczyźnie nie pozwolę żeby mnie tarosił.

- Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek miał zamiar próbować, gdybyś wyglądał niczym chmura gradowa, tak jak teraz. Dlaczego cię tak potraktowano?

- Tylko dlatego, że nie chciałem powiedzieć, po co wzywała mnie twoja matka. Przyrzekłem, że nikomu nie powiem i oczywiście nie miałem zamiaru złamać danego słowa.

- Czy nie mogłeś znaleźć innego sposobu, żeby zadowolić dziadka?

- Nie, domagał się prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Opowiedziałbym o moim udziale w całej sprawie, gdybym mógł nie wspominać o Meg. A ponieważ nie mogłem, toteż powściągnąłem język i znosiłem jego reprimendy dopóki nie złapał mnie za kołnierz. Wtedy rozgniewałem się i wybiegłem z pokoju z obawy, że mógłbym się zapomnieć.

- To rzeczywiście nie było miłe, ale wiem, że jest mu teraz przykro, więc zejdź na dół i pogóźdzcie się. Dobrze ci to zrobi.

- Niech mnie powiesz, jeśli to zrobię! Nie zniosę żeby wszyscy prawili mi kazania i okładali pięściami z powodu drobnego żartu. Było mi naprawdę przykro z powodu Meg i poprosiłem o przebaczenie jak mężczyzna, ale nie zrobię tego teraz, kiedy niczemu nie jestem winny.

- On o tym nie wiedział.

- Powinien mieć do mnie zaufanie, a nie traktować mnie jak - dziecko. To nie ma sensu, Jo. Musi zrozumieć, że potrafię sam się o siebie troszczyć i nie muszę się trzymać niczyjego fartucha.

- Aleś ty w gorącej wodzie kąpany! - westchnęła Jo. - Jak masz zamiar załatwić tę sprawę?

- No cóż, powinien mnie poprosić o wybaczenie i wierzyć mi kiedy mówię, że nie mogę powiedzieć, o co chodziło.

- Gratulacje, on tego nie robi.

- Nie zejść na dół dopóki mnie nie przeprosi.

- Och, Teddy, bądź rozsądny, daj spokój, a ja wytłumaczę, ile tylko mogę. Nie możesz tu przecież zostać, więc co za sens być melodramatycznym?

- I tak nie mam zamiaru długo tu zostawać. Wymknę się i pojedę dokądś, a kiedy dziadek za mną zatęskni, to zaraz się pojawi.

- Przypuszczam, że tak, ale nie powinieneś odjeżdżać i martwić go.

- Nie praw mi kazań. Pojadę do Waszyngtonu odwiedzić Brooka. Tam jest wesoło i zabawię się po wszystkich kłopotach.

- Ach, jaka by to była świetna zabawa! Szkoda, że ja nie mogę tak uciec - powiedziała Jo, zapominając, na żywe wyobrażenie wojskowego życia w stolicy, o swojej roli mentora.

- Jedźmy więc! Dlaczego nie? Ty zrobisz niespodziankę ojcu, a ja zaskoczę starego Brooka. To by dopiero był pyszny żart. Zróbmy to, Jo. Zostawmy list, że jesteśmy cali i zdrowi, i zaraz ruszajmy. Mam dość pieniędzy. Dobrze ci to zrobi i nie będzie w tym nic złego, bo pojedziesz do ojca.

Przez chwilę wydawało się, że Jo się zgodzi, bo mimo iż plan był szaleńczy, ale jej się podobał. Była zmęczona troską i zamknięciem, tęskniła za odmianą, a myśli o ojcu mieszały się nęcąco z nieznanymi urokami obozów i szpitali, swobody i zabawy. Jej oczy zapłonęły zwracając się tęsknie ku oknu, ale spojrzenie ich padło na stary dom naprzeciwko i pokręciła głową z

żalem, lecz zdecydowanie.

- Gdybym była chłopcem, moglibyśmy uciec razem i świetnie się bawić, ale ponieważ jestem tylko marną dziewczyną, muszę się zachowywać właściwie i zostać w domu. Nie kuś mnie Teddy, to szalony plan.

- W tym cała zabawa - zaczął Laurie, który był w upartym nastroju i postanowił znaleźć jakiś sposób, by wyrwać się z więzów.

- Powściągnij język! - wołała Jo, zakrywając uszy. - Wiesz że, «małdrzyk i buzia w ciup» to moje przekleństwo i możesz mnie jeszcze namówić. Przyszłam tu, by uczyć moralności, a nie słuchać o rzeczach, które mnie od niej odwodzą.

- Rozumiem, że Meg wylałaby na mnie kubel zimnej wody, ale myślałem, że ty masz więcej ducha - zaczął Laurie podstępnie.

- Cicho bądź, zły duchu! Siadaj i myśl o swoich grzechach zamiast nakłaniać mnie do mnożenia moich. Czy jeśli nakłonię twojego dziadka do przeprosin, to porzucisz pomysł ucieczki? - zapytała Jo poważnie.

- Owszem, ale nigdy ci się to nie uda - odpowiedział Laurie, który miał ochotę się pogodzić, ale czuł że najpierw ukojona musi być jego urażona godność.

- Jeśli daję sobie radę z młodszym, poradzę sobie i ze starszym - mruczała Jo odchodząc i pozostawiając Laurie, który z głową podpartą na rękę pogrążył się w studiowaniu mapy połączeń kolejowych.

- Proszę wejść! - Szorstki głos pana Laurence brzmiał jeszcze bardziej szorstko niż zazwyczaj, kiedy Jo zapukała do jego drzwi.

- To tylko ja, proszę pana, przyszłam oddać książkę - powiedziała słodko, wchodząc do pokoju.

- Czy chcesz jakąś inną? - zapytał starszy pan, wyglądając ponuro i gniewnie, ale starając się nie pokazywać tego po sobie.

- Tak, proszę. Tak polubiłam starego Sama, myślę, że spróbuję drugi tom - odparła Jo, mając nadzieję udobruchania go ochotą na przeczytanie drugiej porcji *Johnsona* Boswella, gdyż to pan Laurence polecił jej tę żywą lekturę.

Krzaczaste brwi wygładziły się nieco, kiedy potoczył schodki do półki, na której umieszczona była Johnsoniada.

Jo podskoczyła i usiadła na górnym schodku, udając, że szuka swojej książki, ale w

rzeczywistości zastanawiając się, jak poruszyć niebezpieczny cel swojej wizyty. Pan Laurence zdawał się domyślać, że coś kotłuje się w jej głowie, gdyż okrążywszy kilkakrotnie pokój szybkim krokiem, stanął tuż przed nią i przemówił tak gwałtownie, że *Rasselas* spadł prosto na podłogę.

- Co ten chłopak nawyprawiał? Nie staraj się go bronić. Domyśliłem się, że coś przeszkrobał po tym jak wyglądał, kiedy wrócił do domu. Nie mogłem wydobyć z niego ani słowa, a kiedy zagroziłem, że wytrząsnę z niego prawdę, pobiegł na górę i zamknął się w swoim pokoju.

- Zrobił rzeczywiście coś złego, ale myśmy już mu wybaczyły i wszyscy przyrzekliśmy, że nikomu o tym nie powiemy - zaczęła Jo z oporem.

- To nie wystarczy. Nie powinien ukrywać się za przyrzeczeniem dziewcząt o sercach miękkich jak wasze. Jeśli zrobił coś złego, powinien to wyznać, błagać o przebaczenie i zostać ukarany. Dalej, Jo, opowiedz mi o wszystkim, nie chcę być utrzymywany w niewiedzy.

Pan Laurence wyglądał tak groźnie i przemawiał tak ostro, że Jo najchętniej uciekłaby, gdyby tylko mogła, ale że siedziała wysoko na schodkach, a on stał w dole, niczym lew na jej drodze, toteż musiała pozostać i radzić sobie jakoś.

- Naprawdę, proszę pana, nie mogę niczego wyjawić. Mama zabroniła. Laurie wypowiadał się, poprosił o przebaczenie i został już należycie ukarany. Milczymy nie po to, żeby osłaniać Laurie, tylko kogoś innego i pańska interwencja spowoduje dodatkowy kłopot. Proszę nie nalegać. To była częściowo moja wina, ale teraz wszystko już jest w porządku, więc zapomnijmy o tym i porozmawiajmy o *Wędrowcu* albo na jakiś inny przyjemny temat.

- Do diabła z *Wędrowcem!* Zejdź tu i daj mi słowo honoru, że ten mój lekkomyślny chłopak nie zbroił żadnej niewdzięczności ani impertynencji. Jeśli jednak uczynił to, doznawszy od was tyle dobroci, to zmiażdżę go własnymi dłońmi.

Groźba ta zabrzmiała straszliwie, ale nie przstraszyła ona Jo, która wiedziała, że wybuchowy starszy pan nie podniósłby nigdy palca na swego wnuka, niezależnie od składanych zapewnień o wprost przeciwnej treści. Zeszła posłusznie i spróbowała przedstawić żart bagatelizując go jak tylko mogła, starając się jednocześnie nie zdradzić Meg i nie mijać z prawdą.

- Hm - ha - no cóż, skoro chłopak milczał dlatego, że obiecał a nie z krnąbrności, wybaczam mu. Jest bardzo uparty i trudny do opanowania - powiedział pan Laurence, przeczesując dłonią włosy, aż zupełnie je zwichrzył, a jego czoło wygładziło się z wyrazem ulgi.

- I ja taka jestem, ale dobre słowo poskromi mnie wtedy, gdy nie zdołałoby tego zrobić całe królewskie wojsko i wszystkie królewskie rumaki - powiedziała Jo, starając się wstawić za przyjacielem, który zdawał się wydostawać z jednych tarapatów tylko po to, by zaraz wpaść w następne.

- Uważasz, że nie jestem dla niego dobry? - padło ostre pytanie.

- Ależ skąd, nie, proszę pana, pan czasami jest nawet zbyt dobry, a potem znowu troszeczkę zbyt porywczy, kiedy on wystawia na próbę pańską cierpliwość. Nie sądzi pan?

Jo była zdecydowana powiedzieć wszystko do końca i starała się wyglądać spokojnie, chociaż drżała nieco po swojej śmiałej wypowiedzi. Ku jej wielkiej uldze i zdumieniu starszy pan rzucił tylko z hałasem okulary na stół i zawołał szczerze:

- Masz rację, dziewczyno, jestem! Kocham tego chłopaka, ale on wystawia moją cierpliwość na próby ponad miarę i nie wiem, czym to się (skończy, jeśli tak dalej będzie. - Powiem panu: on ucieknie. Jo pożałowała tych słów w chwili, kiedy je wypowiadała. Chciała tylko ostrzec go, że Laurie nie wytrzyma dalszych ograniczeń i miała nadzieję, że starszy pan będzie dla chłopaka bardziej wyrozumiały.

Pan Laurence zmienił się gwałtownie na twarzy i usiadł rzucając zaniepokojone spojrzenie na portret przystojnego mężczyzny wiszący nad jego biurkiem. Był to ojciec Laurie, który naprawdę uciekł w młodości i ożenił się wbrew władczej woli starszego pana. Jo domyśliła się, że przypominał sobie teraz z żalem przeszłość i żałowała, że nie powstrzymała języka.

- Nie zrobi tego, chyba że będzie mu bardzo źle i grozi tym tylko czasami, kiedy nie chce mu się uczyć. Ja też miewali na to ochotę, zwłaszcza odkąd obcięłam włosy, więc jeśli się kiedyś zgubimy, to może pan dać ogłoszenie o dwóch chłopcach i szukać nas na statkach płynących do Indii.

Powiedziała to ze śmiechem i pan Laurence wyglądał na uspokojonego, biorąc najwyraźniej całą sprawę za żart.

- Ty zuchwała dziewczyno, jak śmiesz tak do mnie mówić? Gdzie twój szacunek dla mnie i dobre maniery? Do licha z chłopakami i dziewczynami! Same z nimi kłopoty, ale bez nich nie sposób się obejść - powiedział, szczypiąc ją dobrodusznie w policzek. - Idź i przyprowadź go na kolację, powiedz mu, że wszystko w porządku i żeby nie przybierał przed swoim dziadkiem tragicznych póz. Nie zniosę tego.

- On nie przyjdzie, proszę pana. Jest bardzo zły, bo nie uwierzył mu pan, kiedy

powiedział, że nie może wyznać prawdy. I myślę, że to potrząśnięcie bardzo zraniło jego uczucia. Jo starała się wyglądać smutnie, ale widocznie nie udało jej się, bo pan Laurence zaczął się śmiać i wiedziała, że odniosła zwycięstwo.

- Bardzo mi przykro i podejrzewam, że powinienem mu podziękować za to, że on mną nie potrząsnął. Czegóż on, u licha, oczekuje? I starszy pan zdawał się być nieco zażenowany tym, że się zirytował.

- Gdybym była na pańskim miejscu, napisałabym mu, że go przepraszam. Powiedział że nie zejdzie, dopóki nie dostanie przeprosin i opowiada o Waszyngtonie i innych głupstwach. Formalne przeprosiny pokazałyby mu, jaki jest niepoważny i sprowadziły go na dół w bardzo miłym nastroju. Proszę spróbować. On lubi żarty, a to lepszy sposób niż rozmowy. Zaniosę mu list na górę i pouczę go w jego obowiązkach.

Pan Laurence spojrział na nią uważnie i włożył okulary, mówiąc powoli: - Podstępny z ciebie gałgan, ale nie przeszkadza mi, kiedy ty i Beth mną dyrygujecie. No to już, podaj mi kartkę papieru i skończmy z tymi bzdurami.

List napisany był w takiej formie, jakiej użyłby jeden dżentelmen pisząc do drugiego, któremu wyświadczył głęboką zniewagę. Jo złożyła pocałunek na czubku łysej głowy pana Laurence'a i pobiegła, by wsunąć przeprosiny pod drzwi Laurie, doradzając mu przez dziurkę od klucza, żeby był posłuszny, dobrze wychowany i jeszcze parę równie przyjemnych niemożliwości. Sprawdziwszy, że drzwi były znów zamknięte, zostawiła list własnemu działaniu i schodziła spokojnie na dół, gdy młody człowiek, zjechawszy po poręczy, stanął na dole i czekał tam na nią, mówiąc z najszlachetniejszym wyrazem na obliczu: - Ależ z ciebie wspaniały kolega, Jo! Czy dałaś się rozszarpać? - dodał ze śmiechem.

- Nie, tak w ogóle to był całkiem łagodny.

- Ach! Dostało mi się od wszystkich, nawet ty mnie przedtem odepchnęłaś i byłem już gotów iść sobie do diabła - zaczął przepraszającym tonem.

- Nie mów tak. Otwórz nową stronę i zacznij od początku, Teddy, dziecię moje.

- Wciąż otwieram nowe strony i niszczę je, tak jak to robiłem z moimi zeszytami, i tyle razy zaczynam od początku, że nie ma temu końca - powiedział żałośnie.

- Idź zjeść kolację. Od razu lepiej się poczujesz. Mężczyźni zawsze marudzą - kiedy są głodni. Po czym Jo wymknęła się przez frontowe drzwi.

- Oto «karyktura» mojej męskiej «płeci» - odpowiedział Laurie, cytując Amy i

odchodząc, by posłusznie dzielić stawę ze swym dziadkiem, który zachowywał się niczym święty i okazywał mu dogłębny szacunek przez całą resztę dnia.

Wszyscy uważali, że sprawa została zakończona, a mała chmurka odpłynęła, ale psota odniosła swój skutek, gdyż mimo że inni zapomnieli, Meg pamiętała. Nigdy nie wspominała pewnej osoby, ale dużo o nim myślała, śniła więcej snów niż zwykle, a kiedyś, szukając w biurku siostry znaczków, Jo znalazła tam kawałek papieru cały pokryty podpisami „Pani Johnowa Brookowa”, na który to widok jęknęła tragicznie i wrzuciła papier do ognia, czując, że psota Laurie przybliżyła straszliwy dla niej dzień.

ROZDZIAŁ 22

Piękne łąki Spokojne tygodnie, które teraz nadeszły, były jak słońce po burzy. Chorzy szybko zdrowieli i pan March zaczął wspominać o powrocie z początkiem nowego roku. Beth mogła już leżeć przez cały dzień na sofie w gabinecie, zabawiając się z początku swoimi ukochanymi kotami, a z czasem szyciem dla lalek, w którym miała poważne zaległości. Jej niegdyś aktywne nóżki były wciąż tak sztywne i słabe, że Jo nosiła ją na codzienne spacerowanie w swych silnych ramionach. Meg radośnie brudziła i parzyła swoje białe dłonie, gotując delikatne posiłki dla „maleństwa” podczas gdy Amy, wierna niewolnica pierścienia, obchodziła uroczyste swój powrót, oddając siostrąm tyle ze swoich skarbów, do ilu przyjęcia mogła je zmusić.

Z nadchodzącą Gwiazdką dom zaczęły nawiedzać zwykle tajemnice i Jo często wstrząsała rodziną, proponując absolutnie niemożliwe i cudownie absurdalne ceremonie dla uczczenia tych niezwykle wesołych świąt. Laurie był równie niepraktyczny i gdyby mógł o tym decydować, urządziłby ogniska, fajerwerki i łuki triumfalne. Po licznych utarczkach i odprawach, ambitna para została wreszcie skutecznie poskromiona i odeszli z posępными twarzami, którym jednak kłam zadawały wybuchy śmiechu, gdy tylko się spotkali.

Kilka dni wyjątkowo łagodnej pogody godnie poprzedziło wspaniały dzień Bożego Narodzenia. Hanna „czuła w kościach” że będzie to niezwykle piękny dzień i przepowiednie jej okazały się słuszne, gdyż zdawało się, że wszyscy i wszystko zamierzało przyczynić się, by był to wspaniały sukces. Tak więc, po pierwsze, pan March napisał że spodziewa się wkrótce być razem z nimi; ponadto, Beth czuła się tego ranka nadzwyczaj dobrze i - ubrana w podarunek od matki - delikatny wełniany szlafroczek, została triumfalnie zaniesiona do okna, by tam przyjąć dary od Jo i Laurie. Nieposkrąmalni zrobili co mogli, by zasłużyć na swe imię, gdyż, pracując w nocy niczym elfy, przygotowali komiczną niespodziankę. W ogrodzie stała dostojna śniegowa panna, w wieńcu z ostrokrzewiu, z koszykiem pełnym owoców i kwiatów w jednej ręce, a wielkim rulonem nowych nut w drugiej; wspaniała tęcza wełnianego afgańskiego szala oplatała jej chłodne ramiona, a z ust jej, na serpentyńce z różowego papieru, wydobywała się kolęda:

JUNGFRAU DLA BETH Boże błogosław Królowej Bess! Niechaj dziś strachu zniknie cień, A zdrowie i szczęście twoim jest, W Bożego Narodzenia dzień. Oto owoce są dla pszczołki, I kwiaty są dla jej noska, Nuty na jej pianinka półki, Na stopki narzuta boska. Portret Joanny

namalował, Słynny Rafael numer dwa, Który ciężko się napracował By wyglądała jak żywa. Czerwoną wstążkę błagam, weź, Na ogon Madam Mruczelki, I lody produkcji ślicznej Meg - Prawdziwy Mont Blanc w kubelku. Swą miłość twórcy moi skryli W mej śnieżnej piersi, wierz: Z alpejską panną wraz ją przyjmij, Od Laurie i twojej Jo też.

Jakże śmiała się Beth, kiedy to zobaczyła i jak Laurie biegł tam i z powrotem, by zanieść jej prezenty, i cóż za prześmieszne mowy wygłaszała Jo przy ich wręczaniu!

- Jestem tak przepelniona szczęściem, że gdyby jeszcze tata wrócił to chyba nie zmieściłabym już ani kropli więcej - powiedziała Beth, wdychając z zadowolenia, kiedy Jo niosła ją do gabinetu, by odpoczęła po wzruszeniu i pokrzepiła się pysznymi winogronami, które przysłała jej „Jungfrau”.

- I ja także - dodała Jo, klepiąc się po kieszeni, w której spoczywała pożądana od dawna *Undina i Sintram*.

- I ja jestem tego pewna - zawtórowała Amy, zamyślając się nad grawiurą *Madonny z Dzieciątkiem*, którą wraz z piękną ramką podarowała jej matka.

- I ja też, oczywiście! - zawołała Meg, wygładzając srebrzyste fałdy swojej pierwszej jedwabnej sukni, którą przyjęła na usilne nalegania pana Laurencea.

- Jakże mogłoby być inaczej dla mnie? - powiedziała z wdzięcznością pani March, przenosząc wzrok znad listu od męża na uśmiechniętą twarz Beth, a dłonią pieszcząc broszkę wykonaną z siwych, złotych, kasztanowych i ciemnobrązowych włosów, którą dziewczęta przypięły właśnie do jej piersi.

Od czasu do czasu, także i w tym świecie powszednich dni roboczych, zdarza się coś we wspaniałym baśniowym sposobie, i jakież przynosi pocieszenie. W pół godziny po tym, jak wszystkie powiedziały, że tak są szczęśliwe, iż mogłyby zmieścić tylko kroplę szczęścia więcej, kropla ta spadła. Laurie otworzył drzwi bawialni i bardzo ostrożnie wsunął w nie głowę. Równie dobrze mógłby wywinąć koziołka albo wydać bojowy okrzyk indiański, gdyż jego twarz tak była pełna tłumionego podniecenia, a głos tak zdradziecko radosny, że wszyscy aż podskoczyli, mimo że powiedział tylko dziwnym zdyszczonym tonem: „A oto jeszcze jeden prezent gwiazdkowy dla rodziny March”.

Ledwie domówiwszy tych słów, zniknął nagle, a na jego miejscu ukazał się wysoki mężczyzna, opatulony od stóp do głów i wsparty na ramieniu innego wysokiego mężczyzny, który próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Nastąpił oczywiście masowy pęd

do drzwi i przez kilka minut zdawało się, że wszyscy utracili zmysły, gdyż działy się najdziwniejsze rzeczy, a nikt nie odezwał się nawet słowem. Pan March zniknął zupełnie w uścisku czterech par kochających ramion; Jo skompromitowała się mdlejąc nieomal i Laurie musiał ją cucić w pokoiku na naczynia stołowe; pan Brooke pocałował Meg zupełnie przez pomyłkę, jak to niezbyt składnie wyjaśniała dystygowana Amy potknęła się o stółek i nie próbując nawet wstać z podłogi, ścisnęła z płaczem ojcowskie buty w sposób niezwykle wzruszający. Pani March pierwsza się opamiętała i podniosła ostrzegawczo rękę: „Psst! Pamiętajcie o Beth!”

Ale było już za późno. Drzwi gabinetu otwały się na oścież i na progu ukazał się mały czerwony szlafroczek. Radość dodała siły osłabionym nogom i Beth rzuciła się wprost w ramiona ojca. Nieważne, co działo się potem, gdyż radość przepelniała serca, zmywając gorycz przeszłości i pozostawiając tylko obecną słodycz.

Bynajmniej nie romantyczny, lecz zdrowy, serdeczny śmiech przywrócił wszystkich do normy, gdy za drzwiami odkryto Hannę, szlochającą nad tłustym indykiem, którego zapomniała odłożyć, kiedy przybiegła z kuchni. Kiedy śmiech ucichł pani March zaczęła dziękować panu Brooke za wierną opiekę nad mężem, na co pan Brooke przypomniał sobie nagle, że panu Marchowi należy się wypoczynek i zabierając ze sobą Laurie, pośpiesznie odszedł. Obojgu rekonwalescentom przykazano więc, by odpoczęli, co też uczynili, siadając razem w wielkim fotelu i pograżając się w rozmowie.

Pan March opowiadał o tym, jak marzył, by sprawić im niespodziankę i o tym, jak, gdy pogoda się poprawiła, doktor pozwolił mu z niej skorzystać, a także jak oddany był Brooke, który okazał się najbardziej godnym szacunku i prawym młodym człowiekiem. Dlaczego w tym właśnie miejscu pan March przerwał na chwilę i spojrzawszy najpierw na Meg, która gwałtownie grzebała w kominku pogrzebaczem, popatrzył na żonę, unosząc pytająco brwi, to pozostawię waszej wyobraźni; a także to, dlaczego pani March skinęła lekko głową, po czym dość nieoczekiwanie zapytała czy nie chciałby czegoś zjeść. Jo zauważyła i zrozumiała te spojrzenia i kiedy smętnie wychodziła, by przynieść wino i bulion, mruzczała pod nosem zamykając drzwi: - Nienawidzę godnych szacunku młodych ludzi o brązowych oczach!

Nigdy nie było takiej świątecznej kolacji jak tego dnia. Sam tłusty indyk był nie lada widokiem, kiedy Hanna podała go, nadziewanego, zrumienionego i przybranego; budyń po prostu rozpląwał się w ustach, podobnie jak galaretki, którymi Amy objadała się niczym mucha

w garnku z miodem. Wszystko udało się znakomicie, co było aktem łaski, gdyż, jak mówiła Hanna: „Tak straciłam głowa, proszę pani, że to cud, że nie przypaliłam budyń albo nie nadziałam w indyk rodzynki, i wreszcie nie wyrzuciłam to wszystko na obrus”.

Pan Laurence i jego wnuk jedli razem z nimi, a także pan Brooke, na którego Jo rzucała ponure spojrzenia, ku nieskończonej ucieście Laurie. U szczytu stołu stały obok siebie dwa fotele, na których siedzieli Beth i ojciec, uczując skromnie nad kurczakiem i owocami. Wznoszono toasty, opowiadano historie, śpiewano pieśni, snuto wspominki, jak mawiają starzy ludzie, i bawiono się wyśmienicie. Planowano przejażdżkę sańmi, ale że dziewczęta nie chciały opuścić ojca, więc goście odeszli wcześniej, a w zapadającym zmierzchu szczęśliwa rodzina usiadła wokół kominka.

- Dopiero co, rok temu martwiłyśmy się, jak smutne będą nadchodzące święta. Pamiętacie? - zapytała Jo, przerywając krótką ciszę, jaka zapadła po długiej rozmowie na różne tematy.

- Był to w sumie przyjemny rok! - powiedziała Meg, uśmiechając się do ognia i gratulując sobie, że potraktowała pana Brooka z godnością.

- Ja myślę, że był on dość trudny - zauważyła Amy, rzucając zamyślane spojrzenie na odblask światła w swoim pierścionku.

- Cieszę się, że już się skończył bo mamy cię z powrotem - szepnęła Beth, która siedziała na ojcowskich kolanach.

- Wyboistą drogą musieli wędrować moi mali pielgrzymi, zwłaszcza w ostatniej części drogi. Ale dałyście sobie dzielnie radę i myślę, że wasze tobołki już niedługo spadną - powiedział pan March, spoglądając z ojcowskim zadowoleniem na skupione wokół niego cztery twarze.

- Skąd wiesz? Czy mama ci powiedziała? - zapytała Jo.

- Niewiele. Trawa pokazuje skąd wieje wiatr, a ja dokonałem dziś wielu odkryć.

- Och, opowiedz nam jakich! - zawołała Meg, która siedziała obok niego.

- Oto jedno z nich. - I unosząc małą dłoń, która opierała się o ramię jego fotela ukazał na odgnieciony palec wskazujący, oparzenie na wierzchu i dwa czy trzy odciski po stronie wewnętrznej. - Pamiętam czasy, kiedy dłoń ta była biała i delikatna, a twoją główną troską było dbanie, by ją taką utrzymać. Była wtedy ładna, ale dla mnie, teraz jest znacznie ładniejsza - bo z tych pozornych skaz odczytuję małą opowieść. W ofercie poparzenia złożona została próżność i ta stwardniała dłoń zapracowała na coś lepszego niż odciski, a pewny jestem, że wszystko, co

uszyły te pokłute paluszki przetrwa długie lata, tak wiele dobrej woli włożono w każdy ścieg. Meg, kochanie, dla mnie kobieca umiejętność utrzymywania domowego szczęścia warta jest więcej niż białe dłonie i modne walory. Jestem dumny, że mogę uścisnąć tę dobrą, pracowitą rączkę i mam nadzieję, że niezbyt prędko zostanę poproszony, by ją komuś oddać.

Jeśli Meg pragnęła nagrody za godziny cierplivej pracy, to uzyskała ją w serdecznym uścisku dłoni swego ojca i w jego pochwalnym uśmiechu.

- A Jo? Proszę, powiedz jej coś miłego, bo ona się tak bardzo starała i była dla mnie tak bardzo, bardzo dobra - powiedziała Beth ojcu do ucha.

Roześmiał się i spojrzał na wysoką dziewczynkę, która siedziała naprzeciw niego z niezwykle łagodnym wyrazem na smągłej twarzy.

- Pomimo kędzierzawej czupryny nie widzę tu mojego «synka Jo», którego zostawiłem przed rokiem - powiedział pan March. - Widzę młodą damę, która równo zapina swój kołnierzyk, porządnie sznukuje buty i ani nie gwizdże, nie używa gwary, ani nie leży na dywanie, jak to miała we zwyczaju. Jej twarz jest teraz dość blada i wychudzona od czuwania i niepokoju, ale patrzę na nią z przyjemnością, bo stała się łagodniejsza, a głos ma cichszy. Nie podskakuje, tylko porusza się spokojnie i opiekuje się pewną małą osobką w zachwycająco macierzyński sposób. Brak mi trochę mojej dzikiej dziewczynki, ale jeśli w zamian otrzymam silną, pomocną i czułą kobietę, to zupełnie mnie to zadowoli. Nie wiem, czy to postrzyżyny otrzeźwiły naszą czarną owieczkę, ale wiem, że w całym Waszyngtonie nie mogłem znaleźć nic dość pięknego, by wydać na to dwadzieścia pięć dolarów przesłane mi przez moją dobrą dziewczynkę.

Uważne oczy Jo zwilgotniały na chwilę, a jej chuda twarz poróżowiała od ognia, kiedy wysłuchiwała ojcowskich pochwał czując, że przynajmniej w części na nie zasłużyła.

- Teraz Beth - powiedziała Amy marząc o tym, by już nadeszła jej kolej, ale gotowa na nią poczekać.

- Tak niewiele z niej zostało, boję się mówić z obawy, że zupełnie zniknie, chociaż nie jest już tak nieśmiała jak dawniej - zaczął pogodnie ojciec, ale wspominając jak niewiele brakowało, by ją rzeczywiście stracił objął ją mocniej, mówiąc czule z policzkiem przy jej policzku: - Jesteś tu z nami, cała i zdrowa, moja Beth i będę się starał, żeby tak było, z Bożą pomocą.

Po chwili ciszy spojrzał w dół na Amy, która siedziała u jego stóp na małym stołeczku i powiedział głaszcząc jej lśniące włosy:

- Zauważyłem, że Amy wzięła dziś przy kolacji kawałek nóżki z kością, całe popołudnie biegała wykonując polecenia matki, ustąpiła Meg miejsca wieczorem i usługiwała wszystkim cierpliwie i w dobrym humorze. Zauważyłem też, że nie złości się już tyle, nie zerka tak często do lustra i nawet nie wspomniała o bardzo ładnym pierścionku, który nosi, toteż wyciągnąłem wniosek, że nauczyła się myśleć więcej o innych, a mniej o sobie i postanowiła spróbować ulepić swój charakter równie troskliwie jak lepi z gliny swoje małe figurki. Cieszy mnie to, bo chociaż byłbym niezwykle dumny z wyrzeźbionego przez nią wspaniałego pomnika, ale będę nieskończenie bardziej dumny z godnej miłości córki, obdarzonej talentem czynienia życia piękniejszym dla siebie i dla innych.

- O czym myślisz, Beth? - zapytała Jo, kiedy Amy podziękowała ojcu i opowiedziała o pierścionku.

- Przeczytałam dziś w *Postępie Pielgrzymów* o tym, jak po wielu kłopotach Krystian i Ufny przychodzą nad piękną zieloną łąkę, gdzie przez cały rok kwitną lilie i tam szczęśliwie odpoczywają, tak jak my teraz, zanim ruszą do celu swojej podróży - odpowiedziała Beth i dodała, zeskakując z ojcowskich kolan i podchodząc powoli do pianina: - Teraz czas na śpiewanie i chcę zająć moje stare miejsce. Spróbuję zaśpiewać piosenkę pastuszka, którą słyszeli pielgrzymi. Ułożyłam dla ojca melodię, bo tak bardzo lubi ten wiersz.

I siadając przy ukochanym małym pianinie, Beth delikatnie dotknęła klawiszy i słodkim głosem, którego myśleli, że już nigdy nie usłyszą, zaśpiewała niezwykle hymn, który szczególnie do niej pasował:

Kto w dole, upadek mu niestraszny, Kto nisko, dумы się nie lęka; Kto skromny jest, ten będzie miał zawsze W Bogu swojego przewodnika. Zadowolam się tym, co mi dane, Małe czy duże jest me mienie; Panie! nagrody większej nie pragnę, Gdy Ty dasz mi swoje zbawienie. Pełne tobołki są wszak ciężarem, Dla idących w drogę pielgrzymów; Mieć tu niewiele, zaś rozkosz potem, Najlepsze od wielu jest wieków!

ROZDZIAŁ 23

Ciotka March przesądza sprawę Niczym pszczoły rojące się za swoją królową matka i córki krążyły następnego dnia wokół pana Marcha, zaniedbując wszystko inne, byle tylko napatrzeć się, usłużyć czy przysłuchać nowemu rekonwalescentowi, który był na najlepszej drodze do śmierci z nadmiaru opieki. Kiedy tak siedział podparty w wielkim fotelu ustawionym obok sofy Beth, otoczony pozostałymi dziewczynkami i Hanną, która co chwilę wtykała głowę, żeby „rzucić oko na kochanego pana”, zdawało się, że niczego im nie brak do całkowitego szczęścia. Czegoś jednak było brak i starsi odczuwali to, choć nikt się nie przyznawał. Państwo March wymieniali niespokojne spojrzenia, gdy wzrok ich podążał za Meg; Jo miała nagłe ataki powagi oraz widziano, jak wygrażała pięścią parasolowi pan Brooka, zapomnianemu w korytarzu; Meg była roztargniona, nieśmiała i milcząca, zrywała się, gdy zabrzmiał dzwonek i rumieniła się na dźwięk imienia John; Amy stwierdziła, że: - Wszyscy zdają się na coś czekać i nie mogą się uspokoić, co jest bardzo dziwne, bo ojciec wrócił już przecież bezpiecznie do domu, a Beth, niczego nie podejrzewając, zastanawiała się, dlaczego sąsiedzi nie zachodzili z wizytą, tak jak zazwyczaj.

Laurie przechodził obok po południu i ujrawszy Meg w oknie, został nagle opętany jakimś melodramatycznym duchem, gdyż padł w śniegu na kolana, walił się w pierś, wrywał sobie włosy i składał dłonie błagalnie, jakby zebrał o jakąś łaskę, a kiedy Meg powiedziała mu, żeby się zachowywał przyzwoicie i poszedł sobie, wyjął wyimaginowane łzy z chusteczki i zniknął za rogiem słaniając się, niczym pogrążony w absolutnej rozpacz.

- Co ten łobuz znów wymyślił - powiedziała Meg ze śmiechem i starała się wyglądać na niczego nieświadomą.

- Pokazuje ci tylko, co niebawem zrobi twój John. Wzruszające, nieprawdaż? - odpowiedziała pogardliwie Jo.

- Nie mów mój John, bo to nie jest ani właściwe, ani prawdziwe. Ale głos Meg zatrzymał się na tych słowach, tak jakby dźwięk ich sprawiał jej przyjemność. - Proszę, Jo, nie dręcz mnie. Powiedziałam ci, że wcale mi na nim bardzo nie zależy i nic tu nie musi być powiedziane, toteż wszyscy powinniśmy być przyjaciółmi i zachowywać się tak jak dawniej.

- Nie możemy, Meg, bo coś zostało już powiedziane, a żart Laurie odmienił cię w moich

oczach. I ja to widzę, i mama. Nie jesteś już ani trochę taka jak dawniej i wydajesz mi się daleka. Nie mam zamiaru cię dręczyć i zniosę to jak mężczyzna, ale wolałabym, żeby to wszystko było już wyjaśnione. Nienawidzę czekania, więc jeśli w ogóle masz zamiar to zrobić, to pośpiesz się i niech już będzie po wszystkim - powiedziała Jo z rozdrażnieniem.

- Nie mogę niczego powiedzieć ani zrobić dopóki on nie przemówi, a on tego nie zrobi, bo ojciec powiedział że jestem za młoda - zaczęła Meg, pochylając się nad robótką z tajemniczym uśmieszkiem, który sugerował że pod tym względem nie całkiem zgadzała się z ojcem.

- Gdyby nawet przemówił to nie wiedziałabyś co powiedzieć, tylko byś się rozplakała albo zaczerwieniła, albo zgodziła od razu na to co powie, zamiast dać mu porządną, zdecydowaną odprawę.

- Nie jestem ani taka głupia, ani taka słaba, jak myślisz. Dobrze wiem, co bym powiedziała, bo wszystko już obmyślałam, żeby nie dać się zaskoczyć. Nie wiadomo, co się może zdarzyć i muszę być przygotowana.

Jo nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok poważnego wyglądu, który Meg nieświadomie przybrała, i który był równie twarzowy, jak zmieniający się kolor jej policzków.

- Czy możesz mi powiedzieć, co byś mu odpowiedziała? - zapytała Jo z nieco większym szacunkiem.

- Ależ oczywiście. Masz już szesnaście lat i jesteś dostatecznie dorosła, żebym mogła ci się zwierzyć, a moje doświadczenie może ci się przydać, kiedy będziesz miała podobne kłopoty.

- Bynajmniej nie zamierzam mieć podobnych kłopotów. To zabawne obserwować jak inni flirtują, ale czułabym się jak idiotka, gdybym sama miała to robić - powiedziała Jo, zaniepokojona na samą myśl o tym.

- Nie sądzę, żeby tak było, gdybyś bardzo kogoś lubiła i ten ktoś by ciebie lubił. - Meg mówiła niemal do siebie i spoglądała na alejkę, na której często widywała zakochane pary, spacerujące razem o zmierzchu.

- Zdawało się, że miałaś mi wygłosić swoją mowę do tego mężczyzny - powiedziała Jo, szorstko przerywając krótkie rozmarzenie siostry.

- Och, powiedziałabym tylko zupełnie spokojnie i zdecydowanie:

«dziękuję panu, panie Brooke, jest pan bardzo miły, ale zgadzam się z ojcem, że jestem zbyt młoda, aby już dziś podejmować jakieś zobowiązania; tak więc, proszę nic więcej nie

mówić i pozostaniemy przyjaciółmi, tak jak dawniej».

- Hm! To doprawdy sztywne i zimne. Nie przypuszczam, żebyś to kiedykolwiek wygłosiła i wiem, że on nie byłby zadowolony, gdybyś to zrobiła. A gdyby postąpił wówczas tak, jak odtrąceni kochankowie w powieściach, to na pewno raczej byś się zgodziła, niż zraniła jego uczucia.

- Nie. Nie zgodzę się. Powiem mu, że podjęłam decyzję i z godnością wyjdę z pokoju.

Mówiąc to Meg wstała i miała właśnie zademonstrować wychodzenie z godnością, kiedy kroki w korytarzu sprawiły, że pofrunęła z powrotem na swoje miejsce i zaczęła szyc tak gorliwie, jakby życie jej zależało od ukończenia tego właśnie ściegu w jak najszybszym czasie. Na tę nagłą zmianę Jo stłumiła śmiech, a kiedy ktoś ostrożnie zapukał otworzyła drzwi z ponurą miną, która wyrażała wszystko, oprócz gościnności.

- Dobry wieczór. Przyszedłem po mój parasol - to znaczy, dowiedzieć się, jak czuje się dziś ojciec pań - powiedział pan Brooke, który nieco się zmieszał, gdy oko jego powędrowało od jednej wymownej twarzy do drugiej.

- Doskonale, jest na wieszaku. Zaraz go przyniosę i powiem, że pan przyszedł. Wymieszawszy nieco w swojej odpowiedzi ojca z parasolem, Jo wymknęła się z pokoju, by dać Meg szansę na wygłoszenie mowy i zaprezentowanie godności. Ale gdy tylko zniknęła, Meg także zaczęła przesuwac się ku drzwiom, szepcząc:

- Mama chętnie pana zobaczy. Proszę usiąść, zaraz ją zawołam.

- Proszę nie odchodzić! Czy pani się mnie boi, Margaret?

- I pan Brooke wyglądał tak boleśnie, iż Meg pomyślała, że zrobiła widocznie coś bardzo okrutnego. Zarumieniła się aż po loczki nad czołem, gdyż nigdy przedtem nie nazywał jej Margaret i ze zdumieniem odkryła, jak naturalnie i słodko brzmiało to w jego ustach. Starając się wyglądać przyjaźnie i swobodnie, ufnym gestem wysunęła do niego dłoń i powiedziała z wdzięcznością:

- Jak mogłabym lękać się, skoro był pan tak dobry dla ojca. Chciałabym tylko wiedzieć, jak mogę panu za to podziękować.

- Czy mam powiedzieć? - zapytał pan Brooke, trzymając mocno małą rączkę w swoich dłoniach i spoglądając na Meg z taką miłością w brązowych oczach, że serce jej zaczęło trzepotać i pragnęła zarazem uciekać i zostać, by słuchać dalej.

- Och nie, proszę nie - ja nie mogę - powiedziała starając się usunąć dłoń i wyglądając na

przestraszona mimo wszelkich zaprzeczeń.

- Nie będę pani niepokoił. Chciałbym tylko wiedzieć czy zależy pani na mnie choć trochę, Meg. Kocham panią tak bardzo, najdroższa - dodał czule pan Brooke.

Był to właściwy moment na spokojne wygłoszenie stosownej mowy, ale Meg nie uczyniła tego. Zapomniała wszystkie przygotowane słowa, opuściła głowę i odpowiedziała: „Ja nie wiem” tak cicho, że John musiał pochylić się, by usłyszeć tę głupiotką odpowiedź.

Zdawał się uważać, że warta była zachodu, gdyż uśmiechnął się do siebie całkiem zadowolony, ścisnął z wdzięcznością pulchną rączkę i powiedział najbardziej przekonującym tonem: - Czy spróbuje pani zastanowić się? Tak bardzo chciałbym wiedzieć, gdyż nie potrafię z całego serca brać się do pracy, zanim nie dowiem się, czy u jej końca będzie na mnie czekała nagroda.

- Jestem jeszcze za młoda - zawahała się Meg, zastanawiając się dlaczego była tak poruszona, a jednocześnie uważając to za całkiem przyjemne.

- Ja poczekam, a pani tymczasem może nauczy się mnie lubić. Czy będzie to bardzo trudna lekcja, kochanie?

- Nie, jeśli zdecyduję się na naukę, ale...

- Proszę, zdecyduj się na nią, Meg. Wiesz, jak bardzo lubię uczyć, a to łatwiejsze niż niemiecki - przerwał jej John, porywając jej drugą dłoń, tak że nie mogła ukryć twarzy, gdy pochylił się, by na nią spojrzeć.

Ton jego głosu był stosownie błagalny, ale rzucając na niego nieśmiało ukradkowe spojrzenie, Meg zauważyła, że jego oczy były zarazem czułe i wesołe, i że uśmiechał się z zadowoleniem kogoś, kto nie wątpi w swój sukces. Dotknęło ją to do żywego. Głupie lekcje kokieterii, których udzielała jej Annie Moffat przysły jej teraz na myśl, a żądza władzy, która śpi w piersi najlepszej z małych kobietek, przebudziła się nagle i owładnęła nią. Czowała podniecenie i coś dziwnego jeszcze, a nie wiedząc co robić, podążyła za kapryśnym impulsem. Wyrwawszy dłoń, powiedziała z rozdrażnieniem: - Nie zdecyduję się. Proszę odejść i zostawić mnie w spokoju!

Biedny pan Brooke wyglądał tak, jakby jego piękny powietrzny zamek runął mu na głowę, gdyż nigdy przedtem nie widział Meg w takim humorze i dosyć go to zaskoczyło.

- Czy naprawdę tak myślisz? - spytał zaniepokojony, podążając za odchodzącą Meg.

- Owszem, tak. Nie życzę sobie być niepokojona podobnymi sprawami. Ojciec mówi, że

nie powinnam. To za wcześnie i ja nie chcę.

- Czy mogę mieć nadzieję, że z czasem zmienisz zdanie? Będę czekał i nie odezwę się, dopóki nie uznasz, że miałaś dość czasu. Nie baw się mną, Meg. Nie myślałem, że potrafisz tak postępować.

- Proszę o mnie wcale nie myśleć. Wolę, żebyś nie myślał - powiedziała Meg, znajdując złośliwe zadowolenie w wystawianiu na próbę cierpliwości swego wielbiciela i we własnej nad nim władzy.

Był teraz poważny i blady i wyglądał znacznie podobniej do powieściowych bohaterów, których podziwiała, mimo że nie uderzył się w czoło ani nie miotał się po pokoju jak oni. Stał patrząc na nią tak smutnie i czule, że poczuła, jak serce w niej taje wbrew woli. Nie umiem powiedzieć, co mogłoby się dalej wydarzyć, gdyby w tym interesującym momencie do pokoju nie weszła utykając ciotka March.

Stara dama nie mogła opanować pragnienia, by ujrzeć swego bratanka od chwili, gdy spotkawszy Laurie w czasie przejażdżki dowiedziała się o przyjeździe pana Marcha, toteż natychmiast przyjechała z wizytą. Cała rodzina zajęta była w tylnej części domu, weszła więc po cichu, pragnąc ich zaskoczyć. I rzeczywiście zaskoczyła dwoje z nich tak skutecznie, że Meg podskoczyła jakby ujrzała ducha, a pan Brooke zniknął w gabinecie.

- Na Boga! A cóż to znaczy? - zawołała stara dama stukając laską, kiedy wzrok jej przeniósł się z bladego młodzieńca na purpurową pannę.

- To przyjaciel ojca. Jestem taka zaskoczona, że ciotkę tu widzę! - wyjąkała Meg, pewna, że nie ominie jej teraz kazanie.

- To widać - odparła ciotka, siadając. - Ale cóż takiego powiedział ci ten przyjaciel ojca, że poczerwieniałaś jak piwonia? Szykuje się tu jakaś psota i nalegam, byś mi natychmiast powiedziała o co chodzi - i znów stuknęła laską.

- Rozmawialiśmy tylko. Pan Brooke przyszedł po swój parasol - zaczęła Meg, pragnąc, by pan Brooke i parasol opuścili już bezpiecznie dom.

- Brooke? Nauczyciel tego chłopaka? Ach! Teraz rozumiem. Wszystko wiem. Jo włożyła do listu od waszego ojca niewłaściwą kartkę i musiała mi wszystko opowiedzieć. Nie przyjęłaś go chyba, dziecko? - wykrzyknęła ciotka March, wyglądając na zgorzowaną.

- Psst! On może usłyszeć. Czy mam zawołać mamę? - powiedziała Meg poważnie zaniepokojona.

- Jeszcze nie. Mam ci coś do powiedzenia i muszę natychmiast uwolnić od tego mój umysł. Powiedz mi, czy masz zamiar wyjść za tego Cooka? Jeśli tak, nie dostaniesz nigdy ani grosza z moich pieniędzy. Zapamiętaj to sobie i bądź rozsądną dziewczyną - powiedziała z naciskiem stara dama.

Trzeba zaznaczyć, że ciotka March opanowała do perfekcji sztukę wzbudzania ducha sprzeciwu w najłagodniejszych nawet osobach i robiła to z przyjemnością. Najlepsi z nas mają w sobie szczyptę przekory, zwłaszcza kiedy jesteśmy młodszy i zakochani. Gdyby ciotka March błagała Meg, by przyjęła Johna Brooka, ta oświadczyłaby prawdopodobnie, że ani o tym myśli, gdy jednak rozkazano jej apodyktycznie, żeby go nie lubiła, natychmiast zdecydowała, że właśnie będzie. Skłonność ku niemu i przekora sprawiły, że była to łatwa decyzja, a będąc już wcześniej bardzo podnieconą, Meg przeciwstawiła się starej damie z niezwykłą odwagą.

- Wyjdę za mąż za kogo zechcę, proszę ciotki March, a swoje pieniądze może ciotka zostawić, komu jej się żywnie podoba - powiedziała, potrząsając rezolutnie głową.

- Patrzcie państwo! To tak przyjmujesz moje rady, panienko? Pożałujesz tego jeszcze, kiedy spróbujesz miłości w nędznej chacie i odkryjesz, że to niepowodzenie.

- Nie może być gorsza od tej, którą niektórzy znajdują we wspaniałych rezydencjach - odparowała Meg.

Ciotka March włożyła okulary i spojrzała na dziewczynę, gdyż nie poznawała jej w tym nowym nastroju. Meg z trudem poznawała samą siebie, ale czuła się bardzo dzielna i niezależna - zadowolona z tego, że broni Johna i swego prawa, by go kochać, jeśli ma na to ochotę. Ciotka March zauważyła, że zaczęła ze złej strony i po krótkiej przerwie spróbowała od nowa, mówiąc jak tylko potrafiła najłagodniej: - Ależ, Meg, moja droga, bądź rozsądna i skorzystaj z mojej rady. Daję ci ją w dobrej wierze, bo nie chcę, żebyś zmarnowała sobie życie, popełniając błąd zaraz na jego początku. Powinnaś dobrze wyjść za mąż i pomóc rodzinie. Zrobienie dobrej partii jest twoim obowiązkiem i należy ci to uświadomić.

- Ojciec i mama wcale tak nie myślą. Lubią Johna, mimo że jest biedny.

- Twoi rodzice, moja droga, mają tyle życiowego doświadczenia co para niemowląt.

- Ciesz się mną to - zawołała śmiało Meg.

Ciotka March, nie zwróciwszy uwagi na ten komentarz, kontynuowała swoje kazanie. - Ten Rook jest biedny i nie ma żadnych bogatych krewnych, czy tak?

- Tak, ale ma wielu gorących przyjaciół.

- Nie można wyżyć z przyjaciół. Spróbuj, a przekonasz się, jak od razu ochłodną. Nie prowadzi też żadnych interesów, czy tak?

- Jeszcze nie. Pan Laurence mu pomoże.

- To długo nie potrwa. James Laurence to chimeryczny starzec i nie można na nim polegać. Masz więc zamiar poślubić mężczyznę bez pieniędzy, pozycji ani interesów i pracować ciężiej niż teraz, podczas gdy mogłabyś wieść wygodne życie, gdybyś tylko posłuchała mnie i zrobiła lepszą partię? Myślałam, że masz więcej rozsądku, Meg.

- Nie mogłabym zrobić lepszej partii, gdybym czekała choćby pół życia! John jest dobry i mądry, ma ogromne zdolności, pragnie pracować i na pewno sobie poradzi, jest taki energiczny i dzielny. Wszyscy go lubią i szanują, a ja dumna jestem, że mu na mnie zależy, mimo że jestem taka biedna, młoda i głupia - powiedziała Meg, wyglądając w swej żarliwości piękniej niż kiedykolwiek.

- On dobrze wie, że masz bogatych krewnych, moje dziecko. Oto, podejrzewam, sekret jego uczuć.

- Jak ciotka śmie mówić takie rzeczy? John jest ponad taką nikczemność, a ja nie będę tego słuchać ani minuty dłużej - krzyknęła oburzona Meg, zapominając o wszystkim poza tym, jak niesprawiedliwe były podejrzenia starej damy. - Mój John nie ożeniłby się dla pieniędzy ani odrobinę bardziej niż ja. Oboje chętnie będziemy pracować i poczekamy. Nie obawiam się biedy, gdyż byłam szczęśliwa do tej pory i wiem, że będę szczęśliwa z nim, bo on mnie kocha i ja...

Meg przerwała, przypominając sobie nagle, że przecież nie mogła się zdecydować, a nawet powiedziała „swojemu Johnowi”, żeby odszedł i że mógł on teraz usłyszeć jej niezbyt konsekwentne uwagi.

Ciotka March bardzo się rozgniewała, bo nastawiła się w głębi duszy, że jej ładna bratanica zrobi dobrą partię, a ponadto coś w szczęśliwej młodej twarzy sprawiło, że samotna stara kobieta poczuła zarazem smutek i gorycz.

- No cóż, umywam ręce od całej sprawy! Jesteś samowolnym dzieckiem i przez ten szalony wybryk straciłaś więcej niż przypuszczasz. Nie, jeszcze nie skończyłam. Zawiodłam się na tobie i nie jestem w nastroju, by widzieć się teraz z twoim ojcem. Nie spodziewaj się ode mnie niczego, kiedy wyjdiesz za mąż. Przyjaciele twojego pana Brooka będą się musieli tobą zająć. Ja skończyłam z tobą raz na zawsze.

I trzaskając drzwiami, ciotka March odjechała w wielkim gniewie. Zdawało się, że

zabrała ze sobą całą odwagę dziewczyny, gdyż, pozostawszy sama, Meg stała przez chwilę nie wiedząc czy śmiać się, czy płakać. Zanim zdążyła się zdecydować, pochwycona została w ramiona przez pana Brooka, który powiedział jednym tchem: - Nie mogłem się powstrzymać od słuchania, Meg. Dziękuję ci za obronę, a ciotce March za dowód, że jednak zależy ci na mnie odrobinę.

- Nie wiedziałam sama jak bardzo, dopóki cię nie znieważyla - zaczęła Meg.

- Więc nie muszę odchodzić? Mogę zostać i być szczęśliwym, tak, kochana?

Była to kolejna okazja, by wygłosić miażdżącą odmowę i dostojnie odejść, ale Meg nie przyszło to nawet do głowy i skompromitowała się na zawsze w oczach Jo, szepcząc miękko: - Tak, John - i ukrywając twarz w kamizelce pana Brooka.

Kwadrans po odjeździe ciotki March, Jo zeszła po cichu na dół przystanęła na chwilę przy drzwiach do bawialni, a nie słysząc ani szmeru, kiwnęła głową i uśmiechnęła się z zadowoleniem, mówiąc do siebie: - Odprawiła go tak, jak planowałyśmy i wszystko jest załatwione. Wejdę żeby wysłuchać świetnej opowieści i pośmiać się z tego.

Ale biednej Jo nie dane było się śmiać, gdyż zamarła ona na progu pod wrażeniem widoku, w który wbiła wzrok, otwierając usta niemal równie szeroko jak oczy. Dla kogoś, kto szedł, by triumfować nad pokonanym wrogiem i chwalić stanowczą siostrę za wypędzenie niepożądanego wielbiciela, niewątpliwym szokiem było ujrzeć tegoż wroga, siedzącego spokojnie na sofie, trzymającego na kolanach ową stanowczą siostrę, na której twarzy malował się wyraz najnędniejszej uległości. Jo złapała gwałtownie oddech, jakby spadł na nią zimny prysznic - gdyż taki nieoczekiwany obrót sprawy rzeczywiście zaparł w niej dech. Na ten dziwny dźwięk kochankowie odwrócili się i ujrzeni ją. Meg zeskoczyła, wyglądając na dumną i zawstydzoną jednocześnie, ale „ten pan”, jak nazywała go Jo, roześmiał się tylko i powiedział spokojnie, całując zdumionego przybysza: - Siostrzyczko Jo, pogratuluj nam!

Dolało to oliwy do ognia - tego było już doprawdy za dużo - i, wymachując dziko rękoma, Jo zniknęła bez słowa. Pobiegła na górę, gdzie przestraszyła chorych, wtargnąwszy do pokoju z tragicznym okrzykiem: - Och, niech ktoś szybko zejdzie na dół, John Brooke zachowuje się okropnie, a Meg się to podoba!

Państwo March pośpiesznie opuścili pokój, a Jo rzuciwszy się na łóżko, płakała i groźnie wymyślała, przekazując straszliwe wiadomości Beth i Amy. Dziewczynki jednak uważały to wydarzenie za bardzo miłe i interesujące, toteż Jo nie doznała od nich wiele pociechy i poszła do

kryjówki na strychu, by zwierzyć się ze swoich trosk szczurom.

Nikt nie dowiedział się nigdy, co zaszło tego popołudnia w bawialni, ale odbyła się tam długa rozmowa i cichy pan Brooke zaskoczył przyjaciół wymownością i odwagą z jaką bronił swej sprawy, opowiadał o swych planach i wreszcie przekonał wszystkich by zgodzili się na to, czego pragnął.

Dzwonek na herbatę rozległ się zanim John skończył opisywać raj, na jaki miał zamiar zapracować dla Meg, poprowadził ją więc dumnie na kolację, przy czym oboje wyglądali na tak szczęśliwych, że Jo nie miała serca na zazdrość czy smutek. Amy była pod wielkim wrażeniem tego, jak oddany był John a dystygowana Meg. Beth promieniała do nich z oddala, podczas gdy państwo March przyglądali się młodej parze z czułym zadowoleniem, które dowodziło absolutnej słuszności twierdzenia ciotki March o tym, że mają oni „tyle doświadczenia życiowego, co para niemowląt”. Nikt wiele nie zjadł ale wszyscy wyglądali na szczęśliwych, a stary pokój zdawał się dziwnie promienny, teraz, gdy zaczął się tu pierwszy romans w rodzinie.

- Nie możesz teraz powiedzieć, że nic przyjemnego się nie wydarza, prawda, Meg? - zapytała Amy, starając się zdecydować, jak ustawi zakochanych na szkicu, który miała zamiar niebawem wykonać.

- Nie, z pewnością nie mogę. Jak wiele wydarzyło się od czasu, kiedy to powiedziałam! Zdaje się, jakby to było rok temu - odpowiedziała Meg, która pogrążona w rozkosznym śnie, unosiła się wysoko ponad tak zwykłymi sprawami jak chleb i masło.

- Radość nadeszła tym razem tuż po smutkach i sądzę, że zapoczątkowała zmiany - powiedziała pani March. - W wielu rodzinach zdarza się od czasu do czasu rok pełen smutnych zdarzeń. Ten rok był taki dla nas, ale kończy się mimo wszystko dobrze.

- Mam nadzieję, że przyszły skończy się jednak lepiej - mruknęła Jo, której trudno było patrzeć na to, jak Meg wpatruje się w siedzącego obok niej gościa, bowiem Jo kochała bardzo mocno niewiele osób i nie cierpiała gdy ich uczucia dla niej gasły lub choćby nieco słabły.

- Ja mam nadzieję, że rok, który nadejdzie za trzy lata, także skończy się dobrze. Myślę, że stanie się tak, jeśli tylko dopełnię wszystkich moich postanowień - powiedział pan Brooke, uśmiechając się do Meg, tak jakby nie było teraz dla niego rzeczy niemożliwych.

- Czy nie sądzicie, że trzy lata to bardzo długie oczekiwanie? - zapytała Amy, której spieszno było do wesela.

- Muszę nauczyć się jeszcze tylu rzeczy, zanim będę gotowa, że czas ten wydaje mi się

bardzo krótki - odpowiedziała Meg ze słodką powagą, której nigdy przedtem nie widziano na jej twarzy.

- Ty będziesz tylko czekała. Ja wykonam wszelkie prace - powiedział John, zaczynając od podniesienia upuszczonej przez Meg serwetki, z wyrazem twarzy, który sprawił, że Jo pokręciła głową, a kiedy usłyszała, że trzasnęły frontowe drzwi, powiedziała do siebie z ulgą: - Oto Laurie. Teraz przynajmniej porozmawiamy o czymś nieco rozsądniejszym.

Ale Jo była w błędzie, gdyż Laurie wbiegł w radosnych podskokach, wnosząc wielki, niemal weselny bukiet dla „Pani Johnowej Brookowej” i najwyraźniej zdawał się być pod mylnym wrażeniem, że wszystko wydarzyło się dzięki jego wspaniałym pomysłom.

- Wiedziałem, że Brookowi wszystko się uda, zawsze tak jest, bo kiedy postanowi coś osiągnąć, to realizuje to, choćby mu się niebo waliło na głowę - powiedział Laurie, kiedy wręczył już bukiet i złożył powinszowania.

- Serdeczne dzięki za rekomendację. Biorę ją za dobry znak na przyszłość i już teraz zapraszam cię na wesele - odpowiedział Brooke, który czuł się pokojowo usposobiony do całej ludzkości, ze swoim psotnym uczniem włącznie.

- Przyjdę, choćbym był na końcu świata, bo sam widok twarzy Jo przy tej okazji wart będzie długiej podróży. Nie wygląda pani zbyt świątecznie, madame. Co się stało? - zapytał Laurie, podążając za Jo w kąt bawialni, kiedy wszyscy wstali, by przywitać się z panem Laurencem.

- Nie pochwalam tego małżeństwa, ale postanowiłam, że wytrzymam i nie powiem przeciw niemu ani słowa - powiedziała Jo z namaszczeniem.

- Nie wiesz, jak ciężko mi tracić Meg - kontynuowała z - lekkim drzeniem w głosie.

- Nie tracisz jej. Dzielisz się nią tylko - powiedział Laurie pocieszająco.

- Już nigdy nie będzie tak samo. Utraciłam najdroższego przyjaciela - westchnęła Jo.

- Masz jeszcze mnie. Wiem, że na niewiele się zdam, ale będę przy tobie, Jo, przez wszystkie dni mego życia; słowo honoru, będę! - Laurie powiedział to bardzo poważnie.

- Wiem, że będziesz i jestem ci bardzo wdzięczna. Jesteś dla mnie zawsze wielkim pocieszeniem, Teddy - odparła Jo, z wdzięcznością potrząsając jego dłonią.

- No, już, nie bądź ponura, Jo, bądź zuchem. Zobacz, wszystko jest w porządku. Meg jest szczęśliwa, Brooke rozwinie skrzydła i natychmiast się urządzi; dziadek mu pomoże i to będzie prawdziwa przyjemność ujrzeć Meg w jej własnym domku. Po jej odejściu będziemy się świetnie

bawili, bo w tym czasie będę już po studiach i pojedziemy za granicę w jakąś przyjemną podróż. Czy to cię nie pociesza?

- Trochę, chociaż kto wie, co może się stać przez te trzy lata - powiedziała Jo w zamyśleniu.

- To prawda. Czy nie chciałabyś móc zajrzeć w przyszłość i zobaczyć gdzie wtedy wszyscy będziemy? Ja tak - odparł Laurie.

- A ja raczej nie, bo mogłabym zobaczyć coś smutnego, a teraz wszyscy wyglądają na tak szczęśliwych, że nie sędzę żeby mogło im być o wiele lepiej. - I oczy Jo powędrowały powoli dookoła pokoju, rozjaśniając się w miarę patrzenia, gdyż widok był rzeczywiście przyjemny.

Ojciec i matka siedzieli razem, po raz wtóry cicho przeżywając pierwszy rozdział romansu, który dla nich zaczął się dwadzieścia lat temu. Amy rysowała zakochanych siedzących na uboczu w pięknym własnym świetle, którego światło znaczyło ich twarze wdziękiem nie do skopiowania dla małej artystki. Beth leżała na sofie, rozmawiając pogodnie ze swoim starym przyjacielem, który trzymał drobną dłoń dziewczynki, tak jakby czuł, że posiadała ona moc poprowadzenia go swoją spokojną drogą. Jo odpoczywała w swoim ulubionym niskim fotelu, wyglądając poważnie i cicho, z czym było jej ogromnie do twarzy, a Laurie, pochylony nad oparciem, z brodą na wysokości jej kędzierzawej głowy, uśmiechał się w swój najbardziej przyjacielski sposób i kiwał do niej w długim lustrze, które odbijało ich oboje.

I gdy tak wszyscy siedzą, opuścimy kurtynę na Meg, Jo, Beth i Amy. To, czy znów się ona podniesie, zależeć będzie od przyjęcia, z jakim spotka się akt pierwszy dramatu rodzinnego, pod tytułem *Małe kobiety*.